

Terry Pratchett

Maskarada

Przełożył Piotr W. Cholewa

Wydanie oryginalne: 1995

Wydanie polskie: 2003

TMN

*Serdecznie dziękuję tym osobom,
które pokazały mi, że opera jest bardziej niezwykła,
niż mogłem przypuszczać.
Najlepiej odwdzięczę się za tę uprzejmość,
nie wymieniając tu ich nazwisk.*

Huczał wiatr. Burza szalała nad górami. Błyskawice kłuły sterczące szczyty niczym staruszek, który spomiędzy sztucznych zębów usiłuje wydłubać pestkę jeżyny.

Donośnie zabrzmiał wysoki, starczy głos:

— Rychłóż się zejdzem znów?

Zahuczał grom.

Inny, bardziej zwyczajny głos odpowiedział:

— Niby po co musiałaś tak wrzeszczeć? Przez ciebie grzanka mi wpadła do ognia.

Niania Ogg usiadła.

— Przepraszam cię, Esme. Tak sobie zawołałam, przez... no, przez pamięć dawnych czasów. Ale teraz jakoś to nie brzmi.

— Akurat się przypiekła i ładnie zbrązowiła.

— Przepraszam.

— Nie musiałaś tak krzyczeć.

— Przepraszam.

— W końcu nie jestem głucha. Mogłaś mnie spytać normalnym głosem, a ja bym wtedy odpowiedziała: „W przyszłą środę”.

— Przepraszam, Esme.

— Ukrój mi następną kromkę.

Niania Ogg skinęła głową i odwróciła się.

— Magrat, ukrój babci jeszcze... Oj. Zamyśliłam się trochę. Sama to zrobię, dobrze?

— Ha! — odparła babcia Weatherwax, wpatrując się w płomień.

Chwilę milczały. Słyszeć było tylko wycie wiatru i nianię Ogg krojącą chleb, co robiła z efektywnością człowieka, który rozcina materac piłą łańcuchową.

— Myślałam, że kiedy się tu spotkamy, poprawi ci się nastrój — rzekła po chwili.

— Doprawdy.

To nie było pytanie.

— Rozerwiesz się trochę i w ogóle... — ciągnęła niania, czujnie obserwując przyjaciółkę.

— Mmm... — Babcia wciąż patrzyła w ogień.

Ojej, pomyślała niania. Nie powinnam tego mówić.

Chodziło o to, że... No, tak naprawdę chodziło o to, że niania Ogg się martwiła. Bardzo się martwiła. Wcale nie była pewna, czy przyjaciółka nie... jak by to określić... staje się... tak jakby... w pewnym sensie... no... czarna.

Wiedziała, że może się to przytrafić tym naprawdę potężnym. A babcia Weatherwax była niezwykle potężna. Stała się czarownicą znakomitszą nawet od niesławnej Czarnej Aliss, a każdy wiedział, jaki ją spotkał koniec. Wepchnięta do własnego piekarnika przez dwójkę dzieciaków... I tak wszyscy twierdzili, że dobrze się złożyło, choć czyszczenie pieca zajęło cały tydzień.

Jednak Aliss, aż do tego straszego dnia, terroryzowała całe Ramtopy. Tak udoskonaliła swoją magię, że w jej głowie nie zostało już miejsca na nic innego.

Podobno żadna broń nie mogła jej zranić. Miecze odbijały się od jej skóry. Podobno jej obłąkańczy śmiech słycać było na milę dookoła; co prawda obłąkańczy śmiech od zawsze należał do typowych atrybutów czarownicy, jeśli wymagała tego konieczność, ten jednak był szalonym obłąkańczym śmiechem w najgorszym rodzaju. Zmieniała ludzi w pierniki i miała dom zbudowany z żab. Pod koniec sytuacja wyglądała już naprawdę bardzo paskudnie. Jak zwykle, kiedy czarownica staje się zła.

Czasami oczywiście czarownice nie przechodzą na stronę zła. Po prostu odchodzą... dokądś.

Intelekt babci potrzebował jakiegoś zajęcia. Źle znosiła nudę. Kładła się wtedy do łóżka i wysyłała umysł na Pożyczanie, do wnętrza głowy jakiegoś leśnego stworzenia; słuchała jego uszami i patrzyła przez jego oczy. Oczywiście, to całkiem wygodne do zastosowań ogólnych, ale babcia była zwyczajnie za dobra. Potrafiła przebywać poza własnym ciałem dłużej niż ktokolwiek, o kim niania Ogg by słyszała.

Było rzeczą właściwie oczywistą, że pewnego dnia nie zechce powrócić. A nastąpiła ta najgorsza pora roku, gdy gęsi krzyczą i latają po niebie co noc, gdy jesienne powietrze jest rześkie i pociągające. Wyczuwa się w tym wszystkim jakąś straszliwą pokusę.

Niania Ogg miała wrażenie, że wie, co jest źródłem kłopotów.

Odchrząknęła.

— Widziałam wczoraj Magrat — powiedziała, zerkając z ukosa na babcię.

Żadnej reakcji.

— Dobrze wygląda. Królowanie jej służy.

— Hmm?

Niania jęknęła bezgłośnie. Jeśli babci nie chce się nawet wypowiedzieć jakiejś złośliwej uwagi, to znaczy, że naprawdę brakuje jej Magrat.

Niania Ogg z początku nie mogła w to uwierzyć, ale Magrat Garlick, płaczliwa jak bóbr, w jednym miała absolutną rację.

Trzy to naturalna liczba dla czarownic.

A one straciły jedną. No, nie dosłownie straciły. Magrat była teraz królową, a królowych trudno nie zauważyć. Ale to oznaczało, że jest ich teraz tylko dwie zamiast trzech.

Kiedy są trzy, jedna może się starać doprowadzić do zgody w razie kłótni. Magrat świetnie się do tego nadawała. Bez niej niania Ogg i babcia Weatherwax działały sobie na nerwy. Przy niej potrafiły we trójkę działać na nerwy wszystkim pozostałym na całym świecie, a to o wiele zabawniejsze.

I w żaden sposób nie da się Magrat odzyskać. Czy też, żeby być precyzyjną, nie da się Magrat odzyskać na razie.

Ponieważ wprawdzie trzy to dobra liczba dla czarownic, ale muszą to być odpowiednie trzy. Trzy odpowiedniego... rodzaju.

Samo myślenie o tym wprawiało nianię w zakłopotanie, co jest niezwykle, gdyż zakłopotanie przychodziło niani równie łatwo jak kotu altruizm.

Jako czarownica nie wierzyła, oczywiście, w żadne okultystyczne bzdury. Ale istniały jedna czy dwie prawdy, głęboko zagrzebane w macierzystej skale duszy. I trzeba było się z nimi godzić. A wśród nich istniała ta dotycząca dziewicy, matki i... i tej trzeciej.

Uff... Udało się jakoś to pomyśleć.

Oczywiście, to tylko stare przesady, należące do owych ciemnych czasów, kiedy takie określenia, jak „dziewica”, „matka” i... i ta trzecia, opisywały każdą kobietę w wieku powyżej dwunastu lat, mniej więcej. Obecnie każda dziewczyna dostatecznie inteligentna, by umieć liczyć, i dostatecznie rozsądna, by słuchać mądrych rad niani Ogg, mogła odsunąć stanie się przynajmniej jedną z nich na czas całkiem długi.

A jednak... był to bardzo stary przesąd, starszy niż księgi, starszy niż pismo. Takie wierzenia mocno obciążają gumową membranę doświadczenia i często wciągają ludzi w swoją orbitę.

Magrat była mężatką od trzech miesięcy. Co powinno oznaczać, że wypadła z pierwszej kategorii. A przynajmniej... niania skierowała ciąg myśli na boczny tor... prawdopodobnie wypadła. Oczywiście, młody Verence posłał po odpowiedni podręcznik, z rysunkami i numerowanymi częściami. Niania wiedziała o tym dobrze, bo kiedy składała pewnego dnia wizytę w zamku, zakradła się do królewskiej sypialni. Spędziła tam poręczając dziesięć minut, domalowując niektórym postaciom wąsy i okulary. Z pewnością nawet Magrat i Verence musieli sobie poradzić z... Nie, na pewno jakoś to rozpracowali, chociaż słyszała, że widziano Verence'a rozpytyującego o ludzi, którzy mogliby dostarczyć fałszywe wąsy. Niedługo potrwa, a Magrat zacznie się nadawać do drugiej kategorii, nawet jeśli oboje czytają powoli.

Oczywiście, babcia Weatherwax zawsze demonstrowała swoją niezależność i samodzielność. Kłopot jednak polegał na tym, że człowiek powinien mieć kogoś obok siebie,

żeby mu demonstrować, jaki to jest niezależny i samodzielny. Ludzie, którzy nie potrzebują innych ludzi, potrzebują innych ludzi, by im okazywać, że są ludźmi, którzy nie potrzebują innych ludzi.

To tak jak z pustelnikami. Nie ma sensu odmrażać sobie różnych części ciała na szczycie jakiejś góry, osiągając zjednoczenie z Nieskończonością, jeśli nie można liczyć na pewną liczbę naiwnych młodych kobiet, które zjawiają się od czasu do czasu i mówią „Och”.

...Znowu muszą być trzy. Życie stawało się ciekawsze, kiedy były trzy. Zdarzały się kłótnie i przygody, i rzeczy, które mogły babcią zirytować, a była szczęśliwa tylko wtedy, kiedy się irytowała. Właściwie, jak wydawało się czasem niani, babcią Weatherwax była tylko wtedy, kiedy się irytowała.

Tak. Potrzebne są trzy.

Bo jeśli nie... Jeśli nie, to czekają ją szare skrzydła wśród nocy albo trzask drzwiczek piekarnika...

Rękopis rozpadł się, gdy tylko pan Kozaberger go podniósł.

Nie był nawet spisany na porządnym papierze. Zapisano go na starych torebkach po cukrze, na odwrotnych stronach kopert i kartkach ze starych kalendarzy.

Pan Kozaberger burknął coś i zebrał garść pleśniejących stronic, by cisnąć je do ognia.

Jakieś słowo przyciągnęło jego wzrok.

Doczytał do końca strony, cofając się kilka razy, gdyż nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Odwrócił kartkę. Potem odwrócił z powrotem. I czytał dalej. W pewnym momencie wyjął z szuflady linijkę i przyjrzał się jej w zadumie.

Otworzył barek. Butelka brzęknęła wdzięcznie o brzeg kieliszka, kiedy usiłował sobie nalać.

Następnie wyjrzał przez okno na gmach Opery po drugiej stronie ulicy. Jakaś nieduża postać zamiatała schody.

Potem powiedział:

— Och jej...

Wreszcie podszedł do drzwi.

— Może pan tu przyjść, panie Cropper?! — zawołał.

Jego drukarz zjawił się, ściskając plik próbnych wydruków.

— Pan Cripslock będzie musiał jeszcze raz grawerować stronę jedenastą — oświadczył ze smutkiem. — Znowu napisał „głód” na pięć liter...

— Niech pan to przeczyta — przerwał mu Kozaberger.

— Mam właśnie przerwę śniada...

— Proszę czytać.

— Przepisy gildii mówią...

— Niech pan przeczyta i powie, czy nadal dopisuje panu apetyt.

Cropper usiadł niechętnie i spojrzał na pierwszą stronę.

Potem odwrócił ją i zaczął czytać drugą.

Po chwili wysunął szufladę, wyjął linijkę i przyjrzał się jej w zadumie.

— Właśnie przeczytał pan o Zupie z Bananową Niespodzianką — domyślił się Kozaberger.

— Tak!

— Niech pan zaczeka, aż pan dojdzie do Nakrapianego Ptaszka.

— Moja babcia piekła kiedyś Nakrapianego Ptaszka.

— Nie według tego przepisu — oświadczył Kozaberger z absolutnym przekonaniem.

Cropper przerzucał kartki.

— Do licha! Myśli pan, że coś z tego naprawdę działa?

— A kogo to obchodzi? Proszę iść zaraz do gildii i zatrudnić wszystkich wolnych grawerów. Najlepiej tych w starszym wieku.

— Ale nie skończyłem jeszcze przepowiedni na grune'a, czerwiec, lipiec i spune'a do przyszłorocznego almanachu...

— To nieważne. Proszę wykorzystać stare.

— Ludzie zauważą.

— Nigdy dotąd nie zauważyli. Zna pan przecież ten układ. Niezwykłe deszcze curry w Klatchu, zadziwiająca śmierć szeryfa Ee, plaga szerszeni w Howondalandzie. To jest ważniejsze.

Pan Kozaberger raz jeszcze spojrzał niewidzącym wzrokiem przez okno.

— O wiele ważniejsze.

Śnił sen wszystkich tych, którzy wydają książki. Ten, w którym miał w kieszeniach tyle złota, że musiał zatrudniać dwóch ludzi, by podtrzymywali mu spodnie.

Przed Agnes Nitt wyrastał potężny, zdobiony kolumnami, pełen gargulców front gmachu ankhmorporskiej Opery.

Zatrzymała się. A przynajmniej większa część Agnes Nitt się zatrzymała. Było tam bardzo dużo Agnes. Chwilę trwało, nim znieruchomiały jej zewnętrzne regiony.

Tak, była na miejscu. Wreszcie. Mogła wejść do środka albo mogła stąd odejść. To coś, co ludzie nazywają życiową decyzją. Nigdy dotąd nie musiała takiej podejmować.

Wreszcie, kiedy stała już nieruchomo tak długo, że gołąb zaczął rozważać możliwość budowy gniazda na jej wielkim, smętnie obwisłym czarnym kapeluszu, zaczęła wspinać się na schody.

Jakiś młody człowiek zamiatał stopnie — teoretycznie. W praktyce przesuwał brud z miejsca na miejsce, dostarczając mu nowych widoków i okazji poznania nowych przyjaciół. Młody człowiek ubrany był w długi płaszcz, trochę na niego za mały, i w czarny beret wciśnięty na osobliwie sterczące czarne włosy.

— Przepraszam — odezwała się do niego Agnes.

Efekt okazał się zaskakujący. Młody człowiek odwrócił się, zaczepił jedną nogą o drugą i upadł na swoją miotłę.

Agnes uniosła dłoń do ust. Potem schyliła się i podała mu rękę.

Jego dłoń wydawała się lepka, co sprawiało, że trzymający ją zaczynał tęsknie myśleć o mydle. Młody człowiek odgarnął z oczu tłuste włosy i rzucił Agnes zalękniony uśmiech. Twarz miał tego rodzaju, które niania Ogg nazywała niedopieczonymi: bladą, o niewyraźnych rysach.

— Żaden kłopot, panienko!

— Dobrze się czujesz?

Spróbował się podnieść, zdołał jakoś zaplątać miotłę między kolanami i ponownie usiadł gwałtownie na schodach.

— Hm... może panienka wyciągnąć miotłę?

Wysunęła ją z płątaniny. Młody człowiek wstał wreszcie po kilku nieudanych próbach.

— Pracujesz w Operze? — spytała Agnes.

— Tak, panienko...

— Powiedz, gdzie mam się zgłosić na przesłuchanie.

Rozejrzał się niespokojnie.

— Wejście dla aktorów! — wyjaśnił. — Pokażę!

Słowa wybiegały mu z ust pospiesznie, jak gdyby musiał uszeregować je i wystrzelić, nim znajdą czas, by się rozejść.

Wyrwał jej miotłę z ręki, po czym ruszył schodami w bok, w stronę rogu budynku. Kroczył w niezwykle sposób. Zdawało się, że coś ciągnie do przodu jego tułów, nogi zaś przebiegają bez celu, stawiane wszędzie, gdzie znalazły sobie trochę miejsca. Nie był to właściwie chód, ale upadek odsuwany w nieskończoność.

Chwiejne kroki doprowadziły go do drzwiczek w bocznej ścianie. Agnes podążyła za nim.

Tuż za drzwiami zobaczyła coś w rodzaju szopy z jedną otwartą ścianą i blatem umieszczonym tak, że ktoś siedzący za nim mógł obserwować drzwi. Ten ktoś, kto tam właśnie siedział, musiał być istotą ludzką, ponieważ morsy nie noszą płaszczy.

Dziwny młody człowiek zniknął gdzieś w półmroku.

Agnes rozejrzała się zalękniona.

— Tak, panienko? — zapytał mors-człowiek. Miał imponujący wąs, który skupił w sobie cały zarost z reszty właściciela.

— Tego... ja chciałam... Bo przesłuchania... znalazłam plakat z wiadomością, że przesłuchujecie...

Uśmiechnęła się bezradnie. Twarz odźwiernego zdradzała, że widział już — i nie warły na nim wrażenia — więcej bezradnych uśmiechów, niż nawet Agnes potrafiłaby zjeść ciepłych posiłków. Wyjął kartkę i ogryzek ołówka.

— Musisz tu podpisać — poinformował.

— Kim był... była ta osoba, która mnie przyprowadziła?

Wąs poruszył się, sugerując ukryty gdzieś pod nim uśmiech.

— Wszyscy znają naszego Waltera Plinge'a.

To była chyba całość informacji, jakiej zamierzał udzielić.

Agnes ścisnęła ołówek.

Najważniejsze pytanie brzmiało: Jak powinna się podpisać? Jej imię miało liczne i cenne zalety, ale nie układało się gładko na języku. Spadało z podniebienia i stukało między zębami, ale na języku nie leżało gładko.

Niestety, nie przychodziło jej na myśl żadne inne o dużym potencjale gładkościowym.

Może Catherine?

Albo... Perdita. Mogłaby wrócić do Perdity. Wstydziła się trochę używać tego imienia w Lancre. Było tajemnicze, sugerowało mroczne sekrety, intrygi, a także — całkiem przypadkiem — kogoś, kto jest raczej szczupły. Wymyśliła sobie nawet pierwszą literę drugiego imienia: X, oznaczające „kogoś, kto ma eleganckie i tajemnicze drugie imię”.

Nie udało się. Mieszkańcy Lancre byli irytująco niewrażliwi na takie rzeczy. Mówili o niej „Agnes, która nazywa siebie PerditaX”.

Nie ośmieliła się nikomu zdradzić, że chciałaby, aby jej pełne imię i nazwisko brzmiało Perdita X. Dream. Nie zrozumieliby. Pytaliby na przykład: Jeśli uważasz, że to właściwie imię dla ciebie, to czemu wciąż masz dwie półki pełne pluszowych zabawek?

Tutaj jednak może zacząć wszystko od nowa. Była dobra. Wiedziała, że jest dobra.

Chociaż pewnie na Dream nie ma szans.

Będzie musiała zostać przy Nitt.

Niania Ogg zwykle kładła się spać wcześniej. W końcu miała już swoje lata. Czasami szła do łóżka nawet o szóstej rano.

Teraz była w lesie. Jej oddech kłębamii pary unosił się w chłodnym powietrzu. Liście szeleściły pod nogami. Wiatr ucichł, pozostawiając czyste, bezchmurne niebo, otwarte dla pierwszego przymrozku zimy — małego łobuza zrywającego płatki i marszczącego owoce, który pokazywał, jaką to matką jest w rzeczywistości Natura.

Trzecia czarownica.

Trzy czarownice mogą tak jakby... podzielić się pracą.

Dziewica, matka i... starucha. Właśnie.

Kłopot polega na tym, że babcia Weatherwax łączyła w sobie wszystkie trzy. Była dziewczcą, o ile niania się orientowała; była przynajmniej w odpowiednim przedziale wiekowym dla staruchy; co do trzeciej... no cóż, kto narazi się babci Weatherwax w zły dzień, poczuje się jak kwiat na przymrozku.

Musi przecież znaleźć się kandydatka na to stanowisko. W Lancre mieszkało kilka dziewcząt w odpowiednim wieku.

Kłopot polegał na tym, że chłopcy w Lancre też o tym wiedzieli. Niania regularnie spacerowała latem po łąkach, a miała bystry, choć pełen zrozumienia wzrok oraz znakomity słuch sięgający poza horyzont. Violet Frottidge chodziła z młodym Przebiegłością Carterem, a przynajmniej robiła coś w zakresie dziewięćdziesięciu stopni od chodzenia. Bonnie Quarney w maju zbierała orzechy z Williamem Simple i tylko dzięki temu, że była przewidująca i zasięgnęła pewnej rady u niani, nie wyda w lutym owoców. A już niedługo matka młodej Mildred Tinker porozmawia dyskretnie z ojcem młodej Mildred Tinker, ten porozmawia ze swoim przyjacielem Thatcherem, a on z kolei porozmawia ze swoim synem Hobem; potem będzie wesele. Wszystko zostanie załatwione w sposób właściwy i cywilizowany, z wyjątkiem może jednego czy drugiego podbitego oka*. Nie ma wątpliwości, pomyślała niania z rozmarzonym uśmiechem: niewinność podczas gorącego lata w Lancre to stan, w którym niewinność jest tracona.

Potem jeszcze jedno imię wynurzyło się na powierzchnię. No tak. Ona. Dlaczego wcześniej o niej nie pomyślała? Bo jakoś nie przychodziła do głowy. Kiedy człowiek myślał o dziewczętach z Lancre, zwykle o niej zapominał. Po czym mówił: A tak, ona też. Naturalnie, ma wspaniały charakter. I niezłe włosy, oczywiście.

Była inteligentna i utalentowana. W wielu dziedzinach. Jej głos, na przykład. To była jej moc, szukająca ujścia. I oczywiście miała też wspaniały charakter, więc niewielka była szansa, że okaże się... nieodpowiednia.

Czyli sprawa załatwiona. Z pewnością ucieszy babcię jeszcze jedna czarownica, żeby ją wykorzystywać i jej imponować. Natomiast Agnes z pewnością jej kiedyś podziękuje.

Niania Ogg odetchnęła z ulgą. Do sabatu potrzebne są przynajmniej trzy czarownice. Dwie czarownice to tylko kłótnia.

Otworzyła drzwi do swojej chaty i wspięła się po schodach do sypialni.

* Obywatele Lancre uważali małżeństwo za krok bardzo poważny, który trzeba wykonać jak należy, więc przedtem sporo ćwiczyli.

Jej kocur Greebo wyciągnął się na pierzynie niby plama szarego futra. Nie obudził się nawet wtedy, kiedy niania Ogg podniosła go trochę, by w nocnej koszuli wsunąć się do pościeli.

Żeby odpędzić złe sny, pociągnęła solidny łyk z butelki pachnącej jabłkami i radosną śmiercią mózgu. Potem ubiła poduszkę, pomyślała: Tak... ona — i odpłynęła w sen.

Po chwili zbudził się Greebo. Przeciągnął się, ziewnął i bezgłośnie zeskoczył na podłogę. Następnie najbardziej złośliwy i chytry kłęb futra, jaki kiedykolwiek miał dość inteligencji, by usiąść w karmniku dla ptaków z otwartą paszczą i kawałkiem chleba na nosie, zniknął za otwartym oknem.

Kilka minut później kogucik w sąsiednim ogrodzie wysunął głowę, by powitać piękny nowy dzień i zginął natychmiast, w pół kukuryku.

Przed Agnes panowała ciemność, a równocześnie niemal oślepiały ją światła. Tuż za krawędzią sceny wielkie płaskie świece pływały w długim korycie z wodą; dawały mocny, żółty blask, całkiem niepodobny do lamp naftowych w domu. Za światłami czekała widownia, niczym paszcza wielkiej i bardzo głodnej bestii.

Gdzieś spoza światel odezwał się głos.

— Kiedy tylko będziesz gotowa, panienko.

Nie był to jakiś szczególnie nieprzyjazny głos. Chciał tylko, żeby wreszcie zaczęła, odśpiewała swój kawałek i sobie poszła.

— Bo ja mam taką, no... taką piosenkę, i ona...

— Oddałaś nuty pannie Proudlet?

— Eee... Właściwie to nie ma akompaniamentu, ona...

— Aha, to piosenka ludowa. Tak?

W ciemności rozległy się szepty i ktoś zaśmiał się cicho.

— Zaczynaj więc... Perdito, tak?

Agnes zaczęła piosenkę o jeżu, ale już około siódmego słowa zdała sobie sprawę, że nie był to dobry wybór. Potrzebna jest oberża i rechoczący ludzie, którzy walą kufłami w stoły. Ta wielka jasna pustka wsysała głos, przez co wydawał się piskliwy i słaby.

Przerwała na końcu trzeciej zwrotki. Czuła, jak rumieniec okrywają gdzieś od wysokości kolan. Potrwa jeszcze chwilę, zanim dotrze do twarzy, gdyż musi objąć dużą powierzchnię skóry, ale wtedy cała już będzie różowa jak truskawka.

Słyszała szepty. Wśród nich wybijały się takie słowa jak „timbre”, a potem — co wcale jej nie zdziwiło — nadbiegło „imponująca budowa”. Miała imponującą budowę, wiedziała o tym. Podobnie gmach Opery. Nie musiała być z tego powodu szczęśliwa.

Odezwał się głos:

— Nie kształciłaś się, moja droga. Prawda?

— Nie.

To była prawda. Jedyną poza Agnes wartą uwagi śpiewaczką w Lancre była niania Ogg, której podejście do piosenek można określić jako czysto balistyczne: należy wymierzyć głos w koniec zwrotki i ruszać.

Szepty. Szepty.

— Zaśpiewaj nam kilka gam, moja droga.

Rumieniec osiągnął wysokość piersi, pędząc po falujących powierzchniach...

— Gam?

Szepty. Stłumiony śmiech.

— Do re mi? Znasz to, moja droga? Zaczynając nisko? La la la?

— Aha. Tak.

Gdy armie zakłopotania szturmowały szyję, Agnes ustawiła głos jak mogła najniżej i zaczęła.

Skupiona na nutach, pracowicie sunęła od poziomu morza ku szczytom gór. Nie zauważyła, jak na początku zawibrowało krzesło po drugiej stronie sceny, a na końcu gdzieś pękło szkło i kilka nietoperzy spadło z sufitu.

W wielkiej pustce panowała cisza, jeśli nie liczyć stuku kolejnego nietoperza i cichego brzęczenia szkła gdzieś wysoko.

— Czy to... to twój pełny zakres, moja droga?

— Nie.

— Nie?

— Jeśli zaśpiewam jeszcze wyżej, ludzie mdleją — wyjaśniła Agnes. — A kiedy schodzę niżej, niektórzy mówią, że źle się wtedy czują.

Szepty, szepty. Szepty, szepty, szepty.

— Czy, hm... jeszcze coś...

— Umiem śpiewać ze sobą na trzy. Niania Ogg twierdzi, że nie każdy to potrafi.

— Przepraszam...

— Tu na gorze?

— Jak... do-re-mi. Równocześnie.

Szepty, szepty.

— Pokaż nam, mała.

— ♪ Laaaaaa ♪!

Ludzie z boku sceny rozmawiali z wyraźnym podnieceniem.

Szepty.

— A teraz emisja... — zaczął głos z ciemności.

— Tak, to potrafię — rzuciła zirytowana Agnes. Zaczynała mieć tego dosyć. — Gdzie mam wyemitować głos?

— Słucham? Mówimy o...

— Tutaj?

— Czy tutaj?

— Albo tutaj?

To nietrudna sztuka, myślała Agnes. Może imponować, jeśli włoży się słowa w usta siedzącej obok kukiełki, jak to robią wędrowni sztukmistrze, ale nie da się ustawić głosu zbyt daleko tak, by nadal oszukać całą publiczność.

Teraz, kiedy oczy przyzwyczyły się do półmroku, rozpoznawała sylwetki ludzi odwracających się w fotelach. Byli wyraźnie zdumieni.

— Mówiłaś, że jak się nazywasz, moja droga?

Głos, który w pewnym momencie zdradzał ślady lekceważenia, teraz brzmiał jak pokonany.

— Ag-Per... Perdita — odparła Agnes. — Perdita Nitt. Perdita X... Nitt.

— Być może, trzeba będzie coś zrobić z tym Nitt, moja droga.

Drzwi chaty babci Weatherwax otworzyły się same.

Jarge Tkacz zawahał się. Oczywiście, jest przecież czarownicą. Ludzie uprzedzali go, że takie rzeczy się zdarzają.

Nie lubił tego. Ale nie lubił też swojego krzyża, zwłaszcza kiedy krzyż jego nie lubił. Nie jest łatwo, gdy atakuje człowieka jego własny kręgosłup.

Wszedł wolno, krzywiąc się i podpierając dwoma łaskami.

Czarownica siedziała w fotelu na biegunach, odwrócona plecami do drzwi.

Jarge wahał się.

— Wejdz, Jarge Tkaczu — odezwała się babcia Weatherwax. — Dam ci coś na ten twój bolący grzbiet.

Szok sprawił, że Jarge spróbował się wyprostować, a to z kolei spowodowało wybuch czegoś rozpalonego do białości w okolicach krzyża.

Babcia Weatherwax przewróciła oczami i westchnęła.

— Możesz usiąść?

— Nie, psze pani. Ale mogę upaść na stół.

Babcia wyjęła z kieszeni fartucha niewielką czarną buteleczkę. Potrząsnęła nią energicznie. Jarge szerzej otworzył oczy.

— Miała to pani już gotowe?

— Tak — potwierdziła szczerze babcia.

Już dawno pogodziła się z faktem, że ludzie oczekują czegoś lepkiego i dziwnie zabarwionego. Choć to nie lekarstwo załatwiało sprawę, ale raczej — w pewnym sensie — łyżka.

— To mieszanina rzadkich ziół i różnych takich — wyjaśniła. — W tym sukrozy i akwy.

— Coś takiego... — Na Jarge wywarło to spore wrażenie.

— A teraz łyknij solidnie.

Wykonał polecenie. Lekarstwo smakowało trochę jak lukrecja.

— Wypijesz jeszcze łyk wieczorem, zanim pójdziesz spać — tłumaczyła dalej babcia.
— A potem trzykrotnie obiegiesz kasztan.

— ...trzy razy kasztan...

— I jeszcze... Połóż sosnową deskę pod materac. Ale to musi być deska z dwudziesto-letniego drzewa. Nie zapomnij.

— ...dwudziestoletnie drzewo... — powtórzył Jarge. Uznał, że powinien dodać coś od siebie. — Żeby te bolące węzły z grzbietu przeszły do deski? — próbował zgadnąć.

Babcia spojrzała na niego z podziwem. Był to niezwykle pomysłowy element ludowych przesądów, wart zapamiętania na późniejsze okazje.

— Właśnie tak.

— I to wszystko?

— A chciałeś czegoś więcej?

— Bo ja... no... myślałem, że będą tańce, śpiewy i takie różne.

— Załatwiłam wszystko, zanim przyszedłeś — uspokoiła go babcia.

— Coś takiego... No tak. A tego... Chodzi o zapłatę...

— Och, nie chcę zapłaty — zapewniła. — Branie pieniędzy przynosi pecha.

— Aha. Rzeczywiście. — Jarge rozpromienił się.

— Ale może... Gdyby twoja żona miała jakieś stare ubrania, to noszę rozmiar 12, czarne w miarę możliwości. Albo gdyby akurat piekła ciasto, byle bez śliwek, bo mam po nich wzdęcia, albo odstawiła gdzieś trochę miodu na przykład. A może akurat będziesz bił świnie, najbardziej lubię od karku, czasem trochę szynki albo raciczki... Właściwie cokolwiek, co nie będzie ci potrzebne. Ale to nieobowiązkowe. Nie chciałabym narzucać ludziom żadnych obowiązków tylko dlatego, że jestem czarownicą. Jak tam w domu, wszystko w porządku? Nikomu nic nie dolega, mam nadzieję...

Patrzyła, jak zaczyna rozumieć.

— A teraz pomogę ci wyjść za próg — powiedziała.

Tkacz nie był pewien, co właściwie się stało. Babcia, zwykle tak pewnie stąpająca po ziemi, teraz jak gdyby potknęła się o jego laskę i upadła na plecy, ciągle trzymając go za ramiona. A potem jej kolano uniosło się jakoś i trafiło w pewien punkt na krzyżu, ona skrzyła go w bok, coś kliknęło...

— Auuu!

— Przepraszam!

— Moje plecy! Mój krzyż!

Mimo wszystko, myślał potem Jarge, już się chyba starzeje. Pewnie jest trochę niezgrabna, a zawsze była nieuważna. Trzeba jednak przyznać, że robi świetne wywary. I jak szybko działają...

Zanim dotarł do domu, niósł obie laski pod pachą.

Babcia obserwowała go, kręcąc głową.

Ludzie są tacy... ślepi, myślała. Wolą wierzyć w bzdury niż w kręgarstwo.

Oczywiście, bardzo dobrze, że tak jest. Niech rozdziawiają usta ze zdumienia, że wie, kto się zbliża do jej chatki. Jakoś nikt nie zauważył, że okna dogodnie wychodzą na zakręt ścieżki. A co do skobla w drzwiach i sztuczki z kawałkiem czarnej nici*...

Chociaż... czego właściwie dokonała? Oszukała niezbyt mądrego staruszka.

Stawała twarzą w twarz z magami, potworami i elfami, a teraz cieszy się, że nabrała Jarge Tkacza — człowieka, który dwa razy nie zdołał uzyskać stanowiska Wioskowego Idioty, a to z powodu zbyt wysokich kwalifikacji.

Znalazła się na śliskim gruncie. Jeszcze trochę, a zacznie chichotać i zwabiać dzieci do piekarnika. A przecież nawet nie lubi dzieci.

Przez całe lata babci Weatherwax całkowicie starczały wyzwania, jakich dostarcza funkcja wioskowej czarownicy. A potem musiała ruszyć w podróż, zobaczyła kawałek świata i przez to nie potrafiła teraz usiedzieć na miejscu — zwłaszcza o tej porze roku, kiedy klucze gęsi latały po niebie, a pierwszy szron atakował liście w co głębszych dolinach.

Rozejrzała się po kuchni. Przydałoby się ją zamieść. Garnki czekały na zmywanie. Ściany porosły brudem. Zdawało się, że jest mnóstwo roboty, ale jakoś nie mogła się do niczego zabrać.

Usłyszała krzyki wysoko w górze; nierówny klin dzikich gęsi przeleciał nad polaną. Zmierały ku cieplejszym dniom w miejscach, o których babcia Weatherwax jedyne słyszała.

To było kuszące.

Komisja rekrutacyjna zasiadła przy stole w gabinecie pana Seldoma Kubła, nowego właściciela Opery. Towarzyszili mu pan Salzella, dyrektor muzyczny, i pan Undershaft, kierownik chóru.

— Tak więc — mówił pan Kubel — dochodzimy do... tak, Christine... Wspaniała osobowość sceniczna, co? I świetna figura.

Mrugnął do Undershafta.

— Tak. Bardzo ładna — przyznał obojętnym tonem Undershaft. — Niestety, nie potrafi śpiewać.

— Wy, artyści, nie chcecie zrozumieć, że mamy Wiek Nietoperza — oświadczył Kubel. — Opera to produkcja, a nie tylko kupa piosenek.

— Tak pan uważa. Ale...

— Zasada, że sopran to piętnaście akrów łona w rogowym hełmie, należy już do przeszłości.

* To nie znaczy, że siedziała przy oknie i patrzyła. Dokładała do ognia, kiedy wyczula, że zbliża się Jarge Tkacz. Ale przecież nie o to chodzi.

Salzella i Undershaft porozumieli się wzrokiem. A więc będzie to... taki właściciel...

— Na nieszczęście — wtrącił kwaśno Salzella — zasada, że sopran powinien mieć w miarę sensowny głos, do przeszłości nie należy. Owszem, ona ma świetną figurę. Ma... iskrę. Ale nie potrafi śpiewać.

— Chyba możecie ją nauczyć, prawda? Kilka lat w chórze...

— Tak, może po kilku latach, jeśli będziemy uparci, stanie się zwyczajnie bardzo złą śpiewaczką — odparł Undershaft.

— No tak... panowie — rzekł Kubeł. — Ehm. No dobrze. Karty na stół, co? Jestem prostym człowiekiem. Nie lubię chodzić opłotkami i wolę nazywać rzeczy po imieniu...

— Niech pan nam przekaze swoje szczere opinie — wtrącił Salzella.

Stanowczo to właśnie ten rodzaj właściciela, myślał. Dorobił się własną pracą i jest z tego dumny. Myli pewność siebie i szczerść z niegrzecznością. Postawiłbym dolara, że wierzy, iż potrafi ocenić czyjś charakter z siły uścisku dłoni i patrząc mu głęboko w oczy.

— Wiele przeszedłem, żarna życia mnie przemieliły — zaczął Kubeł. — Jednak podniosłem się i doszedłem do tego, kim jestem dzisiaj...

Mąka do pieczenia? — pomyślał Salzella.

— Jednak muszę wam zdradzić, hm, pewne uwarunkowania finansowe. Jej ojciec, tego... właściwie, no... pożyczył mi sporą sumkę, żebym mógł kupić ten teatr, i złożył serdeczną ojcowską prośbę w kwestii córki. Jeśli dobrze sobie przypominam, jego słowa brzmiały: „Nie zmuszaj mnie, żebym połamal ci nogi”. Nie spodziewam się, żebyście wy, artyści, zrozumieli tę sytuację. To czysto biznesowe zależności. Bogowie pomagają tym, którzy sami sobie pomagają, oto moje motto.

Salzella wsunął palce w kieszenie kamizelki, odchylił się na krześle i zaczął pogwizdywać.

— Rozumiem — mruknął Undershaft. — Cóż, nie pierwszy raz zdarza się coś takiego. Normalnie jednak chodzi o balerinę.

— To nic takiego, zapewniam — rzekł pospiesznie Kubeł. — Po prostu razem z pieniądze przychodzi ta dziewczyna, Christine. Zresztą musicie przyznać, że naprawdę świetnie wygląda.

— Och, niech będzie — zgodził się Salzella. — To w końcu pańska Opera. A teraz ta... Perdita...?

Uśmiechnęli się do siebie.

— Perdita! — powtórzył Kubeł, zadowolony, że sprawa Christine została załatwiona i znowu może być pewny siebie i szczerzy.

— Perdita X. — poprawił go Salzella.

— Co jeszcze wymyślą te dziewczęta...

- Uważam, że może być bardzo przydatna — stwierdził Undershaft.
- Tak, jeśli kiedyś będziemy wystawiać operę ze słoniami.
- Ale skala! Jakąż ona ma skalę!
- Owszem. Zauważyłem, jak się pan przygląda.
- Chodziło mi o jej głos, Salzella. Doskonale się sprawdzi w chórze.
- Ona sama jest chórem. Możemy zwolnić całą resztę. Na bogów, ona potrafi nawet śpiewać sama ze sobą na głosy. Ale czy widzi ją pan w którejś z głównych ról?
- Bogowie, nie! Stalibyśmy się pośmiewiskiem.
- Otóż to. Lecz wydaje się... posłuszna.
- Wspaniały charakter, od razu tak pomyślałem. I niezłe włosy, oczywiście.

Nie spodziewała się, że pójdzie jej tak łatwo. Słuchała w oszołomieniu, jak ludzie mówią jej o pensji (bardzo mało), potrzebie nauki (dużo) i kwaterze (dziewczęta z chóru mieszkały w samym gmachu Opery, pod dachem).

A potem wszyscy o niej zapomnieli. Stała z boku sceny i patrzyła, jak grupa potencjalnych baletnic wykonuje swe delikatne kroki.

— Naprawdę masz wspaniały głos!! — usłyszała kogoś za plecami.

Odwrociła się. Jak zauważyła kiedyś niania Ogg, człowiek dużo mógł się nauczyć, patrząc, jak Agnes się odwraca. Stąpała dość lekko, ale inercja fragmentów zewnętrznych sprawiała, że jej elementy jeszcze przez pewien czas starały się ustalić, w którą stronę mają się skierować.

Dziewczyna, która się odezwała, była drobnej budowy, nawet według typowych norm, a podjęła dodatkowe wysiłki, by wydawać się jeszcze szczuplejsza. Miała długie jasne włosy i radosny uśmiech kogoś, kto zdaje sobie sprawę, że jest szczupły i ma długie jasne włosy.

— Mam na imię Christine!! — przedstawiła się. — Czy to nie podniecające?!

Miała też ten rodzaj głosu, którym można wykrzykiwać pytająco. Zdawało się, że podekscytowany pisk jest do niego przymocowany na stałe.

— Eee... no owszem — przyznała Agnes.

— Na ten dzień czekałam od lat!!

Agnes czekała jakiś tydzień, odkąd zauważyła ogłoszenie na ścianie gmachu Opery. Ale raczej skona, niż się do tego przyzna.

— Gdzie się szkolilaś?! — pytała Christine. — Ja uczyłam się przez trzy lata u madame Venturi w Quirmskim Konserwatorium!!

— Hm... ja... — Agnes zawahała się, wypróbując w myślach kolejne zdanie. — Szkoliła mnie... lady Ogg. Ale ona nie ma konserwatorium, bo w góry trudno sprowadzić szkło.

Christine chyba nie zamierzała tego kwestionować. Cokolwiek uznała za zbyt trudne do zrozumienia, ignorowała.

— W chórze nie płacą zbyt wiele, prawda?!

— Nie.

Płacili mniej niż za mycie podłóg. A to dlatego, że kiedy się daje ogłoszenie o brudnej podłodze, nie zgłaszają się setki chętnych do szorowania.

— Ale ja to właśnie zawsze chciałam robić. Poza tym liczy się status!!

— Rzeczywiście, trzeba go też doliczyć.

— Byłam obejrzyć te pokoje, które nam przydzielili. Strasznie są ciasne!! Który dostałaś?!

Agnes spojrzała tępo na klucz, który jej przekazano, wraz z licznymi surowymi instrukcjami w stylu „żadnych mężczyzn”, a także nieprzyjemnym („tobie nie muszą tego mówić”) wyrazem twarzy opiekunki chóru.

— Siedemnaście.

Christine klasnęła w dłonie.

— Cudownie!!

— Słucham?

— Tak się cieszę!! Mieszkasz obok mnie!!

Agnes zdumiała się. Pogodziła się już z tym, że zawsze wybierają ją ostatnią do wielkiej zespołowej gry Życia.

— No... tak, chyba rzeczywiście.

— Jaka musisz być szczęśliwa!! Masz taką majestatyczną figurę do opery!! I takie wspaniałe włosy, kiedy je tak upinasz do góry!! Przy okazji, do twarzy ci w czarnym!!

Majestatyczna, myślała Agnes. Takie słowo nigdy, ale to nigdy nie przyszłoby jej do głowy. A biel zawsze omijała z daleka, bo w białym wyglądała jak sznur z suszącą się bielizną w wietrzny dzień.

Podążyła za Christine.

Przyszło jej na myśl, kiedy maszerowała ku swojej nowej kwaterze, że jeśli człowiek spędzi z tą dziewczyną trochę czasu w jednym pomieszczeniu, powinien otworzyć okno, żeby nie utonąć w znakach przestankowych.

Gdzieś z tyłu sceny, całkiem niezauważony, ktoś przyglądał się, jak odchodzą.

Ludzie byli zwykle zadowoleni, widząc nianię Ogg. Potrafiła sprawić, że czuli się jak w domu we własnym domu. Ale była też czarownicą, a zatem i ekspertem pojawiania się akurat po upieczeniu ciasta czy zrobieniu kielbas. Niania zwykle wędrowała z siatką wciśniętą w nogawkę jej długich do kolan reform. Na wypadek, jak to tłumaczyła, gdyby ktoś chciał jej coś podarować.

— A jak tam, pani Nitt — podsumowała w okolicach trzeciego kawałka ciasta i czwartej filiżanki herbaty — miewa się pani córeczka? Chodzi mi o Agnes.

— Ach, nie słyszała pani, pani Ogg? Wyruszyła do Ankh-Morpork, żeby zostać śpiewaczką.

Serce w niani zamarło.

— Co pani powie! — skomentowała ostrożnie. — Miała dobry, śpiewny głos, jak pamiętam. Naturalnie, udzieliłam jej kilku rad. Słyszałam czasem, jak śpiewa w lesie.

— To przez tutejsze powietrze — wyjaśniła pani Nitt. — Zawsze miała potężną pierś.

— Tak, trzeba przyznać. Znana była z tego. Czyli... no... nie ma jej tutaj, prawda?

— Zna pani naszą Agnes. Nigdy wiele nie mówi. Zdaje mi się, że było jej tu trochę nudno.

— Nudno? W Lancre?

— To samo jej powtarzałam — zgodziła się pani Nitt. — Powiadam: mamy czasami piękne zachody słońca. A w każdy Wtorek Duchowego Ciasta jest przecież jarmark, regularnie.

Niania Ogg myślała o Agnes. Trzeba wielkich myśli, żeby zmieścić ją w nich całą.

W Lancre zawsze rodziły się mocne, zdrowe kobiety. Lancrański farmer potrzebował żony, która bez trudu własnym fartuchem zatłucze wilka na śmierć, gdy spotka go podczas wycieczki do lasu po drewno. I chociaż całowanie początkowo ma więcej uroku od gotowania, porządny lancrański chłopak, szukający narzeczonej, ma w pamięci ojcowską radę, że pocałunki z czasem tracą na znaczeniu, natomiast kuchnia z latami staje się zwykle coraz lepsza. Dlatego swoje zaloty kieruje raczej ku tym rodzinom, które wyraźnie zdradzają tradycję dobrego jedzenia.

Agnes była, zdaniem niani, całkiem atrakcyjna w dość ekspansywnym stylu: piękny przykład typowej lancrańskiej kobiecości. To znaczy, że była w przybliżeniu jak dwie kobiecości z dowolnych innych okolic.

Niania pamiętała też, że była milkliwa i jakby wiecznie zakłopotana — pewnie chciała zmniejszyć zajmowany przez siebie fragment świata.

Ale zdradzała już oznaki odpowiednich zdolności. Właściwie należało się tego spodziewać. Nic nie stymuluje magicznych nerwów bardziej od uczucia niedopasowania. Dlatego Esme jest taka dobra. W przypadku Agnes poczucie to manifestowało się noszeniem czarnych koronkowych rękawiczek i bladego makijażu oraz przedstawianiem się jako Perdita plus inicjał z samego tyłka alfabetu. Niania uważała jednak, że wszystko to szybko jej przejdzie, gdy tylko zajmie się uczciwym czarownictwem.

Powinna bardziej uważać z tą muzyką. Moc znajduje wejścia różnymi drogami...

Muzyka i magia mają ze sobą wiele wspólnego. Na przykład obie są na „m”.

Niech to lichy... Niania liczyła na tę dziewczynę.

— Często pisała do Ankh-Morpork, żeby jej przysyłali muzykę — powiedziała pani Nitt. — Sama popatrz.

Wręczyła niani stos kartek.

Niania przerzuciła je. Nuty były w Ramtopach dość popularne, a śpiewy w izbie uznawano za trzecie w kolejności najlepsze zajęcie na długie zimowe wieczory. Ale niania widziała, że nie jest to żadna normalna muzyka. Kartki były za bardzo zaczernione.

— *Cos ifan Hita* — przeczytała. — *Die Meistersinger von Scrote*.

— To zagraniczne — wyjaśniła z dumą pani Nitt.

— Rzeczywiście — przyznała niania.

Pani Nitt spoglądała na nią wyczekująco.

— Co? — zdziwiła się niania, ale natychmiast zrozumiała. — Aha.

Pani Nitt zerknęła szybko na pustą filiżankę po herbacie.

Niania westchnęła i odsunęła nuty. Czasami rzeczywiście pojmowała, o co chodzi babci Weatherwax: ludzie często zbyt mało oczekują od czarownic.

— Tak, oczywiście. — Starła się uśmiechać. — Zobaczmy, co przeznaczenie, w postaci tych wyschniętych już kawałków liści, postawiło na naszej drodze.

Przybrała odpowiednio okultystyczny wyraz twarzy i zajrzała na dno filiżanki.

Która sekundę później roztrzaskała się, uderzając o podłogę.

Pokój był mały. Właściwie była to połówka małego pokoju, gdyż przedzielono go cienką ścianką. Młodsze chórzystki w Operze stały jeszcze niżej niż zmieniający dekoracje uczniowie maszynistów.

W pokoju znalazło się dość miejsca na łóżko, szafę, garderobę i — całkiem tu nie na miejscu — wielkie lustro, duże jak drzwi.

— Imponujące, prawda?! — stwierdziła Christine. — Próbowali je wynieść, ale jest chyba wmurowane. Na pewno bardzo się przyda!!

Agnes nie odpowiadała. W swojej połówce pokoju — drugiej części tego tutaj — nie miała lustra. I była z tego zadowolona. Nie uważała luster za obiekty z natury przyjazne. Nie chodziło tylko o pokazywane obrazy. Było w lustrach coś... coś niepokojącego. Zdawało się, że na nią patrzą. Agnes nie znosiła, gdy ktoś na nią patrzył.

Christine stanęła w niewielkiej pustej przestrzeni na środku podłogi i okręciła się dookoła. Obserwowanie jej było przyjemnym zajęciem. Zdawała się skrzyć. Coś w niej sugerowało cekiny.

— To miło, prawda?! — powiedziała.

Nie lubić Christine to jakby nie lubić małego puchatego zwierzątka. Na przykład królika. Z pewnością niemożliwe było dla niej objęcie umysłem całej jednej myśli naraz. Musiała ją dzielić na mniejsze kawałki.

Agnes zerknęła w lustro. Odbicie patrzyło na nią. Przydałaby się jej teraz chwila samotności. Wszystko wydarzyło się tak prędko... A to miejsce jakoś ją niepokoiło. Wolałaby mieć chwilę tylko dla siebie.

Christine przestała się kręcić.

— Dobrze się czujesz?!

Agnes przytaknęła.

— Opowiedz mi coś o sobie!!

— Ja... tego... — Mimowolnie poczuła wdzięczność. — Pochodzę z takiego kraiku w górach, o którym pewnie nigdy nie słyszałaś...

Urwała. W głowie Christine ktoś przekreślił wyłącznik i światło zgasło. Agnes zdała sobie sprawę, że pytanie zostało zadane nie dlatego, by Christine chciała się czegokolwiek dowiedzieć, ale po prostu by przerwać milczenie. Mówiła dalej...

— Mój ojciec był imperatorem Klatchu, a matka miseczką budyniu malinowego.

— To ciekawe — zapewniła Christine, patrząc w lustro. — Jak myślisz, dobrze mi w tej fryzurze?!

Oto co Agnes by opowiedziała, gdyby Christine była zdolna słuchać dłużej niż kilka sekund:

Pewnego dnia obudziła się z przerażającą świadomością, że żyje z brzemieniem wspaniałego charakteru. Po prostu. Aha, i niezłych włosów.

Właściwie to nie charakter był problemem, lecz „ale”, które ludzie zawsze dodawali, kiedy o tym wspominali. „Ale za to ma wspaniały charakter”, mówili. Właśnie brak wyboru tak ją irytował. Nikt jej nie spytał przed narodzinami, czy woli wspaniały charakter, czy raczej paskudny charakter, a za to ciało, które wciśnie się w suknię rozmiaru dziewiątego. Ludzie usilnie starali się ją przekonać, że uroda to tylko zewnętrzna forma, liczy się wnętrze — tak jakby jakiś mężczyzna zakochał się kiedyś w parze nerek.

Czuła, że przyszłość usiłuje ją zgnieść.

Przyłapała się, że mówi „niedoczekanie” i „choroba”, kiedy chce zakłąć, i że używa różowego papieru listowego.

Że cieszy się reputacją osoby spokojnej i opanowanej w sytuacjach kryzysowych.

Jeszcze trochę, a zaczniesz piec herbatniki i jabłeczniki nie gorsze niż matka. Wtedy nie będzie już dla niej nadziei.

Powołała więc do życia Perdite. Słyszała gdzieś, że wewnątrz każdej grubej kobiety tkwi szczupła kobieta, która usiłuje się wydostać*, więc nazwała ją Perdite. Była świetną powierniczką dla wszystkich tych myśli, które Agnes nie powinny nawet przychodzić do głowy ze względu na jej wspaniały charakter. Perdita używałaby czarnego papieru, gdyby tylko było to możliwe, i byłaby cudownie blada, a nie irytująco zarumieniona.

* A w każdym razie umierająca z tęsknoty za czekoladą.

Perdita chciała być interesująco zagubioną duszą z fioletową szminką. Od czasu do czasu jednak Agnes uznawała, że Perdita jest równie niemądra jak ona.

Czy jedyną alternatywę stanowiły czarownice? Wyczuwała ich zainteresowanie sobą — wyczuwała w sposób, jakiego nie potrafiłaby określić. Przypominało to uczucie, kiedy człowiek wie, że ktoś go obserwuje. Co prawda kilka razy zauważyła, że niania Ogg rzeczywiście obserwuje ją krytycznie, jak ktoś, kto zamierza kupić używanego konia.

Wiedziała, że ma pewien talent. Czasami odgadywała coś, co dopiero miało się zdarzyć, choć zawsze dostatecznie niejasno, żeby wizja była całkiem nieprzydatna — dopiero po fakcie... Miała też głos. Zdawała sobie sprawę, że te zdolności nie są całkiem naturalne. Zawsze lubiła śpiewać, a głos jakoś wykonywał wszystko, czego od niego chciała.

Ale widziała też, jak żyją czarownice. Pewnie, niania Ogg jest znośna — całkiem miłe stare pudło. Ale pozostałe były dziwne, leżące w poprzek świata, zamiast równoległe, jak należy i jak to czynią wszyscy inni. Matula Dismass, która widziała przyszłość i przeszłość, ale była całkiem ślepa na terażniejszość... Albo Millie Hopwood spod Kromki, która się jąkała i oczy jej ciągle łzawiły. A już babcia Weatherwax...

Tak... Najlepsze zajęcie na świecie? Być wiecznie skwaszoną staruchą bez przyjaciół?

I stale szukały takich dziwacznych osób jak one same.

Ale Agnes Nitt będą szukać na próżno.

Miała już dość życia w Lancre, dość czarownic, a przede wszystkim dość bycia Agnes Nitt. Uciekła.

Zdawało się, że niania Ogg nie ma budowy odpowiedniej do biegów, jednak zaskakująco prędko pokonywała dystans. Jej ciężkie buty wyrzucały w górę tumany liści.

W górze krzyczały gęsi. Następny klucz przepłynął po niebie, ścigając lato z taką prędkością, że prawie nie poruszały skrzydłami w balistycznym pędzie.

Chatka babci Weatherwax wyglądała na opuszczoną. Wzbudzała uczucie wyjątkowej pustki.

Niania obiegła ją i przez kuchenne drzwi wpadła do wnętrza, tupiąc pokonała schody, spostrzegła wychudzoną postać na łóżku, błyskawicznie wyciągnęła wnioski, sięgnęła na marmurową toaletkę po dzbanek z wodą, podbiegła...

Dłoń wystrzeliła w górę i chwyciła ją za przegub.

— Chciałam się zdrzemnąć. — Babcia otworzyła oczy. — Przysięgam, Gytho, że wyczuwałam cię już o milę stąd.

— Musimy zaparzyć herbatę, ale szybko! — rzuciła niania, niemal obezwładniona ulgą.

Babcia Weatherwax była aż nadto inteligentna, więc nie próbowała nawet o nic pytać.

Ale z parzeniem herbaty nie można się spieszyć. Niania Ogg przestępowała z nogi na nogę, patrząc, jak babcia dmucha w ogień, jak wyławia z wiadra małe żabki, gotuje wodę i czeka, aż suszone liście naciągną.

— Nic nie mówię — oświadczyła niania, siadając w końcu. — Nalej filiżankę, to wszystko.

Na ogół czarownice pogardzają wróżeniem z fusów. Herbaciane fusy nie są wyjątkowe w swej wiedzy, co niesie przyszłość. Służą właściwie tylko jako punkt, na którym wzrok może spocząć, gdy umysł zajmuje się resztą. Praktycznie rzecz biorąc, może je zastąpić cokolwiek. Błoto w kałuży, kożuch na mleku... Niania Ogg potrafiła dostrzec przyszłość w pianie na kuflu z piwem. Przyszłość ta nieodmiennie ukazywała, że niania wypije odświeżający kufelek, za który prawie na pewno nie będzie musiała płacić.

— Pamiętasz młodą Agnes Nitt? — spytała niania, gdy babcia szukała mleka.

Babcia zawahała się.

— Agnes, która udaje Perdite?

— Perdite X. — poprawiła niania. Ona przynajmniej szanowała cudze prawo do tworzenia nowych osobowości.

Babcia wzruszyła ramionami.

— Gruba dziewczucha. Świetne włosy. Przy chodzeniu zwraca stopy na zewnątrz. Śpiewa w lesie. Ma dobry głos. Czyta książki. Mówi „choroba” zamiast przekleństw. Rumieni się, kiedy ktoś na nią spojrzy. Nosi czarne koronkowe rękawiczki z uciętymi palcami.

— Pamiętasz, rozmawialiśmy kiedyś o tym, że może być... odpowiednia.

— Och, jest w niej to właściwe odchylenie ducha, masz rację — przyznała babcia. — Ale... to bardzo nieszczęśliwe imię.

— Jej ojciec miał na imię Terminal — stwierdziła w zadumie niania. — Było ich trzech braci: Primal, Medial i Terminal. Obawiam się, że rodzina miała kłopoty z edukacją.

— Chodziło mi o Agnes. To imię zawsze jakoś mi się kojarzy z kłaczkami z dywanu.

— Pewnie dlatego zaczęła się nazywać Perdite.

— Jeszcze gorzej.

— Masz ją już przedstawioną w myślach?

— Tak, chyba tak.

— Dobrze. No to spójrzmy na te fusy.

Babcia spojrzała.

Nie było w nich nic szczególnie dramatycznego, może dlatego że niania zbudowała napięcie i zwiększyła oczekiwania. Ale mimo to babcia syknęła przez zęby.

— No, no, coś podobnego...

— Widzisz? Widzisz?

— Tak.

— Jakby... czaszka?

— Tak.

— A te oczy? O mało co bym się po... Wściekle mnie zdumiały te oczy, słowo daję. Babcia spokojnie odstawiła filiżankę.

— Matka Agnes pokazała mi jej listy do domu — opowiadała niania. — Przyniosłam je tutaj. Naprawdę się martwię, Esme. Ona może się spotkać z czymś naprawdę niedobrym. To przecież dziewczyna z Lancre. Jedna z naszych. Zawsze powtarzam, że żadne kłopoty niestraszne, kiedy chodzi o kogoś z naszych.

— Herbaciane fusy nie znają przyszłości — przypomniała cichym głosem babcia. — Wszyscy o tym wiedzą.

— Fusy nie wiedzą.

— A kto byłby takim durniem, żeby tłumaczyć cokolwiek kupce suszonych liści?

Babcia Weatherwax przyjrzała się listom od Agnes. Były napisane starannym, okrągłym pismem kogoś, kto uczył się liter, kopiując je na tabliczce, a potem nie pisał już tak dużo, by zmieniło mu to charakter. Ten ktoś także bardzo porządnie przed pisaniem rysował ołówkiem na papierze delikatne linijki.

Kochana Mamo! Mam nadzieję, że list znajdzie cię w dobrym zdrowiu, w jakim mnie opuszcza. Jestem już w Ankh-Morpork i wszystko układa się dobrze. Nikt mnie jeszcze nie napadł! Mieszkam przy ulicy Melasowej pod numerem 4. Pokój jest całkiem...

Babcia wzięła następny.

Kochana Mamo! Mam nadzieję, że jesteś zdrowa. Wszystko idzie dobrze, ale pieniądze płyną tutaj jak woda. Trochę śpiewam w tawernach, ale nie zarabiam dużo, więc poszłam do Gildii Szwaczek, żeby dostać pracę krawcowej. Wzięłam parę robótek, żeby im pokazać, i powiem jedno: byłabyś ZDUMIONA...

I następny...

Kochana Mamo! Wreszcie jakieś dobre wieści. W przyszłym tygodniu są przesłuchania w gmachu Opery...

— Co to jest opera? — zapytała babcia Weatherwax.

— Coś takiego jak teatr, tylko że śpiewają — wyjaśniła niania Ogg.

— Ach, teatr... — mruknęła posępnie babcia.

— Nasz Nev mi wytłumaczył. Ani słowa normalnie, tylko śpiewają w zagranicznych językach. Nic nie mogłem zrozumieć.

Babcia odłożyła listy.

— No tak, ale wasz Nev wielu rzeczy nie może zrozumieć. A co właściwie robił w tym operowym teatrze?

— Związał ołów z dachu — odparta z zadowoleniem niania. To nie była kradzież, jeśli robił to ktoś z Oggów.

— Niewiele wynika z tych listów poza tym, że zdobywa edukację — stwierdziła babcia. — Ale to jeszcze nie...

Ktoś nieśmiało zapukał do drzwi. Był to Shawn Ogg, najmłodszy syn niani, a także całość służby cywilnej i publicznej Lancre. W tej chwili miał na piersi odznakę listonosza. Lancrańska służba pocztowa polegała na zdjęciu torby listów z gwoździa, gdzie wiszała ją woźnica dylizansu, i dostarczeniu ich do odległych domostw, kiedy Shawn znalazł wolną chwilę. Co prawda wielu obywateli miało zwyczaj osobiście zjawiać się przy drzewie i grzebać w worku, póki nie znaleźli jakiegoś listu, który im się spodobał.

Z szacunkiem dotknął hełmu na powitanie babci Weatherwax.

— Mam dużo listów, mam — zwrócił się do niani Ogg. — Wszystkie są adresowane do... no, może lepiej sama zobacz.

Niania wzięła podany plik przesyłek.

— „Czarownica z Lancre” — przeczytała głośno.

— Czyli to do mnie — uznała babcia i stanowczo wyjęła jej listy z ręki.

— Aha. No tak... Lepiej już pójdę... — Niania cofała się do drzwi.

— Ciekawe, czemu ludzie do mnie piszą? — zastanawiała się babcia, otwierając kopertę. — Chociaż przypuszczam, że wieści się rozchodzą...

Zaczęła czytać.

— „Droga Czarownico, chciałabym tylko powiedzieć, jak bardzo jestem wdzięczna za przepis na Słynną Zapiekankę z Marchwi i Ostryg. Mój mąż...”

Niania Ogg była już w połowie ścieżki, kiedy jej buty nagle stały się zbyt ciężkie, by je unieść.

— Gytho Ogg! Wracaj tu natychmiast!

Agnes spróbowała jeszcze raz. Nikogo w Ankh-Morpork nie znała i chciała z kimś porozmawiać, nawet jeśli ten ktoś nie słuchał.

— Myślę, że przybyłam tutaj głównie z powodu czarownic — oświadczyła.

Christine odwróciła się z oczami szeroko otwartymi ze zdumienia. Ustami również. Przypominała bardzo ładną kulę bilardową.

— Czarownice?! — szepnęła.

— Tak — potwierdziła ze znużeniem Agnes. Czarownice zawsze ludzi fascynowały. Powinni pomieszkać trochę w ich sąsiedztwie, pomyślała.

— Rzucają zaklęcia i latają wszędzie na miotłach?!

— O tak.

— Nic dziwnego, że uciekłaś!!

— Co? Och... nie, to nie tak. Znaczy, one nie są złe. To coś... coś o wiele gorszego.

— Gorsze niż złe?!

— Uważają, że wiedzą, co jest dla człowieka najlepsze.

Christine zmarszczyła czoło, jak zwykła czynić, kiedy tylko rozważała problem bardziej skomplikowany niż „jak ci na imię?”.

— To nie jest chyba takie stra...

— Wtrącają się we wszystko! Wydaje im się, że skoro mają rację, to tak jakby postępowały dobrze! I właściwie nie rzucają prawdziwych czarów. Tylko oszukują ludzi i są sprytni! Myślą, że wolno im robić, na co tylko mają ochotę!

Jej emocje zaskoczyły Christine.

— Och, to straszne!! Chciały, żebyś coś zrobiła?!

— Chciały, żebyś czymś się stała. Ale ja nie mam zamiaru!

Christine przyglądała się jej przez chwilę. A potem odruchowo zapomniała o wszystkim, co przed chwilą usłyszała.

— Chodźmy!! — zawołała. — Rozejrzemy się!!

Niania Ogg wyjęła coś podłużnego owiniętego w papier. Babcia przyglądała się jej surowo, z rękami skrzyżowanymi na piersi.

— Rozumiesz — mamrotała niania pod jej laserowym spojrzeniem — mój zmarły mąż, pamiętam, powiedział kiedyś po kolacji... Tak powiedział: „A wiesz, mamusko, szkoda by było, żeby wszystko, co wiesz, przeminęło razem z tobą. Czemu nie zapiszesz tego i owego?”. Więc zanotowałam coś czasem w wolnej chwili, a potem pomyślałam, że miło by było załatwić to jak należy, więc posłałam wszystko do ludzi od Almanachu w Ankh-Morpork, prawie nic ode mnie nie wzięli, a jakiś czas temu przysłali mi to... Myślę, że nieźle się sprawili, zadziwiające, że potrafią tak równo zapisać wszystkie litery...

— Napisałaś książkę — rzekła babcia.

— Tylko kucharską — usprawiedliwiała się niania takim tonem, jakby powoływała się na dotychczasową niekaralność.

— A co ty możesz wiedzieć o kuchni? Przecież już właściwie nie gotujesz.

— Przygotowuję dania specjalne.

Babcia przyjrzała się spornemu tomowi.

— „Pikuantne rozkosze” — przeczytała głośno. — Dzieło Czarownicy z Lancre. Ha! A niby czemu nie podpisałaś tego własnym imieniem? Książki muszą mieć wpisane imię, żeby wszyscy wiedzieli, kto zawinił.

— To mój psydonym artystyczny — wyjaśniła niania. — Pan Kozaberger z Almanachu powiedział, że tak jest bardziej tajemniczo.

Ostry wzrok babci padł na drobny tekst u samego dołu zadrukowanej gęsto okładki, gdzie napisano: „Wydanie CXXvii. Ponad dwadzieścia tysięcy sprzedanych exemplarzy. Pół dolara”.

— Posłałaś im jakieś pieniądze, żeby to wydrukowali? — zapytała.

— Tylko parę dolarów. I wściekle dobrze je wykorzystali, nie ma co. Zresztą potem odesłali mi te pieniądze, ale pomylili się i dostałam o trzy dolary więcej.

Babcia Weatherwax czytała z pewną niechęcią, ale liczyła bezbłędnie. Zakładała, że wszystko, co napisano, prawdopodobnie jest kłamstwem, i odnosiło się to również do liczb. Liczb używają tylko ludzie, którzy próbują wykręcić jakiś numer.

Myśląc o liczbach, bezgłośnie poruszała wargami.

— Aha — powiedziała spokojnie. — I to wszystko? Nigdy więcej tam nie pisałaś?

— Nigdy w życiu. Trzy dolary, rozumiesz. Mogliby mi jeszcze odpisać, że chcą je z powrotem.

— Rozumiem.

Babcia wciąż przebywała w świecie liczb. Zastanawiała się, ile kosztuje wydrukowanie książki. Pewnie niedużo; mają takie jakby prasy, które wykonują ciężką robotę.

— W końcu sporo różnych rzeczy można zrobić z trzema dolarami — dodała niania.

— Słusznie. Nie masz może ołówka? W końcu jesteś niby pisarką i w ogóle.

— Mam tabliczkę.

— Podaj mi.

— Trzymam ją przy sobie, na wypadek jakbym nagle obudziła się w nocy i wpadł mi do głowy pomysł na nowy przepis.

— Dobrze — mruknęła babcia.

Rysik skrzypiał po tabliczce.

Papier musi trochę kosztować. I pewnie trzeba dodać komuś parę pensów, żeby go sprzedał...

Kanciaste cyfry tańczyły w kolumnach.

— Zrobię jeszcze herbaty, dobrze? — zapytała niania, zadowolona, że rozmowa dobiegła chyba spokojnego końca.

— Hmm?

Babcia patrzyła na wynik, który podkreśliła dwoma liniami.

— Ale podobało ci się pisanie?! — zawołała.

Niania Ogg wysunęła głowę zza drzwi spiżarni.

— O tak — zapewniła. — Pieniądze były bez znaczenia.

— Nigdy nie byłaś za dobra w liczbach, prawda?

Babcia ujęła końcowy wynik w kółko.

— Och, znasz mnie przecież, Esme — odparła wesoło niania. — Nie potrafiłabym odjąć pierdnięcia od talerza fasoli.

— To dobrze, bo moim zdaniem Kozaberger powinien ci zapłacić trochę więcej niż trzy dolary, jeśli jest jakaś sprawiedliwość na tym świecie.

— Pieniądze to nie wszystko, Esme. Zawsze powtarzam, że póki zdrowie dopisuje...

— Moim zdaniem, jeśli istnieje sprawiedliwość, będzie tego jakieś cztery do pięciu tysięcy dolarów — oświadczyła niegłośnie babcia.

Ze spiżarni dobiegł głośny trzask.

— Czyli dobrze, że pieniądze są bez znaczenia. Inaczej byłoby naprawdę strasznie. Tyle znaczących pieniędzy...

Błada twarz niani wysunęła się zza drzwi.

— On przecież...

— Może trochę więcej — dodała babcia.

— To przecież...

— Wystarczy dodać, podzielić i gotowe.

Niania Ogg z przerażeniem i fascynacją wpatrywała się we własne palce.

— Przecież to...

Urwała. Jedyne słowo, jakie przychodziło jej do głowy, brzmiało „fortuna”, ale nie było odpowiednie. Czarownice nie funkcjonują w świecie ekonomii pieniężnej. Całe Ramtopy, wszyscy ich mieszkańcy radzili sobie, unikając komplikacji finansowych. Pięćdziesiąt dolarów — to była fortuna. Sto dolarów to... to... to... No, to dwie fortuny, tym właśnie jest sto dolarów.

— To mnóstwo pieniędzy — dokończyła słabym głosem. — Czego nie mogłabym zrobić z takimi pieniędzmi...

— Nie wiem — stwierdziła babcia Weatherwax. — A co zrobiłaś z trzema dolarami?

— Wsadziłam do puszki i schowałam w kominie — odparła niania Ogg.

Babcia z aprobatą pokiwała głową. Lubiała tak rozsądną politykę fiskalną.

— Ale naprawdę nie rozumiem, czemu ludziom tak zależy, żeby przeczytać książkę kucharską — dodała. — Przecież to nie jest coś...

Zapadła cisza. Niania Ogg zaszurała butami.

— To jest książka kucharska, prawda? — zapytała babcia głosem ciężkim od podejrzeń tym gorszych, że nie była pewna, co właściwie podejrzewa.

— O tak — zapewniła pospiesznie niania, unikając wzroku przyjaciółki. — Tak. Przepisy i takie tam. Tak.

Babcia spojrzała na nią groźnie.

— Tylko przepisy?

— Tak. O tak. Tak. I jeszcze... parę kucharskich anegdotek, tak.

Babcia nie spuszczała z niej wzroku.

Po chwili niania skapitulowała.

— Tego... Zerknij na Słynną Zapiekankę z Marchwi i Ostryg — powiedziała. — Strona dwudziesta piąta.

Babcia przewróciła kilka kartek. Jej wargi poruszyły się bezgłośnie. Wreszcie...

— Rozumiem. Jeszcze coś?

— Eee... Paluszki Ślazowo-Cynamonowe... Strona siedemnasta.

Babcia zajrzała.

— I...?

— Tego... Selerowe Zaskoczenie... Strona dziesiąta.

Tam babcia również zajrzała.

— Nie powiem, żeby mnie to zaskoczyło — powiedziała. — I...?

— No... mniej więcej całe Zabawne Desery i Dekoracje Ciast. To rozdział szósty. Sama robiłam ilustracje.

Babcia znalazła rozdział szósty. Kilka razy musiała odwrócić książkę bokiem.

— Na co teraz patrzysz? — spytała niania Ogg, ponieważ każdy autor chciwy jest opinii czytelników.

— Chwiaz Truskawkowy.

— Aha. Ten zawsze śmieszny.

Wydawało się jednak, że dla babci Chwiaz zrobił wyjątek. Starannie zamknęła książkę.

— Gytho, odpowiedz mi szczerze. Czy jest w tej książce jakaś strona, czy jest choć jeden przepis, który nie odnosi się w jakiś sposób do... takich działań?

Niania Ogg, czerwona na twarzy jak jabłko, starannie rozważyła pytanie.

— Owsianka — stwierdziła po chwili.

— Naprawdę?

— Tak. Chociaż... Nie, skłamałam. Dodaje się tam mojej specjalnej mieszanki na miodzie.

Babcia znów otworzyła książkę i przewróciła strony.

— A to? Druhny?

— Zaczynają jako Druhny. Kończą jako Tarty.

Babcia raz jeszcze przyjrzała się okładce. „Pikuantne rozkosze”.

— I naprawdę zamierzałaś...

— To tak samo wyszło, naprawdę.

Babcia Weatherwax nie miała doświadczenia bojowego w sztuce miłosnej, ale jako inteligentny obserwator zdawała sobie sprawę, na czym polega ta gra. Nic dziwnego, że książka sprzedawała się jak gorące ciasteczka. Co drugi przepis radził, jak je upiec. Aż dziw, że kartki nie dymiły.

A autorką była Czarownica z Lancre. Świat wiedział, co babcia skromnie przyznawała, kim jest czarownica z Lancre. A konkretnie: wiedział, że to ona.

— Gytho Ogg!

— Tak, Esme?

— Gytho Ogg, spójrz mi w oczy.

— Przepraszam, Esme.

— Czarownica z Lancre. Tak tu stoi napisane.

— Nie pomyślałam, Esme.

— Dlatego pójdziesz do tego Kozabergera i każesz mu przestać, jasne? Nie chcę, żeby ludzie patrzyli na mnie i myśleli o tej Zupie z Bananową Niespodzianką. Ja nawet nie wierzę w Zupę z Bananową Niespodzianką. I nie bawi mnie, że kiedy przejdę ulicą, ludzie będą rzucali żarty o bananach.

— Tak, Esme.

— A ja pojedę z tobą, by się upewnić, że to zrobisz.

— Tak, Esme.

— I jeszcze porozmawiamy z nim o pieniądzach.

— Tak, Esme.

— Możemy przy okazji zajrzeć do tej młodej Agnes i sprawdzić, jak sobie radzi.

— Tak, Esme.

— Ale załatwimy to niby tak dyplomatycznie. Nie chcę, żeby ktoś sobie pomyślał, że wtykamy nosy w cudze sprawy.

— Tak, Esme.

— Nikt nie może chyba twierdzić, że się wtrącam, kiedy mnie nie proszą. Nie znajdziesz ani jednej osoby, która nazwałaby mnie wścibską.

— Tak, Esme.

— To miało znaczyć: „Tak, Esme, nie znajdę ani jednej osoby, która nazwałaby cię wścibską”, prawda?

— Tak, Esme.

— Jesteś pewna?

— Tak, Esme.

— To dobrze.

Babcia spojrzała na ciemne, szare niebo, na więdnące liście i poczuła, że krew zaczyna jej szybciej krążyć. Jeszcze wczoraj przyszłość zdawała się bolesna i smętna. Teraz była pełna niespodzianek, grozy i złych rzeczy przytrafiających się innym.

Jeśli tylko będzie miała coś do powiedzenia w tej sprawie.

W spiżarni niania Ogg uśmiechnęła się do siebie.

Agnes wiedziała co nieco o teatrze — do Lancre przybywała czasem wędrowną trupą aktorska. Ich scena była mniej więcej dwa razy większa od drzwi, a „kulisy” składały się z kawałka płótna, za którym zwykle jakiś człowiek usiłował zmienić spodnie i perukę równocześnie, a inny, przebrany za króla, ukradkiem dopalał papierosa.

Gmach Opery był prawie tak wielki jak pałac Patrycjusza i o wiele bardziej pałacowy. Zajmował powierzchnię trzech akrów. W piwnicy była stajnia na dwadzieścia koni i dwa słonie. Agnes spędziła tam dłuższą chwilę, gdyż słonie okazały się pocieszająco większe od niej.

Za sceną były pomieszczenia tak wielkie, że mieściły się w nich całe komplety dekoracji. Gdzieś w budynku znajdowała się szkoła baletowa; niektóre dziewczęta ćwiczyły właśnie na scenie, brzydkie w swych wełnianych getrach, powtarzające wciąż te same kroki.

Wnętrze gmachu Opery — a przynajmniej oglądane z bliska kulisy — kojarzyło się Agnes z zegarem, który jej brat rozebrał kiedyś, żeby sprawdzić, co w nim tyka. To nie był budynek — bardziej przypominał maszynę. Dekoracje, kurtyny i luźne sznury zwiisały w ciemności jak coś przerażającego znalezionego w piwnicy. Scena była tylko niewielkim fragmentem całości, małym prostokątem światła wśród skomplikowanego mrocznego ogromu pełnego ważnych mechanizmów...

Obłoczek kurzu spłynął z mroku pod sufitem. Strzepnęła go.

— Zdawało mi się, że kogoś słyszałam na górze — powiedziała.

— To pewnie Upiór!! — odparła Christine. — Mamy tu jednego, wiesz? Och, powiedziała „my”!! Czy to nie podniecające?!

— Człowiek z twarzą ukrytą pod białą maską — dodała Agnes.

— Och?! Więc ty też o nim słyszałaś?!

— Co? O kim?

— O Upiorze!!

A niech to, pomyślała Agnes. Zawsze ją to zaskakiwało. Kiedy już myślała, że zostawi wszystko za sobą... Wiedziała o pewnych sprawach, choć nie miała pojęcia, skąd wie. To niepokoiło ludzi. I z pewnością niepokoiło ją.

— Wiesz... ktoś mi musiał wspomnieć — wymamrotała.

— Podobno niewidzialny chodzi po gmachu Opery!! W jednej chwili jest na balkonie, w następnej gdzieś za kulisami!! Nikt nie wie, jak to robi!!

— Doprawdy?

— I podobno ogląda każde przedstawienie. Dlatego nigdy nie sprzedają biletów do ósmej łoży!! Wiedziałaś?!

— Ósma łoża? — zdziwiła się Agnes. — A co to jest łoża?

— Łoże! Nie wiesz? Tam siadają najważniejsi goście. Pokażę ci!

Christine przemaszerowała przez scenę, dumnie machając do pustej widowni.

— Łoże — oświadczyła. — O tam. A na górze, nad nami balkon!!

Jej głos powrócił jako echo odbite od dalekiej ściany.

— Czy ci najważniejsi nie powinni siedzieć na balkonie? Wysoko?

— Ależ nie!! Najważniejsi siadają w łożach. Albo w pierwszych rzędach.

Agnes wyciągnęła rękę.

— A tam na dole kto siedzi? Na pewno mają dobry widok...

— Nie bądź głuptasem!! To jest kanał!! Dla muzyków!!

— To przynajmniej ma sens. Która łoża jest ósma?

— Nie wiem! Ale mówią, że gdyby kiedyś sprzedali bilety do ósmej łoży, wydarzyłaby się straszna tragedia!! Czy to nie romantyczne?!

Z jakiegoś powodu praktyczne spojrzenie Agnes przyciągnął wielki żyrandol wiszący nad widownią niczym fantastyczny morski potwór. Gruba lina zniknęła w mroku pod sklepieniem.

Brzęknęły szklane wisiorki.

Kolejny rozbłysk tej mocy, którą Agnes z całej siły starała się wytłumić, rozświetlił w jej umyśle zdradziecki obraz.

— To mi wygląda jak wypadek, który tylko czeka, żeby się zdarzyć — mruknęła.

— Jestem pewna, że to absolutnie bezpieczne!! — pisnęła Christine. — Przecież nie pozwoliliby...

Akord przetoczył się po sali, wprawiając scenę w wibracje. Żyrandol zadźwięczał, posypało się więcej kurzu.

— Co to było? — zdziwiła się Agnes.

— To organy!! Są takie wielkie, że stoją za sceną!! Chodź, zobaczmy!!

Inni pracownicy opery spieszyli już do organów. W pobliżu, w kałuży zielonej farby, leżało przewrócone wiadro.

Stolarz wyciągnął rękę obok Agnes i podniósł kopertę leżącą na stołku przy organach.

— To do szefa — stwierdził.

— Kiedy ja dostaję pocztę, listonosz zwykle po prostu stuka do drzwi. — Balerina zachichotała.

Agnes uniosła głowę. Liny w mroku kołysały się leniwie. Zdawało jej się, że dostrzeża plamę bieli, która po chwili zniknęła.

Jakiś ledwie widoczny kształt wisiał między linami...

Coś wilgotnego i lepkiego kapnęło z góry i rozprysnęło się na klawiaturze.

Ludzie krzyczeli już, gdy Agnes wyciągnęła rękę, przejechała palcem po rosnącej mokrej plamie i powąchała.

— To krew! — rzekł stolarz.

— To krew, prawda? — upewnił się muzyk.

— Krew!! — wrzasnęła Christine. — Krew!!

Straszliwy los kazał Agnes zachowywać spokój w chwilach kryzysu. Raz jeszcze powąchała palce.

— Terpentyna — oznajmiła. — Hm... Przykro mi. Czy to niedobrze?

Wplątany w liny kształt jęknął.

— Czy nie powinniśmy opuścić go na dół? — dodała Agnes.

Cando Wycinak był skromnym drwalem. Nie dlatego skromnym, że był drwalem. Byłby wciąż całkiem skromny, gdyby nawet posiadał pięć tartaków. Po prostu był skromny z natury.

Właśnie bezpretensjonalnie układał kloce drewna w miejscu, gdzie droga z Lancre łączy się z głównym traktem górskim, gdy zauważył wóz, który zatrzymał się i wysiadły dwie starsze panie w czerni. Każda ścisnęła w jednej ręce miotłę, w drugiej jakiś tobołek.

Kłóciły się. Nie była to głośna kłótnia, ale chroniczny spór, który najwyraźniej trwał już dość długo i miał się ciągnąć jeszcze z dziesięć lat.

— Dobrze ci mówić, ale to przecież moje trzy dolary, więc nie rozumiem, czemu nie mogę decydować, jak pojedziemy.

— Lubię latać.

— A ja uważam, że trochę za zimno jest na miotle o tej porze roku. Wiatr przewiewa nawet takie miejsca, że nie śmiałabym o nich wspomnieć.

— Doprawdy? Nie wyobrażam sobie, co by to były za miejsca.

— Och, Esme!

— Przestań mnie tu ochesmować. To nie ja wymyśliłam Zabawny Tort Weselny ze Specjalnymi Paluszkami Biskoptowymi.

— Zresztą Greebo nie lubi latać na miotle. Ma bardzo delikatny żołądek.

Wycinak zauważył, że jeden z tobołków porusza się dość leniwie.

— Gytho, widziałam raz, jak zeżarł połówkę skunksa, więc nie opowiadaj mi o jego delikatnym żołądku — odparła babcia, która kotów nie lubiła z zasady. — Poza tym... on znów To zrobił.

Niania Ogg lekceważąco machnęła ręką.

— Och, robi To tylko czasami, kiedy naprawdę nie może się inaczej bronić — wyjaśniła.

— Zrobił To w kurniku starej Omackowej w zeszłym tygodniu. Wyszła sprawdzić, co to za hałas, a on To zrobił na jej oczach. Musiała się potem położyć.

— Był pewnie jeszcze bardziej przerażony niż ona — broniła kota niania.

— Tak się kończą te zwariowane pomysły z obcych stron. Teraz masz kota, który... Tak, o co chodzi?

Wycinak zbliżył się do nich grzecznie i czekał przygarbiony, w postawie kogoś, kto próbuje zwrócić na siebie uwagę, ale nie chce przeszkadzać.

— Czy panie czekają tu na dylizans?

— Tak — potwierdziła wyższa.

— Eee... Obawiam się, że najbliższy powóz się tu nie zatrzymuje. W ogóle się nie zatrzymuje aż do Sakowych Źródeł.

Przyjrzały mu się uprzejmie.

— Dziękuję — rzekła wyższa, po czym zwróciła się do towarzyszki. — W każdym razie paskudnie ją wystraszył. Boję się myśleć, czego się teraz nauczy.

— Tęskni, kiedy wyjeżdżam. Od nikogo innego nie chce przyjmować jedzenia.

— Bo próbują go otruć. I nic dziwnego.

Wycinak smętnie pokręcił głową i wrócił do sągu drewna.

Dyliżans pojawił się pięć minut później. Wyjechał z dużą prędkością zza zakrętu, zrównał się ze staruszkami...

...i stanął. To znaczy, konie usiłowały znieruchomieć, a koła się zablokowały.

Był to raczej obrót niż zwykły poślizg. Cały dyliżans wyhamował wreszcie jakieś trzydzieści sążni dalej, z woźnicą na drzewie.

Kobiety podeszły tam, klócąc się ciągle. Jedna z nich szturchnęła woźnicę kijem od miotły.

— Dwa bilety do Ankh-Morpork poproszę.

Mężczyzna zeskoczył na drogę.

— Co to ma znaczyć: dwa bilety do Ankh-Morpork? Dyliżans się tu nie zatrzymuje!

— Jak dla mnie wygląda na całkiem zatrzymany.

— Czy to wyście coś zrobiły?

— Kto? My?!

— Posłuchaj no, paniusiu, nawet gdybym miał tu przystanek, to bilety są po czterdzieści dolarów każdy, na demona!

— Och!

— A po co nosicie miotły?! — krzyczał woźnica. — Jesteście czarownicami?

— Tak. Czy czarownice są traktowane szczególnie?

— Owszem. Nazywam je wścibskimi, bezczelnymi starymi pudłami.

Wycinak miał wrażenie, że stracił fragment konwersacji, ponieważ następnie usłyszał:

— Czy mógłbyś powtórzyć, młody człowieku?

— Dwa bezpłatne bilety do Ankh-Morpork, szanowna pani. Proszę uprzejmie.

— Miejsca w środku. Żadnej jazdy na koźle.

— Ależ oczywiście, droga pani. Chwileczkę, uklęknę może na ziemi, żeby łatwiej było paniom Wsiąść.

Po chwili dyliżans odjechał, a Wycinak z zadowoleniem pokiwał głową. Miło się przekonać, że grzeczność i dobre maniery jeszcze nie zniknęły.

Ze sporymi kłopotami, przy akompaniamencie krzyków i rozplątywania lin, opuszczono biedaka na scenę.

Był zalany farbą i terpentyną. Liczna publiczność, złożona z obsługi mającej chwilo-
wo wolne oraz artystów na wagarach z próby, tłoczyła się dookoła.

Agnes przykucnęła, rozluźniła mu kołnierzyk i próbowała odwinąć sznur, który
omotał mu ramię i szyję.

— Czy ktoś go zna? — spytała.

— To Tommy Cripps — oświadczył któryś z muzyków. — Maluje dekoracje.

Tommy jęknął i otworzył oczy.

— Widziałem go — szepnął. — To było straszne.

— Co widziałeś? — zapytała Agnes. I nagle ogarnęło ją uczucie, że wtrąca się do pry-
watnej rozmowy. Wokół zabrzmiał bowiem gwar podnieconych głosów.

— Giselle mówi, że widziała go w zeszłym tygodniu!

— Jest tutaj!

— Znowu się zaczyna!

— Czy jesteśmy zgubieni?! — pisnęła Christine.

Tommy Cripps ścisnął Agnes za rękę.

— Miał twarz niczym śmierć!

— Kto?

— Upiór!

— Jaki u...?

— To biała kość. Nie ma nosa!

Kilka tancerek z baletu zemdlało, ale ostrożnie, żeby nie zabrudzić kostiumów.

— No to jak... — zaczęła Agnes.

— Ja też go widziałem!

Jakby na dany znak, wszyscy odwrócili się równocześnie.

Starszy mężczyzna szedł po scenie. Miał na głowie znoszony cylinder, a na ramie-
niu niósł worek. Wolną ręką wykonywał przesadnie dramatyczne gesty człowieka, któ-
ry właśnie uzyskał jakąś groźną informację i nie może się doczekać, by wzbudzić zim-
ny dreszcz na pobliskich grzbietach. Niósł chyba coś żywego, bo worek trochę podska-
kiwał.

— Widziałem go! Oooooo tak! Jego czarną pelerynę i białą twarz bez oczu, tylko
z dwoma otworami w miejscu, gdzie oczy powinny się znaleźć! Oooch! I...

— Nosił maskę? — spytała Agnes.

Starszy mężczyzna rzucił jej mroczne spojrzenie, zarezerwowane dla wszystkich, któ-
rzy uparcie próbują wtrącić głos rozsądku, kiedy sprawy zaczynają wyglądać interesu-
jąco upiornie.

— I nie miał nosa! — zawołał, ignorując jej pytanie.

— Już to powiedziałem — mruknął z pewną irytacją Tommy Cripps. — Mówiłem im o tym. Wiedzą.

— Jeśli nie miał nosa, to jak... — zaczęła Agnes, ale nikt jej nie słuchał.

— A wspomniałeś o oczach? — zapytał staruszek.

— Właśnie dochodziłem do oczu — burknął gniewnie Tommy. — Tak, miał oczy jak...

— Czy mówimy o jakiejś masce? — spytała Agnes.

Teraz wszyscy patrzeli na nią tak jak na nieszczęsnego ufologa, który nagle oświadczył: „Hej, gdy się osłoni oczy od słońca, widać, że to jednak stado gęsi!”

Staruszek z workiem odkaszlnął i znów ruszył do ataku.

— Niczym wielkie otwory były one... — zaczął, ale stało się jasne, że już go to nie cieszy. — Wielkie dziury — dokończył. — Tyle widziałem. I bez nosa, jeśli wolno dodać, dziękuję uprzejmie.

— To znowu Upiór! — zawołał maszynista.

— Wyskoczył zza organów — powiedział Tommy Cripps. — Zanim się zorientowałem, miałem już sznur na szyi i wisiałem głową w dół.

Publiczność spojrzała na człowieka z workiem, ciekawa, czy potrafi to przebić.

— Wielkie czarne otwory — wymamrotał, trzymając się tego, co wiedział.

— Dobrze już, proszę wszystkich o spokój! Co się tu dzieje?

Za kulisy wkroczyła imponująca postać. Mężczyzna miał długie czarne włosy, starannie uczesane, by nadać im swobodny, rozwichrzony wygląd. Jednak twarz pod grzywą była obliczem organizatora. Skinął głową staruszkowi z workiem.

— Czemu się pan tak przygląda, panie Pounder? — zapytał.

Staruszek spuścił głowę.

— Wiem, co zobaczyłem, panie Salzella — odparł. — A wiele rzeczy widzę, o tak.

— Tyle, ile można dostrzec przez dno butelki... Nie wątpię, stary łobuzie. Co się stało Tommy'emu?

— To był Upiór! — zawołał Tommy zachwycony, że znów gra główną rolę. — Rzucał się na mnie, panie Salzella! Chyba mi złamał nogę — dodał szybko tonem człowieka, który dostrzegł szansę na kilka dni wolnych od pracy.

Agnes spodziewała się, że nowo przybyły powie: „Upiór? Coś takiego nie istnieje”. Miał twarz, która to właśnie wyrażała.

Ale zamiast tego mruknął:

— Znowu wrócił, co? I dokąd uciekł?

— Nie widziałem, panie Salzella. Po prostu zniknął gdzieś.

— Pomóżcie znieść Tommy'ego do bufetu — polecił Salzella. — I niech ktoś biegnie po doktora.

— On nie ma złamanej nogi — poinformowała Agnes. — Ma za to brzydkie otarcie od liny na szyi i jedno ucho pełne farby.

— A co ty o tym wiesz, panienko? — zaprotestował Tommy.

Ucho pełne farby nie dawało tak wielkich możliwości jak złamana noga.

— Trochę się uczyłam — odparła Agnes i dodała szybko: — Ale otarcie jest rzeczywiście bardzo groźne, no i istnieje ryzyko opóźnionego szoku.

— Brandy na to pomaga, prawda? — upewnił się Tommy. — Moglibyście spróbować siłą wlać mi trochę do ust.

— Dziękuję, Perdito. Reszta niech wraca do swoich zajęć — rzucił Salzella.

— Wielkie czarne dziury — przypomniał Pounder. — Bardzo wielkie.

— Tak, dziękuję bardzo, panie Pounder. Proszę pomóc Ronowi z panem Crippsem, dobrze? Perdito, podejdź tutaj. Ty też, Christine.

Dziewczęta stanęły przed dyrektorem muzycznym.

— Widziałyście coś? — zapytał Salzella.

— Widziałam wielką istotę z wielkimi trzepoczącymi skrzydłami i wielkimi otworami tam, gdzie powinny być oczy!! — oznajmiła Christine.

— Obawiam się, że widziałam tylko coś białego pod sufitem — rzekła Agnes. — Przykro mi.

Zaczerwieniła się, świadoma, jak blado to zabrzmiało. Perdita zobaczyłaby tajemniczą postać w pelerynie albo coś... Coś interesującego w każdym razie...

Salzella uśmiechnął się do niej.

— Chcesz powiedzieć, że dostrzegasz rzeczy, które naprawdę istnieją? Widzę, moja droga, że od niedawna masz kontakt z operą. Ale bardzo się cieszę, że chociaż raz mamy tu kogoś rozsądnego...

— Och, nie! — wrzasnął ktoś.

— To Upiór!! — pisnęła odruchowo Christine.

— Eee, to jakiś młody człowiek za organami — wyjaśniła Agnes. — Przykro mi.

— Nie tylko rozsądna, ale i spostrzegawcza — pochwalił ją Salzella. — Widzę również, że ty, Christine, świetnie będziesz tutaj pasować. O co chodzi, André?

Za organowych piszczałek wynurzył się jasnowłosy młodzieniec.

— Ktoś porozbijał organy, panie Salzella — oznajmił z żalem. — Sprężyny klap, przeciwwagi i wszystko. Kompletnie zniszczone. Nie jestem pewien, czy zdołam wydobyć z nich cokolwiek. A przecież są bezcenne.

Salzella westchnął.

— Dobrze. Zawiadomię pana Kubła. Wam już dziękuję.

Ponuro skinął głową Agnes i odszedł.

— Nie powinnaś tak traktować ludzi — stwierdziła oględnie niania Ogg, gdy tylko dyliżans zaczął nabierać prędkości. Z szerokim, przyjaznym uśmiechem spojrzała na mocno już zmęczonych współpasażerów.

— Dzień dobry — powiedziała, sięgając do swego tobołka. — Nazywam się Gytha Ogg, mam piętnaścioro dzieci, to moja przyjaciółka Esme Weatherwax, jedziemy do Ankh-Morpork, czy ktoś ma ochotę na kanapkę z jajkiem? Zabrałam ich dużo. Kot się na nich przespał, ale nic im nie dolega, proszę spojrzeć, dadzą się bez kłopotu wyprostować. Nie? Nikogo nie zmuszam, oczywiście. Co tu jeszcze mamy? Aha. Czy ktoś mógłby mi pożyczyć otwieracz do piwa?

Mężczyzna w kącie dał znak, że istotnie posiada taki przyrząd.

— Świetnie — ucieszyła się niania Ogg. — A czy ktoś ma coś, z czego można by wypić to piwo?

Inny pasażer z nadzieją pokiwał głową.

— Doskonale. A czy ktoś ma może butelkę piwa?

Babcia, choć raz nie w centrum uwagi, gdyż wszystkie oczy z lękliwą fascynacją wpatrywały się w nianię i jej worek, obserwowała pozostałych pasażerów.

Ekspresowy dylizansjechał przez całe Ramtopy i przez szachownicę małych państek za nimi. Jeśli bilet z Lancre kosztował czterdzieści dolarów, to ci tutaj musieli płacić o wiele więcej. Co za ludzie skłonni są wydać większą część dwumiesięcznego zarobku tylko po to, żeby podróżować szybko i niewygodnie?

Chudy człowieczek, który kurczowo ściska swoją torbę, jest pewnie szpiegiem, uznała. Grubas, który chciał użyczyć szklanki, wyglądał, jakby czymś handlował; miał niezdrową cerę człowieka, który opróżnił zbyt wiele butelek, ale stracił zbyt wiele posiłków.

Obaj siedzieli ściśnięci na ławeczce, której pozostałą część zajmował mężczyzna o niemal magowskiej budowie. Chyba nie obudził się nawet, kiedy dylizans zahamował. Twarz miał zakrytą chusteczką. Chrapał z regularnością gejzera i wyglądał tak, jakby jego jedynym zmartwieniem na tym świecie była skłonność niewielkich obiektów do spadania w jego kierunku, a od czasu do czasu także niewielki przyptływ.

Niania Ogg wciąż przeszukiwała swój bagaż i — jak zwykle, kiedy była czymś pochłonięta — jej usta łączyły się bezpośrednio z oczami, bez interwencji mózgu.

Przyzwyczała się do lotów na miotle. Długodystansowa podróż naziemna była dla niej czymś nowym, więc przygotowała się starannie.

— ...popatrzmy... zbiór zagadek na długie podróże... poduszka... puder do stóp... łapka na komary... rozmówki... torebka do wymiotowania... Oj...

Publiczność, która wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu zdołała podczas tej litanii ścisnąć się jeszcze bardziej i oddalić od niani, czekała z lękiem i zaciekawieniem.

— Co? — zapytała babcia.

— Jak myślisz, czy ten powóz często się zatrzymuje?

— Ale o co chodzi?

— Powinam iść, zanim wyszliśmy. Przepraszam. To dlatego, że tak trzęsie. Ktoś wie, czy jest tu wygodka? — spytała głośno.

— Eee... — odezwał się prawdopodobny szpieg. — Zwykle czekamy do najbliższego przystanku, a poza tym...

Urwał. Zamierzał dodać „zawsze pozostaje okno”, które było męską opcją, kiedy droga wiodła przez odludne i pagórkowate tereny, ale się powstrzymał. Przeraził się, że ta potworna kobieta może całkiem poważnie rozważyć taką możliwość.

— Niedaleko stąd na trasie leży Ohulan — oznajmiła babcia, która próbowała drze-
mać. — Musisz poczekać.

— Dylizans nie zatrzymuje się w Ohulan — poinformował usłużnie szpieg.

Babcia uniosła głowę.

— To znaczy nie zatrzymywał się tam do dzisiaj — powiedział szpieg.

Pan Kubel siedział w gabinecie i usiłował zrozumieć coś z ksiąg rachunkowych Ope-
ry.

Nie miały żadnego sensu. Uważał, że nie gorzej od innych potrafi odczytywać zesta-
wienia finansowe, ale to, co znalazł, tak się miało do księgowości, jak żwir do mecha-
nizmu zegarowego.

Seldom Kubel zawsze lubił operę. Nie rozumiał jej, nigdy mu się to nie udało, ale po-
dobnie nie rozumiał na przykład oceanu, a też go lubił. Zakup Opery traktował, jak by
to określić, jako zajęcie na stare lata, coś w rodzaju roboczej emerytury. Propozycja była
zbyt atrakcyjna, żeby zrezygnować. Hurtowy rynek produktów mlecznych stawał się
coraz trudniejszy, Kubel postanowił więc szukać odpoczynku w spokojniejszych klima-
tach świata sztuki.

Poprzedni właściciele wystawili kilka wspaniałych oper; szkoda, że ich geniusz nie
obejmował także księgowości. Zdawało się, że pieniądze są wycofywane z kont, kie-
dy tylko ktoś ich potrzebuje. System kwitów kasowych składał się głównie z notek na
rozmaitych strzępach papieru, o treści: „Wziąłem \$30, żeby zapłacić Q. Do poniedział-
ku. R.”. Kto to był R.? Kto to był Q.? Za co te pieniądze? W świecie sera takie rzeczy nie
uszłyby nikomu.

Uniósł głowę, gdy otworzyły się drzwi.

— Ach, Salzella — powiedział. — Dziękuję, że pan przyszedł. Nie wie pan przypad-
kiem, kto to jest Q.?

— Nie, panie Kubel.

— A R.?

— Obawiam, się, że też nie. — Salzella przysunął sobie krzesło.

— Zajęło mi to cały ranek, ale w końcu wykryłem, że płacimy rocznie ponad półtora
tysiąca dolarów za pantofelki baletowe — rzekł Kubel, machając kawałkiem papieru.

Salzella kiwnął głową.

— Rzeczywiście, przecierają się w palcach.

— Ale to przecież śmieszne! Ja sam wciąż mam parę butów, w których chodził mój ojciec!

— Drogi panie, pantofelki baletowe to raczej rękawiczki dla stóp niż buty...

— Co mi pan tu opowiada? Kosztują po siedem dolarów za parę, a prawie natychmiast się niszczą! Kilka przedstawień! Musi być jakiś sposób, żeby trochę zaoszczędzić...

Salzella obrzucił swego pracodawcę lodowatym wzrokiem.

— Może dałoby się poprosić dziewczęta, żeby spędzały więcej czasu w powietrzu? — zaproponował. — Parę dodatkowych *grands jetés*?

Kubeł zdziwił się trochę.

— To poskutkuje?

— Cóż, ich stopy nie będą już tak długo dotykać podłogi, prawda? — odparł Salzella tonem człowieka, który z całą pewnością wie, że jest inteligentniejszy od wszystkich obecnych.

— Słuszna uwaga. Słuszna uwaga. Porozmawia pan z szefową baletu?

— Oczywiście. Z pewnością będzie wdzięczna za tę sugestię. Być może, to jedno posunięcie pozwoli obniżyć koszty o połowę.

Kubeł rozpromienił się radośnie.

— I bardzo dobrze się składa — ciągnął Salzella. — Albowiem przyszedłem do pana w innej sprawie...

— Tak?

— Chodzi o te organy, które mieliśmy...

— Mieliśmy?! Jak to mieliśmy?! — zawołał Kubeł. — Chce mi pan opowiedzieć o czymś kosztownym, prawda? A co mamy teraz?

— Mnóstwo piszczałek i jedną czy dwie klawiatury. Reszta została rozbita.

— Rozbita? Przez kogo?

Salzella oparł się wygodniej. Nie był człowiekiem, którego łatwo rozśmieszyć, ale uświadomił sobie, że bawi go ta rozmowa.

— Proszę powiedzieć — rzekł. — Kiedy pan Pnigeus i pan Cavaille sprzedali panu tę Operę, czy wspominali o czymś... nadprzyrodzonym?

Kubeł poskrobał się po głowie.

— No... właściwie tak. Kiedy już podpisałem i zapłaciłem. To był taki żart. Powie-dzieli: „Aha, przy okazji, mówią, że jakiś człowiek w stroju wieczorowym nawiedza gmach, cha, cha, śmieszne, prawda, ci artyści są jak dzieci, ale przekona się pan, że pewnie zechcą, by na wszystkie premiery zachowywał pan wolną łożę ósmą, cha, cha”. Pamiętam to całkiem dobrze. Oddanie trzydziestu tysięcy dolarów wspomaga koncentrację pamięci. A potem odjechali. Szybkim powozem, o ile sobie przypominam...

— Aha. — Salzella niemal się uśmiechnął. — Teraz więc, kiedy atrament już wyschł, może wprowadzę pana w szczegóły...

Śpiewały ptaki, wiatr grzechotał wyschniętymi nasionami kwiatów na wrzosowisku. Babcia Weatherwax grzebała w zagłębieniach, szukając jakichś interesujących ziół. Wysoko na niebie myszołów krzyknął i zatoczył łuk.

Dylizans stał przy drodze, mimo że powinien teraz pędzić przed siebie, co najmniej dwadzieścia mil od tego miejsca.

W końcu babcia znudziła się i podeszła ostrożnie do kępy krzaków janowca.

— Jak ci idzie, Gytho?

— Świetnie, świetnie — odpowiedział jej stłumiony głos.

— Bo mam wrażenie, że woźnica trochę się niecierpliwi.

— Nie można popędzać Natury.

— Sama do siebie miej pretensje. To ty powiedziałaś, że za bardzo wieje, żeby lecieć na miotłach.

— Zrób mi uprzejmość, Esmé — odpowiedział głos zza krzaków. — Będę wdzięczna, jeśli znajdziesz szczaw albo łopian. Na pewno rośnie tu gdzieś w pobliżu.

— Ziola? A co chcesz z nimi robić?

— Powiedzieć: na bogów, wielkie liście, akurat ich potrzebuję.

Niedaleko od miejsca, gdzie niania Ogg komunikowała się z Naturą, leżało spokojne pod jesiennym niebem jeziorko.

W trzcinach konał łabędź. Czy też powinien konać.

Nastąpiło nieprzewidziane opóźnienie.

Śmierć usiadł na brzegu.

POSŁUCHAJ, mówił. PRZECIEŻ WIEM, JAK TO POWINNO WYGLĄDAĆ. ŁABĘDZIE ŚPIEWAJĄ TYLKO RAZ, PIĘKNIE, NA SAM KONIEC ŻYCIA. STĄD ZRESZTĄ WZIĘŁO SIĘ OKREŚLENIE „ŁABĘDZI ŚPIEW”. TO BARDZO WZRUSZAJĄCE. A TERAZ SPRÓBUJMY JESZCZE RAZ...

Z mrocznych zakamarków swej szaty wyjął kamerton i brzęknął nim o ostrze kosy. TO PIERWSZA NUTA...

— E-e — odparł łabędź, kręcąc głową.

CZEMU UTRUDNIASZ?

— Podoba mi się tutaj.

TO NIE MA ŻADNEGO ZWIĄZKU...

— Wiesz, że uderzeniem skrzydła mogę złamać człowiekowi rękę?

A MOŻE ZACZNĘ ZA CIEBIE? ZNASZ „KSIĘŻYC NAD ZATOKĄ”?

— To przyspiewka dobra dla gabinetu cyrulika! A ja jestem łabędziem!

„MAŁY GLINIANY DZBANEK”? Śmierć odchrząknął. „HA, HA, HA, HI, HI, HU, MAŁY..”

— To ma być pieśń? — Łabędź syknął gniewnie i przestąpił z jednej błonistej łapy na drugą. — Nie wiem, ktoś ty, mój panie, ale tam, skąd pochodzę, mamy lepsze gusta muzyczne.

DOPRAWDY? MOŻE WYKAŻESZ TO NA PRZYKŁADZIE?

— E-e.

NIECH TO!

— Myślałeś, że już mnie złapiesz, co? — powiedział łabędź. — Że mnie nabrałeś? Zdawało ci się, że bezmyślnie odśpiewam ci parę taktów pieśni Kupca z „Lohenshaaka”, co?

TEJ NIE ZNAM.

Łabędź z wysiłkiem nabrał tchu.

— To ta, która idzie: *Schneide meinen eigenen Hals...*

DZIEKUJE, powiedział Śmierć. Świsnęła kosa.

— Do licha!

Po chwili łabędź wyszedł z ciała i nastroszył mocne, choć nieco przezroczyste skrzydła.

— A teraz co? — spytał.

TO ZALEŻY OD CIEBIE. TO ZAWSZE ZALEŻY OD CIEBIE.

Pan Kubeł siedział wygodnie rozparty w swym skrzypiącym skórzanym fotelu. Nie otwierał oczu, dopóki Salzella nie skończył.

— No tak — powiedział wreszcie. — Powtórzmy, bo nie wiem, czy dobrze zrozumiałem. Jest ten Upiór. Za każdym razem, kiedy ktoś zgubi tu młotek, ukradł go Upiór. Za każdym razem, kiedy ktoś sfałszuje jakąś nutę, to z powodu Upiora. Ale także kiedy tylko ktoś znajdzie zgubioną rzecz, to dzięki Upiorowi. Jeśli zagra wyjątkowo udaną scenę, musiało się to stać za przyczyną Upiora. On w pewnym sensie należy do budynku, podobnie jak szczury. Od czasu do czasu ktoś go widzi, ale krótko, gdyż pojawia się i znika, no... jak upiór. Najwyraźniej na wszystkich premierach całkiem za darmo pozwalamy mu korzystać z ósmej łoży. I mówi pan, że ludzie go lubią?

— „Lubią” to nie jest właściwe słowo — odparł Salzella. — Lepiej byłoby powiedzieć... To zwykły przesąd, naturalnie, ale uważają, że przynosi szczęście. W każdym razie uważali.

Ale ty tego nie zrozumiesz, ty prymitywny mały handlarzu sera, dodał w myślach. Ser to ser. Mleko kwaśniej w sposób naturalny. Nie musisz zmuszać paruset osób, żeby trwały w napięciu, z nerwami jak struny...

— Szczęście — powtórzył zimno Kubeł.

— Szczęście jest bardzo ważne — zapewnił Salzella głosem, w którym udręczone cierpliwość pływała niczym kostki lodu. — Przypuszczam, że temperament nie jest istotnym czynnikiem w produkcji sera?

— Polegamy na podpuszczce — wyjaśnił Kubel.

Salzella westchnął.

— W każdym razie zespół uważa, że Upiór jest... że przynosi szczęście. Kiedyś przysłał ludziom liściki ze słowami zachęty. Po naprawdę dobrym przedstawieniu soprany znajdowały w garderobie pudełko czekoladek. I z jakiejś przyczyny martwe kwiaty.

— Martwe kwiaty?

— No, właściwie nie kwiaty jako takie. Po prostu bukiet martwych różanych łodyg, bez żadnych róż. Coś w rodzaju jego znaku firmowego. Wierzą, że to też przynosi szczęście.

— Martwe kwiaty przynoszą szczęście?

— Możliwe. Świeże kwiaty na scenie z pewnością przynoszą pecha. Niektórzy śpiewacy nie chcą ich nawet trzymać w garderobie. Zatem... martwe kwiaty są bezpieczne, można by powiedzieć. Dziwaczne, ale bezpieczne. I nikt się nie martwił, bo wszyscy wierzyli, że Upiór stoi po ich stronie. Kiedyś. To się zmieniło jakieś sześć miesięcy temu.

Pan Kubel znów przymknął oczy.

— Proszę mi opowiedzieć.

— Zaczęły się... wypadki.

— Jakie wypadki?

— Takie, które człowiek woli nazywać... właśnie wypadkami.

Pan Kubel nie otwierał oczu.

— Jak na przykład... — zaczął. — Kiedy Reg Plenty i Fred Chiswell pracowali nocą przy kadziach z mlekiem, a wyszło na jaw, że Reg się spotyka z żoną Freda i jakoś...

— Kubel przełknął ślinę. — Jakoś musiał się potknąć, tłumaczył Fred, i upadł...

— Nie znam osobiście dżentelmenów, o których mowa, ale... takie właśnie wypadki. Tak jest.

Kubel westchnął.

— To był jeden z najlepszych Farmerskich Orzechowych, jakie wyszły z naszej firmy.

— Czy mam opowiedzieć o naszych wypadkach?

— Jestem pewien, że ma pan taki zamiar.

— Krawcowa przyszyła się do ściany. Młodszego inspicjenta znaleziono przebitego mieczem z rekwizytorni. Aha, i nie chce pan nawet słyszeć, co się stało z człowiekiem, który obsługiwał zapadnię. Cały ołów zniknął tajemniczo z dachu budynku, chociaż osobiście nie uważam, żeby to była robota Upiora.

— I wszyscy nazywają je... wypadkami?

— No cóż... chciał pan sprzedać swój ser, prawda? Nic chyba bardziej nie rozstroiłoby nerwów zespołu niż wiadomość, że ludzie padają tu jak muchy.

Wyjął z kieszeni kopertę i położył na blacie.

— Nasz Upiór lubi pozostawiać krótkie liściki — wyjaśnił. — Jeden leżał koło organów. Malarz dekoracji zauważył go i... o mało co nie miał wypadku.

Kubel powąchał kopertę. Pachniała terpentyną. List wewnątrz był napisany na papierze firmowym Opery. Równym, ozdobnym charakterem pisma głosił:

Ahahahahaha! Ahahahaha! Ahahaha! STRZEŻCIE SIĘ!!!!

Z wyrazami szacunku

Upiór Opery

— Co to za człowiek — mówił dalej Salzella — który siada i pisze obłąkańczy śmiech? I te wykrzykniki, zauważył pan? Pięć. Pewny znak, że ten ktoś nosi własne kałesony na głowie. Opera może to zrobić z człowiekiem. Proszę posłuchać, trzeba przynajmniej przeszukać budynek. Piwnice ciągną się w nieskończoność. Potrzebna będzie łódź...

— Łódź? W piwnicy?

— No tak... Nikt panu nie wspomniał o piwnicach?

Kubel uśmiechnął się promiennie, jak człowiek, który sam bliski jest stawiania wielokrotnych wykrzykników.

— Nie — przyznał. — Nie powiedzieli mi o piwnicach. Zbyt byli zajęci niemówieniem mi, że ktoś tutaj biega i morduje zespół. Nie przypominam sobie, żeby ktoś choćby mimochodem rzucił: „A przy okazji, ludzie często giną, a na dodatek panuje lekka wilgoć”.

— Są zalane.

— No świetnie. Czym? Kubłami krwi?

— Nie zaglądał pan tam?

— Powiedzieli, że piwnice są w doskonałym stanie!

— I pan uwierzył?

— Cóż, było sporo szampana...

Salzella westchnął. Kubła uraziło to westchnienie.

— Tak się składa, że uważam się za niezłego znawcę charakterów — oświadczył. — Wystarczy spojrzeć człowiekowi prosto w oczy i mocno uściskać mu dłoń, a już wie się o nim wszystko.

— Istotnie — przyznał ostrożnie Salzella.

— A niech to... Pojutrze przybędzie tu señor Enrico Basilica. Myśli pan, że coś może mu się przytrafić?

— Och, niewiele. Może podejrzięte gardło.

— Co? Tak pan sądzi?

— Skąd mogę wiedzieć?

— A co ja powinienem zrobić? Zamknąć Operę? O ile dobrze rozumiem, w tym stanie i tak nie zarabia pieniędzy. Dlaczego nikt nie zawiadomił Straży Miejskiej?

— To by było jeszcze gorsze — zapewnił Salzella. — Wielkie trolle w zardzewiałych kolczugach, tupiące dookoła, wchodzące wszystkim w drogę i zadające głupie pytania. Wykończyliby nas.

Kubeł nerwowo przełknął ślinę.

— Nie, do tego nie wolno dopuścić — zgodził się. — Nie można pozwolić, żeby ludzie pracowali w takim napięciu.

Salzella wyprostował się i chyba trochę rozluźnił.

— W napięciu? Panie Kubeł, to jest opera — rzekł. — Wszyscy stale pracują w napięciu. Słyszał pan kiedy o krzywej katastrof, panie Kubeł?

Seldom Kubeł starał się nadążyć.

— No... wiem, że jest taki straszny zakręt na drodze do..

— Krzywa katastrof, panie Kubeł, to to, po czym posuwa się opera. Opera dzieje się dlatego, że zdumiewająca liczba rozmaitych rzeczy nie zdołała się nie udać. Wszystko działa dzięki nienawiści, miłości i nerwom. Przez cały czas. To nie ser. To opera. Jeśli szukał pan zajęcia na starość, panie Kubeł, nie powinien pan kupować Opery. Powinien się pan poświęcić czemuś naprawdę spokojnemu, na przykład dentystyce aligatorów.

Niania Ogg szybko się nudziła. Ale z drugiej strony, łatwo ją było zainteresować.

— Ciekawy sposób podróżowania — stwierdziła. — Widzi się różne miejsca.

— Rzeczywiście — zgodziła się babcia. — Co jakieś pięć mil.

— Sama nie wiem, co mnie tak poruszyło.

— Chyba nie to, że konie zdołały przez całe rano iść trochę szybciej.

Były teraz same, jeśli nie liczyć grubego chrapiącego jegomościa. Pozostali pasażerowie siedzieli na zewnątrz.

Głównym tego powodem był Greebo. Z bezbłędnym kocim instynktem wyczuwał osoby, które nie lubią kotów, ciężko wskakiwał im na kolana i prezentował zachowanie w stylu „młody panicz wraca na plantację”. Kiedy zmusił już ofiarę do kapitulacji, układał się i zasypiał, wbijając pazury nie tak mocno, by popłynęła krew, ale całkiem wystarczająco, by zasugerować, że krew pozostaje otwartą opcją, gdyby taka osoba próbowała się poruszyć lub odetchnąć. A kiedy był już pewien, że ludzie pogodzili się z sytuacją, zaczynał cuchnąć.

Nikt nie wiedział, skąd płynął ten zapach. Nie łączył się z żadnym znanym otworem ciała. Po prostu już po kilku minutach drzemki powietrze nad Greebem przenikał ostry fetor sfermentowanych dywanów.

Teraz próbował wspiąć się na potężnego mężczyznę. Nie wychodziło mu to dobrze — brzuch okazał się dla Greeba zbyt duży. A poza tym bezustanne kołysanie, w górę i w dół, przyprawiało go o mdłości.

Chrapanie dudniło w powozie.

— Nie chciałabym się znaleźć między nim a deserem — stwierdziła niania Ogg.

Babcia wyglądała przez okno. A przynajmniej twarz miała zwróconą w stronę okna, ale wpatrywała się w nieskończoność.

— Gytho...

— Słucham, Esme?

— Mogę ci zadać pytanie?

— Normalnie nie pytasz, czy możesz — zauważyła niania.

— Czy to cię nie przygnębia, kiedy widzisz, że ludzie nie myślą jak należy?

Ojoj, pomyślała niania. Wyciągnęłam ją chyba w ostatniej chwili. Bogom dzięki za literaturę.

— O co ci chodzi?

— Wiesz... dają się rozpraszać.

— Szczerze powiem, Esme, że nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

— No... przypuśćmy, że powiem ci tak: Gytho Ogg, twój dom się pali. Co postarasz się ratować najpierw?

Niania przygryzła wargę.

— To takie pytanie z charakteru, co?

— Zgadza się.

— Niby że próbujesz zgadnąć, jaka jestem, na podstawie tego, co powiem?

— Gytho Ogg, znamy się przez całe życie. Wiem, jaka jesteś. Nie muszę zgadywać. Ale mimo to odpowiedz.

— Myślę, że wyniosłabym Greeba.

Babcia kiwnęła głową.

— Bo to pokazuje, że jestem z natury dobra i opiekuńcza — dokończyła niania.

— Nie. To pokazuje, że jesteś osobą, która stara się odgadnąć, jaka powinna być właściwa odpowiedź — sprostowała babcia. — Niegodną zaufania. To odpowiedź, jaka przystoi czarownicy, jeśli mogę to ocenić. Przebiegła.

Niania była wyraźnie dumna.

Chrapanie zmieniło się w cichsze „pfsss-pfsss”. Poruszyła się chustka na twarzy.

— ...pudding karmelowy i dużo budyniu...

— Słyszałaś? Właśnie coś powiedziała! — zawołała niania.

— Mówi przez sen — wyjaśniła babcia Weatherwax. — Zdarza mu się to od czasu do czasu.

— W ogóle nie słyszałam!

— Wyszłaś akurat z powozu.

— Aha.

— Na ostatnim postoju mówił o naleśnikach z polewą cytrynową — opowiadała babcia. — I ziemniakach polanych masełkiem.

— Głodna się robię od samego słuchania — stwierdziła niania. — Mam tu gdzieś zapiekankę z mięsem...

Chrapanie urwało się nagle. Uniesiona dłoń zdjęła chustkę. Twarz, jaka się pokazała, wyglądała na dobroduszną, brodatą i raczej drobną. Rzuciła czarownicom wstydlivy uśmiech, po czym skupiła wzrok na zapiekance.

— Może zje pan kawałek? — zaproponowała niania. — Mam też musztardę.

— Naprawdę mogę, droga pani? — upewnił się piskliwym głosem mężczyzna. — Sam już nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłem prawdziwą zapiekankę z mięsem... Oj! Skrzywił się, jakby właśnie powiedział coś niewłaściwego, ale zaraz się uspokoił.

— Mam też butelkę piwa, gdyby chciał pan wypić kropelkę — dodała niania.

Należała do tych osób, które widok jedzących cieszy niemal tak bardzo jak samo jedzenie.

— Piwo? Piwo? Wie pani, oni nie pozwalają mi pić piwa. Podobno źle wpływa na barwę. Oddałbym wszystko za kufel piwa...

— Wystarczy „dziękuję” — zapewniła niania, wręczając mu butelkę.

— O jakich „onych” pan wspominał? — zainteresowała się babcia.

— Prawdę mówiąc, to moja wina — stwierdził mężczyzna wśród niewielkiej fontanny okruchów. — Pozwoliłem się wciągnąć...

Nastąpiła zmiana dobiegających z zewnątrz odgłosów. Za oknem przesuwały się światła miasta, a dylizans zwalniał.

Mężczyzna wcisnął sobie do ust resztę zapiekanki i popił kilkoma łykami piwa.

— Ooo! Cudowne... — westchnął. Potem oparł się i narzucił chustkę na twarz. Uchylił jeszcze rąbek. — Proszę nikomu nie mówić, że z paniami rozmawiałem. Ale zawsze będą panie miały przyjaciela w Henrym Sluggu.

— A czym się pan zajmuje, panie Henry Slugg? — zapytała czujnie babcia.

— Ja... występuję.

— To widzimy — stwierdziła niania.

— Nie, chodzi mi...

Dylizans się zatrzymał. Zgrzytnął żwir, gdy pasażerowie zeskoczyli na ziemię. Ktoś otworzył drzwi.

Babcia zobaczyła spory tłum gapiów zagląających nerwowo do wnętrza i odruchowo poprawiła kapelusz. Ale kilka rąk sięgnęło po Henry’ego Slugga, który wyprostował się, uśmiechnął słabo i pozwolił pomóc sobie wsiąść. Kilka osób głośno wykrzykiwało jakieś imię, ale nie było to imię Henry’ego Slugga.

— Kto to jest Enrico Basilica? — zdziwiła się niania.

— Nie mam pojęcia. Może to ten człowiek, którego pan Slugg się boi?

Zajazd dla dylizansów okazał się nędzną rudera, z dwoma tylko pokojami dla gości. Jako bezradne staruszki podróżujące samotnie, czarownice dostały jeden z nich — po prostu dlatego, że gdyby go nie dostały, rozpętałyby się piekło.

Pan Kubeł był wyraźnie urażony.

— Może mnie pan traktować jak prostego sprzedawcę serów — powiedział. — Może mnie pan uważać za twardogłowego człowieka interesu, który nie poznałby kultury, nawet gdyby ją znalazł pływającą w filiżance herbaty. Ale bywałem na operach tu i tam przez lata. Umiem zanucić prawie całą...

— Jestem pewien, że widział pan wiele oper — uspokoił go Salzella. — Ale... co pan wie o produkcji?

— Bywałem za sceną w wielu teatrach...

— Ach, teatr... Teatr nie jest podobny nawet w przybliżeniu. Opera to nie teatr ze śpiewem i tańcami. Opera to opera. Może się panu wydawać, że taki na przykład „Lohenshaak” jest pełen pasji, ale to piaskownica dla dzieci w porównaniu z tym, co dzieje się za sceną. Śpiewacy nienawidzą samego widoku kolegów, chór gardzi śpiewakami, jedni i drudzy nie znoszą orkiestry, a wszyscy boją się dyrygenta. Suflerzy z jednej strony nie rozmawiają z suflerami z drugiej, a tancerki z głodu dostają obłądu. Ale to dopiero początek, bo tak naprawdę...

Rozległa się seria puknięć do drzwi. Były boleśnie nieregularne, jak gdyby pukający musiał się mocno koncentrować.

— Wejdz, Walterze! — zawołał Salzella.

Walter Plinge wszedł, powłócząc nogami, z dwoma wiadrami w rękach.

— Przyszedłem napełnić pańską węglarkę, panie Kubeł.

Kubeł machnięciem ręki wskazał mu kierunek, po czym wrócił do rozmowy z dyrektorem muzycznym.

— Na czym to pan skończył?

Salzella przyglądał się Walterowi, który starannie układał jedną bryłę węgla na drugiej.

— Salzella!

— Co? A tak, przepraszam. Na czym to ja skończyłem?

— Że coś jest dopiero początkiem...

— Co? Tak, tak, rzeczywiście. Widzi pan, aktorom jest łatwiej. Zawsze jest dość ról dla starych ludzi. Gra to coś, co człowiek może robić przez całe życie. Jest wręcz coraz lepszy. Ale jeśli ktoś ma talent do tańca lub śpiewu... czas dla niego ucieka przez cały... — szukał lepszego słowa, ale w końcu dość kulawo zakończył: — ...czas. Czas jest truci-

zną. Jeśli zajrzy pan za scenę podczas przedstawienia, zobaczy pan, że tancerki oglądają się stale w każdym napotkanym lustrze, szukając tej pierwszej niedoskonałości. Niech pan spojrzy na śpiewaków. Żyją w ciągłym napięciu, wiedząc, że może to być już ostatni ich doskonały występ, a jutro nastąpi początek końca. Dlatego wszyscy tak się przejmują szczęściem. Te przesady o żywych kwiatach przynoszących pecha, pamięta pan? Tak samo kolor zielony. I prawdziwa biżuteria noszona na scenie. I wyglądanie na widownię przez szparę w kurtynie. I używanie nowych kosmetyków na premierze. Albo robienie na drutach na scenie, nawet podczas prób. Żółty klarnet w orkiestrze jest niezwykle wręcz pechowy, proszę nie pytać dlaczego. A już przerwanie przedstawienia przed jego właściwym zakończeniem jest najgorsze ze wszystkiego. Równie dobrze można by usiąść pod drabiną i tłuc lustra.

Za plecami Salzelli Walter ostrożnie ułożył na stosie ostatni kawałek węgla i starannie zamiótł podłogę.

— Wielcy bogowie! — westchnął Kubeł. — A ja myślałem, że w serach nie jest łatwo.

Skinął ręką na plik papierów i tego, co miało uchodzić za księgi obrachunkowe.

— Zapłaciłem za to wszystko trzydzieści tysięcy dolarów — powiedział. — W samym centrum miasta! Idealne miejsce! Wydawało mi się, że twardo się targowałem.

— Zgodziliby się pewnie na dwadzieścia pięć.

— Niech mi pan jeszcze raz wytłumaczy, co z tą ósmą lożą. Pozwalacie, żeby Upiór ją zajmował?

— Upiór uważa, że jest jego podczas każdej premiery. Owszem.

— Jak się tam dostaje?

— Nikt tego nie wie. Wiele razy szukaliśmy ukrytych przejść...

— I naprawdę nie płaci?

— Nie.

— Warta jest pięćdziesiąt dolarów!

— Będą kłopoty, jeśli spróbuje ją pan sprzedać — ostrzegł Salzella.

— Na litość bogów, Salzella, przecież jest pan człowiekiem wykształconym! Jak może pan spokojnie siedzieć i godzić się na takie wariactwo? Jakaś kreatura w masce chodzi, gdzie zechce, bierze sobie najlepszą lożę, zabija ludzi, a pan mi mówi, że mogą być kłopoty?

— Przecież tłumaczyłem: przedstawienie musi trwać.

— Dlaczego? My nigdy nie mówiliśmy: „ser musi trwać”! Co jest takiego wyjątkowego w trwającym przedstawieniu?

Salzella uśmiechnął się.

— O ile dobrze to rozumiem, ta... moc przedstawienia, dusza przedstawienia, cała praca, jaką w nie włożono, niech pan to nazwie, jak pan chce... ona wycieka i rozlewa

się wszędzie. Dlatego ciągle mówią „przedstawienie musi trwać”. Bo musi. Ale większa część zespołu nie rozumie nawet, jak można stawiać takie pytania.

Kubeł spojrział z niechęcią na plik tego, co udawało rejestry finansowe Opery.

— Na pewno nie rozumieją, na czym polega księgowość! Kto tu prowadzi rachunki?

— Właściwie to my wszyscy — odparł Salzella.

— Wszyscy?

— Pieniądze się wkłada, pieniądze się wyjmuje... Czy to ważne?

Kubeł otworzył usta ze zdumienia.

— Czy to ważne?!

— Ponieważ — ciągnął gładko Salzella — opera nie przynosi pieniędzy. Nigdy.

— Na bogów, człowieku! Ważne? Niczego bym w serach nie osiągnął, gdybym uważał, że pieniądze nie są ważne.

Salzella uśmiechnął się smętnie.

— W tej chwili na scenie są ludzie — rzekł — którzy powiedzieliby, że pewnie robiłby pan lepsze sery. — Westchnął i nachylił się nad biurkiem. — Widzi pan, ser przynosi pieniądze. Opera nie. Opera to coś, na co się pieniądze wydaje.

— Ale... co się zyskuje?

— Zyskuje się operę. Wkłada pan pieniądze, rozumie pan, i wychodzi opera.

— Nie ma zysku?

— Zysk... zysk... — mruzczał dyrektor muzyczny, skrobiąc się po głowie. — Nie, chyba nie natrafiłem na to słowo.

— Więc jak sobie radzimy?

— Jakoś to wszystko się toczy.

Kubeł ukrył twarz w dłoniach.

— Coś takiego!... — mruzczał na wpół do siebie. — Wiedziałem, że zyski nie są duże, ale myślałem, że to tylko z powodu złego zarządzania. Mamy pełną widownię! Bierzemy pieniądze za bilety! A teraz się dowiaduję, że Upiór krąży tu, zabija ludzi i w dodatku nic nie zarabiamy!

Salzella rozpromienił się.

— Ach! — powiedział. — Opera!

Greebo skradał się po dachu zajazdu.

Większość kotów jest nerwowa i trochę zagubiona, kiedy znajdują się poza swoim terytorium. Książki o kotach radzą, że trzeba smarować im łapy masłem — pewnie dlatego, że ślizgając się bezustannie i wpadając na ściany, biedne zwierzę przestaje się przejmować, gdzie te ściany stoją.

Ale Greebo nie miał problemów z podróżami. Cały świat traktował jak swoją skrzynkę z piaskiem — co uważał zresztą za rzecz oczywistą.

Zeskoczył ciężko na dach wygodki i przeszedł do małego, otwartego okienka.

Miał koci stosunek do własności: był przekonany, że nic jadalnego nie ma prawa należeć do innych.

Z okna unosiły się rozmaite zapachy, wśród nich pieczeni wieprzowej i śmietany. Przepisnął się przez okienko i wylądował na półce w spiżarni.

Oczywiście, czasami bywał łapany. A w każdym razie przyłapywany...

Faktycznie, znalazł śmietanę. Usiadł wygodnie.

Był już w połowie miski, kiedy otworzyły się drzwi.

Greebo położył uszy po sobie. Zdrowe oko rozpaczliwie poszukiwało drogi ucieczki. Okienko było za wysoko, osoba otwierająca drzwi nosiła długą spódnicę, co sugerowało rezygnację ze starej sztuczki „między nogami”, i... i... i... nie było ucieczki.

Pazury zgrzytnęły o podłogę...

Och nie... to... nadchodziło...

Coś przeskoczyło w polu morfogenetycznym jego ciała. Oto pojawił się problem, z którym kocia forma nie mogła sobie poradzić. No cóż, ciało znało też inną...

Dookoła trzaskały garnki. Spadały półki, strącone wznoszącą się głową. Worek mąki eksplodował, by zrobić miejsce coraz szerszym barkom.

Kucharka popatrzyła na niego. Po chwili spojrzała w dół. Potem w górę. Aż w końcu jej wzrok, jak ściągany kołowrotkiem, zsunął się z powrotem ku dołowi.

Wrzasnęła.

Greebo też wrzasnął.

Rozpaczliwie chwycił miskę, by zasłonić część ciała, której odkrywanie — jako kota — nigdy go nie martwiło.

Wrzasnął znowu, gdyż oblał się cały letnim płynnym smalcem.

Macające na oślep palce chwyciły dużą miedzianą formę do galarety. Przyciskając ją do okolic krocza, Greebo rzucił się do drzwi, wybiegł ze spiżarni, z kuchni, z sali jadalnej, z zajazdu — prosto w noc.

Szpieg, który jadł właśnie kolację z wędrownym handlarzem, odłożył nóż.

— Czegoś takiego nie widuje się często — stwierdził.

— Czego takiego? — zapytał handlarz, siedzący tyłem do całego zamieszania.

— Taka staroświecka miedziana forma do galarety. Są teraz sporo warte. Moja ciotka ma taką, dobrze zachowaną.

Rozhisteryzowana kucharka dostała coś mocniejszego na uspokojenie, a kilka osób z obsługi wyruszyło, by zbadać sprawę.

Znaleźli tylko formę do galarety porzuconą żałośnie na dziedzińcu.

W domu babcia Weatherwax spała przy otwartych oknach, nie zamykając drzwi na zamek, bezpieczna w swej wiedzy, że rozmaite nocne stworzenia Ramtopów raczej zjedzą własne uszy, niż spróbują się do niej wdrzeć. Jednak w krainach groźnie cywilizowanych prezentowała całkiem inną postawę.

— Naprawdę nie uważam, żeby koniecznie trzeba było przesuwac łóżko pod drzwi, Esme — powiedziała niania Ogg, unosząc je z drugiego końca.

— Nigdy dość ostrożności — odparła babcia. — A gdyby jakiś człowiek w środku nocy zaczął szarpać klamkę?

— Nie w naszym wieku — westchnęła smutno niania.

— Gytho Ogg, jesteś najbardziej...

Babci przerwał szum wody. Dobiegał zza ściany i trwał przez dłuższą chwilę.

Ucichł, po czym zabrzmiał na nowo — chlupanie, które stopniowo zmieniało się w plusk cienkiego strumyka. Niania uśmiechnęła się.

— Ktoś napełnia wannę? — zdziwiła się babcia.

— ...albo może to być ktoś, kto napełnia wannę — zgodziła się niania.

Zabrzmiały odgłosy trzeciego opróżnianego dzbana. Jakies kroki świadczyły, że ktoś wyszedł z pokoju. Po kilku sekundach drzwi się otworzyły, rozległo się wyraźnie cięższe stąpanie, a po krótkiej chwili plusk i sapnięcie.

— Tak, jakiś człowiek wszedł do wanny — uznała babcia. — Co robisz, Gytho?

— Sprawdzam, czy nie ma tu gdzieś dziury po sęku — wyjaśniła niania. — O, znalazłam...

— Wracaj tu natychmiast!

— Przepraszam, Esme.

Wtedy zabrzmiał śpiew. Śpiewał bardzo miły głos, tenor, któremu wanna z wodą nadawała specyficzny timbre.

— Pokaż mi drogę do domu, zmęczonym i chcę już spać...

— Komuś tam jest bardzo przyjemnie — uznała niania.

— ...gdziekolwiek bym wędrował...

Ktoś zastukał do drzwi łazienki, a śpiewak płynnie przeszedł na inny język.

— ...*per via di terra, mare o schiuma...*

Czarownice spojrzały po sobie.

— Kupiłem termofor, szanowny panie — oznajmił stłumiony głos.

— Dziękuję ci bardzissimo — odpowiedział kąpiący się, wręcz ociekając obcym akcentem.

Kroki ucichły w oddali.

— ...*Indicame la strada...* nie chcę znać. — Plusk, plusk. — Dobry wieczór, przyjacieleeee...

— No, no, no... — odezwała się babcia Weatherwax, jakby do siebie. — I znowu mam wrażenie, że pan Slugg w tajemnicy jest poliglotą.

— Coś podobnego! — wykrzyknęła niania Ogg. — A nawet nie zajrzałaś przez dziurkę!

— Gytho, czy na całym świecie istnieje przynajmniej coś takiego, co w twoich ustach nie zabrzmiało nieczysto?

— Jeszcze nie znalazłam, Esmé — odpowiedziała z radosnym uśmiechem niania.

— Chodziło mi o to, że kiedy gada przez sen albo śpiewa w kąpielni, mówi tak samo jak my. Ale kiedy myśli, że ktoś go słyszy, zaczyna udawać zagranicznego.

— Pewnie chce zmylić tropy temu Basilice.

— Och, podejrzewam, że pan Basilica i Henry Slugg są sobie bardzo bliscy — stwierdziła babcia. — Właściwie przypuszczam nawet, że są jedną i tą...

Ktoś delikatnie zastukał do drzwi.

— Kto tam? — zapytała groźnie babcia.

— To ja, proszę pani. Slot. To mój zajazd.

Czarownice odrobinę przesunęły łóżko i babcia uchyliła drzwi.

— Słucham? — spytała podejrzliwie.

— Tego... Woźnica mówił, że jesteście panie... czarownicami?

— Tak?

— Może zdołałyby panie nam pomóc?

— A co się dzieje?

— Chodzi o mojego chłopaka...

Babcia szerzej otworzyła drzwi i zobaczyła stojącą za Slotem kobietę. Jeden rzut oka na jej twarz całkiem wystarczył. Kobieta trzymała na rękach zawiniątko.

Babcia cofnęła się.

— Wnieście go tutaj, muszę małego obejrzeć.

Odebrała kobiecie dziecko, usiadła na jedynym krześle w pokoju i odchyliła koc. Niania Ogg zaglądała jej przez ramię.

— Hmm — mruknęła po chwili babcia. Zerknęła na nianię, która prawie niedostrzeżenie pokręciła głową.

— Ktoś rzucił klątwę na ten dom, ot co — stwierdził Slot. — Moja najlepsza krowa też śmiertelnie zachorowała.

— Tak? Macie oborę? — zapytała babcia. — Taka obora to dobre miejsce dla chorych. Bo jest ciepło. Pokażcie mi, gdzie to jest.

— Chcecie tam zabrać małego?

— Natychmiast.

Oberżysta spojrzął na żonę i wzruszył ramionami.

— No, myślę, że lepiej się na tym znacie. Tędy.

Poprowadził czarownice tylnymi schodami, przez podwórze, do słodko cuchnącej obory. Wyciągnięta na słomie leżała krowa. Przewróciła niespokojnie oczami, kiedy weszli, i spróbowała zamuczeć.

Babcia rozejrzała się i przez chwilę stała nieruchomo.

— To wystarczy — uznała w końcu.

— Czego wam trzeba? — zapytał Slot.

— Tylko ciszy i spokoju.

Oberżysta poskrobał się po głowie.

— Myślałem, że odśpiewujecie jakieś zaklęcia albo przyrządzacie wywar...

— Czasami.

— Znaczy, wiem, gdzie znaleźć ropuchę...

— Potrzebna mi będzie świeca — rzekła babcia. — Nowa, jeśli to możliwe.

— To wszystko?

— Tak.

Pan Slot sprawiał wrażenie nieco zawiedzionego. Mimo zatroskania coś w jego zachowaniu sugerowało, że jeżeli babcia Weatherwax nie chce ropuchy, to chyba nie jest zbyt dobrą czarownicą.

— I zapalki. — Babcia zauważyła to. — Talia kart też by się przydała.

— A ja potrzebuję baranich zrazów na zimno i dokładnie dwóch kufli piwa — dodała niania Ogg.

Mężczyzna skinął głową. Wymagania nie były zbyt ropuchowe, ale lepsze to niż nic.

— Po co ci to wszystko? — spytała babcia Weatherwax, kiedy oberżysta wyszedł.

— Nie wyobrażam sobie, do czego może się przydać! Zresztą zjadłś już porządną kolację.

— Zawsze jestem gotowa na jakąś dokładkę. Nie chcesz, żebym tu z tobą siedziała, więc będę się nudzić.

— Czy mówiłam, że nie chcę, żebyś ze mną siedziała?

— No wiesz... nawet ja widzę, że chłopak jest w śpiączce, a krowa ma czerwoną robaczkę, o ile mogę to stwierdzić. Też marnie wygląda. Dlatego domyślam się, że planujesz jakąś... akcję bezpośrednią.

Babcia wzruszyła ramionami.

— W takiej chwili czarownica musi być sama — ciągnęła niania. — Ale lepiej uważaj, co robisz, Esmo Weatherwax.

Przyniesiono dziecko owinięte w koc i ułożono je na słomie, możliwie wygodnie. Oberżysta zjawił się za nim z tacą.

— Pani Ogg odprawi niezbędne rytuały w swoim pokoju — oznajmiła dumnie babcia. — Ja zostanę tu na noc. Tylko żeby nikt nie wchodził, jasne? Pod żadnym pozorem.

Matka dygnęła, wyraźnie niespokojna.

— Myślałam, że może zajrzę koło północy...

— Nikt. A teraz już idźcie.

Kiedy już wszyscy zostali delikatnie, lecz stanowczo usunięci z obory, niania zajrzała jeszcze zza wrót.

— Ale co dokładnie planujesz, Esme?

— Dostatecznie często siedziałaś przy konających, Gytho.

— No tak, to... — Niania zbladła trochę. — Och, Esme, chyba nie masz zamiaru...

— Smacznego, Gytho.

Babcia zamknęła wrota.

Przez chwilę ustawiała skrzynki i beczki tak, by powstał prymitywny stół i by miała na czym usiąść. W oborze było ciepło i pachniało bydlęcymi gazami. Co jakiś czas sprawdzała stan obojga pacjentów, choć niewiele było do sprawdzania.

Odgłosy w zajeździe cichły stopniowo. Na końcu brzęknęły klucze oberżysty, kiedy zamykał drzwi. Babcia słyszała jeszcze, jak podchodzi do wrót obory i waha się przez chwilę. Wreszcie odszedł i zaczął wspinać się po schodach.

Odczekała jeszcze jakiś czas i zapaliła świecę. Tańczący płomyk rozjaśnił oborę ciepłym, spokojnym blaskiem.

Na desce służącej za stolik rozłożyła karty i spróbowała postawić pasjansa — czego nigdy jakoś nie zdołała opanować.

Świeca wypalała się powoli. Babcia odłożyła karty i siedziała nieruchomo, wpatrzona w płomień.

Po jakimś niemierzalnym odcinku czasu płomyk zamigotał. Nie zauważyłby tego nikt, kto nie koncentrował się na nim od dłuższej chwili.

Nabrała tchu.

— Dzień dobry — powiedziała.

DZIEŃ DOBRY, odezwał się głos przy jej uchu.

Niania Ogg już dawno skończyła baraninę i piwo, ale jeszcze nie spała. Leżała na łóżku całkiem ubrana, z rękami założonymi za głowę. Patrzyła w sufit.

Po jakimś czasie usłyszała, że coś drapie w okiennice. Wstała i otworzyła je.

Potężna postać wskoczyła do pokoju. Promienie księżyca ukazały na moment lśniący tors i grzywę czarnych włosów. Potem istota zanurkowała pod łóżko.

— Ojej, ale się porobiło — westchnęła niania.

Odczekała chwilę, po czym wzięła z tacy kawałek kości — wciąż pozostało na niej trochę mięsa. Schyliła się przy łóżku.

Ręka wysunęła się błyskawicznie i porwała kość.

Niania usiadła.

— Biedny maluch — westchnęła.

Jedynie w kwestii Greeba bezbłędne zwykle poczucie realizmu niani zaczynało szwankować. Dla niej Greebo był tylko powiększoną wersją puszystego kociaka, jakiego pamiętała sprzed lat. Wszyscy pozostali uważali go za pooraną bliznami kulę pomyślowej złośliwości.

Teraz jednak musiał sobie radzić z problemem rzadko dotykającym koty. Lata temu czarownice zmieniły go w człowieka, z powodów, które w owej chwili wydawały się całkiem uzasadnione. Wymagało to sporego wysiłku, a jego pole morfogenetyczne po kilku godzinach wróciło do równowagi, ku powszechnej uldze.

Ale magia nigdy nie jest rzeczą tak prostą, jak się ludziom wydaje. Musi się stosować do pewnych praw uniwersalnych. Jedno z nich głosi, że niezależnie od tego, jak coś byłoby trudne, jeśli raz zostało dokonane, staje się o wiele łatwiejsze, a zatem będzie dokonywane częściej. Potężna góra może być zdobyta przez silnych mężczyzn dopiero po stuleciach nieudanych prób, ale kilkadziesiąt lat później babcie będą wybierać się na szczyt, by wypić herbatkę, a potem wracać, żeby sprawdzić, czy nie zostawiły tam okularów.

Zgodnie z tym prawem dusza Greeba zapamiętała, że istnieje dodatkowa możliwość do wykorzystania w trudnych sytuacjach (obok typowo kociego zestawu ucieczki, walki, nabrudzenia dookoła i wszystkich trzech jednocześnie). A ta możliwość to Zmienić Się w Człowieka.

Przemiana cofała się po krótkim czasie, z którego większość poświęcona była na gorączkowe szukanie pary spodni.

Spod łóżka rozległo się chrapanie. Stopniowo, ku uldze niani, zmieniało się w mruczenie.

I nagle niania wyprostowała się gwałtownie. Znajdowała się spory kawałek od obory, ale...

— On tu jest — oświadczyła.

Babcia odetchnęła powoli.

— Podejź i usiądź tak, żebym cię widziała. Tego wymagają dobre manieri. I zaznaczę od razu, jeśli pozwolisz, że wcale się ciebie nie boję.

Wysoka postać w czarnej szacie przeszła przez oborę i usiadła na poręcznej beczulce, opierając kosę o ścianę. Potem zsunęła kaptur. Babcia skrzyżowała ręce na piersi i spokojnie patrzyła przybyszowi prosto w oczodoły.

JESTEM POD WRAŻENIEM.

— Mam wiarę.

DOPRAWDY? A W JAKIE KONKRETNIE BÓSTWO?

— Och, żadne z nich.

ZATEM WIARĘ W CO?

— Po prostu wiarę. No wiesz... tak ogólnie.

Śmierć pochylił głowę. Blask świecy wyrysował nowe cienie na czaszce.

ODWAGA JEST ŁATWA PRZY BLASKU ŚWIECY. PANI WIARA, JAK PODEJRZEWAM, TKWI W PŁOMIENIU.

Uśmiechnął się.

Babcia schyliła się i zdmuchnęła świecę. Potem znowu skrzyżowała ramiona i patrzyła niezłomnie przed siebie.

Po dłuższym czasie odezwał się głos.

NO DOBRZE, POKAZAŁA PANI, CO PANI CHCIAŁA.

Babcia zapaliła zapalnik. Płomyk oświetlił czaszkę, która nie poruszyła się przez ten czas.

— Nie chcemy przecież siedzieć tu do rana, prawda? Po ile istnień przyszedłeś? JEDNO.

— Krowę?

Śmierć pokręcił głową.

— To mogłaby być krowa.

NIE. TO BYŁABY ZMIANA HISTORII.

— Historia mówi właśnie o zmianach.

NIE.

Babcia wyprostowała się.

— W takim razie rzucam ci wyzwanie. Zagramy. Taka jest tradycja. To dozwolone.

Śmierć milczał przez chwilę.

TO PRAWDA.

— Dobrze.

RZUCENIE MI WYZWANIA ZA POŚREDNICTWEM GRY JEST DOPUSZCZALNE.

— Tak.

ALE... ROZUMIE PANI, ŻE ABY WYGRAĆ WSZYSTKO, MUSI PANI WSZYSTKO POSTAWIĆ?

— Podwójna stawka albo nic? Tak, wiem.

ALE NIE W SZACHY.

— Nie znoszę szachów.

ANI W OKALECZ PANA CEBULE. NIGDY NIE POTRAFIŁEM ZROZUMIEĆ ZASAD.

— Zgoda. Co powiesz na jedno rozdanie pokera? Po pięć kart, bez dobierania? Nagła śmierć, jak na to mówią.

Śmierć zastanowił się.

ZNA PANI TĘ RODZINĘ?

— Nie.

WIĘC DLACZEGO?

— Gramy czy rozmawiamy?

CO TAM... NIECH BĘDZIE.

Babcia sięgnęła po talię i potasowała, nie patrząc; cały czas uśmiechała się do Śmierci. Rozdała po pięć kart, sięgnęła...

Koścista dłoń chwyciła jej rękę w przegubie.

ALE NAJPIERW, PANI WEATHERWAX, PRZEŁOŻYMY KARTY.

Zamienił miejscami dwa stosiki, po czym skinął na babcię.

MADAME?

Babcia zajrzała w karty i rzuciła je na stół.

CZTERY DAMY. HMM. TO BARDZO WYSOKO.

Śmierć obejrzał własne karty, po czym spojrzał w nieruchome błękitne oczy babci.

Przez długi czas żadne z nich nawet nie drgnęło.

Wreszcie Śmierć wyłożył karty.

PRZEGRAŁEM, powiedział. MAM TYLKO CZTERY JEDYNKI.

Na chwilę znów popatrzył babci w oczy. W głębinach oczodołów jarzył się błękitny blask. Na ułamek sekundy, ledwie dostrzegalnie nawet przy bacznej obserwacji, światło w jednym z nich mrugnęło.

Babcia kiwnęła głową i wyciągnęła rękę.

Szczyła się zdolnością oceniania ludzi z ich spojrzenia i uścisku ręki. W tym przypadku był to raczej chłodny uścisk.

— Weź krowę — zaproponowała.

TO CENNE STWORZENIE.

— Kto wie, kim się stanie dziecko?

Śmierć wstał i sięgnął po kosę.

AU, powiedział.

— A tak, trudno nie zauważyć — stwierdziła babcia Weatherwax swobodnie, gdyż napięcie wyraźnie opadło. — Wydaje się, że oszczędzasz to ramię.

WIE PANI, JAK TO JEST. POWTARZALNE NAPRĘŻENIA I W OGÓLE...

— Jeśli to tak zostawisz, może wyniknąć coś poważnego.

JAK POWAŻNEGO?

— Chcesz, żebym obejrzała?

JĘŚLI MOŻNA. MUSZĘ PRZYZNAĆ, ŻE BOLI W ZIMNE NOCE.

Babcia wstała i sięgnęła do ramienia Śmierci, ale jej dłonie przeszły przez niego jak przez mgłę.

— Posłuchaj, jeśli mam w czymś pomóc, musisz się stać trochę bardziej materialny...

MOŻE BUTELKA SUKROZY I AKWY?

— Cukru z wodą? Myślę, że ty przynajmniej wiesz: to tylko dla ciężko myślących. Dalej, podwiń rękaw. No, nie bądź dzieckiem. Co mogłabym ci zrobić najgorszego?

Palce babci przesunęły się po gładkiej kości. Miewała już gorsze przypadki. Przynajmniej na tych kościach nigdy nie było ciała.

Pomacała, zastanowiła się, ścisnęła mocno, skręciła...

Coś kliknęło.

AU.

— A teraz spróbuj unieść rękę powyżej ramienia.

HM. TAK. RZECZYWIŚCIE, O WIELE SWOBODNIEJ SIĘ RUSZA. TAK, NAPRAWDĘ. SŁOWO DAJĘ! BARDZO PANI DZIĘKUJĘ.

— Gdybyś znowu miał z nią problemy, to wiesz, gdzie mieszkam.

DZIĘKUJĘ. BARDZO DZIĘKUJĘ.

— Wiesz, gdzie każdy mieszka. Wtorki rano to dobra pora. Zwykle jestem w domu.

ZAPAMIĘTAM. DZIĘKUJĘ.

— W twoim przypadku umów się wcześniej. Bez urazy.

DZIĘKUJĘ.

Śmierć odszedł. Chwilę później krowa sapnęła cicho. To i lekkie opadnięcie skóry były wszystkim, co dzieliło żywe zwierzę od stygnącego mięsa.

Babcia podniosła dziecko i położyła mu dłoń na czole.

— Gorączka spadła — stwierdziła.

PANI WEATHERWAX, odezwał się Śmierć spod drzwi.

— Słucham?

MUSZĘ TO WIEDZIEĆ. CO BY SIĘ STAŁO, GDYBYM NIE... NIE PRZEGRAŁ?

Babcia ostrożnie ułożyła dziecko na słomie i uśmiechnęła się.

— No cóż, na początek... złamałabym ci tę nieszczęsną rękę.

Agnes długo nie mogła zasnąć; wszystko było tu nowe. Większość mieszkańców Lancre, jak mówi stare powiedzenie, kładzie się spać z kurami i wstaje z krowami*. Ale ona obejrzała najpierw wieczorne przedstawienie, potem obejrzała, jak po nim składają dekoracje, obejrzała, jak artyści wychodzą, czy też — w przypadku młodszych chórzystek — oddalają się do swoich kwater w różnych zakamarkach budynku. A potem zostali już tylko Walter Plinge i jego matka, zamiatający podłogę.

Ruszyła do schodów. Tutaj, na tyłach, nie było chyba ani jednej świecy, ale kilka płonących jeszcze na widowni wystarczało, by nadać ciemności kilka różnych odcieni.

* Ehm. To znaczy, że kładą się do łóżek o tej samej porze, kiedy zasypiają kury, a wstają o tej samej porze, kiedy wstają krowy. Takie nieprecyzyjne sformułowania mogą prowadzić do nieporozumień.

Schody biegły w górę przy ścianie na tyłach sceny i tylko rozklekotana poręcz dzieliła je od przepaści. Prowadziły na strych i do składów, ale były też jedyną drogą na jaskółkę i do innych sekretnych platform, gdzie ludzie w płaskich kapeluszach i szarych kombinezonach odprawiali magię teatru, zwykle za pomocą wielokrążków...

Jakaś postać stała na wysięgniku ponad sceną. Klęczała, przyglądając się czemuś. W ciemności.

Agnes cofnęła się. Zaskrzypiał stopień.

Postać obejrzała się nerwowo. Kwadrat żółtego światła otworzył się nagle w mroku, promień przyszpilił Agnes do ściany.

— Kto tam? — zapytała, podnosząc dłoń do oczu.

— Kto to? — odpowiedział głos. A po chwili dodał: — Och, to... Perdita, prawda?

Kwadrat światła sunął w jej stronę, gdy postać prześlizgiwała się nad sceną.

— André? — upewniła się Agnes. Miała ochotę się cofnąć, ale cegły jej nie pozwalały.

I nagle stał już na schodach — całkiem zwyczajny młody człowiek, żaden tajemniczy cień. Trzymał w ręku bardzo dużą latarnię.

— Co tu robisz? — zapytał.

— Ja... szłam do łóżka.

— A tak. — Uspokoił się. — Niektóre z was mają tu kwatery. Dyrekcja uznała, że tak będzie bezpieczniej, niż gdybyście wracały po nocy do domów.

— A co ty robisz tutaj? — zapytała Agnes, nagle uświadamiając sobie, że są tu tylko we dwoje.

— Ja... oglądałem to miejsce, gdzie Upiór próbował udusić pana Crippsa — wyjaśnił organista.

— Po co?

— Chciałem się upewnić, że jest już bezpiecznie, naturalnie.

— Robotnicy ze sceny tego nie zrobili?

— Och, wiesz, jacy oni są. Wolałem sam się upewnić.

Agnes przyjrzała się latarni.

— Nigdy jeszcze takiej nie widziałam. Jak zdołałeś tak szybko ją zapalić?

— Tego... To jest ślepa latarnia. Ma tu klapę, widzisz? — Zademonstrował. — Można ją zamknąć, a potem znowu otworzyć...

— Na pewno bardzo się przydaje, kiedy szukasz czarnych nut po ciemku.

— Nie bądź złośliwa. Po prostu nie chcę więcej kłopotów. Sama zaczniesz się rozglądać, kiedy...

— Dobrej nocy, André.

— No cóż, dobranoc.

Biegiem pokonała ostatnie stopnie i wskoczyła do swojej sypialni. Nikt jej nie ścigał.

Kiedy już się uspokoiła, co trwało dłuższy czas, rozebrała się pod obszernym namiotem swej czerwonej, flanelowej nocnej koszuli i położyła do łóżka. Oparła się wszelkim pokusom, by naciągnąć kołdrę na głowę.

Patrzyła w ciemny sufit.

To głupie, uznała w końcu. Przecież był rano na scenie. Nikt nie może poruszać się tak prędko...

Nie wiedziała, czy udało jej się w końcu zasnąć, czy ledwie zaczęła drzemać, kiedy usłyszała ciche stukanie do drzwi.

— Perdito!?

Znała tylko jedną osobę, która potrafiła krzyknąć szeptem.

Wstała i poczłapała do drzwi. Otworzyła je tylko troszeczkę, żeby sprawdzić, a Christine niemal wpadła głową naprzód do pokoju.

— Co się stało?

— Boję się!!

— Czego?

— Lustra!! Ono do mnie mówi!! Czy mogę spać w twoim pokoju?!

Agnes rozejrzała się. Już teraz było ciasno, z nimi dwiema stojącymi pośrodku.

— Lustro mówi?

— Tak!!

— Jesteś pewna?

Christine zanurkowała do łóżka Agnes i naciągnęła na siebie kołdrę.

— Tak!! — odpowiedziała niewyraźnie.

Agnes została sama w ciemności.

Nie wiedzieć czemu ludzie zawsze zakładali, że jakoś sobie poradzi, jak gdyby ta zdolność łączyła się z masą, niczym grawitacja. Jeśli powie teraz stanowczo: „Nonsens, lustra nie mówią”, pewnie niewiele to pomoże, zwłaszcza że połówka dialogu zakopana jest w pościeli.

Po omacku przeszła do sąsiedniego pokoju; po drodze uderzyła się boleśnie nogą o łóżko.

Gdzieś tutaj musi być świeca. Przejechała dłońmi po małej szafce nocnej, w nadziei że usłyszy dodający otuchy grzechot zapalek.

Lekki poblask nocnych światel miasta docierał do wnętrza przez okno. Lustro zdawało się jarzyć.

Usiadła na łóżku, które zatrzeszczało pod nią ostrzegawczo.

Zresztą co tam... Jedno łóżko jest równie dobre jak drugie.

Właśnie miała się położyć, kiedy coś w ciemności brzęknęło. Kamerton.

— Christine, uważaj, proszę — powiedział ktoś.

Usiadła sztywno wyprostowana, patrząc w ciemność.

I wtedy napłynęło zrozumienie. Żadnych mężczyzn, powtarzali. Bardzo byli surowi w tej kwestii, jak gdyby opera stanowiła coś w rodzaju religii. W przypadku Agnes nie powodowało to żadnych problemów, przynajmniej nie w takim sensie, o jaki chodziło, ale kogoś podobnego do Christine... Podobno miłość zawsze znajdzie drogę, i oczywiście również pewne związane z nią czynności.

Na bogów! Czują, że zaczyna się rumienić. W ciemności! Cóż to za głupia reakcja!

Całe życie przewinęło się przed nią. Na pierwszy rzut oka nie miało w sobie zbyt wielu uniesień. Zawierało za to długie lata rozsądku i opanowania, a także posiadania wspaniałego charakteru. Z pewnością mieściło w sobie raczej czekoladę niż seks. A chociaż Agnes nie bardzo potrafiła dokonać bezpośrednich porównań, i niezależnie od faktu, że tabliczką czekolady można się rozkoszować przez cały dzień, nie wydawało się to sprawiedliwą wymianą.

Ogarnęło ją to samo uczucie, które znała jeszcze z domu. Czasami życie dociera do tego rozpaczliwego punktu, gdzie zły wybór musi być dobrym wyborem. Nie ma znaczenia, w którą stronę człowiek wyruszy. Zwyczajnie trzeba się ruszyć.

Mocno chwyciła kołdrę, a w głowie odtworzyła sobie sposób mówienia przyjaciółki. Trzeba wykonać takie jakby przełknięcie, mówić tonem jakby bez tchu, jakby z dzwonkami w głosie — niczym ludzie, których myśli i tak prawie cały czas bawią się z wróżkami. Wypróbowała to w myślach, a potem przekazała metodę do strun głosowych.

— Tak?! Kto tu jest?!

— Przyjaciół.

Agnes wyżej podciągnęła kołdrę.

— W środku nocy?!

— Noc nic dla mnie nie znaczy. Noc to moja pora. I mogę ci pomóc.

Głos brzmiał miło. Zdawało się, że dobiega z lustra.

— W czym mi pomóc?!

— Chcesz zostać najlepszą śpiewaczką w operze?

— Och, Perdita jest o wiele lepsza ode mnie!!

Przez chwilę trwało milczenie. Potem głos odezwał się znowu.

— Jednak nie mogę jej nauczyć, żeby wyglądała i poruszała się jak ty. Ciebie mogę nauczyć, żebyś śpiewała jak ona.

Agnes patrzyła nieruchomo w ciemność; oszołomienie i upokorzenie unosiły się z niej niczym para.

— Jutro zaśpiewasz rolę Iodyny. A ja nauczę cię, jak śpiewać perfekcyjnie...

Następnego ranka czarownice miały wewnątrz dylizansu prawie tylko dla siebie. Takie wieści jak o Greebie rozchodzą się szybko. Był jednak Henry Slugg, jeśli rzeczywiście tak się nazywał, w towarzystwie bardzo elegancko ubranego chudego człowieka.

— No to ruszamy znowu — powiedziała niania Ogg.

Henry uśmiechnął się nerwowo.

— Niezłe były te śpiewy w nocy — mówiła dalej niania.

Twarz Henry'ego przybrała dobroduszny wyraz, ale w oczach groza powiewała białą flagą.

— Obawiam się, że señor Basilica nie zna morporskiego, droga pani — wyjaśnił chudy człowieczek. — Ale mogę tłumaczyć, jeśli pani sobie życzy.

— Co? — zdziwiła się niania. — No to jakim cudem... Au!

— Przepraszam — powiedziała babcia Weatherwax. — Łokieć musiał mi się ześliżnąć.

Niania Ogg roztarła bolące żebro.

— Mówiłam właśnie — rzekła — że przecież... Au!

— Och jej, znowu mi się zdarzyło — zawstydzila się babcia. — Ten pan tłumaczy nam, że jego przyjaciel... nie... zna... naszego... języka... Gytho.

— Co? Ale... co? Och. Ale... aha. Naprawdę? Ojej. No dobrze — mrucała niania. — No tak. Ale je nasze zapiekanki, kiedy... Au!

— Proszę wybaczyć mojej przyjaciółce. Już nie te lata. Łatwo się gubi — wyjaśniła babcia. — Podobał nam się jego śpiew. Słyszałyśmy przez ścianę.

— Miały panie wielkie szczęście — oświadczył z godnością chudy człowieczek. — Niekiedy ludzie muszą czekać latami, zanim usłyszą śpiew señora Basiliki...

— Pewnie najpierw musi skończyć kolację — wymamrotał cichy głos.

— Powiem więcej. W La Scaldzie w Genoi jego śpiew dziesięć tysięcy ludzi doprowadził do łez.

— ...Ha, też to potrafię. Nie wiem, co w tym takiego niezwykłego...

Wzrok babci nie opuszczał twarzy Henry'ego „señora Basiliki” Slugga. Miała wyraz głębokiej ulgi, tłumionej strasznym przecuciem, że ta ulga nie potrwa długo.

— Sława señora Basiliki sięga szeroko — mówił z dumą chudy człowieczek.

— ...podobnie jak señor Basilica — mruknęła niania. — Po cudze zapiekanki. Tak, teraz to dla nas za wysokie progi, jest jedynym człowiekiem, którego można znaleźć w atlasie... Au!

— No cóż... — Babcia uśmiechnęła się w sposób, jaki wszyscy prócz niani Ogg uznaliby za niewinny. — W Genoi jest pięknie i ciepło. Domyślałam się, że señor Basilica tęskni za domem. A czym pan się zajmuje, młody człowieku?

— Jestem jego impresariem i tłumaczem. Ehm... Ma pani nade mną przewagę, droga pani.

— W samej rzeczy. — Babcia kiwnęła głową.

— Tam, skąd pochodzimy, też mamy paru dobrych śpiewaków — oświadczyła buntowniczo niania.

— Doprawdy? — zdziwił się impresario. — A skąd panie pochodzą?

— Z Lancre.

Człowieczek uprzejmie spróbował umiejscowić Lancre na swej myślowej mapie wielkich ośrodków muzycznych.

— Czy mają tam panie konserwatorium?

— Oczywiście — zapewniła z dumą niania. A potem, żeby rozproszyć ewentualne wątpliwości, dodała: — Powinien pan zobaczyć, jakie mi rosną pomidory.

Babcia przewróciła oczami.

— Gytho, nie masz konserwatorium. To tylko duży parapet.

— Tak, ale łapie słońce prawie cały dzień i...

— Domyślam się, że señor Basilica jedzie do Ankh-Morpork?

— Zgodziliśmy się — odparł z dumą impresario — by tamtejsza Opera zaangażowała nas na pozostałą część sezonu...

Głos mu się załamał. Spojrzał na półkę bagażową.

— Co to jest?

Babcia zerknęła do góry.

— Och, to Greebo — wyjaśniła.

— A pan Basilica ma go nie zjadać — dodała niania.

— Ale co to takiego?

— Kot.

— On się do mnie szczyrzy. — Impresario poruszył się niespokojnie. — W dodatku coś czuję...

— Zabawne — odparła niania. — Ja tam nie czuję niczego.

Zmienił się nieco rytm stuku kopyt na zewnątrz; dyliżans szarpnął, zwalniając.

— Ach... — powiedział menedżer zakłopotany. — Ja, tego... Widzę, że będziemy zmieniać konie. Mamy ten, no... ładny dzień. Może sprawdzę, no, czy nie ma miejsca na zewnątrz.

Wysiadł, gdy tylko powóz się zatrzymał. Kiedy po kilku minutach znów ruszyli, już nie wrócił.

— No, no — odezwała się babcia, gdy dyliżans nabrał tempa. — Wydaje się, że zostaliśmy tylko ty i ja, Gytho. I señor Basilica, który nie zna naszej mowy. Prawda, panie Henry Sluggu?

Henry Slugg wyjął chustkę i otarł czoło.

— Moje panie! Moje drogie panie! Błagam, przez litość bogów...

— Zrobił pan coś złego, panie Slugg? — wypytywała go niania. — Wykorzystał pan kobietę, która nie chciała być wykorzystana? Ukradł pan coś (poza ołowiec z dachu i innymi rzeczami, których braku nikt nawet nie zauważy)? Zamordował pan kogoś, kto na to nie zasługiwał?

— Nie!

— Mówi prawdę, Esme?

Henry wił się pod spojrzeniem babci Weatherwax.

— Tak.

— Aha. No to w porządku — ucieszyła się niania. — Wszystko rozumiem. Sama nie muszę płacić podatku, ale wiem o takich, którzy muszą, a nie chcą.

— Och, nie o to chodzi, zapewniam panią — rzekł Henry. — Zatrudniam ludzi, którzy płacą za mnie podatki.

— To niezła sztuczka — pochwaliła niania.

— Pan Slugg opanował też inną sztuczkę — wtrąciła babcia. — I chyba wiem, na czym polega. To jak cukier i woda.

Henry zamachał rękami.

— Chodzi o to, że gdyby się dowiedzieli... — zaczął.

— Wszystko jest lepsze, jeśli dociera z bardzo daleka. To cała tajemnica.

— Hm... Tak, przynajmniej w części na tym wszystko polega. Przecież nikt nie chciałby słuchać Slugga.

— Skąd pochodzisz, Henry? — spytała niania.

— Ale naprawdę — dodała babcia.

— Wychowałem się przy Gawronim Dziedzińcu, na Mrokach. W Ankh-Morpork. To była straszna, groźna dzielnica. Prowadziły stamtąd tylko trzy drogi. Można było sobie wyśpiewać wyjście na świat albo można było je sobie wywalczyć.

— A trzecia droga? — dopytywała się niania.

— Och, można było przejść przez taki zaułek na ulicę Fałszonogą, a potem skrótem na Kopalnię Melasy — wyjaśnił Henry. — Ale nikt, kto poszedł tamtędy, niczego szczególnego w życiu nie osiągnął.

Westchnął.

— Zarobiłem parę miedziaków, śpiewając w tawernach — opowiadał. — Ale kiedy próbowałem czegoś lepszego, pytali: „Jak się nazywasz?”. Mówiłem jak, a oni się śmiali. Myślałem, czy nie zmienić nazwiska, ale przecież znali mnie wszyscy w Ankh-Morpork. I nikt nie chciał słuchać śpiewu człowieka, który tak pospolicie się nazywa.

Niania pokiwała głową.

— To jak z magikami — stwierdziła. — Nigdy nie nazywają się Fred Jakość. Zawsze to coś w rodzaju: Wielki Zdumioso, prosto z dworu władcy Klatchu, i Gladys.

— Wszyscy wtedy zwracają na niego uwagę — dodała babcia. — I pilnie uważają, żeby się nie zastanowić, po co właściwie, jeśli przybywa od władcy Klatchu, pokazuje sztuczki z kartami w Kromce, która ma raptem siedmioro mieszkańców.

— Sztuka polega na tym, że gdziekolwiek człowiek się znajdzie, powinien pochodzić skądinąd — wyjaśnił Henry. — A potem byłem już sławny, ale...

— Ale zostałeś Enrico — dokończyła babcia.

Przytaknął.

— Chciałem tylko zarobić trochę pieniędzy. Miałem zamiar wrócić i ożenić się z moją małą Angeliną...

— Kto to taki? — wtrąciła babcia.

— Och, to dziewczyna, z którą się wychowywałem — odparł wymijająco Henry.

— Wspólny rynsztok na uliczce w Ankh-Morpork i takie rzeczy? — domyśliła się niania.

— Rynsztok? W tamtych czasach trzeba było się zapisać do kolejki i czekać pięć lat na kawałek rynsztoka — oświadczył Henry. — Ludzi z rynsztoka uważaliśmy za arystokratów. My mieszkaliśmy w ścieku. My i jeszcze dwie inne rodziny. I człowiek, który żonglował węgorzami.

Westchnął znowu.

— Ale oszczędłem stamtąd, i zawsze było jeszcze jakieś miejsce, gdzie powinienem pojechać, i uwielbiali mnie w Brindisi... i... i...

Wytarł nos w chusteczkę, złożył ją starannie i wyjął z kieszeni nową.

— Nie przeszkadza mi makaron i ośmiorniczki — zapewnił. — No, w każdym razie nie za bardzo. Ale za skarby świata nie można tam dostać porządnego kufelka, do wszystkiego dodają oliwy, dostają wysypki od pomidorów, a w całym kraju nie znajdzie się czegoś, co bym nazwał porządnym twardym serem.

Otarł chusteczką twarz.

— Ludzie wszędzie są tacy mili. Myślałem, że w drodze uda się zjeść jaki befsztyk, ale dokądkolwiek trafię, specjalnie dla mnie przyrządzają makaron. W sosie pomidorowym! Czasami nawet smażony! A co robią z ośmiornicami... — Zadrzał. — Potem uśmiechają się i przyglądają, jak to zjadam. Myślą, że mi smakuje! Co ja bym dał za talerz baraniej pieczeni z kopytkami...

— Dlaczego im nie powiesz? — zdziwiła się niania.

Wzruszył ramionami.

— Enrico Basilica je makaron. Teraz nic już nie można na to poradzić. — Rozsiadł się wygodniej. — Interesuje się pani muzyką, pani Ogg? — zapytał.

Niania przytaknęła z dumą.

— Potrafię wydobyć melodię prawie ze wszystkiego, jeśli tylko dostanę parę minut, żeby to obejrzyć. Nasz Jason umie grać na skrzypcach, nasz Kev na trąbce, wszystkie moje dzieci potrafią śpiewać, a nasz Shawn wypierdzi każdą melodię, jaką kto zamówi.

— Wybitnie utalentowana rodzina — przyznał Enrico. Sięgnął do kieszonki kamizelki i wyjął dwa podłużne kartoniki. — Proszę, drogie panie, przyjmijcie to jako drobny dowód wdzięczności od kogoś, kto zjada cudze zapiekanki. Co pozostanie naszą małą tajemnicą, prawda? — Mrugnął desperacko do niani. — To bilety do Opery.

— Zadziwiająca — stwierdziła niania. — Ponieważ wybieramy się właśnie... Au!

— Bardzo dziękujemy — powiedziała babcia, odbierając bilety. — To ładnie z twojej strony. Na pewno skorzystamy.

— A teraz proszę wybaczyć — rzekł Enrico — ale muszę nadgonić sen.

— Nie szkodzi. Nie wydaje się, żeby zdążył uciec za daleko — uspokoiła go niania.

Śpiewak usadowił się wygodnie, nakrył twarz chusteczką i po kilku minutach zaczął chrapać jak człowiek szczęśliwy, który wykonał swój obowiązek i przy odrobinie szczęścia nigdy więcej nie spotka tych irytujących starszych dam.

— Już odpłynął — stwierdziła po chwili niania. Zerknęła na bilety w dłoni babci. — Chcesz iść na operę?

Babcia spoglądała w pustkę.

— Pytałam, czy chcesz iść na operę? — powtórzyła niania.

Babcia przyjrzała się biletom.

— Podejrzewam, że to, czego chcę, nie ma znaczenia.

Niania tylko kiwnęła głową.

Babcia Weatherwax była stanowczo przeciwna fikcji. Życie jest dostatecznie ciężkie bez tych wszystkich kłamstw unoszących się dookoła i zmieniających sposób myślenia ludzi. A że teatr jest fikcją ucieleśnioną, teatru nienawidziła najbardziej. Ale o to właśnie chodziło — nienawiść to dobre określenie. Nienawiść jest siłą przyciągającą — to po prostu miłość odwrócona plecami.

Nie pogardzała teatrem, gdyż wtedy unikałaby go całkowicie. Tymczasem korzystała z każdej okazji, by obejrzeć występy trup aktorskich, które zjawiały się w Lancre. Na każdym przedstawieniu siedziała sztywno wyprostowana w pierwszym rzędzie. Nawet spokojni ludzie z teatrzyków kukielkowych słyszeli ją pośród dzieci. Rzucała uwagi typu „Nieprawda!” albo „Czy to ładnie tak się zachowywać?”. W rezultacie Lancre znane było na całych równinach Sto jako miejsce, gdzie publiczność jest wyjątkowo trudna.

Ale naprawdę nie było ważne, czego chciała. Czy się to komu podoba, czy nie, coś prowadzi czarownice na krawędzie zjawisk, gdzie stykają się różne stany. Wyczuwają przyciąganie drzwi, obwodów, granic, bram, luster, masek...

...i scen.

Śniadanie podawano we wspólnej jadalni w Operze, o wpół do dziesiątej. Aktorzy nie słyną raczej z wczesnego wstawania.

Agnes zaczęła już padać na twarz w swoją jajecznicę, lecz ocknęła się w ostatniej chwili.

— Dzień dobry!!

Christine przysiadła się do niej z tacą, na której — co wcale Agnes nie zaskoczyło — leżał talerzyk z jednym zielonym selerem, jedną rodzynką i mniej więcej łyżka mleka w kubku. Dziewczyna pochyliła się nad Agnes, chwilowo nieco zatroskana.

— Dobrze się czujesz?! Źle wyglądasz!!

Agnes drgnęła w połowie chrapnięcia.

— Nic mi nie dolega — zapewniła. — Jestem tylko trochę zmęczona.

— To świetnie!! — Krótki dialog wyczerpał chyba jej bardziej zaawansowane procesy myślowe i Christine przeszła w tryb automatyczny. — Podoba ci się moja nowa suknia?! — wykrzyknęła. — Czy nie jest śliczna?!

Agnes przyjrzała się.

— Tak — przyznała. — Bardzo... biała. Bardzo koronkowa. Bardzo podkreślająca figurę.

— I wiesz co?!

— Nie. A co?

— Mam już tajemniczego wielbiciela!! To strasznie emocjonujące!! Wszystkie wielkie śpiewaczki takich miały, wiesz?!

— Tajemniczego wielbiciela...

— Tak!! Ta suknia!! Przed chwilą dostarczono ją do wejścia dla aktorów!! Czy to nie ekscytujące?!

— Rzeczywiście dziwne — mruknęła posępnie Agnes. — A przecież jeszcze nawet nie zaśpiewałaś. Hm. Od kogo to?

— Nie zdradził, oczywiście!! Przecież wielbiciel musi być tajemniczy!! Pewnie będzie przysyłał mi kwiaty i pił szampana z mojego bucika!!

— Naprawdę? — Agnes skrzywiła się. — Ludzie tak robią?

— To tradycja!!

Sympatia dla świata aż się z niej wylewała i Christine musiała się nią z kimś podzielić.

— Rzeczywiście wyglądasz na zmęczoną!! — powiedziała. Nagle uniosła dłoń do ust. — Oj!! Przecież zamieniłyśmy pokoje!! Taka byłam niemądra!! A wiesz — dodała z tą pustą przebiegłością, która była najlepszym możliwym dla niej przybliżeniem spostrzegawczości — mogłabym przysiąc, że słyszałam w nocy śpiew!! Ktoś ćwiczył oktawy?!

Agnes była nauczona mówić prawdę. Wiedziała, że powinna odpowiedzieć: „Chyba przez pomyłkę dostałam kawałek twojego życia. Przykro mi, nastąpiło nieporozumienie”.

Ale nauczono ją też, by robić, co jej każą, nie pchać się do przodu, szanować starszych i nie przeklinać słowami gorszymi niż „choroba”.

A teraz mogła sobie pożyczyć bardziej interesującą przyszłość. Tylko na jedną, najwyżej dwie noce. Przecież w każdej chwili może zrezygnować.

— Wiesz, to zabawne — stwierdziła. — Bo przecież byłam w sąsiednim pokoju, a niczego nie słyszałam.

— Nie?! No to wszystko w porządku!!

Agnes przyjrzała się skromnemu posiłkowi koleżanki.

— To całe twoje śniadanie?

— O tak!! Mogłabym przecież nadąć się jak balon!! Ty masz szczęście, możesz jeść wszystko!! Nie zapomnij, że za pół godziny mamy próbę!!

I odbiegła.

Ma w głowie tylko powietrze, uznała Agnes. Na pewno nie chciała mnie urazić.

Ale głęboko w jej wnętrzu Perdita X. Dream pomyślała brzydkie słowo.

Pani Plinge wyjęła z komórki miotłę i obejrzała się.

— Walterze!

Głos zabrzmiał echem na pustej scenie.

— Walterze!

Niespokojnie zastukała w podłogę kijem od miotły. Walter zawsze postępował zgodnie z rutynową procedurą. Nauczenie go tej rutyny zajęło całe lata. Dlatego tak dziwna była jego nieobecność na właściwym miejscu we właściwej chwili.

Pani Plinge pokręciła głową i wzięła się do pracy. Widziała, że nie obejdzie się bez szorowania. I miną wieki, zanim uda się pozbyć tego zapachu terpentyny.

Ktoś przeszedł po scenie, pogwizdując.

Pani Plinge była oburzona.

— Panie Pounder!

Zawodowy szczurobójca zatrudniony w gmachu Opery przystanął i odłożył wyrwijący się worek. Nosił cylinder, by pokazać, że należy do kategorii wyższej niż zwykły szcurzy funkcjonariusz; rondo było grube od wosku ściekającego ze świec, jakimi oświetlał sobie drogę w ciemnych piwnicach.

Pracował wśród szcurów tak długo, że sam stał się nieco podobny do szczura. Jego twarz wyglądała na przedłużenie nosa do tyłu. Wąsiki sterczały. Przednie zęby były duże. Ludzie odruchowo szukali wzrokiem jego ogona.

— O co chodzi, pani Plinge?

— Wie pan przecież, że nie wolno gwizdać na scenie! To przynosi pecha!

— No tak, ale to z radości, pani Plinge. Gdyby wiedziała pani to, co ja wiem, też byłaby pani szczęśliwym człowiekiem. Chociaż w pani przypadku byłaby pani raczej szczęśliwą kobietą, a to z powodu tego, że jest pani kobietą. Ach! Czegóż to ja nie widziałem, pani Plinge!

— Znalazł pan złoto w tych piwnicach, panie Pounder?

Pani Plinge przyklękła, by starannie zeszkrobać plamkę farby. Pan Pounder chwycił worek i ruszył dalej.

— Mogłoby to być złoto, pani Plinge! — zapewnił jeszcze. — Równie dobrze mogłoby to być złoto!

Chwilę trwało, nim pani Plinge zmusiła swe artretyczne kolana, by pozwoliły jej wstać i odwrócić się.

— Słucham, panie Pounder?

Z pewnej odległości dobiegło głucho uderzenie, jak gdyby kiść worków z piaskiem wylądowała miękko na podłodze.

Scena była rozległa, naga i pusta — jeśli nie liczyć sunącego z determinacją ku wolności worka pana Poundera.

Pani Plinge rozejrzała się uważnie.

— Panie Pounder? Gdzie pan jest?

Nagle odniosła wrażenie, że scena jest jeszcze większa i jeszcze wyraźniej pusta niż przed chwilą.

— Panie Pounder! Hej, hej!

Wyciągnęła szyję.

— Halo! Panie Pounder!

Coś sfrunęło z góry i wylądowało obok niej...

Był to brudny czarny cylinder z ogarkami świec na rondzie.

Uniosła głowę.

— Panie Pounder? — szepnęła.

Pan Pounder był przyzwyczajony do mroku. Mrok nie budził w nim lęku. Zawsze też był dumny z tego, że widzi w ciemności. Jeśli zauważył jakiegokolwiek światło, jasną plamkę czy lśnienie fosforyzującego próchna, potrafił je wykorzystać. Kapelusz ze świecami służył mu bardziej na pokaz niż do praktycznego stosowania.

Kapelusz... Zdawało mu się, że go zgubił, ale — to dziwne — wciąż go miał na głowie. Rzeczywiście. W zadumie potarł szyję. Chodziło o coś ważnego, czego nie mógł sobie przypomnieć...

Było bardzo ciemno.

PIP?

Unióś głowę.

W powietrzu, mniej więcej na wysokości oczu, unosiła się okryta czarną szatą postać wielkości jakichś sześciu cali. Spod kaptura wystawał kościsty nos z zakrzywionymi wąsikami. Drobne kościste palce ścisnęły bardzo małą kosę.

Pan Pounder pokiwał ze zrozumieniem głową. Człowiek, którego przyjęli do Wewnętrznej Kręgi Gildii Szczurobójców, musiał przez lata słyszeć różne powtarzane szeptem plotki. Szczury mają swojego Śmierć, podobnie jak swoich królów, parlamenty i narody. Co prawda żaden człowiek nigdy ich nie widział...

Aż do teraz.

Poczuł się zaszczycony. Od pięciu lat co roku zdobywał Złoty Młotek za najwięcej schwytanych szcurów, ale szanował je, tak jak żołnierz czuje szacunek dla chytrego i odważnego przeciwnika.

— Eee... Jestem martwy, prawda?

PIP.

Pan Pounder czuł, że obserwują go liczne oczy. Liczne malutkie, błyszczące oczka.

— I... co teraz?

PIP.

Dusza pana Poundera spoglądała na jego ręce. Zdawały się wydłużać, porastać sierścią... Czuł, jak rosną mu uszy, czuł także pewne krępujące wydłużenie u podstawy kręgosłupa. Większą część swego życia poświęcił dość jednostajnym czynnościom w ciemnych miejscach, ale mimo to...

— Przecież ja nie wierzę w reinkarnację! — zaprotestował.

PIP.

A to — co pan Pounder zrozumiał z absolutną, szcurzą pewnością — oznaczało: reinkarnacja wierzy w ciebie.

Pan Kubel bardzo ostrożnie przejrzał pocztę i wreszcie odetchnął, kiedy w stosie nie znalazł kolejnego listu z godłem Opery w Ankh-Morpork.

Oparł się wygodnie i wysunął szufladę biurka.

Leżała tam koperta.

Przyjrzał się jej, a potem bardzo powoli sięgnął po nóż do papieru.

Zzziiut...

...szur szur...

Będę zobligowany, jeśli Christine wystąpi jako Iodyna w dzisiejszym przedstawieniu „La Triviata”.

Pogoda nadal dopisuje. Mam nadzieję, że cieszy się pan dobrym zdrowiem.

Łączę wyrazy szacunku
Upiór Opery

— Salzella! Panie Salzella!

Kubel odsunął fotel i pędem ruszył do drzwi. Otworzył i stanął twarzą w twarz z baleriną, która zaczęła wrzeszczeć.

Ponieważ i tak miał nerwy napięte jak postronki, wrzasnął w odpowiedzi. Przyniosło to skutek taki, jaki zwykle osiąga mokry ręcznik albo silny policzek: umilkła i spojrzała na niego z urazą.

— Zaatakował znowu, prawda? — jęknął Kubeł.

— Jest tutaj! To Upiór! — krzyknęła dziewczyna, która wyraźnie postanowiła wygłosić swoją kwestię, choć nie było to już potrzebne.

— Tak, tak, chyba wiem! — ryknął Kubeł. — Mam tylko nadzieję, że nie był to nikt kosztowny!

Zatrzymał się jeszcze w połowie korytarza i odwrócił gwałtownie. Dziewczyna cofnęła się przerażona przed jego wyciągniętym groźnie palcem.

— Przynajmniej stawaj na paluszkach! — krzyknął. — Samo twoje przyjscie tutaj kosztowało już pewnie z dolara!

Na scenie zebrała się spora grupka. W samym środku była nowa dziewczyna, ta gruba. Klęczała, uspokajając jakąś starszą kobietę. Tę Kubeł niejasno sobie przypominał: należała do pracowników, których zyskał razem z budynkiem — element całości, podobnie jak szczury i gargulce, które obsiadły dach.

Kobieta przyciskała coś do piersi.

— Spadł tutaj — powtarzała. — Jego nieszczęsny kapelusz...

Kubeł spojrział w górę. Kiedy oczy przyzwyczyały się do ciemności, rozróżnił wśród belek jakiś wirujący powoli kształt.

— Och... — westchnął. — A już mi się wydawało, że napisał taki uprzejmy list...

— Doprawdy? — odezwał się Salzella, podchodząc z tyłu. — To niech pan teraz przeczyta ten.

— Muszę?

— Jest adresowany do pana.

Kubeł rozłożył arkusik papieru.

Hahahaha! Ahahahaha!

Z wyrazami szacunku

Upiór Opery

PS Ahahahaha!!!!

Spojrział zrozpaczony na Salzellę.

— Kim jest ten biedak na górze?

— Pan Pounder, szczurobójca. Sznur oplatał mu się wokół szyi, a do drugiego końca umocowane były worki z piaskiem. Worki spadły na dół, on... poleciał w górę...

— Nie rozumiem! Czy ten Upiór oszalał?

Salzella objął go za ramiona i odprowadził na bok.

— No cóż — powiedział jak najłagodniej. — Jest to człowiek, który zawsze nosi strój wieczorowy, czai się w mroku, a od czasu do czasu zabija innych ludzi. Potem wysyła liściki, w których zapisuje obłąkańczy śmiech. Znowu pięć wykrzykników, jak zauważyłem. Zadajmy więc sobie pytanie: czy to kariera dla kogoś całkiem zdrowego na umyśle?

— Ale dlaczego on to robi? — jęknął Kubeł.

— To pytanie jest sensowne tylko wtedy, gdy mamy do czynienia z kimś psychicznie normalnym — odparł spokojnie Salzella. — Ale ten może to robić, bo tak mu każą małe żółte skrzaty.

— Normalny? Jak tutaj może być normalny? — rzucił Kubeł. — Miał pan rację, wie pan? Atmosfera tego miejsca każdego może doprowadzić do szaleństwa. Możliwe, że jestem tu jedyny, który pewnie stoi obiema nogami na ziemi.

Obejrzał się. Zmrużył gniewnie oczy, widząc grupę dziewcząt z baletu, które nerwowo szeptały między sobą.

— Hej, wy tam! — krzyknął. — Nie stojcie tak! Chcę widzieć, jak wysoko podskakujecie! Na jednej nodze!

Wrócił do Salzelli.

— Co to ja mówiłem?

— Mówił pan, że pewnie stoi obiema nogami na ziemi. W przeciwieństwie do *corps de ballet*. I *corps de Pounder*.

— Sądzę, że ta uwaga była w złym guście — zauważył chłodno Kubeł.

— Moim zdaniem — rzekł dyrektor muzyczny — powinniśmy zamknąć Operę, zabrać wszystkich sprawnych mężczyzn, wydać im pochodnie, przeszukać budynek od dachu po piwnice, wykurzyć go, pogonić przez miasto, złapać, rozbić na miazgę, a to, co zostanie, wrzucić do rzeki. To jedyny sposób, by mieć pewność.

— Wie pan, że nie stać nas na zamknięcie Opery — odparł Kubeł. — Podobno zarabiamy tysiące dolarów tygodniowo, ale i wydajemy tysiące dolarów tygodniowo. Nie mam pojęcia, co się z nimi dzieje. Myślałem, że kierowanie tutaj polega na ściągnięciu ludzi na widownię, ale ile razy podniosę wzrok, widzę kogoś ściągniętego do góry, obracającego się wolno w powietrzu... Sam siebie pytam, co jeszcze nas czeka...

Popatrzyli na siebie, a potem ich spojrzenia, jakby kierowane jakimś zwierzęcym magnetyzmem, równocześnie skierowały się ku widowni... I odnalazły potężną, migotliwą bryłę żyrandola.

— Och nie... — jęknął Kubeł. — Do tego się nie posunie, prawda? Wtedy naprawdę musielibyśmy zamknąć...

Salzella westchnął tylko.

— Proszę posłuchać... To waży niemal tonę, a wisi na linie grubszej niż pańskie ramię. Bloki, kiedy się ich nie używa, są zamknięte na kłódkę. Nic nam nie grozi.

Popatrzyli na siebie znowu.

— Postawię kogoś na straży. W czasie przedstawienia mocowanie nie zostanie bez nadzoru ani przez minutę — obiecał Salzella. — Sam przypilnuję, jeśli pan woli.

— Ale on chce, żeby Christine zaśpiewała dziś partię Iodyny! Przecież ona ma głos jak gwizdek!

Salzella uniósł brew.

— To chyba najmniejszy z naszych problemów, nie sądzi pan?

— Doprawdy? Przecież to istotna rola!

Salzella objął właściciela ramieniem.

— Chyba już czas, by odkrył pan kilka mniej znanych zakątków tego cudownego świata, jakim jest opera — powiedział.

Dyżans zahamował i stanął na placu Sator w Ankh-Morpork. Agent biura czekał niecierpliwie.

— Jest pan spóźniony o piętnaście godzin, panie Reeve! — zawołał.

Woźnica obojętnie skinął głową. Odwiesił lejce, zeskoczył z kozła i sprawdził konie. Jego ruchy wydawały się odrobinę sztywne.

Pasażerowie pospiesznie brali swoje bagaże.

— I co? — zapytał agent.

— Zatrzymaliśmy się na piknik — odparł woźnica. Twarz miał poszarzałą.

— Stanęliście na piknik?

— I trochę śpiewów. — Woźnica wyjął spod kozła worki z obrokiem.

— Chce pan powiedzieć, że zatrzymał pan pocztowy dyżans na piknik i śpiewy?

— Aha, i jeszcze kot utknął na drzewie. — Woźnica posłał dłoń i agent zauważył, że jest obwiązana chustką. Oczy woźnicy zaszyły mgiełką wspomnień. — A potem były historie.

— Jakie historie?

— Ta mała gruba uznała, że każdy musi opowiedzieć jakąś historię, by czas szybciej mijał.

— Tak? Nie rozumiem, w jaki sposób mogło to spowolnić przejazd.

— Powinieneś pan usłyszeć jej historię. Tę o bardzo wysokim człowieku i fortepianie. Tak się zawstydzilem, że spadłem z powozu. Ja takich słów nie użyłbym nawet przy mojej własnej drodzej babci.

— I oczywiście — rzekł agent, który szczycił się swym ironicznym stosunkiem do świata — podczas tego wszystkiego nawet nie przemknęły panu przez myśl słowa „rozkład jazdy”?

Woźnica przystanął i po raz pierwszy spojrzał wprost na agenta. Ten cofnął się o krok — zobaczył twarz człowieka, który na lotni przefrunął nad piekłem.

— Sam im pan to powiedz — rzucił woźnica i odszedł.

Agent spojrzał za nim zdziwiony, po czym zbliżył się do drzwi.

Chudy człowieczek z udręką na twarzy wysiadł, ciągnąc za sobą wielkiego, grubego mężczyznę. Mówił coś szybko w języku, którego agent nie rozumiał.

A potem agent został sam przy powozie i koniach, wewnątrz rozszerzającego się szybko kręgu odchodzących pasażerów.

Otworzył drzwiczki i zajrzał do środka.

— Dzień dobry — powiedziała niania Ogg.

Ze zdziwieniem spoglądał to na nią, to na babcię Weatherwax.

— Czy wszystko w porządku, drogie panie?

— Bardzo przyjemna podróż — zapewniła niania, ujmując go pod ramię. — Następnym razem stanowczo skorzystamy z usług tej linii.

— Woźnica wspominał, że były jakieś problemy...

— Problemy? — zdziwiła się babcia. — Niczego nie zauważyłam. A ty, Gytho?

— Mógłby się trochę bardziej pospieszyć z drabiną — stwierdziła niania, wysiadając z powozu. — I jestem pewna, że mruczał coś pod nosem, kiedy się zatrzymaliśmy, żeby podziwiać widoki. Ale skłonna jestem mu wybaczyć.

— Zatrzymaliście się, żeby podziwiać widoki? — zdumiał się agent. — Kiedy?

— Och, kilka razy. Przecież nie ma sensu tak ciągle pędzić, prawda? Wolniej jedziesz, dalej dojedziesz i w ogóle. Czy mógłby pan wskazać nam drogę na ulicę Wiązów? Mamy kwaterę u pani Palm. Nasz Nev bardzo dobrze się o niej wyrażał. Mówił, że nikt go tam nigdy nie szukał...

Agent cofnął się, jak prawie wszyscy wobec niesamowitego tempa wymowy niani.

— Ulica Wiązów? — powtórzył. — Ale... szanowane damy nie powinny tam być...

Niania poklepała go po ramieniu.

— Bardzo dobrze — powiedziała. — W ten sposób nie spotkamy nikogo znajomego.

Kiedy babcia mijała konie, usiłowały schować się za powozem.

Kubeł uśmiechnął się promiennie. Na jego twarzy błyszczały drobne kropelki potu.

— Ach, Perdita — powiedział. — Siadaj, moja droga. Tego... podoba ci się u nas, jak dotąd?

— Tak. Bardzo dziękuję, proszę pana — odparła grzecznie Agnes.

— Dobrze. To dobrze. Czy to nie dobrze, Salzella? Czy nie uważa pan, że to dobrze, panie Undershaft?

Agnes spojrzała na trzy zatroskane twarze.

— Bardzo nas to cieszy — zapewnił ją Kubeł. — I jeszcze, tego... mamy dla ciebie wspaniałą propozycję, dzięki której spodoba ci się u nas jeszcze bardziej.

Agnes przyglądała się im z uwagą.

— Tak? — spytała czujnie.

— Wiemy, że... że dopiero od niedawna jesteś tu z nami, ale postanowiliśmy, eee...

— Kubeł przełknął nerwowo ślinę. — Postanowiliśmy, że pozwolimy ci zaśpiewać partię Iodyny w dzisiejszym przedstawieniu „La Triviaty”.

— Tak?

— Ehm... Nie jest to żadna z głównych ról, ale oczywiście zawiera słynną arię „Pożegnanie”...

— Aha. I co?

— Ehm... Widzisz, jest... tego... jest coś... — Kubeł zrezygnował i bezradnie obejrzał się na dyrektora muzycznego. — Salzella!

Salzella pochylił się nad Agnes.

— Właściwie chcielibyśmy, Perdito, żebyś zaśpiewała tę rolę, ale nie... ale nie żebyś ją zagrała.

Agnes słuchała ich wyjaśnień. Będzie stała w chórze, tuż za Christine. Christine dostanie polecenie, by śpiewać bardzo cicho. Takie rzeczy robiło się już dziesiątki razy, tłumaczył Salzella. O wiele częściej, niż publiczność się domyśla: kiedy śpiewaków bolało gardło albo całkiem stracili głos, albo przyszli na przedstawienie tak pijani, że ledwie mogli ustać, albo — przy pewnej dramatycznej okazji wiele lat temu — kiedy umarli w czasie przerwy i w konsekwencji odśpiewali swoją słynną arię, korzystając z przywiązanego do grzbietu kija od miotły i sznurka poruszającego szczęką.

To nie było niemoralne. Przedstawienie musi trwać.

Otaczał ją krąg desperacko uśmiechniętych twarzy.

Mogę zwyczajnie stąd wyjść, myślała. Mogę zostawić te wyszczerzone twarze i tego tajemniczego Upiora. Nie zdołają mnie zatrzymać.

Ale nie miała dokąd pójść — mogła najwyżej wrócić.

— Tak, no... zgoda — powiedziała. — Jestem... no... ale dlaczego w ten sposób? Czy nie mogę normalnie zająć jej miejsca i zaśpiewać?

Mężczyźni spojrzeli po sobie z zakłopotaniem, a potem zaczęli mówić wszyscy naraz.

— Tak, ale widzisz, Christine jest... ma większe doświadczenie...

— ...orientację techniczną...

— ...osobowość sceniczną...

— ...widoczne umiejętności liryczne...

— ...pasuje do kostiumu...

Agnes popatrzyła na swoje duże dłonie. Czuła, że rumieniec nadciąga niczym horda barbarzyńców, paląc wszystko na swojej drodze.

— Chcielibyśmy, jak to mówią — rzekł Kubeł — żebyś była duchem tej roli...

— Duchem? Takim niby-upiorem?

— To taki sceniczny termin — wyjaśnił Salzella.

— Aha, rozumiem — mruknęła Agnes. — Tak, oczywiście. Postaram się jak najlepiej.

— Doskonale — ucieszył się Kubeł. — Nie zapomnimy ci tego. I jestem przekonany, że idealna dla ciebie rola pojawi się już niedługo. Zgłoś się po południu do pana Undershafta, który nauczy cię wszystkiego.

— Hm... Całkiem dobrze znam tę partię, dziękuję.

— Doprawdy? Skąd?

— Ja... brałam lekcje.

— Brawo, moja droga. To dowodzi wielkiej bystrości. Jesteśmy pełni podziwu. Ale mimo to zjaw się u pana Undershafta...

Agnes wstała i wyszła ze spuszczoną głową.

Undershaft westchnął ciężko.

— Biedne dziecko — stwierdził. — Za późno przyszła na świat. Kiedyś w operze chodziło tylko o głosy. Wiecie, pamiętam czasy wielkich sopranów. Donna Violetta Gligli, donna Clarissa Extendo... Ciekawe, co się z nimi stało.

— Czy klimat się nie zmienił w tym czasie? — spytał złośliwie Salzella.

— A tam mamy figurę, która powinna się przyczynić do wznowienia „Pierścienia Nibelungingungów” — ciągnął Undershaft. — To dopiero była opera...

— Trzy dni bogów pokrzykujących na siebie i dwadzieścia minut wpadających w ucho melodii? — mruknął Salzella. — Nie, dziękuję bardzo.

— Ale czy nie słyszy pan jej śpiewającej Hildabrunę, pierwszą z Walkirii?

— Tak. O tak. Niestety, słyszę ją również śpiewającą karła Nobbo i Io, przywódcę bogów.

— To były czasy! — westchnął smutnie Undershaft. — Wtedy mieliśmy prawdziwe opery. Pamiętam, jak donna Veritasi wepchnęła trębacza do jego własnej tuby, bo ośmielił się ziewnąć...

— Tak, tak, ale teraz mamy Wiek Nietoperza. — Salzella wstał. Rzucił okiem na drzwi i pokręcił głową. — Zadziwiające — stwierdził. — Myślicie, że ona zdaje sobie sprawę z tego, jaka jest gruba?

Babcia zapukała i otworzyły się drzwi dyskretnej rezydencji pani Palm.

Za progiem stała młoda dziewczyna. Bardzo wyraźnie dziewczyna. Absolutnie nie można jej było pomylić z chłopcem w żadnym znanym języku — zwłaszcza w Braille'u.

Niania zajrzała nad jej upudrowanym ramieniem do wnętrza pełnego czerwonego pluszu i złocień, potem zerknęła na nieruchomą twarz babci Weatherwax, a potem znów na dziewczynę.

— Kiedy wrócimy do domu, wygarbuję Nevowi skórę — mruknęła. — Chodźmy, Esme. Nie chcesz tu wchodzić. Za długo by tłumaczyć...

— Ojej, babcia Weatherwax! — zawołała radośnie dziewczyna. — A kto to z wami przyszedł?

Niania obejrzała się na babcię, której wyraz twarzy nie zmienił się ani trochę.

— Niania Ogg — powiedziała wreszcie. — Tak, jestem niania Ogg. Mama Neva — dodała ponuro. — W samej rzeczy. Tak. Dlatego że jestem... — Słowa „szanowaną wdową” usiłowały precyzyjnie się dostrunąć, ale zrezygnowały, porażone ogromem fałszu. Poprzestała więc na: ...jego matką. Tak. Matką Neva.

— Witaj, Colette — powiedziała babcia. — Jakie masz fascynujące kolczyki! Czy pani Palm jest w domu?

— Zawsze jest w domu dla ważnych gości — odparła Colette. — Wejdźcie, babciu, wszyscy się ucieszą!

Babcia wkroczyła w szkarłatny półmrok, witana radosnymi okrzykami.

— Co? Już tu byłaś? — zdumiała się niania, obserwując różowe ciała i białe koronki tworzące większą część dekoracji.

— Oczywiście. Pani Palm to moja stara przyjaciółka. Niemalże czarownica.

— Ale... ale wiesz, co to za miejsce, Esme? — Niania Ogg czuła dziwną irytację. Bez oporu ustępowała babci pierwszeństwa w dziedzinie doświadczeń ze świata umysłu i magii, ale żywiła mocne przekonanie, że pewne specjalistyczne obszary wiedzy zdecydowanie należą do terytorium Oggów. Babcia Weatherwax nie powinna się nawet domyślać, czego dotyczą.

— Oczywiście — odparła spokojnie babcia.

Cierpliwość niani wreszcie się wyczerpała.

— To dom o złej reputacji, ot co!

— Wręcz przeciwnie. Słyszałam, że bywalcy bardzo go chwalą.

— Wiedziałaś? I nie powiedziałaś mi?

Babcia z ironią uniosła brew.

— Damie, która wymyśliła truskawkowego chwiacza?

— Niby tak, ale...

— Wszyscy przeżywamy swoje życie najlepiej, jak potrafimy, Gytho. A wielu ludzi uważa, że to czarownice są złe.

— Tak, ale...

— Zanim zaczniesz kogoś krytykować, Gytho, przejdź milę w jego butach — poradziła babcia z lekkim uśmieszkiem.

— W butach, które ona nosiła, skrzyłabym sobie nogę — odparła niania, zaciskając zęby. — Potrzebowałabym drabiny tylko po to, żeby się do nich dostać.

Doprowadzało ją do wściekłości to, jak babcia sprytnie zmusiła ją do wygłaszania swojej części dialogu. I pozwoliła jej otworzyć przed samą sobą własny umysł — w sposób zupełnie nieoczekiwany.

— Poza tym miło nas tu witają, a łóżka są wygodne — dodała babcia.

— I pewnie ciepłe. — Niania skapitulowała wreszcie. — I zawsze przyjazne światło pali się w oknie.

— Coś podobnego, Gytho Ogg... Myślałam, że nie da się ciebie zaszokować.

— Zaszokować nie. Ale zdziwić jest całkiem łatwo.

Kierownik chóru, doktor Undershaft, spojrzął na Agnes ponad krawędziami swoich półkolistych szkieł.

— Aria „Pożegnanie”, jak się ją nazywa — rzekł — to prawdziwe małe arcydzieło. Nie należy do wielkich przebojów operowych, ale jest bardzo popularna.

Oczy błysnęły mu wilgocią.

— *Questa maledetta*, śpiewa Iodyna, mówiąc Peccadillovi, jak trudno jej go opuścić... *Questa maledetta porta si blocccccce, Si blocca comunque diavolo lo facccc-cio...!*

Przerwał i zaczął bardzo starannie przecierać chusteczką okulary.

— Kiedy Gigli to śpiewała, nie było suchych oczu na widowni — mamrotał. — Byłem tam. Właśnie wtedy postanowiłem... Och, wspomniałe czasy.

Założył okulary i wytarł nos.

— Zaśpiewam ci raz — powiedział. — Żebyś wiedziała, jak to powinno iść. Proszę bardzo, André.

Młody człowiek, którego ściągnięto, żeby zagrał na fortepianie w sali prób, mrugnął do Agnes porozumiewawczo.

Udała, że go nie widzi, i z wyrazem skupienia wysłuchiwała, jak starszy pan przebija się przez muzykę.

— A teraz — powiedział w końcu — sprawdzimy, jak sobie radzisz.

Wręczył jej nuty i skinął na pianistkę.

Agnes zaśpiewała arię, a przynajmniej kilka początkowych taktów. André przestał grać i oparł głowę o fortepian, usiłując powstrzymać śmiech.

— Ehm... — powiedział Undershaft.

— Czy zrobiłam coś złe?

— Śpiewałaś tenorem — wyjaśnił, patrząc na André surowo.

— Śpiewała pańskim głosem!

— Może spróbowałabyś zaśpiewać tak, jak... hm, jak śpiewałaby Christine?

Zaczęli od początku.

— *Questa?! Maledetta!!...*

Undershaft uniósł ręce. André od tłumionego śmiechu trzęsły się ramiona.

— Tak, tak. Bardzo celna obserwacja, jeśli mogę to ocenić. Ale zaczniemy jeszcze raz, a ty, no... a ty zaśpiewasz tak, jak twoim zdaniem należy to śpiewać.

Agnes kiwnęła głową.

Zaczęli...

...i skończyli.

Undershaft usiadł, odwrócony bokiem. Nie oglądał się, jakby unikał jej wzroku. Agnes przyglądała mu się niepewnie.

— Eee... czy było dobrze? — spytała.

André wstał od fortepianu i wziął ją za rękę.

— Myślę, że lepiej zostawić go samego — powiedział cicho i pociągnął ją w stronę drzwi.

— Tak źle śpiewałam?

— Nie... niezupełnie.

Undershaft uniósł głowę, choć nadal się nie oglądał.

— Więcej ćwiczeń z tymi R, madame, i proszę się starać o pewniejsze brzmienie powyżej pięciolinii — rzucił chrapliwie.

— Tak. Tak, spróbuję.

André wyprowadził ją na korytarz, zamknął drzwi i zwrócił się do niej:

— To było naprawdę niesamowite. Słyszałaś kiedyś, jak śpiewała wielka Gigli?

— Nie wiem nawet, kto to jest Gigli. Co takiego śpiewałam?

— Tego też nie wiesz?

— Nie. Nie wiem, co to znaczy.

André spojrzał na trzymane w ręce nuty.

— Hm... Nie jestem za dobry w językach, ale wydaje mi się, że początek oznacza mniej więcej:

Te przeklęte drzwi się zacięły!

Te przeklęte drzwi się zacięły!

Zacinają się, cokolwiek robię, do diabła!

Napisane jest „Ciagnąć” i rzeczywiście ciągnę.

Może powinien tu być napis „Pchać”?

Agnes zamrugła niepewnie.

— I to jest to?

— Tak.

— Ale to przecież ma być bardzo wzruszające i romantyczne...

— Bo jest — odparł André. — Było. Nie w prawdziwym życiu, ale to jest opera. Nie jest ważne, co znaczą słowa. Liczą się uczucia. Czy ktoś ci mówił...? Wiesz co? Siedzę na próbach całe popołudnie, ale może byśmy się spotkali jutro? Może po śniadaniu?

Nie, nie, pomyślała Agnes. Znów się zaczyna.

Rumieniec niepowstrzymanie sunął w górę. Zastanowiła się, czy jeśli pewnego dnia dotrze do twarzy, będzie wznosił się dalej i skończy jako wielka różowa chmura nad jej głową.

— Eee... tak — powiedziała. — Tak. To będzie... bardzo pomocne.

— Muszę już iść. — Uśmiechnął się do niej lekko i poklepał ją po ręce. — I wiesz... naprawdę mi przykro, że tak się ułożyło. Bo... to było niesamowite.

Odwrocił się już i odszedł kilka kroków, ale przystanął.

— Eee... przepraszam, jeśli cię wczoraj wystraszyłem — powiedział.

— Co?

— Na schodach.

— Ach, to. Nie przestraszyłam się.

— Ale... no... nie wspomniałaś o tym nikomu? Nie chciałbym, żeby uważali, że przejmuję się głupstwami.

— Nie myślałam już o tym, prawdę mówiąc. Wiem, że nie możesz być Upiorem, jeśli o to ci chodzi. Prawda?

— Ja? Upiorem? Cha, cha!

— Cha, cha — zgodziła się Agnes.

— No to... do zobaczenia jutro.

— Świetnie.

Głęboko zamyślona ruszyła do swojego pokoju.

A tam była Christine, krytycznie spoglądającą w lustro. Odwróciła się gwałtownie, kiedy weszła Agnes — nawet poruszała się z wykrzyknikami.

— Och, Perdito!! Słyszałaś?! Mam dzisiaj śpiewać partię Iodyny!! Czy to nie cudowne?!

Podbiegła, spróbowała podnieść Agnes i ją uściskać. W końcu poprzestała na uściskach.

— I podobno pozwolili ci już wystąpić w chórze?!

— Rzeczywiście.

— Czy to nie miłe?! Cały ranek ćwiczyłam z panem Salzellą!! Kesta?! Mallydetta!! Porter sy bloker!!

Zawirowała radośnie. Niewidzialne cekiny wypełniły powietrze blaskiem.

— Kiedy będę już sławna, nie pożałujesz, że byłam twoją przyjaciółką!! Zrobię, co tylko można, żeby ci pomóc!! Jestem pewna, że przynosisz mi szczęście!!

— Rzeczywiście — zgodziła się załamana Agnes.

— Bo kiedyś mój kochany tato powiedział, że pewnego dnia zjawi się kochany mały skrzat i pomoże mi osiągnąć mój wielki cel, i wiesz co?! Myślę, że ten skrzacik to ty!!

Agnes uśmiechnęła się smętnie. Kiedy człowiek już trochę poznał Christine, musiał walczyć z pragnieniem, by zajrzeć jej do ucha i sprawdzić, czy nie zobaczy światła wpadającego z drugiej strony.

— Wiesz... zdawało mi się, że zamieniłyśmy pokoje.

— Ach, to!! — Christine uśmiechnęła się. — Czy to nie było niemądre?! Zresztą będzie mi potrzebne duże lustro, skoro mam zostać primadonną!! Nie przeszkadza ci to, prawda?!

— Co? Aha... Nie, oczywiście, że nie. No... skoro jesteś pewna...

Agnes spojrzała na lustro, potem na łóżko. I w końcu na Christine.

— Nie — powiedziała, zaszokowana ogromem idei, jaka się właśnie pojawiła w jej głowie, nadesłana przez Perditę. — Wcale mi to nie przeszkadza.

Doktor Undershaft wytarł nos i spróbował się uspokoić. Nie musi się przecież zgadzać. Może rzeczywiście to dziecko jest trochę tęgie, ale Gigli na przykład zgniotła kiedys tenora na śmierć i nikt nie miał jej tego za złe.

Złoży Kubłowi protest.

Doktor Undershaft miał w życiu tylko jedną ideę: wierzył w głosy. To nieważne, jaki kto ma kształt. Nigdy nie oglądał opery z otwartymi oczami. Liczyła się muzyka, nie gra, a już z pewnością nie sylwetki śpiewaków.

Co to ma za znaczenie, jak się wygląda? Donna Tessitura miała na brodzie szczecinę, o którą można było zapalać zapałki, i spłaszczony nos na połowę twarzy, ale nadal była jednym z najlepszych kontraltów, jakie otwierały kciukiem butelkę piwa.

Naturalnie, Salzella twierdzi, że o ile ludzie zaakceptują wielką i grubą pięćdziesięcioletnią kobietę, która gra szczupłą siedemnastolatką, to nie zgodzą się, że może to robić gruba siedemnastolatka. Uważał, że bez oporów przełkną wielkie oszustwo, ale udławił się małym kłamstwem. Salzella często powtarzał takie rzeczy.

W ogóle ostatnio źle się układało. Cały gmach zdawał się... chory, o ile budynki mogą chorować. Wciąż zjawiały się tłumy, ale jakoś nie było już pieniędzy. Wszystko strasznie podrożało... A teraz kupił ich handlarz sera, na miłość bogów... Jakiś brudny sklepikarz, który pewnie zechce realizować swoje wymysły. Tutaj potrzebny jest człowiek interesu, jakiś księgowy, który potrafi sprawnie dodawać kolumny liczb i nie będzie się wtrącał. Na tym polegał cały kłopot z właścicielami, których tu przeżył — na początku mieli się tylko za ludzi interesu, a potem zaczęli uważać, że mogą wnieść jakieś artystyczne przemyslenia.

Chociaż z drugiej strony handlarze sera muszą przecież dodawać swoje sery. Był ten obecny siedział w swoim gabinecie, a nie łąził wszędzie i nie zachowywał się jak właściciel tylko dlatego, że akurat jest właścicielem...

Undershaft zamrugął. Znowu skreślił nie tam, gdzie trzeba. Nieważne, jak długo człowiek tu pracuje, Opera jest prawdziwym labiryntem. Trafił za scenę, do pomieszczenia orkiestry. Wszędzie stały instrumenty i składane krzesła. Nogą zaczepił o butelkę po piwie...

Brzęk struny sprawił, że rozejrzał się uważnie. Połamane instrumenty zalegały na podłodze. Zauważył kilka rozbitych skrzypiec, jakieś połamane oboje, puzon z wyrwanym suwadłem...

Spojrzał prosto w czyjaś twarz.

— Ale... dlaczego ty...

Półkoliste okulary wirowały przez chwilę w powietrzu, aż roztrzaskały się o podłogę.

Potem napastnik zsunął maskę, gładką i białą jak czaszka anioła, i zrobił krok naprzód.

Doktor Undershaft zamrugał...

Panowała ciemność. Jakaś postać w czarnej pelerynie uniosła głowę i spojrzała na niego przez białe jak kość oczodoły. Ostatnie wspomnienia Undershafta były nieco zamglone, ale co do jednego nie miał wątpliwości.

— Aha! — zawołał. — Mam cię! To ty jesteś Upiorem!

WIE PAN, DOŚĆ ZABAWNIE SIĘ PAN POMYLIŁ.

Undershaft zauważył inną zamaskowaną postać, która chwyciła ciało... ciało doktora Undershafta... i powlokła je gdzieś na bok.

— Ach, rozumiem. Jestem martwy.

WYDAJE SIĘ, ŻE TAK JEST W ISTOCIE.

— To było morderstwo! Czy ktoś o tym wie?

MORDERCA. I PAN, NATURALNIE.

— Ale on? Jak mógł... — zaczął Undershaft.

MUSIMY IŚĆ, przypomniał Śmierć.

— Przecież on właśnie mnie zabił! Udusił gołymi rękami!

TAK. MOŻE PAN TO ZALICZYĆ DO NOWYCH DOŚWIADCZEŃ.

— Chcesz powiedzieć, że nic nie można zrobić w tej sprawie?

MUSI PAN ZOSTAWIĆ JĄ ŻYWYM. OGÓLNIIE RZECZ BIORĄC, DENERWUJĄ SIĘ, KIEDY ZMARLI PODEJMUJĄ KONSTRUKTYWNAJĄ ROLEJĄ W ŚLEDZTWIE W SPRAWIE MORDERSTWA. UTRUDNIA IM TO KONCENTRACJĘ.

— A wiesz, masz bardzo dobry głos. Piękny bas.

DZIEKUJĘ.

— Czy tam będą... chóry i różne takie?

A CHCIAŁBY PAN?

Agnes wymknęła się wejściem dla aktorów na ulicę Ankh-Morpork. Zamrugała w jasnym świetle. Powietrze wydawało się trochę kłujące, ostre i za zimne.

To, co miała zamiar zrobić, było złe. Bardzo złe. A przez całe swoje życie robiła wyłącznie rzeczy słuszne.

No, dalej, powiedziała Perdita.

Prawdę mówiąc, pewnie wcale tego nie robi. Ale przecież nie ma nic złego w samym pytaniu, gdzie jest sklep z ziołami. Więc spytała.

Nie ma nic złego w wejściu do niego. Więc weszła.

Z całą pewnością żadne prawo nie zabrania kupowania składników, które kupiła. W końcu może ją kiedyś rozboleć głowa albo zaczniesz dręczyć bezsenność.

I przecież to zupełnie nie ma znaczenia, że zabierze je ze sobą i schowa pod materacem.

Zgadza się, potwierdziła Perdita.

Właściwie jeśli wyciągnie się średnią z moralnych trudności tego, co planowała, i wszystkich drobnych działań, które musiała podjąć, by plan zrealizować, prawdopodobnie nie było to aż takie złe...

Takie pocieszające myśli ustawiały się szeregiem w jej głowie, kiedy maszerowała już z powrotem do Opery. Skręciła za róg i niemal zderzyła się z nianią Ogg i babcią Weatherwax.

Przycisnęła się do ściany i wstrzymała oddech.

Nie zauważyły jej, chociaż ten paskudny kot niani drwiąco wyszczerzył do niej zęby znad ramienia właścicielki.

Zabiorą ją z powrotem! Po prostu wiedziała, że to zrobią!

Fakt, że była osobą wolną, panią swoich czynów, i przecież nikt nie mógł jej zabronić wyjazdu do Ankh-Morpork, nie miał tu nic do rzeczy. Zechcą się wtrącać. Zawsze to robią.

Skręciła w zaułek i jak najprędzej przebiegła na tyły gmachu Opery.

Odźwierny nie zwrócił na nią uwagi.

Babcia z nianią szły spacerem przez miasto, kierując się ku obszarowi znanemu jako Wyspa Bogów. Obszar ów nie należał właściwie do Ankh i nie należał do Morpork; znajdował się w miejscu, gdzie rzeka tworzyła zakole tak głębokie, że powstała niemal wyspa. Tam właśnie miasto umieściło te swoje instytucje, których od czasu do czasu potrzebowało, ale nie czuło się z nimi najlepiej: komendę Straży Miejskiej, teatry, więzienie i wydawców. Wyspa Bogów przeznaczona była dla tego wszystkiego, co może w sposób całkiem nieoczekiwany nagle zrobić „bum!”.

Greebo rozglądał się z zaciekawieniem. Powietrze pełne było nowych zapachów i nie mógł się już doczekać sprawdzenia, czy nie należą do czegoś, co mógłby zjeść, pokonać w walce albo zgwałcić.

Niania Ogg była coraz bardziej niespokojna.

— To nie jesteśmy prawdziwe my, Esme — powiedziała.

— W takim razie kto?

— Chodzi mi o to, że ta książka była raczej dla zabawy. To nie ma sensu, zyskamy tylko złą opinię.

— Nie możemy pozwolić, żeby ktoś oszukiwał czarownice — oświadczyła stanowczo babcia.

— Nie czuję się oszukana. Czułam się świetnie, dopóki ty mi nie powiedziałaś, że jestem oszukana — stwierdziła niania, poruszając jeden z ważnych aspektów socjologii.

— Wykorzystali cię.

— Wcale nie.

— Właśnie że tak. Jesteś udręczonymi masami.

— Nie jestem.

— Straciłaś oszczędności całego życia.

— Dwa dolary?

— No, to przecież wszystko, co zaoszczędziłaś — zauważyła babcia.

— Tylko dlatego że wydałam całą resztę — odparła niania.

Ludzie często odkładali pieniądze na starość, ale niania wolała kolekcjonować wspomnienia.

— No więc sama widzisz.

— Trzymałam je, żeby pod Miedzianką postawić nowy kocioł do pędzenia — wyjaśniła niania*. — Sama wiesz, jak jabłkownik przeżera metal...

— Odkładałaś drobne kwoty, by zabezpieczyć się i mieć spokojną starość — przetłumaczyła babcia.

— Po moim jabłkowniku nie ma spokoju — odparła z dumą niania. — Ani zabezpieczenia. Robię go z najlepszych jabłek — dodała. — No, głównie z jabłek.

Babcia zatrzymała się przed bogato zdobionymi drzwiami i uważnie obejrzała przy-mocowaną do nich tabliczkę.

— To tutaj — stwierdziła.

Przyjrzały się drzwiom.

— Wiesz, nigdy nie lubiłam frontowych drzwi — oświadczyła niania, przestępując z nogi na nogę.

Babcia kiwnęła głową. Czarownice żywiły swego rodzaju niechęć do głównych wejść.

Krótkie poszukiwanie pozwoliło im odkryć boczną alejkę prowadzącą na tyły budynku. Tam znalazły dużo większe, szeroko otwarte wrota. Grupa krasnoludów ładowała na wóz jakieś paki. Z głębi dobiegało rytmiczne dudnienie.

* Destylacja alkoholu była w Lancre nielegalna. Z drugiej strony jednak król Verence już dawno zrezygnował z prób powstrzymania czarownic od robienia czegoś, na co mają ochotę. Żądał więc tylko od niani Ogg, by ustawiła swoją destylarnię gdzieś, gdzie by nie rzucała się w oczy. Niania w pełni aprobowwała prohibicję, gdyż dzięki temu nie było na rynku żadnej konkurencji dla produktu, znanego — wszędzie tam, gdzie ludzie padali do rowów — jako samobój.

Nikt nie zwrócił na nie uwagi, kiedy weszły do środka.

Ruchoma czcionka znana była w Ankh-Morpork, jednak kiedy magowie o niej usłyszeli, ruszyli ją w takie miejsce, że nikt nie potrafił jej znaleźć. Na ogół nie wtrącali się w życie miasta, jednak kiedy chodziło o ruchomą czcionkę, twardo przygniatali ją stopą w spiczastym bucie. Nigdy nie tłumaczyli dlaczego, a ludzie nie naciskali, ponieważ nie naciska się magów — nie wtedy, kiedy człowiek lubi swój zwykły kształt. Opracowano więc inne rozwiązanie problemu i grawerowano wszystko. Zajmowało to dużo czasu i w szczególności oznaczało, że Ankh-Morpork jest pozbawione dobrodziejstwa gazet, przez co mieszkańcy sami musieli się ogłupiać jak najlepiej umieli.

Pod jedną ścianą wewnątrz składu dudniła spokojnie prasa drukarska. Obok niej, przy długim blacie, spora liczba krasnoludów i ludzi zszywała strony i przyklejała okładki.

Niania wzięła książkę ze stosu. Były to „Pikuantne rozkosze”.

— W czym mogę paniom pomóc? — odezwał się jakiś głos. Jego ton wyraźnie sugerował, że nie przewiduje świadczenia żadnej pomocy, z wyjątkiem może ułatwień w opuszczeniu tego pomieszczenia, i to szybko.

— Przyszliśmy w sprawie tej książki — wyjaśniła babcia.

— Jestem panią Ogg — dodała niania.

Mężczyzna zmierzył ją wzrokiem.

— Ach tak? Może się pani zidentyfikować?

— Oczywiście. Poznałabym siebie wszędzie.

— Ha! Tak się składa, że wiem, jak wygląda Gytha Ogg, madame, i wcale nie jest podobna do pani.

Niania Ogg otworzyła usta, by odpowiedzieć, i wymówiła tylko:

— Och...

...tonem kogoś, kto radośnie wyszedł na drogę i dopiero teraz przypomniał sobie o pędzącym powozie.

— A skąd pan wie, jak wygląda pani Ogg? — zdziwiła się babcia.

— Strasznie już późno — wtrąciła niania. — Lepiej pójdziemy...

— Ponieważ osobiście przysłała mi swój portret — wyjaśnił Kozaberger, sięgając po portfel.

— Nie sądzę, by nas to zainteresowało — rzuciła pośpiesznie niania, ciągnąc babcie za ramię.

— Mnie to wręcz niezwykle interesuje — oświadczyła babcia, wyrwała Kozabergerowi arkusik papieru i spojrzała. — Ha! No tak! To Gytha Ogg, zgadza się — przyznała.

— Tak, rzeczywiście. Pamiętam, kiedy ten młody malarz przyjechał na lato do Lancre.

— Nosila wtedy dłuższe włosy — wymamrotała niania.

— I bardzo dobrze, jeśli się zastanowić. Ale nie wiedziałam, że masz kopie.

— No wiesz, jak to bywa, kiedy człowiek jest młody — wyjaśniła rozmarzonym głosem niania. — Gryzmołił coś przez całe lato. — Oprzytomniała. — Ale ciągle ważę tyle samo co wtedy — dodała.

— Tyle że rozkład się zmienił — odparła babcia złośliwie. Oddała szkic Kozabergerowi. — To rzeczywiście ona — przyznała. — Ale po odjęciu sześćdziesięciu lat i paru warstw ubrania. To naprawdę Gytha Ogg.

— Chce pani powiedzieć, że to tutaj wymyśliło zupę z Bananową Niespodzianką?

— Próbował pan? — zainteresowała się niania.

— Pan Cropper próbował. Nasz drukarz.

— I miał niespodziankę?

— Nie tak wielką jak pani Cropper.

— To może zaskoczyć, faktycznie. Chyba trochę przesadziłam z gałką muszkatołową.

Kozaberger miał coraz mniej wątpliwości. Wystarczyło bowiem raz popatrzeć na uśmiechniętą nianię Ogg, by uwierzyć, że jest w stanie napisać dzieło w rodzaju „Pikantnych rozkoszy”.

— Naprawdę pani to napisała? — zapytał.

— Z pamięci — odparła dumnie niania.

— A teraz chciałaby dostać za to pieniądze — uzupełniła babcia.

Pan Kozaberger skrzywił się, jakby właśnie zjadł cytrynę i popił octem.

— Przecież oddaliśmy jej pieniądze...

— Widzisz? — Niania zmartwiła się wyraźnie. — Mówiłam ci, Esme...

— Ona chce więcej.

— Nie, wcale nie...

— Wcale nie chce — zgodził się Kozaberger.

— Chce — nie ustępowała babcia. — Chce trochę pieniędzy za każdą książkę, jaką sprzedaliście.

— Ale nie chciałabym, żeby mnie traktowali jak jakąś tantiemę — wtrąciła niania.

— Ty się nie odzywaj — upomniała ją babcia. — Wiem, czego chcesz. Chcemy pieniędzy, drogi panie.

— A jeśli wam nie dam?

Babcia przyjrzała mu się surowo.

— Wtedy odejdziemy i zastanowimy się, co robić dalej.

— To nie jest czcza pogrożka — ostrzegła niania. — Wielu ludzi żałowało, kiedy Esme się zastanowiła, co robić dalej.

— No to wróćcie, jak już się zastanowicie! — burknął Kozaberger. Rozzłościł się. — Sam już nie wiem! Autorzy chcą, żeby im płacić! Dysk się kończy...

Zniknął między pakami książek.

— Eee... myślisz, że ta rozmowa mogła pójść lepiej? — spytała niania.

Babcia zerknęła na stół obok. Leżały tam długie arkusze papieru. Szturchnęła krasnoluda, który z pewnym rozbawieniem obserwował dyskusję.

— Co to takiego? — spytała.

— To korekta Almanachu — wyjaśnił. Dostrzegł jej brak zrozumienia. — To próbny wydruk książki, żeby można poprawić wszystkie błędy, jakie tam zostawili.

Babcia wzięła arkusz.

— Idziemy, Gytho — rzekła.

— Nie chcę kłopotów, Esmé — przekonywała ją niania, ruszając za nią. — To przecież tylko pieniądze.

— To już nie są pieniądze — odparła babcia. — To sposób obliczania wyników.

Kubeł podniósł skrzypce. Były przełamane na dwie części i trzymały się tylko na strunach... z których jedna właśnie pękła.

— Kto mógłby zrobić coś takiego? — zapytał. — Szczerze mówiąc, Salzella... Jaka właściwie jest różnica między operą a obłudą?

— To podchwytliwe pytanie?

— Nie.

— W takim razie odpowiem: lepsze dekoracje. Aha! Spodziewałem się tego...

Dyrektor muzyczny odgarnął szczątki i podniósł list.

— Mam go otworzyć? — zapytał. — Jest adresowany do pana.

Kubeł zamknął oczy.

— Niech pan otwiera — rzekł. — Może pan sobie darować szczegóły. Proszę mi tylko powiedzieć, ile jest wykrzykników.

— Pięć.

— Och.

Salzella wręczył mu kartkę.

Kubeł odczytał:

Szanowny Panie Kubeł!

Łups!

Ahahahahahahaha!!!!

Wyrazy szacunku

Upiór Opery

— Co można zrobić? — zapytał bezradnie. — Najpierw pisze uprzejme liściki, a zaraz potem dostaje obłędu na papierze.

— Herr Trubelmacher posłał wszystkich na poszukiwanie nowych instrumentów
— poinformował Salzella.

— Czy skrzypce są droższe od pantofelków baletowych?

— Istnieje na świecie kilka rzeczy droższych od pantofelków baletowych. Skrzypce znajdują się wśród nich.

— Kolejne wydatki!

— Na to wychodzi, rzeczywiście.

— Ale ja myślałem, że Upiór lubi muzykę! Herr Trubelmacher mówił mi, że organy nie nadają się już do naprawy!!!

Urwał nagle. Uświadomił sobie, że wykrzykuje nieco mniej racjonalnie, niż wypada człowiekowi zdrowemu na umyśle.

— No cóż — podjął ze znużeniem. — Przedstawienie musi trwać, jak przypuszczam.

— Zgadza się — przyznał Salzella.

Kubeł pokręcił głową.

— Jak tam przygotowania do wieczornego spektaklu?

— Myślę, że się uda, jeśli o to panu chodzi. Perdita, jak się zdaje, bardzo dobrze opanowała rolę.

— A Christine?

— Doskonale opanowała noszenie sukni. Gdyby je połączyć, stworzyłyby razem jedną wspaniałą primadonnę.

Dumny posiadacz Opery wstał powoli.

— Wszystko wydawało się takie proste — poskarżył się płacząco. — Myślałem sobie: jak trudna może być opera? Pieśni. Tańczące ładne dziewczęta. Piękne dekoracje. Tłumy ludzi oddających gotówkę. Na pewno będzie łatwiej niż na drapieżnym rynku jogurtu, uznałem. A tu gdzie się obróczę...

Coś zachrząściło mu pod butem. Schylił się i podniósł szczątki półkolistych okularów.

— Należą do Undershafta, prawda? — zapytał. — Ale co tu właściwie robią?

Spojrzał Salzelli prosto w oczy.

— Och, nie... — jęknął.

Salzella odwrócił się i popatrzył na oparty o ścianę wielki futerał od kontrabas. Uniósł brwi.

— Nie... — jęknął znowu Kubeł. — No dalej. Niech pan otworzy. Bo ja mam dłonie śliskie od potu.

Salzella zbliżył się do futerału i chwycił pokrywę.

— Gotów?

Kubeł z rezygnacją pokiwał głową.

Pokrywa odskoczyła...

— O nie!

Salzella zająrzył do wnętrza.

— No cóż — powiedział. — Skręcona szyja, a korpus wciśnięty tutaj paroma kopniakami. Naprawa będzie kosztowała parę dolarów, nie ma co.

— I wszystkie struny pozrywane! Czy kontrabasy są droższe w naprawie od skrzypiec?

— Obawiam się, że naprawa dowolnych instrumentów muzycznych jest niewiarygodnie kosztowna. Być może z wyjątkiem trójkątów — oświadczył Salzella. — Mimo to mogło być gorzej, prawda?

— Co?

— No, mogliśmy tu znaleźć Undershafta.

Kubel przyjrzał mu się. Po chwili zamknął usta.

— Aha. Tak. Oczywiście. Tak. To by było jeszcze gorsze. Tak. Mieliliśmy chyba szczęście. Tak, na pewno.

— Więc to jest gmach Opery? — zdziwiła się babcia. — Wygląda, jakby ktoś zbudował takie wielkie pudło, a potem dokleił architekturę.

Odchrząknęła i zdawało się, że na coś czeka.

— Może przejdziemy się dookoła i go obejrzymy? — zaproponowała posłusznie niania, wiedząc, że babcinej ciekawości dorównuje jedynie babcine pragnienie, by się z ową ciekawością nie zdradzić.

— Chyba nie zaszkodzi — zgodziła się babcia takim tonem, jakby wyświadczała łaskę. — Skoro i tak w tej chwili nie mamy nic do roboty...

Gmach Opery istotnie był najbardziej efektywnie niefunkcyjnym z projektów budowlanych. Stanowił sześcian. Ale, jak zauważyła babcia, trochę później architekt nagle sobie uświadomił, że jakieś dekoracje powinny się na nim znaleźć. Wcisnął zatem pospiesznie burzę fryzów, kolumn, kariatyd i rozmaitych zakręconych elementów. Wyższe poziomy zostały skolonizowane przez gargulce. W efekcie stojący przed gmachem człowiek widział wielką ścianę udręczonego kamienia.

Na tyłach, oczywiście, znajdowała się zwykła ponura kombinacja okien, rur i wilgotnych kamiennych murów. Jedna z zasad obowiązujących pewien typ architektury budownictwa publicznego głosi, że architektura owa zdarza się tylko od frontu.

Babcia zatrzymała się pod oknem.

— Ktoś śpiewa — powiedziała. — Słuchaj.

— La la la la la — świergotał ktoś wewnątrz. — Do re mi fa sol la si do...

— To opera, zgadza się — stwierdziła babcia. — Brzmi po zagranicznemu.

Niania miała niezwykły talent językowy. Poziom zrozumiałej niekompetencji w nowym języku osiągała już po godzinie czy dwóch. Kiedy mówiła, tylko krok dzielił ją od bełkotu, ale był to naprawdę zagraniczny bełkot. Wiedziała też, że babcia Weatherwax — niezależnie od innych swoich zdolności — do języków ma drewniane ucho, jeszcze bardziej niż do muzyki.

— Eee... możliwe — przyznała. — Tam zawsze dużo się dzieje, wiem dobrze. Nasz Nev mówił, że czasami co noc wykonują inną operację.

— Jak się tego dowiedział? — zdziwiła się babcia.

— Wiesz, tam było dużo ołowiu. To wymaga pracy. Mówił, że najbardziej lubił te hałaśliwe. Mógł wtedy sobie nucić i nikt nie słyszał młotka.

Czarownice ruszyły dalej.

— Zauważyłaś tę młodą Agnes, jak o mało co na nas nie wpadła? — zapytała babcia.

— Owszem. Ledwo się powstrzymałam, żeby się nie obejrzeć.

— Nie była zadowolona, że nas spotyka. Słyszałam niemal, jak syknęła.

— To bardzo podejrzane, moim zdaniem — stwierdziła niania. — Wiesz, widzi nagle dwie przyjazne twarze, zna je z domu... Można by się spodziewać, że podbiegnie...

— W końcu jesteśmy jej starymi przyjaciółkami. No, starymi przyjaciółkami jej babki i matki, ale praktycznie na jedno wychodzi.

— Pamiętasz te oczy w fusach? Może ona jest pod wpływem jakiejś dziwnej okultystycznej mocy? Musimy być ostrożne. Ludzie czasem dziwnie się zachowują, kiedy za władnie nimi dziwna okultystyczna moc. Pamiętasz pana Skrupuła z Kromki?

— To nie była dziwna okultystyczna moc. Miał nadkwasotę.

— Ale przez jakiś czas wyglądało to na dziwną okultystyczną moc. Zwłaszcza przy zamkniętych oknach.

Spacerkiem doszły do drzwi dla aktorów. Babcia spojrzała na rząd afiszy.

— „La Traviata” — przeczytała. — „Pierścień Nibelungingungów”...

— Bo widzisz, w zasadzie są dwa rodzaje oper — wyjaśniła niania, która posiadała także prawdziwie czarowniczą umiejętność wypowiedzenia stanowczych i fachowych opinii, opartych na całkowitym braku wiedzy i doświadczenia. — Są takie ciężkie, poważne opery, gdzie ludzie śpiewają po zagranicznemu i to idzie tak: „Och, och, och, umieram, och, umieram, och, och, och, to właśnie robię”. I masz takie lekkie, weselsze opery, gdzie śpiewają po zagranicznemu, i to idzie tak: „Piwo! Piwo! Piwo! Piwo! Kocham pić dużo piwa!”, chociaż czasem zamiast piwa piją szampana. I to w zasadzie cała opera, tak po prawdzie.

— Znaczy, albo umierają, albo piją piwo? — dziwiła się babcia.

— W zasadzie tak. — Niania zdołała tonem głosu zasugerować, że jest to również pełen zakres możliwych doświadczeń życiowych.

— I to cała opera?

— No wiesz... może jeszcze być o czym innym, ale na ogół to albo chłanie, albo dżganie.

Babcia zdała sobie sprawę, że jest tu ktoś jeszcze. Odwróciła się.

Jakaś postać wyszła drzwiami dla aktorów, niosąc afisz, wiadro kleju i pędzel. Była to postać dziwaczna, podobna do zadbanego stracha na wróble, w ubraniu trochę za małym, choć trudno sobie wyobrazić, by jakakolwiek odzież pasowała do tej figury, której kości i stawy wydawały się nieskończenie elastyczne i poruszały się chyba niezależnie od siebie.

Postać dotarła do dwóch czarownic przed tablicą z afiszami, zatrzymała się grzecznie. Widziały niemal słowa ustawiające się w szyku za patrzącymi w pustkę oczami.

— Przepraszam panie uprzejmie. Przedstawienie musi trwać.

Słowa znajdowały się na właściwych miejscach i miały sens, ale każde zdanie zostało wypuszczone na świat jako odrębna całość.

Babcia odciągnęła nianię na bok.

— Dziękuję.

Przyglądały się w milczeniu, jak dziwna postać z wielką starannością smaruje klejem równy prostokąt, po czym umieszcza tam afisz, metodycznie wyrównując wszystkie zmarszczki.

— Jak ci na imię, młody człowieku? — spytała babcia.

— Walter!

— Masz bardzo ładny beret.

— Mama mi go kupiła!

Walter usunął spod papieru ostatni bąbel powietrza i odstąpił. Potem, zaabsorbowany swoim zadaniem, kompletnie ignorując czarownice, chwycił wiadro z klejem i wrócił do wnętrza.

Przyjaciółki w milczeniu oglądały afisz.

— Wiesz, chętnie bym zobaczyła taką operację — oświadczyła po chwili niania. — Señor Basilica dał nam bilety.

— Och, znasz mnie przecież — odparła babcia. — Nie chcę mieć nic wspólnego z takimi przedsięwzięciami.

Niania zerknęła na nią z ukosa i uśmiechnęła się do siebie. Było to znane otwarcie Weatherwax. Oznaczało: Oczywiście, że mam ochotę, ale musisz mnie przekonać.

— Masz rację, naturalnie — zgodziła się chytrze. — To raczej dla tych ludzi w pięknych karocach. Nie dla takich jak my.

Babcia wahała się przez chwilę.

— Myślę, że to za wysokie progi — mówiła dalej niania. — Gdybyśmy poszły, oni pewnie by powiedzieli: Precz stąd, paskudne staruchy...

— Tak by powiedzieli?

— Na pewno nie chcą, żeby takie baby ze wsi, podobne do nas, mieszały się z tymi eleganckimi arystokratami.

— Tak uważasz? Nie chcą nas? No to chodźmy!

Babcia pomaszerowała do frontowego wejścia, gdzie ludzie wysiadali już z powozów. Przedostała się na szczyt schodów i pomagając sobie łokciami, dotarła do kasy.

Pochyliła się. Człowiek za kratką odsunął się odruchowo.

— Paskudne staruchy, co?

— Przepraszam bardzo...?

— W samą porę! Popatrz no, młody człowieku, mamy tu bilety na... — Zerknęła na kartoniki i skinęła na nianię Ogg. — Tu jest napisane: parter. Co za bezczelność... Nas sprowadzać do parteru? — Zwróciła się do kasjera: — Rozumiesz chyba, że zwykła widownia nas nie zadowoli. Chcemy miejsca odpowiednio wysokie... — Przyjrzała się tablicy obok kasy. — Balkon będzie lepszy. Tak, najwyższy balkon.

— Słucham? Chcą panie zamienić miejsca z parteru na balkon?

— Tak, i nawet nie próbuj żądać od nas dodatkowych pieniędzy.

— Nie zamierzałem...

— I bardzo dobrze! — Babcia uśmiechnęła się tryumfalnie, z aprobatą oglądając nowe bilety. — Idziemy, Gytho.

— Przepraszam! — zawołał kasjer, gdy niania już odchodziła. — Co pani ma na ramieniu?

— To... futrzany kołnierz.

— Ale przecież wyraźnie widziałem, że pomachał ogonem.

— Tak. Ponieważ wierzę w piękno bez okrucieństwa.

Agnes zauważyła, że coś się dzieje za sceną. Co chwilę tworzyły się niewielkie grupki; rozpraszały się prawie natychmiast, gdy kolejne osoby ruszały wypełniać jakieś tajemnicze zadania.

W kanale dla orkiestry muzycy stroili nowe instrumenty. Chór ustawiał się do sceny Zatłoczonego Placu Targowego, gdzie rozmaici żonglerzy, Cyganie, połykacze mięczy i odświętnie ubrani wieśniacy wcale się nie zdziwią, kiedy na pozór pijany baryton wkroczy, by odśpiewać przechodzącemu tenorowi znaczną część fabuły.

Zobaczyła Kubła i Salzellę pograżonych w dyskusji z inspicjentem.

— Jak możemy przeszukać cały budynek? To prawdziwy labirynt!

— Może gdzieś zabłądził...?

— Bez okularów jest ślepy jak nietoperz.

— Przecież nie wiemy, czy przytrafiło mu się coś złego!

— Ach, tak? Ale nie był pan taki pewny, kiedy pan otwierał futerał kontrabas! Uważał pan, że znajdzie go pan w środku! Niech pan się przyzna!

— Ja... rzeczywiście nie spodziewałem się, że będzie tam połamany kontrabas. To prawda. Ale w owej chwili byłem nieco wzburzony.

Połykacz mieczy szturchnął Agnes.

— Co?

— Kurtyna w górę za minutę, moja droga — wyjaśnił, smarując klingę musztardą.

— Czy coś się stało panu Undershaftowi?

— Nie wiem, skarbie. Nie masz przypadkiem odrobiny soli?

— Przepraszam... Przepraszam... Chcemy przejść... To pańska noga? Przepraszam... Zostawiając za sobą linię zirytowanych i obolałych widzów, czarownice przeciskały się na swoje miejsca.

Babcia odepchnęła sąsiada i usadowiła się wygodnie. A że w pewnych kwestiach miała próg znudzenia czterolatka, zapytała:

— Co się teraz dzieje?

Niania dysponowała zbyt skromnym zasobem wiedzy o operze, by odpowiedzieć, więc zwróciła się do siedzącej obok damy.

— Przepraszam, czy mogę pożyczyć pani program? Dziękuję. Przepraszam, czy mogę pożyczyć pani okulary? Bardzo jestem wdzięczna.

Przez kilka chwil studiowała pilnie.

— To uwertura — wyjaśniła. — Próbką tego, co się zdarzy. Jest też skrót całej historii. „La Triviata”.

Poruszała ustami, czytając. Od czasu do czasu marszczyła czoło.

— Tak po prawdzie to całkiem proste — stwierdziła w końcu. — Mnóstwo ludzi się w sobie kocha, jest dużo przebierania się za innych i ogólnego bałaganu, występuje bezczelny sługa, nikt tak naprawdę nie wie, kto jest kim, parę osób dostaje obłędu, cygański chór i w ogóle. Typowa opera. Pewnie ktoś się okaże czyimś dawno zaginionym synem albo córką, albo żoną.

— Psst! — odezwał się ktoś z tyłu.

— Szkoda, że nie wzięłyśmy czegoś do jedzenia — mruknęła babcia.

— Mam chyba miętowe pastylki w nogawce.

— Psst!!

— Czy mogłabym dostać moje okulary?

— Proszę bardzo. Nie są najlepsze, prawda?

Ktoś stuknął nianię Ogg w ramię.

— Droga pani, pani futrzany kołnierz wyjada moje czekoladki!

Ktoś inny stuknął w ramię babcie Weatherwax.

— Czy zechciałaby pani zdjąć kapelusz?

Niania Ogg zakrztusiła się miętową pastylką.

Babcia Weatherwax obejrzała się na siedzącego za nią, czerwonego na twarzy dżentelmena.

— Wie pan chyba, kim jest kobieta w spiczastym kapeluszu?

— Wiem, droga pani. Kobieta w spiczastym kapeluszu, która siedzi akurat przede mną.

Babcia spojrzała na niego groźnie. A potem, ku zdumieniu niani, zdjęła kapelusz.

— Bardzo przepraszam — powiedziała. — Widzę, że niechcący okazałam złe maniry. Proszę o wybaczenie.

Wróciła do obserwacji sceny.

Niania Ogg znów zaczęła oddychać.

— Dobrze się czujesz, Esme?

— Jak nigdy.

Babcia przyglądała się teraz widowni, nie zwracając uwagi na rozlegające się wokół szepty.

— Proszę pani, naprawdę wyjada moje czekoladki. Zaczął już drugą warstwę.

— Oj... niech mu pan pokaże ten plan na wieczku pudełka, dobrze? Lubi tylko trufle, a z pozostałych łatwo można zetrzeć ślinę.

— Czy mogę prosić o ciszę?

— Jestem cicho. To ten pan i jego czekoladki tak hałasują.

Wielka sala, myślała babcia. Wielka sala bez okien...

Zaświerzbiały ją kciuki.

Spojrzała na żyrandol. Lina znikła we wnęce w sklepieniu.

Jej wzrok przesunął się wzdłuż szeregu łóż — wszystkie były dość mocno zatłoczone. W jednej wszakże ktoś zasunął kotary, jakby chciał widzieć spektakl, sam nie będąc widziany.

Następnie babcia obejrzała amfiteatr. Publiczność składała się głównie z ludzi. Tu i tam dostrzegła potężną sylwetkę trolla, chociaż trollowe odpowiedniki opery trwają zwykle po parę lat. Lśniło kilka krasnoludzkich hełmów, choć na ogół krasnoludy nie interesowały się niczym, co nie miało w sobie krasnoludów. Z pewnością w dole było sporo piór, a gdzieniegdzie błysk biżuterii. Ramiona w tym sezonie nosiło się obnażone. Wiele uwagi poświęcano prezencji. Ludzie przychodzili tu, by wyglądać, nie by oglądać.

Przymknęła oczy.

W takich sytuacjach naprawdę stawała się czarownicą. Nie kiedy praktykowała głowologię na niemądrych staruszkach, kiedy przyrządzała leki, kiedy potrafiła bronić swego albo odróżniała jedno zioło od innego. Czarownicą ktoś staje się wtedy, kiedy otwiera umysł na świat i starannie bada wszystko, co tam znajdzie.

Nie zwracała uwagi na sygnały docierające do uszu; po chwili odgłosy widowni stały się tylko odległym brzęczeniem. A w każdym razie odległym brzęczeniem zakłócanym głosem niani Ogg.

— Tu piszą, że donna Timpani, która śpiewa partię Quizelli, jest divą — mówiła niania. — Czyli śpiew to dla niej zajęcie dodatkowe. Dobrze, bo takie ćwiczenia mogą się przydać.

Babcia pokiwała głową, nie otwierając oczu.

Wciąż miała je zamknięte, kiedy zaczęła się opera. Niania, która wiedziała, kiedy należy zostawić przyjaciółkę własnym myślom, starała się zachowywać milczenie. Czuła się jednak w obowiązku na bieżąco komentować wydarzenia.

— Tam jest Agnes! — oświadczyła nagle. — Hej, to Agnes!

— Przestań machać i usiądź — mruknęła babcia, próbując zatrzymać swój sen na jawie.

Niania wychyliła się przez poręcz.

— Jest przebrana za Cygankę — opowiadała. — A teraz taka dziewczyna występuje naprzód, żeby zaśpiewać... — Zerknęła do zdobytego programu. — Zaśpiewać słynną arię „Pożegnanie”. Tak tu piszą. Trzeba przyznać, że głos ma dobry...

— To Agnes śpiewa — odparła babcia.

— Nie, to ta dziewczyna, Christine.

— Zamknij oczy, głupia kobieto, i wtedy powiedz, czy to nie Agnes.

Niania Ogg posłusznie zacisnęła powieki i zaraz uniosła je znowu.

— To Agnes śpiewa!

— Tak.

— Ale tam z przodu stoi ta dziewczyna z szerokim uśmiechem i rusza ustami, i w ogóle!

— Tak.

Niania podrapała się po głowie.

— Coś tu jest nie w porządku, Esme. Nie można pozwolić, żeby kradli głos naszej Agnes.

Babcia nie otwierała oczu.

— Powiedz, czy w łoży, tam z boku po prawej stronie, poruszyły się kotary?

— Właśnie zauważyłam, jak się kołyszają, Esme.

— Aha.

Babcia odprężyła się. Opadła w fotel; aria opływała ją falami dźwięku. Raz jeszcze otworzyła umysł...

Krawędzie, mury, drzwi...

Kiedy zamknie się jakąś przestrzeń, staje się ona wszechświatem samym w sobie. Pewne rzeczy pozostają w niej schwyte.

Muzyka wpadała jednym uchem, a wypadła drugim, ale wraz z nią nadpływały też inne zjawiska, pasma zdarzeń, echa dawnych krzyków...

Dryfowała dalej, poniżej świadomości, w ciemność poza kręgiem blasku ognia.

Był tam strach. Krążył niczym wielka, mroczna bestia. Czaił się w każdym kącie. Tkwił w kamieniach. W cieniu skrywała się dawna groza. Była to jedna z najbardziej pradawnych, ta, która oznaczała, że ludzkość nauczyła się chodzić dopiero wtedy, kiedy padła na kolana. Był to strach przed nietrwałością, wiedza, że wszystko przeminie, że piękny głos albo wspaniała figura to coś, czego pojawienia nie sposób kontrolować i czego odejścia nie sposób odsunąć.

Nie tego szukała, ale chyba w tym morzu pływało owo poszukiwane coś...

Zeszła głębiej.

I tak je znalazła, huczące w nocnym mroku duszy tego miejsca niby głęboki, zimny prąd.

Kiedy się zbliżyła, odkryła, że to niejeden obiekt, ale dwa, splecione wokół siebie nawzajem. Sięgnęła ku nim...

Oszustwo! Kłamstwa! Fałsz! Morderstwo!

— Nie!

Zamrugła.

Wszyscy się jej przyglądali.

Niania szarpała ją za spódnicę.

— Usiądź, Esme!

Babcia patrzyła. Żyrandol wisiał spokojnie nad pełną widownią.

— Biją go na śmierć!

— O co chodzi, Esme?

— I wrzucają do rzeki!

— Esme!

— Psst!

— Proszę pani, niech pani usiądzie!

— ...a teraz zaczął Wiry Nugatowe...

Babcia chwyciła kapelusz i ruszyła bokiem wzdłuż rzędu, zgniatając pod grubymi lancrańskimi podeszwami kilka sztuk najpiękniejszego obuwia Ankh-Morpork.

Niania niechętnie ruszyła za nią. Podobała jej się ta piosenka i chciała na końcu bić brawo. Jednak dodatkowa para rąk okazała się zbędna — oklaski wybuchły, gdy tylko ucichła ostatnia nuta.

Niania Ogg spojrzała na scenę i zauważyła coś. Uśmiechnęła się.

— Podobało ci się?

— Gytho!

Westchnęła.

— Idę, Esme. Przepraszam. Przepraszam. Oj, nie chciałam. Przepraszam...

Babcia Weatherwax stała w korytarzu wyłożonym czerwonym pluszem. Opierała czoło o ścianę.

— Bardzo niedobrze, Gytho — powiedziała. — Wszystko się pomieszało. Nie jestem pewna, czy potrafię to rozplątać. Biedak...

Wyprostowała się.

— Spójrz na mnie, Gytho, dobrze?

Niania szeroko otworzyła oczy. Drgnęła, gdy fragment babcinej świadomości wsunął się pod jej źrenice.

Babcia wcisnęła na głowę kapelusz, utkała pod nim kilka luźnych kosmyków siwych włosów, po czym wyjęła osiem szpilek i wcisnęła je na miejsce z tym samym skupieniem, z jakim najemnik mógłby sprawdzać swoją broń.

— Dobrze — rzekła w końcu.

Niania Ogg odprężyła się wyraźnie.

— Nie żeby mi to przeszkadzało, Esme — powiedziała — ale czy nie mogłabyś używać lustra?

— Strata pieniędzy — odparła babcia.

W pełni uzbrojona, ruszyła korytarzem.

— To dobrze, że się nie zezłościłaś na tego człowieka, który kazał ci zdjąć kapelusz — powiedziała niania, biegnąc za nią.

— Nie warto. Jutro będzie już martwy.

— Ojej... A czemu?

— Powóz go przejedzie.

— Dlaczego mu nie powiedziałaś?

— Mogłam się pomylić.

Babcia dotarła do schodów i pędem ruszyła w dół.

— Dokąd idziemy?

— Chcę zobaczyć, kto siedzi za tymi kotarami.

Stłumione, ale nadal burzliwe oklaski wypełniały studnię klatki schodowej.

— Trzeba przyznać, że spodobał im się głos Agnes — cieszyła się niania.

— Tak. Mam nadzieję, że zdążymy na czas.

— Ojej...

— Co?

— Zostawiłam tam Greeba!

— On przecież lubi poznawać nowych ludzi. A niech mnie, to prawdziwy labirynt!

Babcia weszła w łuk korytarza, bardziej wytwornie pluszowego niż poprzedni.

W ścianie tkwił cały szereg drzwi.

— Aha. Teraz...

Przeszła wzdłuż nich, licząc pod nosem. Zatrzymała się i nacisnęła klamkę.

— Czy mogę paniom w czymś pomóc?

Odwróciły się. Niska starsza kobieta podeszła cicho z tyłu. Trzymała tacę z napojami.

Babcia uśmiechnęła się do kobiety. Niania uśmiechnęła się do tacy.

— Zastanawialiśmy się — powiedziała babcia — co to za osoba w łoży woli siedzieć za zasuniętymi kotarami?

Taca zadygotała.

— Może pani potrzymam? — zaproponowała niania. — Jeszcze coś się rozleje, jeśli nie będzie pani uważać.

— Co wiecie o ósmej łoży? — zapytała kobieta.

— Aha. Ósma łoża — stwierdziła babcia. — To będzie ta, rzeczywiście. O ta, prawda?

— Nie! Proszę...

Babcia podeszła i chwyciła klamkę.

Drzwi były zamknięte na klucz.

Taca znalazła się w chętnych rękach niani Ogg.

— Dziękuję, z przyjemnością pomogę — powiedziała niania.

Kobieta chwyciła babcię za ramię.

— Nie! To sprowadzi straszne nieszczęście!

Babcia wyciągnęła rękę.

— Poproszę klucz, madame!

Za jej plecami niania obejrzała kieliszek szampana.

— Nie wolno go rozgniewać! I tak już źle się dzieje! — Kobieta była wyraźnie przerażona.

— Żelazo — stwierdziła babcia. — Nie mogę zaczarować żelaza.

— Czekaj. — Niania podeszła odrobinę chwiejnie. — Daj mi spinkę. Nasz Nev pokazał mi różne takie sztuczki...

Babcia uniosła dłoń do kapelusza, spojrzała na zatroskaną twarz kobiety i opuściła rękę.

— Nie — rzekła. — Na razie zostawimy tę sprawę...

— Nie wiem już, co się dzieje — zaszlochała kobieta. — Nigdy tak nie było...

— Dmuchnij sobie, kochana. — Niania podała jej brudną chustkę do nosa i poklepała łagodnie po ramieniu.

— ...Nie było tego zabijania... on chciał tylko mieć swoje miejsce, żeby oglądać opery... lepiej się wtedy czuł...

— O kim mówimy? — zainteresowała się babcia.

Ponad głową kobiety przyjaciółka rzuciła jej ostrzegawcze spojrzenie. Pewne sprawy lepiej było zostawić niani Ogg.

— Otwierał ją na godzinę co piątek, żebym mogła posprzątać, i zawsze był tam mały liścik, mówiący, że dziękuje i przeprasza za czekoladki na fotelu... i komu to szkodziło, chciałabym wiedzieć...

— Dmuchnij sobie porządnie jeszcze raz — poradziła niania.

— A teraz ludzie padają jak muchy... mówią, że to on, ale ja wiem, że on nigdy nie chciał nikomu zrobić krzywdy...

— Pewnie że nie — pocieszyła ją niania.

— ...tyle razy widziałam, jak patrzą na łożę. I zawsze lepiej się czuli, kiedy go zobaczyli. A potem ktoś udusił biednego pana Poundera. Obejrzałam się, a tam był jego kapelusz, spadł na dół...

— To straszne, kiedy zdarza się coś takiego — przyznała niania. — Jak się nazywasz, kochaniutka?

— Pani Plinge — chlipnęła pani Plinge. — Spadł i wylądował akurat przede mną. Wszędzie bym go poznała...

— Myślę, że najlepiej będzie, jeśli odprowadzimy panią do domu, pani Plinge — uznała babcia.

— Och, nie! Muszę obsłużyć wszystkie te damy i dżentelmenów... Zresztą to niebezpiecznie wracać o tej porze. Zwykle Walter mnie odprowadza, ale dzisiaj musi zostać dłużej... Och jej...

— Przyda ci się jeszcze dmuch, kochana. Poszukaj jakiegoś kawałka, który nie jest za mokry.

Zabrzmiała seria ostrych stuknięć — to babcia Weatherwax splotła palce i wyciągnęła ręce przed siebie, aż strzeliły jej stawy.

— Niebezpieczne, co? — rzuciła. — Ale przecież nie możemy pani zostawić takiej roztrzęsionej. Zrobimy tak: ja odprowadzę panią do domu, a pani Ogg dopilnuje wszystkiego na miejscu.

— Przecież muszę obsługiwać łożę... Podaję napoje... Przysięgłabym, że miałam je tutaj przed chwilą...

— Pani Ogg wie wszystko o napojach. — Babcia Weatherwax rzuciła przyjaciółce surowe spojrzenie.

— Nie ma czegoś, czego bym nie wiedziała o drinkach — zgodziła się niania, bezwstydnie opróżniając ostatni kieliszek. — Zwłaszcza o tych.

— ...i co z Walterem? Będzie się zamartwiał...

— Walter to pani syn? — spytała babcia. — Nosi берет?

Kobieta przytaknęła.

— Zawsze po niego przychodzę, kiedy pracuje do późna...

— Przychodzi pani po niego... Ale on panią odprowadza do domu...

— Bo... on... — zająknęła się pani Plinge. — To dobry chłopiec — zakończyła wyzywająco.

— Jestem tego pewna — uspokoiła ją babcia.

Ostrożnie zdjęła pani Plinge z głowy mały koronkowy czepeczek i wręczyła niani, która wcisnęła go we włosy. Zabrała też mały fartuszek. Na tym polega główna zaleta czarnych ubrań — ubierając się na czarno, można udawać każdego. Matka Przełożona czy Madame, to tylko kwestia stylu. Wszystko zależy od detali.

Coś szcęknęło — to ósma łoża się zarygłowała. Potem zabrzmiał cichutki zgrzyt krzesła wciskanego pod uchwyt klamki.

Babcia uśmiechnęła się i ujęła panią Plinge pod ramię.

— Wrócę jak najszybciej — obiecała.

Niania kiwnęła głową. Przez chwilę spoglądała jeszcze za nimi.

Na końcu korytarza znalazła niewielką komórkę. Był tam stół, robótka na drutach pani Plinge i niewielki, ale bardzo dobrze zaopatrzony barek. Na ścianie wisiała też tablica z gładkiego mahoni, a na niej dzwonki na wielkich, zwiniętych sprężynach.

Kilka z nich podskakiwało nerwowo.

Niania przygotowała sobie dżin z dżinem i kropelką dżinu, po czym z wyraźnym zainteresowaniem przestudiowała rząd butelek.

Odezwał się kolejny dzwonek.

W barku stał też duży słoje oliwek. Niania poczęstowała się pełną garścią i zdmuchnęła kurz z butelki porto.

Dzwonek spadł ze sprężyny.

Gdzieś w głębi korytarza otworzyły się drzwi i jakiś głos zawołał:

— Gdzie nasze drinki, kobieto?!

Niania skosztowała porto.

Znała pojęcie obsługi. Jako młoda dziewczyna była pokojówką na zamku w Lancere, gdzie król miał zwyczaj realizowania swych zachcianek na wszystkim, co zdołał schwytać. Młoda Gytha Ogg utraciła już niewinność*, miała jednak bardzo stanowcze poglądy w kwestii niechcianych zalotów. Kiedy więc zaskoczył ją w spiżarni, dokonała — formalnie rzecz biorąc — zdrady stanu za pomocą trzymanego oburącz jagnięcego udźca. To zakończyło jej krótką karierę w zamkowej kuchni i wymusiło dłuższą przerwę w działaniach władcy na zamkowych pokojach.

Te krótkotrwałe doświadczenia pomogły jej sformułować pewne poglądy, może nie aż polityczne, ale wyraźnie oggistyczne. A pani Plinge wyglądała, jakby nie jadała dosyć i nie sypiała dostatecznie długo. Ręce miała chude i zaczerwienione. Niania zawsze miała czas dla Plinge'ów tego świata.

* Bez żalu, nie znalazła bowiem dla niej zastosowania.

Czy porto pasuje do sherry? Nie zaszkodzi spróbować.

Dzwoniły już wszystkie dzwonki. Pewnie zbliża się przerwa.

Spokojnie odkręciła pokrywkę słoja z marynowanymi cebulkami i schrupała kilka.

Potem — gdy inni widzowie zaczęli wystawiać głowy z za drzwi i wykrzykiwać gniewne żądania — przeszła do półki z szampanem i zdjęła dwie największe butelki. Potrząsnęła nimi solidnie, wsadziła sobie pod pachy i przytrzymując kciukami korki, wyszła na korytarz.

Niani filozofia życiowa polegała na tym, by zawsze robić to, co w danej chwili wydaje się dobrym pomysłem. To podejście nigdy jej jeszcze nie zawiodło.

Kurtyna opadła. Publiczność wciąż biła brawo na stojąco.

— Co teraz? — szepnęła Agnes do Cygana obok.

Ściągnął z głowy barwną chustę.

— Wiesz, teraz zwykle wychodzimy do... Nie, jeszcze podniosą kurtynę...

I rzeczywiście. W świetle stanęła Christine, która dygała, machała ręką i skrzyła się całą.

Cygan szturchnął dyskretnie Agnes.

— Popatrz na Timpani — szepnął. — Klasyczny przypadek nosa na kwintę.

Agnes spojrzała na primadonnę.

— Uśmiecha się — zauważyła.

— Tygrys też się uśmiecha, moja droga.

Kurtyna opadła znowu, z nieodwołalnością sugerującą, że inspicjent powywraca dekoracje i zacznie wrzeszczeć na każdego, kto spróbuje jeszcze raz dotknąć lin.

Agnes wybiegła z pozostałymi. W następnym akcie nie miała zbyt wiele do roboty. Wcześniej próbowała zapamiętać treść opery, chociaż inni członkowie chóru starali się ją od tego odwieść. Wiadomo, że można albo śpiewać, o co chodzi, albo rozumieć, o co chodzi. Ale nie da się tego zrobić naraz. Agnes jednak była osobą sumienną.

— ...no więc Peccadillo (ten.), syn diuka Tagliatelli (bas), w tajemnicy przebrał się za świniopasa, by zabiegać o względy Quizzelli, nie wiedząc, że doktor Bufola (bar.) sprzedał eliksir Ludi, służącemu, nie zdając sobie sprawy, że jest to w rzeczywistości pokojówka Iodyny (sop.), przebrana za chłopca, gdyż hrabia Artaud (bar.) twierdzi, że...

Pomocnik inspicjenta odsunął ją z drogi i skinął na kogoś za kulisą.

— Opuść krajobraz wiejski, Ron.

Zza kulisy rozległa się seria gwizdów, której odpowiedziała druga, z góry.

Dekoracja się uniosła. Z mroku nad sceną zaczęły się zsuwać worki z piaskiem, słujące jako przeciwwaga.

— ...potem Artaud zdradza, że... no, że Zibelina musi poślubić Fideliego, nie, to znaczy Fiabego, nie wiedząc, hm... że rodzinne majątki...

Worki opadły. Przynajmniej po jednej stronie sceny. Po drugiej rozległ się przeraźliwy krzyk, przerywając Agnes realizację niemożliwego zadania zrozumienia treści opery. Dziewczyna zobaczyła odwróconą czołem w dół i wyglądającą niezdrowo twarz martwego doktora Undershafta.

Niania wśliznęła się za jakieś drzwi, zamknęła je za sobą. Po chwili tupot biegnących stóp ucichł.

Trzeba przyznać, że bawiła się nieźle.

Zdjęła koronkowy czepek i fartuszek. A ponieważ była osobą zasadniczo uczciwą, schowała je do kieszeni, by przy okazji zwrócić pani Plinge. Potem wydobyła płaski, okrągły przedmiot i uderzyła nim o ramię. Wystrzelił szpic — a po kilku poprawkach jej urzędowy kapelusz wyglądał prawie jak nowy.

Rozejrzała się. Nieobecność światła i wykładzin, połączona z wyraźną obecnością kurzu, sugerowały, że miejsce to nie jest przeznaczone dla publiczności.

Do licha! Chyba trzeba poszukać innych drzwi. Oczywiście, będzie musiała zostawić Greeba, gdziekolwiek się teraz podziewał... Ale zjawi się. Zawsze się zjawia, kiedy chce, żeby go nakarmić.

Znalazła schody prowadzące w dół, zeszła nimi do nieco lepiej oświetlonego korytarza i maszerowała spory kawałek. A potem wystarczyło już kierować się wrzaskami.

Dotarła do malowanych dekoracji i rozmaitych rekwizytów trzymanyh za sceną.

Nikt nie zwrócił na nią uwagi. Pojawienie się niedużej, przyjaźnie nastawionej starszej pani nie wywołało w tej chwili żadnych komentarzy.

Ludzie biegali tam i z powrotem i krzyczeli. Ci bardziej wrażliwi po prostu stali w miejscu i krzyczeli. Jakaś potężna dama leżała na dwóch krzesłach i przeżywała atak hysterii, a kilku maszynistów usiłowało wachlować ją nutami.

Niania Ogg nie była pewna, czy wydarzyło się coś niezwykłego, czy po prostu jest to opera kontynuowana z użyciem innych środków.

— Na waszym miejscu rozluźniłabym jej gorset — powiedziała, przechodząc obok.

— Na bogów, droga pani, dość już jest paniki!

Niania zbliżyła się do interesującej grupy Cyganów, arystokratów i maszynistów.

Czarownice są ciekawe z definicji i dociekliwe z natury. Wcisnęła się między nich.

— Przepuście mnie! Jestem wścibską osobą — mówiła, wykorzystując oba łokcie.

Podziałało — jak zwykle działania w takim stylu.

Na podłodze leżał ktoś martwy. Niania widziała już śmierć w licznych wcieleniach i na pierwszy rzut oka potrafiła rozpoznać uduszenie. Nie jest to najładniejszy koniec, choć bywa całkiem barwny.

— Ojej — powiedziała. — Biedny człowiek. Co mu się stało?

— Pan Kubeł mówi, że musiał się zaplątać w... — zaczął ktoś.

— W nic się nie zaplątał! To robota Upiora! — przerwał mu ktoś inny. — A on wciąż może siedzieć na górze.

Spojrzenia wszystkich powędrowały ku sklepieniu.

— Pan Salzella posłał maszynistów, żeby go wykurzyli.

— Czy mają płonące pochodnie? — spytała niania.

Kilka osób spojrzało na nią, jakby po raz pierwszy zastanowili się, kim właściwie jest.

— Co?

— Kiedy tropi się złe upiory albo monstra, trzeba mieć płonące pochodnie — wyjaśniła niania. — To powszechnie znany fakt.

Przez moment przyswajali tę myśl.

— To prawda.

— Ona ma rację, wiecie...

— Powszechnie znany fakt, moja droga.

— Dostali płonące pochodnie?

— Chyba nie. Tylko zwykłe latarnie.

— To na nic — stwierdziła niania. — Latarnie są na przemytników. Na upiory trzeba płonących...

— Uwaga, chłopcy i dziewczęta!

Inspicjent stanął na pustej skrzyni.

— Słuchajcie — zaczął, nieco błądliwy. — Wiem, że wszystkim wam znane jest powiedzenie „Przedstawienie musi trwać”...

Chór odpowiedział chóralnym jękiem.

— Trudno śpiewać wesołą piosenkę o zjadaniu jeża, kiedy człowiek czeka, aż jemu przytrafi się jakiś... wypadek! — zawołał król Cyganów.

— Zabawne, skoro mowa o piosenkach z jezami, to ja... — zaczęła niania, ale nikt jej nie słuchał.

— Przecież tak naprawdę nie wiemy, co się stało...

— Naprawdę? Mamy zgadywać? — rzucił Cygan.

— ...ale mamy już ludzi rozstawionych w kominie...

— Tak? Gdyby nastąpiły kolejne... wypadki?

— ...a pan Kubeł upoważnił mnie do zapewnienia, że dziś wieczór dostaniecie premię w wysokości dwóch dolarów, w nagrodę za odważne uznanie, że przedstawienie musi trwać...

— Pieniądze? Po takim wstrząsie? Pieniądze? Myśli, że obieca nam parę dolarów, a my zgodzimy się zostać na tej przeklętej scenie?

— Skandal!

— On jest bez serca!

— Niewyobrażalne!

— Powinien dać co najmniej cztery!

— Zgadza się! Cztery!

— To hańba, przyjaciele! Dyskutować o kilku dolarach, kiedy tu oto leży martwy człowiek? Nie macie szacunku dla jego pamięci?

— Właśnie! Dwa dolary to faktycznie brak szacunku! Pięć albo nie gramy!

Niania Ogg pokiwała głową. Oddaliła się, by poszukać odpowiedniego kawałka materiału i przykryć zwłoki doktora Undershafta.

Teatralny świątek dosyć się jej podobał. Miał własną magię. Dlatego Esme go nie lubiła, zdaniem niani. Była to bowiem magia iluzji, oszustw i błazeństw, co niani odpowiadało, bo nie można wyjść za mąż trzy razy, jeśli się trochę nie oszukuje. Ale wszystko to było nazbyt zbliżone do własnej babcinej magii, żeby babci nie zaniepokoić. A to powodowało, że nie mogła zostawić tego świata w spokoju. Tak jakby musiała ciągle naciskać bolące miejsce.

Ludzie nie zwracają na ogół uwagi na niskie starsze panie, które wyglądają, jakby były na swoim miejscu. A niania Ogg potrafiła się dopasować do otoczenia szybciej niż martwy kurczak w hodowli robaków.

Poza tym niania dysponowała pewnym dodatkowym niewielkim talentem. Był to umysł niczym piła mechaniczna, ukryty za obliczem podobnym do pomarszczonego jabłka.

Ktoś szlochał.

Dziwna postać klęczała przy martwym kierowniku chóru. Wyglądała jak marionetka z odciętymi sznurkami.

— Możesz mi pomóc z tą płachtą, kawalerze? — zapytała cicho niania.

Para wilgotnych oczu, z których ciekły strumienie łez, zamrugła na widok niani.

— On się nie obudzi!

Niania zmieniała umysłowy bieg.

— Zgadza się, skarbie — powiedziała. — Jesteś Walter, prawda?

— Zawsze był dobry dla mnie i dla mamy! Nigdy mnie nie kopnął!

Dla niani stało się jasne, że nie ma co liczyć na pomoc. Przyklękła i spróbowała sama sobie poradzić.

— Proszę pani, oni mówią, że to Upiór, proszę pani! To nie Upiór, proszę pani! Nigdy by tego nie zrobił! Zawsze był dobry dla mnie i dla mamy!

Niania znowu przerzuciła biegi. Dla Waltera Plinge trzeba było porządnie zwolnić.

— Mama by wiedziała, co robić.

— No, ale... poszła wcześniej do domu, Walterze.

Woskowa twarz Waltera zaczęła wykrzywiać się w wyrazie śmiertelnej grozy.

— Nie może iść do domu bez Waltera, żeby jej pilnował! — zawołał.

— Na pewno zawsze tak mówi — zgodziła się niania. — Na pewno zawsze dba o to, żeby Walter był przy niej w drodze do domu. Ale myślę, że w tej chwili chciałaby, żeby Walter działał jak należy, a ona mogła być z niego dumna. Przedstawienie jeszcze się nie skończyło.

— To niebezpieczne dla mamy!

Niania poklepała go po ręce i odruchowo wytarła dłoń o spódnicę.

— Dobry chłopak — powiedziała. — A teraz muszę iść...

— Upiór nikogo by nie skrzywdził!

— Tak, Walterze, ale muszę już iść. Znajdę kogoś, kto ci pomoże, a ty musisz ułożyć biednego doktora Undershafta w jakimś spokojnym miejscu, dopóki nie skończy się przedstawienie. Rozumiesz? A ja jestem pani Ogg.

Walter popatrzył na nią, rozdziawiając usta, ale po chwili kiwnął głową.

— Zuch.

Niania zostawiła go nad ciałem, a sama ruszyła dalej za scenę. Przebiegający młody człowiek odkrył nagle, że złapał nianię.

— Przepraszam, chłopcze — odezwała się niania, wciąż trzymając go za rękę.

— Znasz tu kogoś o imieniu Agnes? Agnes Nitt?

— Raczej nie, pszepani. A czym ona się zajmuje?

Możliwie grzecznie starał się uwolnić i biec dalej, ale uchwyt niani był niczym stal.

— Trochę śpiewa. Duża dziewczyna. Głos na podwójnych resorach. Ubiera się na czarno.

— Nie chodzi przypadkiem o Perditę?

— Perdita? A tak, to będzie ona. Zgadza się.

— Myślę, że zajmuje się Christine. Są w gabinecie pana Salzelli.

— Czy Christine to ta chuda dziewczyna w białym?

— Tak, pszepani.

— I spodziewam się, że zechcesz mi pokazać, gdzie jest ten gabinet pana Salzelli?

— Ja zechcę...? To znaczy tak. Trzeba przejść wzdłuż sceny, pierwsze drzwi po prawej.

— Jaki grzeczny chłopak, poratował biedną staruszkę — pochwaliła go niania. Jej uścisk nabrał siły i niewiele już dzieliło go od odcięcia dopływu krwi. — A nie sądzisz, że miło by było, gdybyś pomógł też młodemu Walterowi, o tam, żeby jakoś zadbał o ciało tego nieszczęśnika?

— Gdzie tam?

Niania obejrzała się. Martwy pan Undershaft leżał na miejscu, ale Walter zniknął.

— Biedny chłopak, bardzo był poruszony — uznała niania. — Nic dziwnego. Należało się tego spodziewać. W takim razie... Może znajdziesz sobie innego dzielnego młodzieńca, żeby tobie pomógł, zamiast Waltera?

— No... tak.

— Grzeczny chłopak — powtórzyła niania.

Był wieczór, niezbyt jeszcze późny. Babcia i pani Plinge przeciskały się między przechodniami na ulicach, podążając w kierunku Mroków — części miasta tłocznej jak gniazdowisko gawronów, a pachnącej jak wysypisko śmieci. I odwrotnie.

— Zatem — zaczęła babcia, kiedy wkroczyły w labirynt cuchnących zaułków — pani chłopak, Walter, zwykle odprowadza panią do domu, tak?

— To dobry chłopak, pani Weatherwax — odparła niepewnie pani Plinge.

— Z pewnością to szczęście, że może się pani wesprzeć na takim mocnym ramieniu.

Pani Plinge uniosła wzrok. Spojrzenie w oczy babci Weatherwax przypominało patrzenie w lustro: to, co stamtąd na człowieka wyglądało, to był on sam. I nie było przed tym kryjówki.

— Dręczą go — wymamrotała. — Poszturchują i chowają mu miotłę. To nie są zli chłopcy, ale go dręczą.

— Przynosi swoją miotłę do domu, prawda?

— Dbą o swoje rzeczy. Wychowałam go, żeby ich pilnował i nie sprawiał nikomu kłopotów. Ale poszturchują biedaka i przezywają...

Zaułek kończył się dziedzińcem podobnym do studni między wysokimi budynkami. Sznury do prania we wszystkie strony przecinały prostokąt rozświetlonego księżycem nieba.

— To już tutaj — oświadczyła pani Plinge. — Bardzo jestem pani wdzięczna.

— Jak Walter dostanie się do domu bez pani? — spytała babcia Weatherwax.

— Och, w gmachu Opery jest dość miejsc, żeby się przespać. Wie, że jeśli po niego nie przyjdę, ma tam zostać na noc. Robi, co mu się powie, pani Weatherwax. Nigdy nie sprawia kłopotów.

— Nie mówiłam, że sprawia.

Pani Plinge zaczęła szperać w torebce, w tej samej mierze próbując umknąć przed wzrokiem babci Weatherwax, co znaleźć klucz.

— Przypuszczam, że Walter widzi prawie wszystko, co się dzieje w gmachu Opery — stwierdziła babcia, ujmując ją za przegub. — I zastanawiam się, co takiego... zobaczył.

Puls skoczył w tej samej chwili co złodzieje. Cienie rozwinęły się nagle. Zgrzytnął metal.

— Jesteście tylko we dwie, moje panie — oświadczył niski głos. — A nas jest sześciu. Nie warto nawet krzyknąć.

— Olaboga, laboga — odpowiedziała babcia.

Pani Plinge padła na kolana.

— Błagam, nie krzywdźcie nas, szlachetni panowie! Macie przecież matki!

Babcia przewróciła oczami. Niech to licho porwie i demony na dodatek. Była dobrą czarownicą. Taką rolę powierzyło jej życie. Takie brzemie musiała dźwigać. Dobro i Zło są kategoriami całkiem zbytecznymi, jeśli człowiek dorasta z wysoce rozwiniętym poczuciem tego, co Słuszne i Niesłuszne. Miała nadzieję, och, jakąż miała nadzieję, że ci tutaj, choć młodzi, są zatwardziałymi przestępcami.

— Miałem kiedyś matkę — przyznał najbliższy z rabusiów. — Tylko chyba żem ją zjadł.

Aha, pozycje w czołówce. Babcia uniosła ręce do kapelusza, by wyjąć dwie długie szpilki...

Dachówka zsunęła się z dachu i z pluskiem wpadła do kałuży.

Wszyscy unieśli głowy.

Na tle księżycy przez moment widać było człowieka w pelerynie. Wyciągnął przed siebie rękę, w której trzymał miecz. A potem zeskoczył, lądując zgrabnie przed zdumionym złodziejem.

Świsnęła klinga.

Pierwszy z rabusiów odwrócił się i pchnął w mroczną sylwetkę przed sobą. Sylwetka okazała się drugim rabusiem, który machnął ręką i przejechał nożem po żebrach trzeciego.

Zamaskowany przybysz tańczył między nimi, a jego miecz niemal pozostawiał w powietrzu lśniące ślady. Później babcia uświadomiła sobie fakt, że ostrze ani razu nie zetknęło się z ciałem — ale też nie musiało. Kiedy sześciu walczy przeciwko jednemu, w zamieszaniu i w ciemności, a zwłaszcza jeśli tych sześciu nie jest przyzwyczajonych i w dodatku całą wiedzę o walce na noże zyskali od innych amatorów, to jest sześć szans na siedem, że dźgną któregoś z kompanów, a mniej więcej jedna na dwanaście, że przytną sobie własne ucho.

Dwaj, którzy nie byli jeszcze ranni po dziesięciu sekundach, spojrzeli na siebie, odwrócili się i rzucili do ucieczki.

I wszystko się skończyło.

Jedyny z walczących, stojący jeszcze pionowo, skłonił się przed babcią Weatherwax.

— *Ah! Bella donna.*

Zafurkotała czarna peleryna podszyta czerwonym jedwabiem, a potem i ona zniknęła. Przez chwilę słychać jeszcze było lekkie kroki na bruku.

— Coś podobnego — powiedziała babcia. Jej dłoń zawisła nieruchomo w połowie drogi do kapelusza.

Wokół rozmaite ciała jęczały albo wydawały z siebie bulgoczące odgłosy.

— Olaboga — westchnęła. Po czym wzięła się w garść. — Będziemy potrzebowały przyjemnie ciepłej wody i trochę bandaży, jak również dobrej, ostrej igły do zszywania ran, pani Plinge — oświadczyła. — Nie możemy pozwolić, żeby ci nieszczęśnicy wykrwawili się na śmierć, prawda? Nawet jeśli rabują bezbronne staruszki...

Pani Plinge wydawała się zbyt przerażona.

— Musimy być miłosierne, pani Plinge — nalegała babcia.

— Dołożę do ognia i podrę prześcieradło — zgodziła się wreszcie pani Plinge. — Nie wiem, czy znajdę igłę.

— Och, ja chyba mam jakąś — uspokoiła ją babcia i wyjęła jedną, wbitą w rondo kapelusza. Przyklęknęła obok leżącego rabusia. — Jest trochę zardzewiała i tępa — dodała — ale zrobimy, co tylko można.

Igła błysnęła w świetle księżycy. Okrągłe, przerażone oczy złodzieja skupiły na niej wzrok, potem przesunęły się ku twarzy babci. Zaskomlał. Usiłował łopatkami zakopać się w bruku.

Może to dobrze, że nikt inny nie widział w mroku babcinej miny.

— Pora na dobry uczynek — powiedziała.

Salzella dramatycznie wzniosł rękę.

— Przypuśćmy, że spadłby na dół w połowie aktu?

— No dobrze, dobrze — ustąpił Kubeł, który siedział za biurkiem tak, jak człowiek mógłby się ukrywać w bunkrze. — Zgadzam się. Po spektaklu wezwiemy Straż Miejską. Nie ma innego wyjścia. Poprosimy ich tylko, żeby byli dyskretni.

— Dyskretni? Widział pan kiedy strażnika?

— Zresztą i tak niczego nie znajdują. Przedostał się na dach i uciekł, mogę się założyć. Kimkolwiek jest. Biedny doktor Undershaft. Nigdy nie miał nerwów jak postronki...

— A dziś ma postronki zamiast nerwów — zauważył Salzella.

— To było nieładne!

Salzella pochylił się nad biurkiem.

— Ładne czy nie, zespół składa się z ludzi teatru. Przesądnych. Wystarczy drobiazg, jak choćby zamordowanie kogoś na scenie, a całkiem się rozsypują.

— Nie był zamordowany na scenie. Został zabity poza sceną. Poza tym nie ma pewności, czy to rzeczywiście morderstwo. Był ostatnio bardzo... przygnębiony.

Agnes przeżyła szok, ale nie szok z powodu śmierci doktora Undershafta. Zdumiała ją raczej własna reakcja. Nieprzyjemne i przerażające było oglądanie martwego człowieka, ale jeszcze bardziej zobaczenie siebie istotnie zaciekawionej tym, co się dzieje — tym, jak ludzie się zachowują, jak się poruszają, co mówią. Całkiem jakby wyszła z siebie, stanęła z boku i obserwowała wszystko.

Christine za to zwyczajnie zemdlała. Podobnie jak donna Timpani. Więcej osób ratowało Christine niż primadonnę, mimo że Timpani ocknęła się i zemdlała znacząco jeszcze kilka razy. W końcu musiała dostać hysterii. Nikt ani przez moment nie pomyślał, że trzeba pomagać Agnes.

Przeniesiono Christine do gabinetu Salzelli za sceną i ułożono na sofie. Agnes przyniosła miskę z wodą i ręcznik, a teraz ocierała jej czoło. Są bowiem ludzie, których przeznaczeniem jest być układanym na wygodnych sofach, a są tacy, którym los przeznaczył tylko noszenie misek z zimną wodą.

— Kurtyna idzie w górę za dwie minuty — przypomniał Salzella. — Pójdę zebrać orkiestrę. Pewnie siedzą pod Ciosem w Plecy, po drugiej stronie ulicy. Dranie, zdążą wypić po pół kufła, zanim jeszcze ucichną oklaski.

— I nadal potrafią grać?

— Nigdy nie potrafili, więc nie rozumiem, czemu teraz mieliby zacząć. To przecież muzycy, panie Kubel. Zwłoki mogłyby ich zdenerwować, jedynie wpadając im do piwa. A nawet wtedy by grali, jeśli dostaliby premię za zwłokę.

Kubel podszedł do leżącej Christine.

— Jak ona się czuje?

— Coś bełkocze... — zaczęła Agnes.

— Komuś herbaty? — rozległo się pytanie. — Nie ma nic lepszego od filiżanki herbaty. Nie, skłamałam... Ale widzę, że sofa i tak jest zajęta, to taki mój żart, bez urazy. Ktoś ma ochotę na filiżankę mocnej herbaty?

Agnes obejrzała się ze zgrozą.

— No, ja na przykład napiłbym się z rozkoszą — rzekł Kubel fałszywie jowialnym tonem.

— A ty, panienko? — Niania mrugnęła do Agnes.

— Eee... nie, dziękuję. Pracuje pani tutaj?

— Zastępuję panią Plinge, która źle się poczuła. — Niania mrugnęła po raz drugi. — Nazywam się Ogg. Nie zwracajcie na mnie uwagi.

To wyraźnie uspokoiło Kubła. Choćby dlatego, że przypadkowe roznosicielki herbaty prezentowały najmniejsze z możliwych w tej chwili zagrożeń.

— To dzisiejsze przedstawienie bardziej przypomina *Grand Guignol* niż operę — stwierdziła niania. Szturchnęła Kubła. — To po zagranicznym „cała scena we krwi” — dodała jeszcze.

— Doprawdy.

— Tak. To znaczy... Wielki Gignol.

W dali zagrała muzyka.

— Uwertura do aktu drugiego — stwierdził Kubel. — Jeśli Christine wciąż jest za słaba, to...

Rzucił Agnes rozpaczliwe spojrzenie. Cóż, w takiej chwili ludzie chyba rozumieją. Pierś Agnes z dumą wypięła się jeszcze bardziej.

— Tak, panie Kubeł?

— Może znajdziemy ci coś białego...

Christine jęknęła, nie otwierając oczu. Uniosła rękę i dotknęła przegubem czoła.

— Ojej, co się stało?!

Kubeł przyklęknął obok niej.

— Dobrze się czujesz? Przeżyłaś szok! Myślisz, że możesz wyjść na scenę ze względu na dobro sztuki i żeby ludzie nie zażądali zwrotu pieniędzy?

Uśmiechnęła się mężnie. Niepotrzebnie mężnie, zdaniem Agnes.

— Nie mogę rozczarować drogiej publiczności!! — oświadczyła.

— Doskonale! — ucieszył się Kubeł. — W takim razie musisz się pospieszyć. Perdita ci pomoże... Prawda, Perdito?

— Tak. Oczywiście.

— I musisz stanąć w chórze do duetu — przypomniał Kubeł. — Gdzieś blisko w chórze.

Agnes westchnęła.

— Tak, wiem. Chodźmy, Christine.

— Kochana Perdita — szepnęła Christine.

Niania przyglądała się, jak wychodzą. Następnie powiedziała:

— Ja wypiję tę herbatę, jeśli pan już skończył.

— Co? A tak, tak, skończyłem — zgodził się Kubeł. — Bardzo dobra.

— Tego... Zdarzył się drobny wypadek przy łóżach — poinformowała.

Kubeł chwycił się za serce.

— Ilu nie żyje?

— Ależ skąd, nikt nie zginął, nikt nie zginął. Trochę są przemoczeni, bo rozlał mi się szampan.

Kubeł odetchnął z ulgą.

— Tym bym się nie przejmował.

— Kiedy mówię, że się rozlał... to znaczy, że rozlewał się przez jakiś czas.

Machnął ręką.

— Dobrze się zmywa z dywanów.

— A plamy na suficie zostają?

— Pani...

— Ogg.

— Proszę nas zostawić.

Niania skinęła głową, pozbierała filiżanki i wyszła. Jeśli nikt nie zainteresował się starszą panią z herbatą, to nikt nie zwróci też uwagi na staruszkę za stosem prania. Pranie wszędzie stanowi przepustkę.

Jeśli chodziło o nianię Ogg, to jej zdaniem pranie było też czymś, co przytrafia się innym. Uznała jednak, że powinna przygotować się do roli. Znalazła wnękę z pompą i zlewem, podwinęła rękawy i wzięła się do pracy.

Ktoś stuknął ją w ramię.

— Nie powinna pani tego robić — powiedział. — To przynosi pecha.

Obejrzała się na maszynistę.

— Jak to? Pranie sprowadza siedem lat nieszczęścia?

— Gwizdała pani.

— Zawsze gwizdzę, kiedy się zastanawiam.

— Chodzi mi o to, żeby nie gwizdała pani na scenie.

— To pechowe?

— Można tak powiedzieć. Wykorzystujemy kod gwizdów przy zmianach dekoracji. Kiedy worek piasku ląduje na człowieku, to jest rzeczywiście pech.

Niania uniosła wzrok. Maszynista popatrzył także. W tym miejscu sufit znajdował się o dwie stopy nad głową.

— Po prostu bezpieczniej jest nie gwizdać — wymamrotał.

— Zapamiętam — obiecała niania. — Żadnego gwizdania. Ciekawe. Człowiek się uczy przez całe życie...

Kurtyna uniosła się do drugiego aktu. Niania podglądała zza kulis.

Interesujące było, jak śpiewacy starają się stale trzymać jedną rękę powyżej szyi, dla ochrony przed... wypadkiem. Zdawało się, że wykonują o wiele więcej salutów, machnięć i dramatycznych gestów, niż wymagałaby tego sama opera.

Obejrzała duet Iodyny i Bufoli, być może pierwszy w historii, gdy para śpiewaków cały czas patrzyła w górę.

Niani podobała się także muzyka. Jeśli muzyka jest pokarmem miłości, to zawsze miała ochotę na sonatę z ziemniaczkami. Ale było jasne, że w spektaklu coś przestało iskrzyć.

Potrząsnęła głową.

Jakaś postać przesunęła się w mroku za jej plecami; wyciągnęła rękę. Niania odwróciła się i spojrzała w przerażające oblicze.

— Och, jesteś już, Esme. Jak się tu dostałaś?

— Wciąż masz nasze bilety, więc musiałam przekonać człowieka przy drzwiach. Ale dojdzie do siebie za minutę czy dwie. Co się działo?

— Książę odśpiewał długą pieśń o tym, że musi już iść, potem hrabia zaśpiewał, jak pięknie jest na wiosnę, a potem czyjeś zwłoki spadły z sufitu.

— Takie rzeczy często się dzieją w operach, prawda?

— Nie, raczej nie.

— Aha. W teatrze, jak zauważyłam, kiedy człowiek dostatecznie długo obserwuje martwe ciała, może zauważyć, jak się ruszają.

— Wątpię, czy to się poruszy. Uduszone. Ktoś morduje ludzi z opery. Pogadałam z dziewczętami z baletu.

— Doprawdy?

— To ten Upiór, o którym stale opowiadają.

— Hm... Nosi taki czarny operowy kostium i białą maskę?

— Skąd wiesz?

Babcia była wyraźnie zadowolona z siebie.

— Ale kto chciałby mordować ludzi z opery... — Niania przypomniała sobie wyraz twarzy donny Timpani. — No, może oprócz innych ludzi z opery. I jeszcze muzyków. I zapewne kilku widzów...

— Nie wierzę w upiory — oznajmiła stanowczo babcia.

— Daj spokój, Esme! Sama mam ich w domu co najmniej tuzin!

— Och, wierzę w duchy. Smutne istoty, które włóczą się po świecie i jęczą... Ale nie wierzę, że zabijają ludzi ani że używają mieczy. — Przespacerowała się tam i z powrotem. — A tutaj i tak jest za dużo upiorów.

Niania milczała. To najlepsze rozwiązanie, kiedy babcia słucha, nie korzystając z uszu.

— Gytho...

— Tak, Esme?

— Co oznacza „Bella Donna”?

— To taka fikuśna nazwa wilczej jagody, Esme.

— Tak myślałam. Ha! Co za bezczelność!

— Ale w operze oznacza Piękną Damę.

— Doprawdy? Och... — Babcia odruchowo przyklepała twarde jak skała kok. — Głupoty!

...poruszał się jak muzyka, jak ktoś tańczący do rytmu rozbrzmiewającego w myślach. A jego twarz, przez jedną chwilę w blasku księżyca, była jak czaszka anioła...

Duet po raz kolejny otrzymał oklaski na stojąco.

Agnes wmieszała się dyskretnie w szeregi chóru. Przez pozostałą część drugiego aktu nie miała wiele do roboty oprócz tańca — a przynajmniej poruszania się możliwie rytmicznie wraz z pozostałymi — podczas Cygańskiego Jarmarku i słuchania księcia, który śpiewał pieśń o tym, jak pięknie jest na wsi latem. Z ramieniem wyciągniętym dramatycznie nad głową.

Cały czas zerkała w stronę kulis.

Jeśli pojawiła się niania Ogg, to ta druga też musi tu gdzieś być. Agnes żałowała, że w ogóle pisała do domu te nieszczęsne listy. W każdym razie nie zaciągną jej z powrotem, choćby nie wiem jak się starały...

Do samego końca w operze nikt już nie zginał, z wyjątkiem tych, od których wymagało tego libretto. Ci konali długo. Nastąpiło drobne zamieszanie, kiedy komuś z chóru o mało nie rozbił głowy worek z piaskiem, strącony z pomostu przez któregoś z maszynistów, rozstawionych tam, by nie dopuszczać do wypadków.

Na końcu znowu zebrali oklaski. Większa ich część przypadła Christine.

Wreszcie kurtyna opadła.

A potem uniosła się i opadła jeszcze kilka razy, gdy Christine kłaniała się publiczności.

Agnes miała wrażenie, że chyba Christine wykonała o jeden ukłon więcej, niż usprawiedliwiała to burza braw. Perdita, obserwująca wszystko jej oczami, stwierdziła tylko: Oczywiście że tak.

Aż w końcu opuścili kurtynę po raz ostatni.

Publiczność rozeszła się do domów.

Od kulis i z góry, z komina scenicznego, zabrzmiały gwizdy maszynistów. Kolejne fragmenty operowego świata znikały w ciemności nad sceną. Ktoś przeszedł w poprzek i zgasił większość świateł. Wznosząc się jak ogromny tort urodzinowy, żyrandol został podciągnięty do swej wnęki, by można było pogasić świece. Potem zabrzmiały kroki ludzi schodzących z poddasza...

W ciągu dwudziestu minut od ostatniego kłaśnięcia audytorium było już puste i ciemne — jeśli nie liczyć kilku płomyków świec.

Potem zabręczczało wiadro.

Na scenę wkroczył Walter Plinge — jeśli można użyć tego słowa, by określić jego sposób poruszania. Przesuwał się jak marionetka na gumowych nitkach, co sprawiało wrażenie, że tylko przypadkiem dotyka stopami podłogi.

Bardzo powoli, bardzo starannie zaczął zmywać deski sceny.

Po kilku minutach plama cienia wysunęła się z mroku i zbliżyła do niego. Walter spojrzął w dół.

— Dobry wieczór, panie Kocie — powiedział.

Greebo otarł się o jego nogi. Koty wyczuwają ludzi dostatecznie nierozumnych, by dawali im jedzenie. Walter z pewnością świetnie się kwalifikował.

— Pójdę poszukać mleka. Dobrze, panie Kocie?

Greebo zamruczał jak burza z piorunami.

Swym dziwnym krokiem, posuwając się naprzód jedynie po uśrednieniu, Walter zniknął za kulisami.

Dwie niewyraźne postacie siedziały jeszcze na balkonie.

— Smutne — uznała niania.

— Ma dobrą pracę w ciepłym miejscu, a matka stale się nim opiekuje — odparła babcia. — Wielu radzi sobie gorzej.

— Ale jaka przyszłość go czeka? Jeśli się dobrze zastanowić...

— Na kolację mieli kilka zimnych ziemniaków i połówkę śledzia — powiedziała babcia. — Dom pusty, prawie żadnych mebli.

— Skandal.

— Chociaż nie należy zapominać, że jest teraz odrobinę bogatsza — zauważyła babcia. — Zwłaszcza jeśli sprzeda wszystkie te noże i buty — dodała, bardziej do siebie.

— Świat jest okrutny dla starszych dam — uznała niania, matrona i władczyni licznego klanu, bezdyskusyjny tyran połowy Ramtopów.

— Zwłaszcza tak wystraszonych jak pani Plinge.

— Też bym była wystraszona, gdybym była już stara i musiała pamiętać o Walterze.

— Nie o tym mówię, Gytho. Znam się na strachu.

— To prawda — przyznała niania. — Większość osób, które spotykasz, jest przerażona.

— Pani Plinge żyje w lęku — rzekła babcia, jakby nie słyszała przyjaciółki. — Nie potrafi normalnie myśleć ze zgrozy. Strach opętał jej umysł. Czuję, że przerażenie unosi się wokół niej niczym mgła.

— Czemu? Z powodu Upiora?

— Jeszcze nie wiem. W każdym razie jeszcze nie wszystko. Ale odkryję to.

Niania sięgnęła w zakamarki swej sukni.

— Napijesz się czegoś? — Wśród halek zabrzmiało stłumione brzęknięcie. — Mam szampana, brandy i porto. I jakieś przekąski, i herbatniki.

— Gytho Ogg, uważam, że jesteś złodziejką — oznajmiła babcia.

— Wcale nie! — oburzyła się niania. I dodała z poczuciem owej moralności wyższego rzędu, tak charakterystycznej dla czarownic: — To, że od czasu do czasu coś, formalnie rzecz biorąc, ukradnę, nie czyni mnie jeszcze złodziejką. Nie myślę po złodziejsku.

— Wracajmy do pani Palm.

— Dobrze. Tylko czy najpierw mogłybyśmy coś zjeść? Nie narzekam na kuchnię, ale to, co tam podają... to trochę jak całodzienne śniadanie, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi...

Jakiś szelest dobiegł je ze sceny. Powrócił Walter i odrobinę tłuściejszy Greebo. Chłopak znów zaczął szorować scenę.

— Jutro z samego rana — rzekła babcia — pójdziemy odwiedzić pana Kozabergera od Almanachu. Zdążyłam się zastanowić, co dalej. A potem rozwiążemy sprawy tutaj.

Zerknęła na nieświadomą niczego postać na scenie.

— Co takiego wiesz, Walterze Plinge? — mruknęła pod nosem. — Co takiego widziałeś?

— Czy to nie wspaniałe?! — westchnęła Christine, siadając na łóżku.
Jej nocna koszula, jak zauważyła Agnes, była biała i niezwykle wręcz koronkowa.
— Tak, rzeczywiście.
— Pięć razy podnosili kurtynę!! Pan Kubeł mówi, że to więcej niż dla kogokolwiek od czasów donny Gigli!! Jestem pewna, że nie zdołam zasnąć z podniecenia!!
— Więc napij się pysznego ciepłego mleka, które dla nas przygotowałam — zaproponowała Agnes. — Wieki trwało, zanim wniosłam rondel po tych schodach.
— I kwiaty!! — wykrzyknęła Christine, nie zwracając uwagi na stojący obok łóżka kubek. — Pan Kubeł mówi, że zaczęli je znosić zaraz po przedstawieniu!! Powiedział...
Ktoś cicho zapukał do drzwi.
— Wejść!!
Drzwi otworzyły się i wszedł Walter Plinge, niewidoczny spoza bukietów. Po kilku krokach potknął się, zachwiał i upuścił je. W niemym zakłopotaniu popatrzył na dziewczętą, odwrócił się nagle i ruszył do drzwi.
Christine zachichotała.
— Przepraszam, ma... panienko.
— Dziękuję, Walterze — powiedziała Agnes.
Drzwi zamknęły się.
— Czy to nie dziwne?! Zauważyłaś, jak na mnie patrzył?! Czy mogłabyś, Perdito, przynieść wodę do kwiatów?!
— Oczywiście, Christine. To w końcu tylko siedem kondygnacji.
— A w nagrodę wypiję to pyszne mleko, które dla mnie przygotowałaś!! Dodałaś korzeni?!
— O tak. Korzeni też.
— To nie taki napój, jaki warzą te twoje czarownice, prawda?!
— No... nie — zapewniła Agnes. W końcu w Lancre wszyscy używali świeżych ziół.
— Nie wystarczy wazonów na te kwiaty, nawet jeśli użyję nocnika.
— Czego?!
— No wiesz... naczynia do używania nocą. Nocnika.
— Jesteś taka zabawna!!
— W każdym razie zabraknie — powtórzyła Agnes, czerwieniąc się ze wstydu. Za jej oczami Perdita dokonała mordu.
— W takim razie wstaw do wody te od hrabiów i arystokratów, a resztą zajmę się jutro!! — zdecydowała Christine i sięgnęła po kubek.
Agnes wzięła kociołek i skierowała się do drzwi.
— Perdito, skarbie!! — zawołała jeszcze Christine, z kubkiem w połowie drogi do ust.
Agnes obejrzała się.

— Wydawało mi się, kochana, że śpiewałaś ociupinkę za głośno!! Pewnie widzom trudno było mnie słuchać!!

— Przepraszam, Christine.

Schodziła w mroku. Dziś w nocy na każdej kondygnacji płonęła świeca. Bez nich schody byłyby zwyczajnie ciemne — z nimi cienie skradały się i wyskakiwały na każdym rogu.

Dotarła do pompy w niewielkiej wnęce przy pokoju inspicjenta. Napełniła kociołek. Na scenie ktoś zaczął śpiewać.

Była to aria Peccadilla z duetu sprzed trzech godzin, ale wykonywana bez muzyki, tenorem takiej barwy i czystości, że Agnes upuściła naczynie, ochlapując sobie nogi zimną wodą.

Nasłuchiwała przez chwilę, aż uświadomiła sobie, że sama śpiewa pod nosem partię sopranu.

Pieśń dobiegła końca. Usłyszała głuchy stuk oddalających się kroków.

Podeszła do drzwi na scenę, zawahała się, po czym otworzyła je i wybiegła w rozległą, ciemną pustkę. Pozostałe jeszcze płonące świece dawały tyle światła, ile gwiazdy w pogodną noc.

Nie było nikogo.

Przeszła na środek sceny, przystanęła i aż wstrzymała oddech ze zdumienia — czuła przed sobą widownię, tę potężną pustą przestrzeń wydającą taki dźwięk, jaki wydawałby aksamit — gdyby chrapał.

To nie była cisza. Na scenie cisza nie zapada nigdy. To był szum złożony z miliona dźwięków, które nigdy naprawdę nie umilkły — gromu oklasków, uwertur, arii... Wylewały się w pustkę: fragmenty melodii, zagubione nuty, strzępy pieśni...

Cofnęła się i nadepnęła komuś na nogę.

Odwróciła się.

— André, nie można tak...

Ktoś skulił się przestraszony.

— Przepraszam, panienko!

Agnes odetchnęła.

— Walter?

— Przepraszam, panienko!

— Nic nie szkodzi. Po prostu mnie wystraszyłeś.

— Nie widziałem panienki.

Walter coś trzymał. Ku zdumieniu Agnes, ciemniejszy kształt w mroku okazał się kotem przerzuconym przez ręce Waltera jak stary dywan i mrużącym z zadowoleniem. To przecież tak, pomyślała, jakby ktoś wsunął rękę do wnętrza maszynki do mięsa, żeby sprawdzić, co ją zablokowało.

— To Greebo, prawda?

— To szczęśliwy kot. Pełen mleka.

— Walterze, co robisz na scenie w środku nocy, po ciemku, kiedy wszyscy poszli już do domu?

— A co panienka robi?

Po raz pierwszy usłyszała z ust Waltera pytanie. Poza tym był przecież kimś w rodzaju woźnego, mógł chodzić wszędzie...

— Ja... zgubiłam się — wyjaśniła, wstydząc się tego kłamstwa. — Lepiej... no, pójdę już do swojego pokoju. Aha... słyszałeś, jak ktoś tu śpiewał?

— Przez cały czas, panienko.

— Ale teraz!

— Teraz rozmawiam z panienką.

— Aha...

— Dobranoc, panienko!

Przeszła przez ciepłą, miękką ciemność do niewielkich drzwi. Na każdym kroku walczyła z chęcią spojrzenia za siebie. Wzięła kociołek i pobiegła do schodów.

Za nią, na scenie, Walter ostrożnie postawił Greeba na podłodze, zdjął beret i wyjął z niego coś białego i cienkiego.

— Czego teraz posłuchamy, panie Kocie? Już wiem: uwertury do „Die Flederleiv” J.Q. Bubbli pod dyрекcją Vochuy Doinova.

Greebo wyduł policzki jak kot, który za jedzenie skłonny jest zgodzić się prawie na wszystko.

Walter usiadł obok niego i słuchał muzyki wydobywającej się z murów.

Kiedy Agnes wróciła do pokoju, Christine spała już mocno, chrapiąc jak ktoś, kto trafił do ziołowego nieba. Kubek leżał przy łóżku.

To nie był zły uczynek, pocieszała się Agnes. Christine na pewno przyda się dobry, mocny sen. Można wręcz uznać to za przejaw opiekuńczości.

Obejrzała kwiaty. Przysłano wiele róż i orchidei; do większości bukietów dołączono bileciki. Jak widać, liczni arystokraci doceniali piękny śpiew, a przynajmniej piękny śpiew, który zdawał się wydobywać z ust kogoś wyglądającego jak Christine.

Ułożyła kwiaty w stylu lancrańskim, który polegał na tym, że brało się w jedną rękę wazon, w drugą bukiet, po czym siłą doprowadzało oba obiekty do kontaktu.

Ostatni bukiet był najmniejszy, opakowany w czerwonej bibułkę. Nie było bileciku. Prawdę mówiąc, nie było też kwiatów.

Ktoś po prostu zapakował pół tuzina poczerńiałych, długich różanych łodyg i z jakiegoś powodu spryskał je zapachem. Przypominał piżmo i był dość przyjemny — ale i tak uznała to za marny żart. Rzuciła ten dziwny bukiet do kubła na śmieci, zdmuchnęła świecę i usiadła.

Czekała. Nie była pewna, na kogo czeka. Ani na co.

Po minucie czy dwóch zauważyła dziwny blask w kuble. Była to ledwie widoczna fluorescencja, jakby schował się tam chory świetlik — ale była.

Agnes przeszła na czworakach po podłodze i zajrzała do środka.

Na martwych łądygach pojawiły się kwiaty róż, przezroczyste jak szkło, widoczne tylko dzięki delikatnemu migotaniu na brzegach płatków. Jarzyły się niczym błędne ogniki.

Wyjęła je ostrożnie i w ciemności wymacała pusty kubek. Nie był to najlepszy wazonik, ale musiał wystarczyć. Siedziała potem i patrzyła na widmowe kwiaty, aż...

...ktoś odchrząknął. Wzdrygnęła się, pojmując, że usnęła.

— Madame...

— Panie...

Głos brzmiał melodyjnie, jakby lada chwila miał zacząć śpiewać.

— Uważaj. Jutro musisz zaśpiewać partię Laury w „Il Truccatore”. Czekają nas wiele pracy. Jedna noc ledwie wystarczy. Większość tego czasu zajmie nam aria z pierwszego aktu.

Na chwilę zagrały skrzypce.

— Dzisiejszy twój występ był... dobry. Są jednak pewne obszary, nad którymi musisz popracować. Uważaj więc.

— Czy ty przysłałaś róże?

— Lubisz róże? Kwitną tylko w ciemności.

— Kim jesteś? Czy twój śpiew słyszałam przed chwilą?

Tajemniczy rozmówca milczał przez chwilę.

— Tak.

I zaraz:

— Zajmijmy się rolą Laury w „Il Truccatore”, „Mistrzu przebrań”, zwanym też czasem wulgarnie „Człowiekiem o tysiącu twarzy”...

Kiedy czarownice dotarły przed biuro Kozabergera, znalazły siedzącego na schodach bardzo dużego trolla, który na kolanach trzymał maczugę. Uniósł dłoń wielkości łopaty, dając znak, że dalej nie przejdą.

— Nikomu nie wolno wchodzić — oświadczył. — Pan Kozaberger ma spotkanie.

— A jak długo potrwa to spotkanie?

— Pan Kozaberger jest niezwykle wydłużonym spotykaczem.

Babcia przyjrzała się trollowi z podziwem.

— Dawno pracujesz w wydawniczym interesie? — spytała.

— Od dziś rano — odparł z dumą troll.

— Pan Kozaberger cię zatrudnił?

— Aha. Przyszedł dziś na Aleję Kamieniołomów i wybrał specjalnie mnie na...
— Troll zmarszczył czoło, usiłując sobie przypomnieć trudne słowa. — Perspektywiczne stanowisko w rozwojowej firmie wydawniczej.

— A na czym polega twoja praca?

— Mam tu siedzieć.

— Przepraszam bardzo. — Niania przecisnęła się do przodu. — Te warstwy poznałabym wszędzie. Pochodzisz z Miedzianki w Lancre, prawda?

— I co z tego?

— My też jesteśmy z Lancre.

— Taa?

— Wiesz, to jest babcia Weatherwax.

Troll uśmiechnął się z niedowierzaniem, po czym znowu zmarszczył czoło i spojrzął na babcię.

Kiwnęła głową.

— Ta, którą wy, chłopcy, nazywacie *Aaoograha hoa*, wiesz? — dodała niania. — Ta, której Trzeba Unikać.

Troll przyjrzał się swojej maczudze, jak gdyby poważnie rozważał możliwość zatłuczenia się na śmierć.

Babcia poklepała go po omszałym ramieniu.

— Jak ci na imię, mój chłopcze?

— Karborund, szanowna pani — wymamrotał. Jedna noga zaczęła mu drżeć.

— Jestem pewna, że świetnie sobie poradzisz w wielkim mieście.

— Właśnie. Dlaczego nie zaczniesz od razu? — zaproponowała niania.

Troll spojrzął na nią z wdzięcznością i odbiegł, nie tracąc nawet czasu na otwieranie drzwi.

— Naprawdę tak o mnie mówią? — zapytała babcia.

— No... tak — potwierdziła niania, kpiąc się w myślach w kostkę. — To dowód szacunku, oczywiście.

— Aha.

— Ehm...

— Zawsze bardzo się starałam, żeby dobrze żyć z trollami. Wiesz o tym.

— Oczywiście.

— A jak krasnoludy? — spytała nagle babcia, jak ktoś, kto odkrył nagle u siebie pęcherz, którego istnienia wcześniej nie podejrzewał, i teraz nie może się powstrzymać od naciskania go palcem. — Też mają dla mnie jakieś imię?

— Chodźmy porozmawiać z panem Kozabergerem, dobrze? — zaproponowała wesoło niania.

— Gytho!

— Eee... No tak... O ile pamiętam, *K'ez'rek d'b'duz*.

— A co to znaczy?

— No... „Obejdź Górę z Drugiej Strony” — wyjaśniła niania.

— Och.

Kiedy wspinały się po schodach, babcia zachowywała niezwykle u siebie milczenie.

Niania nie przejmowała się pukaniem. Otworzyła drzwi.

— Hej, hej, panie Kozaberger! — zawołała. — To znowu my, tak jak pan mówił. Oj, nie próbowałabym skakać przez okno. Jest pan na trzecim piętrze, a ten worek pieniędzy może być niebezpieczny, gdyby musiał się pan wspinać.

Mężczyzna cofał się pod ścianą tak, by w końcu między nim a czarownicami znalazło się biurko.

— Co się stało z trollem na dole? — zapytał.

— Postanowił wycofać się z interesów wydawniczych. — Niania usiadła i uśmiechnęła się promiennie. — Spodziewam się, że ma pan dla nas pieniądze.

Kozaberger zrozumiał, że znalazł się w ślepym zaułku. Wykrzywił twarz na różne sposoby, wypróbując w myślach rozmaite możliwe odpowiedzi. Wreszcie uśmiechnął się równie szeroko jak niania i zajął miejsce naprzeciw niej.

— Oczywiście, w tej chwili sytuacja jest dość trudna — powiedział. — Prawdę mówiąc, nie przypominam sobie gorszego okresu — dodał z rozsądną dozą szczerości.

Spojrzał na babcię. Jego uśmiech pozostał na miejscu, ale reszta twarzy zaczęła się wolno odsuwać.

— Ludzie jakoś nie chcą kupować książek — wyjaśnił. — A koszt grawerowania jest, powiedzmy sobie uczciwie, niegodziwy.

— Wszyscy, których znam, kupują Almanach — rzekła babcia. — Chyba każdy w Lancre kupuje Almanach, nawet krasnoludy. A to bardzo dużo półdolarówek. W dodatku książka Gythy sprzedaje się chyba znakomicie.

— Naturalnie, cieszę się, że jest taka popularna. Ale zapominają panie o dystrybucji, opłacaniu handlarzy, zużyciu...

— Wasz Almanach wystarczy dla całej rodziny na rok, oszczędnie — stwierdziła babcia. — Pod warunkiem że nikt się nie pochoruje, a papier będzie odpowiedni i cienki...

— Mój syn Jason zawsze kupuje dwa egzemplarze — zaznaczyła niania. — Naturalnie, ma liczną rodzinę. Drzwi do wygódki prawie się nie zamykają...

— Tak. Ale widzi pani, chodzi o to, że... Właściwie nic nie muszę pani płacić. — Kozaberger starał się nie zwracać uwagi na ich słowa. Jego uśmiech miał teraz całą twarz tylko dla siebie. — To pani mi zapłaciła za druk, a ja oddałem pani pieniądze. A nawet, o ile pamiętam, nasza księgowość popełniła drobną omyłkę na pani korzyść, choć nie mam zamiaru...

Cichł z wolna.

Babcia Weatherwax rozłożyła arkusz papieru.

— Te przepowiednie na przyszły rok... — zaczęła.

— Skąd pani je ma?

— Pożyczyłam. Mogę oddać, jeśli pan chce.

— Tak? Co z nimi?

— Są błędne.

— Co to znaczy: są błędne? Przecież to przepowiednie!

— Nie wyobrażam sobie deszczu curry w Klatchu w maju. Curry nie pojawia się tak wcześnie.

— Zna się pani na przepowiedniach? — spytał drwiąco Kozaberger. — Naprawdę? Bo ja drukuję je od lat.

— Nie zajmuję się takimi mądrymi przewidywaniami na całe lata do przodu — przyznała babcia. — Ale mogę całkiem dokładnie przedstawić panu jedną trzydziestosekundową.

— Doprawdy? I co takiego się zdarzy za trzydzieści sekund?

Babcia powiedziała.

Kozaberger ryknął śmiechem.

— Tak, to rzeczywiście niezłe. Powinna pani dla nas pracować! Słowo daję, ambitna próba. Lepsze niż samozapłon biskupa Quirmu, a to nawet nie nastąpiło! Za trzydzieści sekund, co?

— Nie.

— Nie?

— Teraz już dwadzieścia jeden — stwierdziła babcia.

Pan Kubeł zjawił się w Operze wcześnie, by sprawdzić, czy ktoś już dzisiaj zginął.

Dotarł aż do gabinetu i żadne zwłoki nie wypadły z mroku. Naprawdę nie spodziewał się czegoś takiego. Lubił operę. Wydawała się taka... artystyczna. Obejrzał setki spektakli i praktycznie nikt w tym czasie nie zginął, z jednym wyjątkiem sceny baletowej w „La Traviata”, kiedy to balerina została z przesadnym entuzjazmem rzucona na kolana starszego dżentelmena w pierwszym rzędzie. Jej nic się nie stało, ale starszy pan zmarł w jednej niewyobrażalnie szczęśliwej chwili.

Ktoś zastukał do drzwi.

Kubeł uchylił je na ćwierć cala.

— Kto nie żyje? — zapytał.

— Ni-nikt, panie Kubeł. Przyniosłem panu listy.

— Ach, to ty, Walterze. Dziękuję.

Odebrał pakiet i zamknął drzwi.

Przyszły rachunki. Zawsze przychodziły rachunki. Opera praktycznie sama się prowadzi, mówili mu. Owszem, ale nie uprzedzili, że trzeba ją napędzać pieniędzmi. Przejrzał pozostałe...

Zauważył kopertę z herbem Opery.

Patrzył na nią tak, jak można patrzeć na bardzo złego psa trzymanego na bardzo cienkiej smyczy.

Nic nie robiła. Leżała tylko i wyglądała na porządnie zaklejoną.

Po chwili wahania rozpruł ją nożem do papieru i rzucił na blat, jakby się bał, że ugryzie. Nie ugryzła jednak, więc ostrożnie wyjął złożony list. Przeczytał.

Drogi panie Kubel,

Byłbym niezwykle wdzięczny, gdyby dziś wieczorem Christine zaśpiewała partię Laury. Zapewniam pana, że doskonale sobie poradzi.

Drugi skrzypek trochę się spóźnia, a wczorajszy drugi akt był — szczerze wyznam — wyjątkowo drewniany. Naprawdę trzeba to poprawić.

Niech wolno mi będzie wyrazić radość z przybycia señora Basiliki.

Gratuluje, że udało się panu go zaangażować.

Życząc wszelkich sukcesów

Upiór Opery

— Panie Salzella!

Salzella został w końcu sprowadzony. Przeczytał list.

— Nie ma pan chyba zamiaru ustąpić? — zapytał.

— Ona rzeczywiście wspaniale śpiewa.

— Myśli pan o tej Nitt?

— Ja, no... tak... wie pan, o co mi chodzi.

— Ale to zwykły szantaż!

— Doprawdy? Przecież niczym nie grozi.

— Pozwolił pan jej... to znaczy im pan pozwolił śpiewać wczoraj wieczorem, i jak na tym wyszedł biedny Undershaft?

— W takim razie co pan radzi?

Znów usłyszeli nierówne stukanie do drzwi.

— Wejdz, Walterze! — zawołali równocześnie.

Walter wszedł chwiejnie, dzwigając węglarkę.

— Rozmawiałem z komendantem Vimesem ze Straży Miejskiej — poinformował Salzella. — Obiecał, że na dzisiejsze przedstawienie przyśle swoich najlepszych ludzi. Zamaskowanych.

— Mówił pan chyba, że wszyscy są niekompetentni.

Salzella wzruszył ramionami.

— Musimy postępować zgodnie z przepisami. Wie pan, że doktor Undershaft został uduszony, a potem dopiero zawieszony?

— Powieszony — poprawił go odruchowo Kubeł. — Ludzie bywają powieszani. Zawieszana się mięso.

— Naprawdę? Wdzięczny jestem za tę informację. No więc nasz biedny stary Undershaft został najwyraźniej uduszony. A potem zawieszony.

— Doprawdy, Salzella, ma pan dość dziwne poczucie...

— Skończyłem już, panie Kubeł.

— Tak, Walterze, dziękuję. Możesz iść.

— Tak, panie Kubeł.

Walter bardzo sumiennie zamknął za sobą drzwi.

— Obawiam się, że tutaj to konieczność — wyjaśnił Salzella. — Jeśli człowiek nie znajdzie jakiegoś sposobu, żeby sobie radzić z tymi... Dobrze się pan czuje, Kubeł?

— Co? — Kubeł, który wpatrywał się w zamknięte drzwi, potrząsnął głową. — Aha. Tak. Hm. Walter...

— Co z nim?

— On jest... Żadnych skarg, prawda?

— Wie pan, miewa swoje... śmieszne zachowania. Ale jest nieszkodliwy. Niektórzy maszyniści i muzycy bywają dla niego okrutni... Wie pan, posyłają go po puszkę niewidzialnej farby albo torbę dziur po gwoździach i takie tam. Wierzy w to, co mu się powie. Czemu pan pyta?

— Taki wpadł mi pomysł... Głupi właściwie.

— Myślę, że faktycznie jest głupi. W sensie formalnym...

— Nie, chodziło mi... Zresztą mniejsza z tym.

Babcia Weatherwax i niania Ogg opuściły biuro Kozabergera i odeszły skromnie ulicą. Przynajmniej babcia szła skromnie. Niani trochę to nie wychodziło.

— Ile właściwie tego jest? — pytała co jakieś trzydzieści sekund.

— Trzy tysiące dwieście siedemdziesiąt dolarów i osiemdziesiąt siedem pensów — powtarzała babcia. Była zamyślona.

— Moim zdaniem to ładnie z jego strony, że zajrzał nawet do popielniczek, żeby wybierać wszystkie miedziaki, jakie mogły się tam zapodziać. Przynajmniej do tych, których mógł dosięgnąć. Mówiłaś, że ile tego jest?

— Trzy tysiące dwieście siedemdziesiąt dolarów i osiemdziesiąt siedem pensów.

— Nigdy jeszcze nie widziałam siedemdziesięciu dolarów naraz — stwierdziła niania.

— Nie powiedziałam, że to tylko siedemdziesiąt dolarów, ale...

— Tak, wiem. Przyzwyczajam się po trochu. I wiesz, co ci powiem o pieniądzach? Naprawdę uwierają.

— Właściwie nie rozumiem, czemu trzymasz je w nogawce reform — mruknęła babcia.

— To ostatnie miejsce, gdzie ktoś by szukał. — Niania westchnęła z żalem. — Ile to jest, powiedziałaś?

— Trzy tysiące dwieście siedemdziesiąt dolarów i osiemdziesiąt siedem pensów.

— Będzie mi potrzebna większa puszka.

— Będzie ci potrzebny większy komin.

— A już na pewno przydałaby się szersza nogawka. — Niania szturchnęła babcie. — Teraz musisz być dla mnie uprzejma, bo jestem bogata.

— To prawda — przyznała babcia, jakby zadumana. — Nie myśl, że nie biorę tego pod uwagę.

Zatrzymała się nagle. Niania wpadła na nią z brzękiem bielizny.

Przed nimi wznosił się fronton gmachu Opery.

— Musimy się znowu dostać do środka — stwierdziła babcia. — I do łoża ósmej.

— Łomem — zaproponowała niania. — Końcówka numer trzy powinna załatwić sprawę.

— Nie jesteśmy „waszym Nevem”. Zresztą włamanie tam to jednak nie to samo. Musimy mieć prawo, żeby tam być.

— Sprzątanie! Możemy być sprzątaczkami i... Nie, nie byłoby właściwe, żebym udawała teraz sprzątaczkę. Przy mojej pozycji...

— Nie, na to nie możemy się zgodzić. Nie przy twojej pozycji.

Babcia przyjrzała się niani z uwagą. Pod gmach Opery podjechała karetka.

— Oczywiście — rzekła babcia, a chytryść ściekała z jej głosu niczym syrop — zawsze możemy wykupić łożę ósmą.

— Nie uda się — uznała niania. Ludzie zbiegali po schodach, nerwowo poprawiając mankiety. Mieli miny typowe dla wszystkich komitetów powitalnych. — Boją się ją sprzedawać.

— Dlaczego? — zdziwiła się babcia. — Ludzie umierają, a opera trwa. To znaczy, że każdy skłonny byłby sprzedać własną babkę, jeśli tylko dosyć na tym zarobi.

— Ale to i tak kosztowałoby fortunę...

Niania zauważyła tryumfującą minę babci i jęknęła.

— Och, Esme! Chciałam odłożyć te pieniądze na starość. — Zastanowiła się. — Poza tym i tak nic z tego nie będzie. Popatrz tylko na nas. Nie wyglądamy na odpowiednie osoby...

Enrico Basilica wysiadł z karety.

— Ale znamy odpowiednie osoby — oświadczyła babcia.

— Och, Esme!

Dzwonek nad drzwiami zadźwięczał tonem wyrafinowanym, jakby nieco zakłopotany, że musi wykonywać czynność tak wulgarną. Wolałby zapewne dyskretnie chrząknąć.

Był to najbardziej elegancki sklep odzieżowy w Ankh-Morpork. Dało się to poznać po wyraźnej nieobecności elementów tak prymitywnych jak towar. Z rzadka tylko starannie ułożony kawałek kosztownej tkaniny sugerował istniejące możliwości.

Nie był to sklep, gdzie cokolwiek się kupuje. Był to salon, gdzie czekała na gości filizanka kawy i pogawędka. Być może, w wyniku przyciszonej rozmowy, osiem czy dziesięć łokci drogiego materiału zmieniało właściciela, ale w sposób eteryczny, gdyż nic tak pospolitego jak handel nie miało tu miejsca.

— Sprzedawca! — krzyknęła niania.

Dama wynurzyła się zza kotary i przyjrzała się kobietom, które weszły do salonu. Zdawało się, że patrzy nozdrzami.

— Czy trafiłyście do właściwego wejścia? — zapytała.

Madame Dawning została wychowana tak, by zachowywać się uprzejmie wobec służby i dostawców, nawet jeśli byli tak obszarpani, jak te dwie wrony.

— Moja przyjaciółka chce kupić nową suknię — oznajmiła bardziej pulchna z nich.
— Taką elegancką, z trenem i poduszką na siedzeniu.

— Czarną — dodała chuda.

— I jeszcze wszystkie dodatki. Mała torebka na łańcuszku, okulary na patyku...
Wszystko.

— Obawiam się, że może to kosztować *nyeco* więcej, niż zamierzają panie wydać
— rzekła madame Dawning.

— Ile to jest *nyeco*? — zapytała ta pulchna.

— Chcę powiedzieć, że to raczej ekskluzywny sklep.

— Dlatego przyszłyśmy. Nie chcemy żadnych szmat. Nazywam się niania Ogg, a ta...
dama to lady Esmeralda Weatherwax.

Madame Dawning przyjrzała się lady Esmeraldzie z namysłem. Nie było wątpliwości, że starucha nosi się dumnie. I spogląda z góry, jak księżna.

— Z Lancre — uzupełniła niania. — I mogłaby tam mieć konserwatorium, gdyby chciała, ale nie chce.

— Ehm... — Madame Dawning postanowiła zgodzić się chwilowo na te reguły gry.
— Jaki styl biorą panie pod uwagę?

— Coś wytwornego — zdecydowała niania.

— Wolałabym *nyeco* dokładniejsze wskazówki...

— Może coś nam pani pokaże — zaproponowała lady Esmeralda, siadając. — To do opery.

— Och, jest pani patronką opery?

— Lady Esmeralda jest patronką wszystkiego — zapewniła niania.

Madame Dawning miała maniery specyficzne dla swojej klasy i swojego wychowania. Postrzegała świat w pewien określony sposób. Kiedy nie zachowywał się odpowiednio, chwiała się w swej pewności jak potrącony bąk, po czym wirowała nadal, jakby nic nie zaszło. Gdyby cywilizacja upadła ostatecznie, a nieliczni ocaleni musieli jeść karaluchy, lady Dawning nadal używałyby serwetki i patrzyła z góry na tych, którzy zabierają się do karaluchów z niewłaściwego końca.

— W takim razie, cóż... Pokażę paniom kilka modeli — rzekła. — Proszę wybaczyć na moment.

Przeszła do długich pomieszczeń pracowni na tyłach sklepu; było tu wyraźnie mniej złoceń. Madame Dawning oparła się o ścianę i przywołała główną krawcową.

— Mildred, zjawily się dwie bardzo dziwne...

Urwała. One przyszły za nią!

Szły teraz długim przejściem między rzędami szwaczek, kiwały im uprzejmie głowami i oglądały suknie na manekinach. Pobiegła za nimi.

— Z pewnością wolą panie...

— Ile za tę? — spytała lady Esmeralda, macając palcami kreację przeznaczoną dla księżnej wdowy Quirmu.

— Obawiam się, że nie jest na sprzedaż...

— A ile by kosztowała, gdyby była na sprzedaż?

— Trzysta dolarów, jak sądzę...

— Pięćset wydaje się odpowiednią ceną — stwierdziła lady Esmeralda.

— Naprawdę? — przestraszyła się niania Ogg. — No tak, naprawdę.

Suknia była czarna. Przynajmniej w teorii. Była czarna tak, jak czarne jest skrzydło szpaka. Uszyta z czarnego jedwabiu, z paciorkami i cekinami, była czernią na walcach.

— To chyba mój rozmiar. Weźmiemy ją. Zapłać tej kobiecie, Gytho.

Wirujący bąk madame zakołysał się gwałtownie.

— Wziąć ją? Teraz? Pięćset dolarów? Zapłacić? Gotówką?

— Zajmij się tym, Gytho.

— Och... No dobrze.

Niania odwróciła się skromnie i uniosła spódnice. Zabrzmiały szelesty, elastyczne brzęknięcia... Po czym odwróciła się znowu, trzymając w ręku torbę. Odliczyła pięćdziesiąt ciepłych dziesięciodolarówek na nieprotestującą dłoń madame.

— A teraz wróćmy do sklepu i rozejrzemy się za dodatkami — oświadczyła lady Esmeralda. — Mam ochotę na strusie pióra. I którąś z tych peleryn, co je noszą damy. I taki wachlarz obszyty koronką.

— To może od razu weźmiemy parę dużych brylantów? — rzuciła ostro niania.

— Dobry pomysł.

Madame Dawning słyszała, jak kłóćą się, idąc w stronę sklepu.

Spojrzała na trzymane w ręku pieniądze.

Wiedziała o starych pieniądzach, które stawały się jakoś godne szacunku dzięki temu, że ludzie trzymali je przez lata. Wiedziała o nowych pieniądzach, które — zdaje się — zarabiali ci wszyscy karierowicze, jakich pełno ostatnio w mieście. Jednak w głębi jej upudrowanego łona biło serce ankhmorporskiego sklepikarza. Zdawała sobie sprawę, że najlepsze pieniądze to te, które leżą w jej dłoni, zamiast w cudzej. Najlepsze pieniądze to te moje, nie twoje.

Poza tym była też snobką w stopniu wystarczającym, by mylić nieuprzejmość z dobrym pochodzeniem. W taki sam sposób, w jaki ludzie naprawdę bogaci nie mogą być obłąkani (są najwyżej ekscentryczni), nie mogą też być niegrzeczni (są tylko otwarcy i szczerzy).

Pospieszyła za lady Esmeraldą i jej dziwaczną przyjaciółką. Sól ziemi, powtarzała sobie.

Zdażyła jeszcze podsłuchać ich dość niezwykłą rozmowę.

— Chciałaś mnie ukarać. Prawda, Esme?

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz, Gytho.

— Tylko dlatego, że miałam wreszcie swój moment.

— Naprawdę nie rozumiem. Zresztą i tak mówiłaś, że odchodzisz od zmysłów, zastanawiając się, co zrobić z pieniędzmi.

— Owszem, ale dość by mi się podobało odchodzenie od zmysłów, zwłaszcza na wygodnym się-złakłu, w otoczeniu silnych mężczyzn kupujących mi czekoladki i narzucających się z uprzejmościami.

— Za pieniądze nie kupisz szczęścia, Gytho.

— Chciałam je tylko wynająć na parę tygodni.

Agnes wstała późno; w uszach wciąż słyszała muzykę. Ubierała się jak we śnie — choć na wszelki wypadek wcześniej zasłoniła lustro prześcieradłem.

W bufecie zastała już kilka tancerek z baletu. Dzieliły się nacią selera i chichotały.

Był też André. Jadł coś z roztargnieniem, przeglądając nuty. Od czasu do czasu machał łyżką, zapatrzony w przestrzeń, po czym odkładał łyżkę i robił jakieś notatki.

W połowie taktu zauważył Agnes. Uśmiechnął się.

— Dzień dobry. Wyglądasz na zmęczoną.

— Eee... No tak.

— Straciłaś całe zamieszanie.

— Naprawdę?

— Była tu Straż Miejska. Rozmawiali ze wszystkimi, zadawali mnóstwo pytań i zapisywali odpowiedzi. Bardzo powoli.

— Jakich pytań?

— No, znając straż, coś w rodzaju „Czy to ty zrobiłeś?”. Oni dość wolno myślą.

— Ojej... To znaczy, że odwołają dzisiejsze przedstawienie?

André zaśmiał się głośno. Miał miło brzmiący śmiech.

— Nie wydaje mi się, żeby pan Kubeł był w stanie je odwołać. Nawet jeśli ludzie rzeczywiście padają jak muchy.

— Dlaczego nie?

— Od rana stały kolejki po bilety.

— Ale czemu?

Wy tłumaczył jej.

— To obrzydliwe — stwierdziła Agnes. — Chcesz powiedzieć, że przychodzą, bo to może być niebezpieczne?

— Obawiam się, że leży to w ludzkiej naturze. Oczywiście, niektórzy chcą usłyszeć Enrico Basilicę. A także... cóż, Christine zyskała sporą popularność.

Spojrzał na nią z żalem.

— Nie przeszkadza mi to, naprawdę — skłamała Agnes. — Hm... Jak długo już tu pracujesz, André?

— No... Kilka miesięcy. Przedtem uczyłem muzyki dzieci szeryfa w Klatchu.

— A co myślisz o Upiorze?

Wzruszył ramionami.

— To jakiś szaleniak, jak sądzę.

— Tak uważasz... Nie wiesz, czy on śpiewa? To znaczy, czy potrafi dobrze śpiewać?

— Słyszałem, że przysłała kierownictwu listy krytyczne. Podobno niektóre dziewczęta słyszały nocą czyjś śpiew, ale one stale opowiadają różne głupstwa.

— Hm... Czy są tu jakieś sekretne przejścia?

Przyjrzał się jej, przechylając głowę.

— Z kim rozmawiałaś?

— Słucham?

— Dziewczeta twierdzą, że są. Oczywiście, opowiadają też, że stale spotykają Upiora. Często w dwóch miejscach równocześnie.

— Dlaczego miałyby go tak często spotykać?

— Może lubi patrzeć na młode dziewczyny. Stale przecież ćwiczą po kątach. Poza tym one są prawie obłąkane z głodu.

— Czy ciebie w ogóle ten Upiór nie interesuje? Giną ludzie!

— Wiesz, mówią, że to mógł być doktor Undershaft.

— Przecież ktoś go zabił!

— Może sam się powiesił. Ostatnio był dość przygnębiony. I zawsze zachowywał się trochę dziwnie. Nerwowo. Ale bez niego będzie nam trudniej. Masz, przyniosłem ci stare programy. Niektóre notki mogą się przydać; w końcu jesteś w operze od niedawna.

Agnes patrzyła na kartki, wcale ich nie widząc.

Ludzie znikają, a pierwsza myśl, jaka przychodzi innym do głowy, to że bez nich będzie trudniej.

Przedstawienie musi trwać. Wszyscy tak twierdzą. Ludzie powtarzają to zdanie bez przerwy. Często mówią z uśmiechem, ale jednak są poważni. Nikt nigdy nie wyjaśnia dlaczego. A wczoraj, kiedy chór kłócił się o pieniądze, wszyscy wiedzieli, że tak naprawdę nie odmówią występu. To była tylko gra.

I przedstawienie trwało. Słyszała wszystkie opowieści. Słyszała o spektaklach, których nie przerywano mimo pożaru szalejącego w mieście, mimo smoka siedzącego na dachu, mimo rozruchów na ulicach. Dekoracja się przewracała? Przedstawienie trwało. Umierał pierwszy tenor? Trzeba zwrócić się do publiczności z pytaniem o jakiegoś studenta muzyki, który zna rolę, i dać mu wielką szansę, gdy ciało jego poprzednika stygnie spokojnie za kulisami. Dlaczego? Przecież to tylko spektakl, na litość bogów. Nic ważnego. Ale... przedstawienie musi trwać. Wszyscy przyjmowali to jak oczywistość i już się nie zastanawiali, jakby mgła wypełniła im głowy.

Z drugiej strony... Ktoś uczył ją śpiewać nocą. Tajemniczy osobnik wykonywał arię na scenie, kiedy wszyscy rozeszli się już do domów. Próbowwała wyobrazić sobie ten głos jako należący do mordercy — nie udało się. Chyba nie chciała, żeby się udało. Chyba jej głowę też wypełniła mgła. Kto może tak cudownie wyczuwać muzykę, a przy tym zabijać ludzi?

Odruchowo przewracała kartki starego programu, gdy nagle jakieś imię przyciągnęło jej wzrok.

Szybko przejrzała następne. Pojawiło się znowu. Nie w każdym przedstawieniu i nigdy w ważnej roli, ale było. Zwykle jako oberżysta albo sługa.

— Walter Plinge? — zdziwiła się na głos. — Walter? Przecież... Przecież on nie śpiewa, prawda?

Wskazała palcem.

— Co? Ależ nie. — André wybuchnął śmiechem. — Bogowie... To tylko... no... takie wygodne nazwisko, przypuszczam. Czasami ktoś musi zaśpiewać jakąś bardzo drobną partię... Może śpiewak w roli, w której nie chciałby być pamiętany. I wtedy, rozumiesz, trafia do programu jako Walter Plinge. Wiele teatrów ma takie dyżurne nazwiska. Na przykład „I Inni”. Przydatne dla każdego.

— Ale... Walter Plinge?

— Sądzę, że na początku to był żart. No bo wyobrażasz sobie Waltera Plinge na scenie? — André wyszczerzył zęby. — W tym jego bereciku?

— A co on o tym myśli?

— Nie wydaje mi się, żeby miał pretensje. Trudno powiedzieć, prawda?

Od strony kuchni rozległ się trzask, a właściwie raczej trzascendo — przeciągły grzechot, który rozpoczyna się od przewracającego się stosu talerzy, trwa, kiedy ktoś usiłuje je złapać, osiąga desperacki kontrapunkt, kiedy osoba ta uświadamia sobie, że nie ma trzech rąk, i kończy „roinroinroin” cudownie ocalonego talerza wirującego na podłodze.

Usłyszeli rozniewany damski głos.

— Walterze Plinge!

— Przepraszam, pani Clamp.

— To paskudztwo trzyma się brzegu garnka! Puszczaj, przeklęty stworze!

Zastukały odsuwane gwałtownie garnki, potem zabrzmiał mlaszczący odgłos, który można w przybliżeniu opisać jako „spoing”.

— A teraz gdzie się podziało?

— Nie wiem, pani Clamp.

— I co tu robi ten kot?

André odwrócił się do Agnes i uśmiechnął smutno.

— To rzeczywiście trochę okrutne — przyznał — Ten biedak jest odrobinę tępy.

— Nie jestem pewna — odparła Agnes — czy spotkałam kogoś, kto by nie był.

Uśmiechnął się znowu.

— Wiem — powiedział.

— Chodzi mi o to, że wszyscy tak się zachowują, jakby tylko muzyka była ważna. Fabuła nie ma sensu! Połowa tych historii opiera się na postaciach, które nie rozpoznają swoich służących ani żon, ponieważ tamci noszą malutkie maseczki! Potężne kobiety występują w rolach wychudłych dziewcząt! Nikt nie umie porządnie grać! Nic dziwnego, że nikomu nie przeszkadza, jak śpiewam za Christine. To właściwie normalne w porównaniu z typową operą! Sam pomysł jest doprawdy operowy! Na drzwiach powinna być tabliczka „Tu zostawiać swój zdrowy rozsądek”! Gdyby nie muzyka, wszystko to byłoby śmieszne!

Zauważyła, że André przygląda jej się z operową miną.

— O to właśnie chodzi, prawda? — spytała. — Tylko przedstawienie jest ważne. Ono się liczy!

— To nie musi być realne — tłumaczył André. — Opera nie przypomina teatru. Nikt nie powie: „Musisz teraz udawać, że to jest pole bitwy, a ten typ w papierowej koronie jest królem”. Akcja służy tylko do wypełniania czasu między jedną a drugą arią.

Pochylił się i ujął jej dłoń.

— Dla ciebie musi to fatalnie wyglądać — rzekł.

Żaden osobnik płci męskiej nie dotknął jeszcze Agnes, może najwyżej aby ją odepchnąć i ukraść jej słodycze.

Cofnęła rękę.

— Lepiej, eee... pójdę ćwiczyć — oświadczyła, czując, jak rumieniec przesuwa się po skórze.

— Naprawdę bardzo dobrze weszłaś w rolę Iodyny — pochwalił ją André.

— Miałam prywatnego nauczyciela.

— W takim razie rzeczywiście głęboko przestudiował operę. Tyle tylko mogę powiedzieć.

— Ja... myślę, że tak.

— Esme?

— Tak, Gytho?

— Nie to, żebym się skarżyła albo co...

— Słucham.

— ...ale dlaczego to nie ja jestem wytworną patronką opery?

— Bo jesteś pospolita jak błoto, Gytho.

— Aha. Racja. — Niania przemyślała sobie to stwierdzenie i nie dostrzegła żadnych nieścisłości, które mogłyby wpłynąć na jej osąd. — Zgadza się.

— Nie myślisz chyba, że mi się to podoba.

— Czy mam zająć się stopami szanownej pani? — spytała manikiurzystka. Patrzyła na buty babci i zastanawiała się, czy trzeba będzie użyć dłuta.

— Muszę przyznać, że fryzurę masz ładną — stwierdziła niania.

— Och, szanowna pani ma wspaniałe włosy. W czym tkwi sekret?

— Trzeba dopilnować, żeby w wodzie nie było jaszczurek — wyjaśniła babcia. Przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze nad umywalką, odwróciła wzrok... a potem zerknęła jeszcze raz. Ściągnęła wargi. — Hmm... — mruknęła.

Z drugiego jej końca manikiurzystka zdołała jakoś zdjąć babcine buty i skarpety. Ku swemu zdumieniu, zamiast pełnych zrogowaceń i odcisków potworności, jakich oczekiwała, odkryła parę stóp doskonałych. Nie wiedziała, od czego zacząć, bo nie było od czego — ale pedikiur kosztował dwadzieścia dolarów, lepiej znaleźć coś do zrobienia.

Niania siedziała obok stosu pakunków i próbowała policzyć wszystko na kawałku papieru. Nie miała babcinego talentu do liczb. Zawsze jakoś wiły się pod jej spojrzeniem i dodawały nieprawidłowo.

— Esme... Wychodzi mi, że wydałyśmy... chyba już ponad tysiąc dolarów, jak dotąd, i to nie licząc wynajęcia karety. No i nie zapłaciłyśmy za nocleg pani Palm.

— Mówiłaś przecież, że żadne kłopoty niestraszne, jeśli trzeba pomóc dziewczynie z Lancre — przypomniała babcia.

Ale nie mówiłam, że te „żadne kłopoty” nie obejmują dużych sum pieniędzy, pomyślała niania. I zaraz skarciła się w duchu za takie myśli. Chociaż... stanowczo czuła się o wiele lżejsza w regionach bieliźnianych.

Wśród artystów damskiej urody zapanowała chyba ogólna zgoda, że zrobili, co tylko mogli. Babcia obróciła się z fotelem.

— Co o tym myślisz? — spytała.

Niania Ogg patrzyła. Widziała w życiu wiele niezwykłych rzeczy, niektóre nawet dwukrotnie. Widziała elfy, chodzące głązy i podkuwanie jednoroźca. Kiedyś dom spadł jej na głowę. Ale nigdy jeszcze nie widziała upudrowanej babci Weatherwax.

Wszystkie normalne wykrzykniki, oznaczające zaskoczenie i szok, okazały się niewystarczające. Sięgnęła więc po starożytną klątwę, należącą do jej babki.

— Niech mnie *mogadora!*

— Szanowna pani ma niezwykle zdrową cerę — stwierdziła kosmetyczka.

— Wiem — westchnęła babcia. — Nic nie mogę na to poradzić.

— Niech mnie *mogadora!* — powtórzyła niania.

— Puder i szminka — oświadczyła babcia. — Ha. To tylko inny rodzaj maski. Co tam... — Rzuciła fryzjerowi straszny uśmiech. — Ile jestem winna? — spytała.

— Eee... trzydzieści dolarów? To...

— Daj tej... temu panu trzydzieści dolarów, Gytho, i jeszcze dwadzieścia jako zapłatę za wszystkie kłopoty.

Poprawiła włosy.

— Pięćdziesiąt dolarów? Za to można kupić cały...

— Gytho!

— No dobrze... Przepraszam, muszę zajrzeć do banku.

Odwrociła się skromnie, uniosła brzeg spódnicy...

...brzęk, twang, twing, brzęk...

...i wróciła z garścią monet.

— Proszę, dobra ko... szanowny panie — powiedziała z przekąsem.

Na zewnątrz czekała już karetka — najlepsza, jaką babcia zdołała wynająć za pieniądze niani. Lokaj przytrzymał drzwi, a niania pomogła przyjaciółce wsiąść.

— Pojedziemy prosto do pani Palm, żebym mogła się przebrać — zdecydowała babcia, kiedy ruszyli. — A potem do Opery. Nie zostało dużo czasu.

— Dobrze się czujesz?

— Jak nigdy. — Babcia poprawiła włosy. — Gytho Ogg, nie byłabyś czarownicą, gdybyś nie wyciągała nieuprawnionych wniosków. Zgadza się?

Niania przytaknęła.

— O tak.

Nie było się czego wstydzić. Czasami nie było czasu na nic innego niż takie nieuprawnione wnioski. Czasami trzeba zwyczajnie zaufać doświadczeniu i intuicji, i szarpnąć. Niania osobiście potrafiła jednym solidnym szarpnięciem wyciągnąć całym nieuprawnione i odporne wnioski.

— Dlatego nie wątpię, że jakaś myśl krąży ci już po głowie w kwestii tego Upiora...

— No... tak jakby myśl, rzeczywiście...

— Może jakieś imię?

Niania poprawiła się niezręcznie na siedzeniu, nie tylko z powodu worka pieniędzy pod spódnicą.

— Muszę przyznać, że coś wpadło mi do głowy. Tak jakby... przecucie. Znaczy, przecież nigdy nie wiadomo...

Babcia pokiwała głową.

— Tak. Ładnie się wszystko układa, prawda? To kłamstwo.

— Wczoraj w nocy sama mówiłaś, że przejrzałaś wszystko.

— A jednak to kłamstwo. Tak jak to, co ludzie myślą o maskach.

— A jakie jest kłamstwo o maskach?

— Ludzie wierzą, że ukrywają twarze.

— Przecież ukrywają twarze — zauważyła niania.

— Tylko tę, która jest na wierzchu.

Nikt nie zwracał na Agnes uwagi. Na scenie ustawiano dekoracje do wieczornego spektaklu. Orkiestra urządziła próbę, tancerki zagoniono do sali ćwiczeń. W innych pomieszczeniach ludzie śpiewali równocześnie. Ale od niej nikt chyba niczego nie chciał.

Jestem tylko chodzącym głosem, pomyślała.

Wspięła się po schodach do swojego pokoju i usiadła na łóżku. Zastłony były wciąż zaciągnięte, a w półmroku jarzyły się niezwykle róże. Uratowała je od śmietnika, gdyż były piękne, ale w pewien sposób czułaby się lepiej, gdyby zniknęły. Wtedy mogłaby uwierzyć, że wszystko to sobie wyobraziła.

Z pokoju Christine nie dochodził żaden dźwięk. Tłumacząc sobie, że tak właściwie to jej pokój i tylko pozwoliła Christine z niego korzystać, Agnes zajrzała tam.

Panował straszliwy bałagan. Christine wstała, ubrała się — albo jakiś nadgorliwy włamywacz przeszukał wszystkie szuflady i zakamarki — i wyszła. Bukiety, które Agnes wkładała we wszystkie naczynia, jakie znalazła wczoraj w nocy, były tam, gdzie je zostawiła. Pozostałe też były tam, gdzie je zostawiła, i już więdły.

Przyłapała się na myśli, czy nie poszukać dla nich wazonów i dzbanków... i znienawidziła się za to. To tak fatalne, jak przeklinanie „choroba”. Równie dobrze mogłaby wymalować na sobie WITAJ W TYCH PROGACH i ułożyć się przed drzwiami wszechświata. Posiadanie cudownego charakteru wcale nie było zabawne. Aha — i niezłych włosów.

A potem wyszła i mimo wszystko poszukała dzbanków.

Lustro było dominującym elementem pokoju. Za każdym razem, kiedy na nie patrzyła, wydawało się większe.

No dobrze. Musi to przecież zbadać, prawda?

Z bijącym sercem przesunęła palce wzdłuż brzegów. Znalazła niewielki, wystający fragment, który mógłby być elementem ramy, ale kiedy go nacisnęła, coś kliknęło i lustro odchyliło się trochę do wnętrza. Pchnęła je, a ono ustąpiło.

Odetchnęła głęboko. I przekroczyła próg.

— To obrzydliwe! — oświadczył Salzella. — To odwoływanie się do najniższych emocji!

Kubeł wzruszył ramionami.

— Przecież nie wypisujemy na afiszach „Duża szansa zobaczenia, jak ktoś zostaje uduszony na scenie” — bronił się. — Ale plotki szybko się rozchodzą. A ludzie lubią... dramat.

— To znaczy, że straż nie żądała zamknięcia Opery?

— Nie. Powiedzieli tylko, że powinniśmy rozstawić warty, tak jak ostatnim razem, a oni... podejmą kroki.

— Kroki do najbliższego bezpiecznego miejsca, jak podejrzewam.

— Nie podoba mi się to ani trochę bardziej niż panu, ale sprawy posunęły się za daleko. Straż jest teraz niezbędna. Poza tym wybuchłyby zamieszki, gdybyśmy odwołali spektakl. Ankh-Morpork zawsze kochało... emocje. Wszystkie bilety wyprzedane. Przedstawienie musi trwać.

— No tak — mruknął złośliwie Salzella. — Czy życzy pan sobie, bym poderznął kilka gardeł w drugim akcie? Żeby nikt nie poczuł się rozczarowany.

— Oczywiście że nie — zapewnił Kubeł. — Nie chcielibyśmy następnych zgonów. Ale...

To „ale” zawisło w powietrzu niczym martwy doktor Undershaft.

Salzella uniósł ręce.

— Poza tym uważam, że najgorsze już za nami — dodał Kubeł.

— Mam nadzieję.

— Gdzie jest señor Basilica?

— Pani Plinge odprowadziła go do garderoby.

— Pani Plinge nie została zamordowana?

— Nie, dzisiaj nie znaleźliśmy jeszcze żadnych zwłok. Jak dotąd.

— To dobra wiadomość.

— Tak. A przecież mamy już, którą to, dziesięć po dwunastej — stwierdził Salzella z ironią, której Kubeł całkiem nie dostrzegł. — Pójdę i sprowadzę go, to zjemy razem obiad. Minęło już chyba z pół godziny od jego ostatniej przekąski.

Kubeł skinął głową. Kiedy dyrektor muzyczny wyszedł, raz jeszcze ukradkiem sprawdził szuflady biurka.

Listu nie było. Może już po wszystkim? Może to prawda, co mówią o zmarłym doktorze?

Ktoś zastukał do drzwi, czterokrotnie. Tylko jedna osoba potrafiła uzyskać cztery stuknięcia bez absolutnie żadnego rytmu.

— Wejdz, Walterze!

Walter Plinge wkroczył chwiejnie.

— Jest jedna dama — oznajmił. — Chce z panem rozmawiać.

Niania Ogg wsunęła głowę zza drzwi.

— Hej! — zawołała. — To tylko ja!

— To... pani Ogg, prawda? — upewnił się Kubeł.

Było w tej kobiecie coś niepokojącego. Nie przypominał sobie jej nazwiska na liście zatrudnionych... Z drugiej strony wyraźnie orientowała się w budynku, nie była zabita i parzyła przyzwoitą herbatę. Czy zatem powinien się martwić tym, że jej nie płaci?

— Na litość bogów, nie jestem tą damą — oznajmiła niania. — Jestem pospolita jak błoto, wiem od najlepszego eksperta. Nie; ona czeka w foyer. Pomyślałam, że zajrzę tu, żeby pana ostrzec.

— Ostrzec? Przed czym mnie ostrzec? Na dziś rano nie planowałem właściwie żadnych spotkań. Kim jest ta dama?

— Słyszał pan kiedyś o lady Esmeraldzie Weatherwax?

— Nie. A powinienem?

— Sławna patronka opery. Konserwatoria w każdym miejscu — wyjaśniła niania. — I całe worki pieniędzy.

— Doprawdy? Ale miałem...

Kubeł wyrzął przez okno. Przed budynkiem czekała kareta zaprzęzona w cztery konie. Miała tak wiele rokokowych ozdób, że aż dziw, jak w ogóle zdołała ruszyć z miejsca.

— Ale ja... — zaczął od początku. — To naprawdę bardzo nie...

— Nie jest osobą, która lubi czekać — stwierdziła niania absolutnie szczerze. A ponieważ babcia przez całe rano działała jej na nerwy, ponieważ nie zapomniała jeszcze początkowego zakłopotania u pani Palm, a w dodatku strumyk złośliwości w jej charakterze był na milę szeroki, dodała: — Mówią, że w latach młodości była słynną kurtyzaną. Mówią, że już wtedy nie lubiła czekać. Teraz przeszła w stan spoczynku, naturalnie. Tak mówią.

— A wie pani, bywałem w większości teatrów operowych i nigdy nie spotkałem się z tym nazwiskiem — mruzczał w zadumie Kubeł.

— Słyszałam, że swoje dotacje woli utrzymywać w tajemnicy.

Igła umysłowego kompasu Kubła zawirowała, by wreszcie wskazać kierunek: Pieniądze.

— Może ją pani wprowadzić — rzekł. — Zdołam chyba poświęcić jej kilka minut...

— Nikt nie poświęca lady Esmeraldzie mniej niż pół godziny — uprzedziła niania i mrugnęła do Kubła porozumiewawczo. — Pójdę po nią, co?

Odeszła, ciągnąc za sobą Waltera.

Pan Kubeł, tknięty nagłą myślą, sprawdził w lustrze nad kominkiem ułożenie wąsa.

Usłyszał skrzypnięcie drzwi i odwrócił się ze swym najlepszym uśmiechem umocowanym już na miejscu.

Uśmiech zbladł tylko odrobinę na widok Salzelli popychającego przed sobą wielkie cielsko Basiliki. Drobny menedżer i tłumacz kręcił się nerwowo wokół nich, niczym holownik przy transatlantyku.

— Och, señor Basilica! — zawołał Kubeł. — Mam nadzieję, że garderoba spełnia pańskie wymagania.

Basilica uśmiechnął się tępo, tłumacz przetłumaczył na brindzyjski, po czym Basilica coś powiedział i tłumacz przetłumaczył:

— Señor Basilica uważa, że jest całkiem odpowiednia, jedynie spizarnia wydaje się za mała.

— Cha, cha — powiedział Kubeł i umilkł, kiedy nikt inny się nie roześmiał. — Jednakże — dodał szybko — señora Basilicę z pewnością ucieszy wieść, że nasza kuchnia postarała się specjalnie...

Znów ktoś zapukał. Kubeł podszedł do drzwi i otworzył.

W progu stała babcia Weatherwax — ale nie stała długo. Odsunęła właściciela Opery i dumnie wkroczyła do pokoju.

Enrico Basilica wydał z siebie dziwny odgłos, jakby się krztusił.

— Który z was nazywa się Kubeł? — zapytała.

— Ehm... To ja.

Babcia zdjęła rękawiczkę i podała mu dłoń.

— Jakże mi przykro — powiedziała. — Nie jestem przyzwyczajona, by ważne osoby same otwierały swoje drzwi. Nazywam się Esmeralda Weatherwax.

— Jestem zaszczycony. Wiele o pani słyszałem — skłamał Kubeł. — Pozwoli pani, że ją przedstawię. Bez wątpienia zna pani señora Basilicę?

— Ależ oczywiście — zapewniła babcia, patrząc Henry'emu Sluggowi prosto w oczy. — I jestem przekonana, że señor Basilica także z przyjemnością wspomina te wspólne chwile w rozmaitych teatrach operowych, których nazw w tej chwili akurat nie mogę sobie przypomnieć.

Henry uśmiechnął się krzywo i rzucił kilka słów do tłumacza.

— To niezwykle — oświadczył tłumacz. — Señor Basilica właśnie mi powiedział, z jaką przyjemnością wspomina wiele dawnych spotkań z panią w teatrach operowych, których nazwy chwilowo wypadły mu z pamięci.

Henry ucałował dłoń babci i spojrzał na nią błagalnie.

Słowo dając, pomyślał Kubeł, ależ on na nią patrzy... Ciekawe, czy tych dwoje kiedyś...

— Och, ehm, a to jest pan Salzella, dyrektor muzyczny — oświadczył, opanowując się szybko.

— Jestem zaszczycony. — Salzella mocno uściskał babci dłoń i spojrzał jej prosto w oczy.

Skinęła głową.

— A co jako pierwsze wyniosłby pan z płonącego domu, panie Salzella? — zapytała.

Uśmiechnął się uprzejmie.

— A co chciałaby pani, żebym wyniósł?

Puściła jego rękę i w zadumie pokiwała głową.

— Może się pani czegoś napije? — zaproponował Kubeł.

— Kieliszeczek sherry.

Salzella zbliżył się dyskretnie do właściciela, gdy ten nalewał z butelki.

— Kim ona jest, u demona? — spytał dyskretnie.

— Podobno śpi na pieniądzech — szepnął Kubeł. — I uwielbia operę.

— Nigdy o niej nie słyszałem.

— Ale señor Basilica słyszał, a to mi wystarczy. Niech pan ich jakoś zabawia, a ja zorganizuję obiad.

Otworzył drzwi i niemal potknął się o nianię Ogg.

— Przepraszam. — Niania rzuciła mu niewinny uśmiech. — Strasznie ciężko się porusza te klamki, prawda?

— Eee... pani...

— Ogg.

— ...Ogg, mogłaby pani pójść do kuchni i przekazać pani Clamp, że mamy dodatkowego gościa na obiedzie?

— Już się robi.

Niania odeszła dziarskim krokiem. Kubeł z aprobatą pokiwał głową — cóż za solidna starsza osoba...

Nie było to właściwie przejście naprawdę tajne. Kiedy dzielono pokój, pozostawiono trochę miejsca między ścianami. Z jednego końca tego korytarzyka były schody — całkiem zwyczajne schody, nawet dzienne światło wpadało tu przez zarośnięte brudem okno.

Agnes była nieco rozczarowana. Spodziewała się... no, spodziewała się prawdziwego tajnego przejścia, może z kilkoma pochodniami płonącymi w wyszukanych i tajnych uchwytach z kutego żelaza. Ale te schody zostały po prostu oddzielone ścianą od reszty budynku. Nie były tajne, były tylko zapomniane.

W kątach wisiały pajęczyny. Pod sufitem zwisały kokony pomordowanych much. Powietrze pachniało martwymi od dawna ptakami.

Ale w warstwie kurzu dostrzegła wyraźną ścieżkę. Ktoś korzystał z tych schodów, i to niejeden raz.

Zawahała się, czy pójść w dół, czy w górę. Wybrała górę.

Droga nie była długa. Po jednej kondygnacji schody kończyły się klapą — nawet nie zaryglowaną.

Pchnęła ją i zmrużyła oczy od blasku. Wiatr poruszył jej włosami. Gołąb popatrzył na nią i odleciał, gdy wysunęła głowę na świeże powietrze.

Klapa prowadziła na dach gmachu Opery — kolejny element wśród gąszczu świetlików i kanałów wentylacyjnych.

Agnes wróciła do wnętrza i ruszyła w dół. Idąc, zdała sobie sprawę, że słyszy głosy...

Te schody nie były całkiem zapomniane. Ktoś zauważył, że mogą się jeszcze przydać, choćby dla wentylacji. Głosy rozlegały się z dołu — jakieś gamy, stłumiona muzyka, strzępy rozmów. Schodząc, mijała ich warstwy, jakby się zagłębiała w bardzo starannie wykonany dźwiękowy tort.

Greebo siedział na kuchennym kredensie i z zaciekawieniem oglądał spektakl.

— Może weźmie pani chochlę? — zaproponował maszynista.

— Nie sięgnie. Walterze!

— Tak, pani Clamp?

— Daj mi tę miotłę!

— Już, pani Clamp.

Greebo zerknął na sufit, do którego przylegało coś w rodzaju wąskiej dziesięcioramienniej gwiazdy. Pośrodku miało parę bardzo przerażonych oczu.

— „Wrzucić do gotującej wody” — mówiła pani Clamp. — Tak piszą w książce kucharskiej. Nie ma ani słowa o tym, że może złapać się brzegów garnka i wyskoczyć w górę.

Pomachała kijem od miody. Mątwą skuliła się lękliwie.

— Makaron też nie wychodzi — mruczała gniewnie pani Clamp. — Od paru godzin leży na grillu, a wciąż jest twardy jak gwoździe. Co za paskudztwo!

— Hej, to tylko ja! — Niania Ogg wsunęła głowę zza drzwi. A taka była wszechobejmująca natura jej osobowości, że nawet ci, którzy widzieli ją po raz pierwszy, uwierzyli jej na słowo. — Macie kłopoty, co?

Szybko oceniła sytuację, łącznie z tą na suficie. W kuchni pachniało spalonym makaronem.

— Aha — powiedziała. — To pewnie specjalny obiad dla señora Basiliki, co?

— Miał być — wyjaśniła kucharka, wciąż bezskutecznie machając miotłą. — Ale ten przeklęty stwór nie chce zejść na dół.

Różne garnki i kotły bulgotały na długim żelaznym piecu. Niania skinęła na nie głową.

— A co dostaną inni?

— Baranina i kopytka, z sosem.

— Aha. Dobrze, uczciwe jedzenie — uznała niania, oceniając wielkie kawały mięsa polanego smalcem.

— Planowałam dżemowe diabelki na deser, ale to paskudztwo zajęło mi tyle czasu, że nawet nie zaczęłam.

Niania ostrożnie wyjęła kucharce miotłę z rąk.

— Coś pani powiem. Niech pani zrobi kopytka z sosem dla pięciu osób, a ja przygotuję na szybko jakiś deser. Co pani na to?

— To bardzo miła propozycja, pani...

— Ogg.

— Słój z dżemem stoi...

— Och, nie będę używać dżemu — zapewniła niania. Zerknęła na półkę z przyprawami, uśmiechnęła się i skromnie weszła za stół...

...brzdęk, twang, twong, twing...

— Znajdzie się trochę czekolady? — spytała, wyjmując cienki tomik. — Mam tu przepis, który może być zabawny...

Pośliniła palec i otworzyła książkę na stronie pięćdziesiątej trzeciej. Czekoladowa Rozkosz ze Specjalnym Sekretnym Sosem.

Tak, pomyślała. Będzie zabawnie.

Jeśli ludzie koniecznie chcą pouczać innych ludzi, to powinni pamiętać, że inni ludzie też wiedzą to i owo o ludziach.

Urywki rozmów dobiegały zza ścian, gdy Agnes schodziła wciąż niżej po zapomnianych schodach.

To było... podniecające.

Nikt nie mówił niczego ważnego. Nie odkryła żadnych przydatnych ani groźnych tajemnic. Słyszała tylko ludzi, którzy normalnie przeżywali kolejny dzień. Ale słuchała ich potajemnie.

Takie podsłuchiwanie było złe, naturalnie.

Agnes wychowywała się ze świadomością, że jest wiele rzeczy, których robić nie powinna. Złe było podsłuchiwanie pod drzwiami, patrzeć ludziom prosto w oczy, mówienie poza kolejnością, bezczelne odszczekiwanie, pchanie się naprzód...

Ale tu, za ścianą, mogła być tą Perdita, jaką zawsze chciała się stać. Perdita nie przejmowała się niczym. Perdita robiła to, co chciała. Perdita mogła nosić wszystko, na co przyszła jej ochota. Perdita X. Nitt, pani ciemności, mistrzyni swobody, mogła nasłuchiwać odgłosów życia innych. I nigdy, ale to nigdy nie przejawiać wspaniałego charakteru.

Agnes wiedziała, że powinna wrócić do pokoju. Cokolwiek znajdowało się w coraz bardziej mrocznych głębinach, prawdopodobnie nie było dla niej przeznaczone.

Perdita schodziła coraz niżej. Agnes zabrała się z nią dla towarzystwa.

Przedobiednie drinki udały się całkiem dobrze, uznał Kubel. Wszyscy rzucali uprzejme uwagi i absolutnie nikt nie zginął.

Z satysfakcją spostrzegł łzy wdzięczności w oczach señora Basiliki, gdy mu powiedział, że kucharka specjalnie dla niego przygotowuje specjalne brindizyjskie dania. Był wyraźnie przytłoczony wdzięcznością.

Fakt, że znał lady Esmeraldę, także Kubła uspokajał. Było w tej kobiecie coś, co wzbudzało niepokój. Zauważył, że trochę ciężko mu się z nią rozmawia. A konwersacyjnemu gambitowi „Hej, jak słyszałem, ma pani mnóstwo pieniędzy, mógłbym trochę dostać?” brakowało, zdaniem Kubła, niezbędnej subtelności.

— A więc, droga pani... — zaczął niepewnie — co... hm, sprowadza panią do naszego miasta?

— Pomyślałam, że przyjadę tutaj i wydam może trochę pieniędzy — odparła babcia. — Mam ich całkiem sporo, wie pan. Ciągłe muszę zmieniać banki, bo się przesypują.

Gdzieś w udręczonym mózgu właściciela Opery jakaś część umysłu wrzasnęła „Hurra!” i strzeliła obcasami.

— Jeśli tylko mógłbym w czymś pomóc... — wymamrotał.

— Istotnie, mógłby pan. Myślałam o...

Odezwał się gong.

— Aha, nakryto do stołu — stwierdził Kubel i podał babci ramię. Spojrzała na niego zdziwiona, ale zaraz przypomniała sobie, kim jest, i przyjęła je z gracją.

Przy gabinecie znajdowała się niewielka, ale bardzo wytworna jadalnia. Czekał tam już stół z pięcioma nakryciami i niania Ogg, dość ponętna w koronkowym czepeczku.

Dygnęła uprzejmie.

Enrico Basilica wydał z gardła cichutki jęk, jakby zaczął się dusić.

— Najmocniej przepraszam, ale nastąpił pewien kłopot — powiedziała niania.

— Kto nie żyje? — spytał szybko Kubel.

— Ależ wszyscy żyją — uspokoiła go niania. — W tym obiad: żyje i trzyma się sufitu. A makaron całkiem szerniał. Powiedziałam pani Clamp: rozumiem, że to zagraniczne, ale chyba nie powinien być aż taki chrupiący...

— To potworne! Nie możemy przecież tak traktować naszego gościa! — Kubel zwrócił się do tłumacza. — Niech pan zapewni señora Basilicę, że natychmiast pošlemy po świeży makaron. A co my mieliśmy dostać, pani Ogg?

— Pieczeń baranią z kopytkami.

Skryta za twarzą Enrica Basiliki krtań Henry'ego Slugga wydała z siebie cichy bulgot.

— Do tego porządny gęsty sos — mówiła dalej niania.

Kubel rozejrzał się zdziwiony.

— Czy gdzieś tu dostał się jakiś pies? — zapytał.

— Wiecie, ja na przykład nie uznaję takiego rozpieszczania cudzoziemców — oświadczyła babcia Weatherwax. — Dziwaczne dania, też mi coś! Pierwszy raz w życiu słyszę. Czemu nie dać mu pieczeni, tak jak wszystkim?

— Ależ lady Esmeraldo, w taki sposób nie można...

Enrico szturchnął tłumacza łokciem — owym specjalnym gestem człowieka, który widzi, że jeśli nie zachowa czujności, kopytka znikną w oddali. Gromko wyrzucił z siebie kilka słów.

— Señor Basilica twierdzi, że z wielką radością skosztuje rdzennie ankhmorporskich potraw — oznajmił tłumacz.

— Nie, doprawdy nie możemy... — spróbował jeszcze raz Kubel.

— Co więcej, señor Basilica nalega, by skosztować rdzennie ankhmorporskich potraw.

— Zgadza się. *Si* — zapewnił Basilica.

— Świetnie — ucieszyła się babcia. — A przy okazji, dajcie mu trochę piwa. — Żartobliwie dźgnęła tenora w brzuch, zagłębiając palec aż do drugiego stawu. — Myślę, że za dzień czy dwa zmienilibyśmy pana w kogoś miejscowego.

Drewniane schody ustąpiły miejsca kamiennym.

Perdita mówiła: Na pewno ma taką ogromną grotę gdzieś pod gmachem Opery. Będą tam setki świec rzucających ekscytujący, a przy tym romantyczny blask na... tak, na jeziorko; będzie stół zastawiony kryształami i srebrem, i oczywiście będzie miał też organ...

Agnes zaczerwieniła się w ciemności.

...y, wielkie organy, na których będzie wirtuozersko grał wiele klasycznych utworów operowych.

Agnes powiedziała: Będzie wilgotno. Będą szczury.

— Jeszcze kopytko, señor? — zaproponowała niania Ogg.

— Mmfmmfmmf!

— Może niech pan od razu weźmie dwa.

Proces jedzenia w wykonaniu Enrica Basiliki był wielce pouczający. Nie chodzi o to, że pochłaniał swoją porcję, ale jadł bez przerwy, w sposób ciągły, jakby zamierzał robić to przez cały dzień, niczym przy taśmie produkcyjnej, z serwetką wetkniętą elegancko pod kołnierzyk. Ładował widelec w chwili, kiedy poprzednia dostawa była jeszcze dokładnie przeżuwana, więc czas pomiędzy kolejnymi dawkami został skrócony do mini-

mum. Robiło to wrażenie — nawet na niani, której nieobcy był metabolizm działający na dopalaczach. Enrico Basilica jadł jak człowiek nareszcie uwolniony od tyranii pomidorów do wszystkiego.

— Zamówię jeszcze dzban sosu, dobrze? — powiedziała.

Pan Kubel zwrócił się do babci Weatherwax.

— Wspomniała pani, że zechce może zostać patronką naszej Opery — wymamrotał.

— O tak — zapewniła go babcia. — Czy señor Basilica będzie dzisiaj śpiewał?

— Mmfmmf.

— Mam nadzieję — mruknął Salzella. — Chyba że eksploduje.

— W takim razie stanowczo chcę być obecna. Jeszcze kawałek pieczeni, moja dobra kobieto.

— Tak, szanowna pani — odpowiedziała niania, wykrzywiając się za plecami babci.

— Eee... miejsca na dzisiaj są niestety... — zaczął Kubel.

— Wystarczy mi łoża — stwierdziła babcia. — Nie jestem wybredna.

— Niestety, nawet łoża są...

— A co z łożą ósmą? Słyszałam, że zawsze stoi pusta.

Nóż Kubła brzęknął o talerz.

— Eee... łoża ósma, łoża ósma... Widzi pani, my nie...

— Myślałam o pewnej darowiźnie...

— Ale ósma łoża, choć formalnie nie jest sprzedana...

— Chodziło mi o kwotę rzędu dwóch tysięcy dolarów — wyjaśniła babcia. — Och, wasza służąca rozsypała kopytka po całym stole. Trudno jest ostatnio znaleźć sprawną i... i grzeczną służbę, nieprawdaż?

Salzella i Kubel spoglądali na siebie ponad stołem w milczeniu. Wreszcie odezwał się właściciel.

— Pani wybaczy, ale muszę pilnie omówić pewną kwestię z moim dyrektorem muzycznym.

Obaj odeszli w kąt, gdzie zaczęli dyskutować gorąco, choć szeptem.

— Dwa tysiące dolarów! — syknęła niania, obserwując ich spod oka.

— To może nie wystarczyć — zauważyła babcia. — Obaj strasznie poczerwienieli.

— Ale dwa tysiące dolarów!

— To tylko pieniądze.

— Ale tylko moje pieniądze, a nie tylko twoje pieniądze — przypomniała niania.

— My, czarownice, zawsze wszystko mamy wspólne. Wiesz przecież.

— No, niby tak — zgodziła się niania i po raz kolejny utrafiła w samo sedno debaty socjopolitycznej: — Ale łatwo mieć wszystko wspólne, kiedy nikt nic nie ma.

— Cóż, Gytho Ogg... myślałam, że pogardzasz bogactwem.

— Słusznie. Dlatego chciałabym mieć szansę, żeby nim pogardzać z bliska.

— Ale ja cię przecież znam, Gytho. Pieniądze by cię zepsuły.

— Chciałabym mieć okazję, by wykazać, że wcale nie. Tyle tylko mam do powiedzenia.

— Ciszej. Oni wracają...

Kubeł zbliżył się z wymuszonym uśmiechem i usiadł.

— Hm... — zaczął. — Czy to rzeczywiście musi być łoża ósma? Może zdołalibyśmy przekonać kogoś z pozostałych...

— Nie chcę o tym słyszeć — przerwała mu babcia. — Podobno w ósmej łoży nigdy nikogo nie widziano.

— Eee... Cha, cha... Wiem, że to śmieszne, lecz pewne stare tradycje teatralne wiążą się akurat z łożą ósmą. Absolutne bzdury, oczywiście, ale...

Pozostawił to „ale” zawieszony z nadzieją w powietrzu. Zamarzło pod surowym spojrzeniem babci.

— Widzi pani, ona jest nawiedzona — wymamrotał.

— Laboga! — jęknęła niania Ogg, przypominając sobie, że należy trzymać się roli.

— Jeszcze chochlę sosu, señor Basilica? A może dolać piwa?

— Mmfmmf — odparł zachęcająco tenor i przerwał jedzenie, by widelcem wskazać stojący przed nim pusty kufel.

Babcia wciąż patrzyła.

— Przepraszam na chwilę — powiedział znowu Kubeł.

On i Salzella wrócili do kąta, skąd dobiegły odgłosy w rodzaju: „Ale dwa tysiące dolarów! To mnóstwo baletek!”

Kubeł powrócił. Twarz mu poszarzała — spojrzenie babci wywierało niekiedy taki skutek.

— Ehm... Ze względu na zagrożenie, tego, które nie istnieje, naturalnie, cha, cha... My, to znaczy kierownictwo, czujemy się w obowiązku, ehm, uprzejmie nalegać, by w łoży ósmej zasiadła pani w towarzystwie, no... mężczyzny.

Uchylił się lekko.

— Mężczyzny? — powtórzyła babcia.

— Dla ochrony — wyjaśnił słabym głosem Kubeł.

— Chociaż kto jego będzie ochraniał, naprawdę nie mam pojęcia — dodał pod nosem Salzella.

— Sądziliśmy, że może ktoś z pracowników...

— Potrafię sama sobie znaleźć mężczyznę, jeśli wyniknie taka potrzeba — oświadczyła babcia, a w jej głosie wirowały płatki śniegu.

Uprzejma odpowiedź zamarła Kubłowi w gardle, kiedy tuż za lady Esmeraldą zobaczył uśmiechniętą jak księżyc panią Ogg.

— Ktoś ma ochotę na deser?

Trzymała na tacy wielką salaterkę. Zdawało się, że powietrze nad nią drga z gorąca.

— Słowo daję — powiedział Kubeł. — Wygląda smakowicie.

Enrico Basilica spojrział ponad pełnym widelcem, z wyrazem twarzy człowieka, który uzyskał niezwyklej przywilej trafienia do nieba jeszcze za życia.

— Mmmf!

Było wilgotno. A po zgonie pana Poundera faktycznie pojawiły się szczury.

Zresztą kamień też wyglądał na stary. Oczywiście, wszystkie kamienie są stare, tłumaczyła sobie Agnes. Ten jednak zestarzał się jako element budowlany. Ankh-Morpork istniało od tysięcy lat. Gdy inne miasta budowane były na glinie, na skale albo na piaskach, Ankh-Morpork budowano na Ankh-Morpork. Ludzie wznosili nowe budynki na pozostałościach starych, wybijając tu i ówdzie jakieś przejścia, by dawne sypialnie przerobić na piwnice.

Schody skończyły się na wilgotnych kamieniach, w niemal całkowitej ciemności.

Perdita uznała, że wygląda to romantycznie i gotycko.

Agnes pomyślała, że wygląda ponuro.

Gdyby ktoś bywał w tym miejscu, potrzebowałby światła, prawda? Prowadzone po omacku poszukiwania potwierdziły ten domysł — w niedużej wnęce znalazła świecę i zapalki.

To odkrycie pomogło otrząsnąć się i Agnes, i Perdicie. Ktoś używał tego całkiem prozaicznego pudełka zapalek z obrazkiem uśmiechniętego trolla na nalepce i tego ogarka całkiem zwyczajnej świeczki. Perdita wolałaby pochodnię. Agnes nie była pewna, co by wolała. Tyle że jeśli tajemnicza osoba przychodziła tutaj, śpiewała między ścianami, poruszała się po całym gmachu niczym upiór, może zabijała ludzi... to powinna chyba zachowywać się bardziej stylowo, niż to sugerowało pudełko zapalek z obrazkiem uśmiechniętego trolla. Czegoś takiego mógłby używać... zwykły morderca.

Zapaliła świecę i — w pełnej zgodności umysłów — wraz z Perdita zanurzyły się w mrok.

Czekoladowa Rozkosz ze Specjalnym Sekretnym Sosem osiągnęła spektakularny sukces. Teraz przemieszczała się wolno ku niewielkim czerwonym zaułkom umysłów.

— Jeszcze trochę, panie Salzella? — zapytał Kubeł. — Deser pierwsza klasa, prawda? Muszę pogratulować pani Clamp.

— Trzeba przyznać, że jest odrobinę pikantny — stwierdził dyrektor muzyczny.

— Pan sobie życzy, señor Basilica?

— Mmmf.

— Lady Esmeraldo?

— Z przyjemnością. — Babcia podsunęła mu talerz.

— Na pewno wyczuwam cynamon — zauważył tłumacz z brązowym pierścieniem wokół ust.

— Rzeczywiście... i może ślad gałki muszkatołowej — dodał Kubeł.

— Chyba też... kardamon? — zastanowił się Salzella.

— Kremowy smak, ale odrobinę ostry — uznał Kubeł. Wzrok lekko mu się rozogni-
skował. — I dziwnie... rozgrzewający.

Babcia przestała jeść i podejrzliwie spojrzała na swój talerzyk. Potem powąchała łyż-
kę.

— Czy to, eee... Czy tylko ja to czuję, czy rzeczywiście jest tu nieco... ciepło? — zapy-
tał Kubeł.

Salzella chwycił poręcz krzesła. Czoło mu błyszczało.

— Może otworzę okno? — zaproponował. — Czuję się trochę... dziwnie.

— Tak, proszę otworzyć — odparł Kubeł.

Salzella zaczął się podnosić, ale nagle na jego twarzy pojawił się wyraz skupienia.
Usiadł gwałtownie.

— Nie. Myślę, że raczej przez chwilę posiedzę spokojnie — rzekł.

— Och, jej... — odezwał się tłumacz. Nad jego kołnierzykiem uniosła się ledwie wi-
doczna para.

Basilica uprzejmie stuknął go w ramię, chrząknął znacząco i wykonał gest oznacza-
jący „przysuńcie mi to”, wskazując przy tym salaterkę z niedojedzonym deserem czeko-
ladowym.

— Mmmf? — powiedział.

— Och, jej... — jęknął tłumacz.

Kubeł przesunął palcem pod kołnierzykiem. Pot zaczynał ściekać mu po twarzy.

Basilica zrezygnował z pomocy tłumacza i stanowczo wyciągnął rękę nad stołem.
Zahaczył o salaterkę widelcem i przysunął ją do siebie.

— Eee... tak — powiedział Kubeł, starając się oderwać wzrok od babci.

— Tak... istotnie — zgodził się Salzella głosem dobiegającym z bardzo daleka.

— Och, jej — powtórzył tłumacz. Łzy stanęły mu w oczach. — *Ai! Mon Deus! Dio
Mio! O Goden! D'zuk f't! Aagorahaa!*

Señor Basilica zsunął sobie na talerz resztę Specjalnego Sekretnego Sosu i starannie
wyskrobał salaterkę łyżką. Odwrócił ją dnem do góry, by nie pozostawić ani odrobiny.

— Na dworzu ostatnio było dość... chłodno — wykrztusił Kubeł. — Właściwie wręcz
zimno.

Enrico obejrzał salaterkę pod światło, na wypadek gdyby w jakimś zakamarku ucho-
wała się jeszcze zapomniana kropelka sosu.

— Śnieg, lód, szron... takie rzeczy — odparł Salzella. — Tak, rzeczywiście! Zimno we
wszelkich odmianach!

— Tak, tak — westchnął z wdzięcznością Kubeł. — W takich chwilach myślę, że ważne jest, by pamiętać nazwy, powiedzmy, dużej liczby rzeczy nudnych i możliwie chłodnych!

— Wiatr, lodowce, sople...

— Sople nie!

— Och — powtórzył znowu tłumacz i runął twarzą na blat. Uderzył czołem o łyżkę, która zawirowała w powietrzu i odbiła się od głowy Enrica.

Salzella zaczął pogwizdywać pod nosem i rytmicznie uderzać o poręcz krzesła.

Kubeł zamrugał. Przed nim stał dzbanek z wodą. Z zimną wodą. Wyciągnął rękę...

— Ojej, co za niezgara ze mnie, tak mi przykro, cały się oblałem — powiedział wśród kłębów pary. — Ależ mam drewniane palce. Zadzwonię po panią Ogg, żeby przyniosła drugi dzbanek.

— Dobry pomysł — przyznał Salzella. — Może zechce pan uczynić to możliwie szybko? Też czuję się... skłonny do niezręczności.

Basilica, wciąż poruszając ustami, uniósł ze stołu głowę tłumacza i ostrożnie przełożył jego niedojedzony deser na swój talerz.

— Właściwie... właściwie... właściwie... — jękał się Salzella. — Myślę, że chyba... przejdę się trochę... wezmę zimny... przepraszam państwa na chwilę...

Odsunął krzesło i wybiegł z pokoju, dziwnie rozstawiając nogi.

Kubeł lśnił od potu.

— Ja tylko... ja tylko... zaraz wracam — powiedział i wybiegł także.

W ciszy zgrzytnęła łyżeczka Basiliki i dobiegło skwierczenie z tłumacza.

Po chwili wielki tenor czknał barytonem.

— Oj... proszę wybaczyć — powiedział. — Oj... Niech to!

Zdawało się, że dopiero teraz zauważył opustoszały stół. Wzruszył ramionami i spojrział z nadzieją na babcię.

— Myśli pani, że podadzą jeszcze sery? — zapytał.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i wpadła niania Ogg, trzymająca oburącz wiadro wody.

— Dobrze już, dobrze, wystar... — zaczęła i urwała.

Babcia z godnością otarła serwetką kąciki ust.

— Tak, pani Ogg? — powiedziała.

Niania zauważyła pustą salaterkę przed Basilicą.

— A może jakieś owoce? — zapytał. — Kilka orzechów?

— Ile zjadł? — szepnęła.

— Prawie połowę — odparła babcia. — Ale przypuszczam, że to na niego nie działa, bo nie dotyka ścianek.

Niania spojrzała na przyjaciółkę.

— A co z tobą?

— Dwie porcje. Z dodatkowym sosem, Gytho Ogg, oby było ci to wybaczone.

Niania popatrzyła na nią z czymś zbliżonym do podziwu.

— Nawet się nie spociłaś...

Babcia wzięła szklankę wody i wyciągnęła rękę.

Po kilku sekundach woda zaczęła wrzeć.

— No rzeczywiście, jesteś coraz lepsza, muszę ci to przyznać — stwierdziła niania.

— Pewnie musiałabym bardzo wcześniej wstać, żeby zdążyć ci zrobić jakąś sztuczkę.

— Lepiej się wcale nie kładź — poradziła babcia.

— Przepraszam cię, Esme.

Señor Basilica nie rozumiał, o co chodzi w tej rozmowie, jednak z pewnym rozczarowaniem uświadomił sobie, że posiłek dobiegł zapewne końca.

— Absolutnie doskonałe — stwierdził. — Kocham takie desery, pani Ogg.

— Spodziewam się, że kochasz, Henry Sluggu — odparła niania.

Henry wyjął z kieszeni czystą chusteczkę, zarzucił ją sobie na twarz i oparł się wygodnie. Pierwsze chrapnięcie dało się słyszeć już kilka sekund później.

— Łatwy jest w prowadzeniu, prawda? — zauważyła niania. — Je, śpi i śpiewa. Przy nim człowiek zawsze wie, na czym stoi. A przy okazji, znalazłam Greeba. Ciągłe chodzi za Walterem Plinge. — Zrobiła wyzywającą minę. — Mów sobie, co chcesz, ale dla mnie Walter Plinge jest porządnym chłopakiem, skoro Greebo go lubi.

Babcia westchnęła.

— Gytho, Greebo lubiłby nawet Norrisa, Maniakalnego Pożeracza Oczu z Quirmu, gdyby Norris wiedział, jak się nakłada karmę do miski.

Teraz się zgubiła. Chociaż starała się tego uniknąć. Przechodząc przez kolejne wilgotne pomieszczenia, pilnie zapamiętywała szczegóły. Starannie liczyła zakręty w lewą i prawą stronę. A mimo to się zgubiła.

Niekiedy trafiała na schody prowadzące w dół, do niższych piwnic, ale tam woda obmywała już pierwsze stopnie. W dodatku cuchnęło. Płomień świecy miał zielonkawy odcień.

Gdzieś tutaj, mówiła Perdita, jest sekretna komnata. Jeśli nie ma wielkiej, połyskliwej groty, to po co w ogóle człowiek żyje? Musi być sekretna komnata. Komora pełna... ogromnych świec i gigantycznych stalagmitów...

Ale to z pewnością nie tutaj, odpowiadała Agnes.

Czuła się jak kompletna idiotka. Przeszła przez lustro, szukając... No, może nie była całkiem gotowa, by przyznać, czego właściwie szukała, ale na pewno nie tego.

Będzie musiała wołać o pomoc.

Oczywiście, ktoś może usłyszeć, ale wołanie o pomoc zawsze łączy się z takim ryzykiem.

Odchrząknęła.

— Ehm... Halo?

Bulgotała woda.

— Eee... pomocy? Jest tu ktoś?

Szczur przebiegł jej po stopie.

No tak, myślała z goryczą Perditową częścią umysłu. Gdyby Christine tu zeszła, pewnie trafiłaby na wielką lśniącą grotę i rozkoszne niebezpieczeństwo. Szczury i cuchnące piwnice świat zachowywał dla Agnes, bo ona przecież ma taki cudowny charakter.

— Ehm... Ktoś mnie słyszy?

Kolejne szczury przemknęły po kamieniach. Z bocznych korytarzy słyszała ciche piski.

— Hej, hej!

Zgubiła się w rozległych piwnicach, ze świecą kurczącą się z każdą sekundą. Powietrze jest stęchłe, kamienie śliskie, nikt nie wie, co się z nią dzieje, może tu zginąć, może...

Oczy załśniły w ciemności...

Jedno było zielonożółte, drugie perłowobiałe.

Za nimi pojawiło się światło.

Coś zbliżało się korytarzem, rzucając długie cienie. Szczury w panice niemal włączyły jeden na drugiego, by uciec stąd jak najszybciej...

Agnes usiłowała zagłębić się w kamienną ścianę.

— Halo, panienko Perdito X. Nitt!

Znajoma sylwetka wybiegła z ciemności tuż za Greebem. Zdawało się, że ma za dużo kolan i łokci; na ramieniu niosła worek, a w ręku latarnię. Coś uciekło z czerni, emanując zgrozą...

— Nie chce panienska Nitt tu być z tymi wszystkimi szczurami!

— Walter!

— Muszę wykonywać zadania pana Poundera, bo biedak nas opuścił. Jestem osobą o wielu umiejętnościach! Nie ma ziarna dla niegodziwych! Ale pan Greebo uderza je łapą i raz-dwa odchodzą do szczurzego raję!

— Walter — powtórzyła z ulgą Agnes.

— Przyszła panienska zwiedzać, prawda? Te stare tunele biegną aż do rzeki! Trzeba być byстрыm i chytrym, żeby się tu nie zgubić! Chce panienska ze mną wrócić?

Nie można było bać się Waltera Plinge. Walter budził sporo emocji, ale wśród nich nie było przerażenia.

— Eee... tak — powiedziała Agnes. — Zgubiłam się. Bardzo mi przykro.

Greebo usiadł i zaczął się myć w sposób — zdawało się Agnes — bardzo wyniosły. Gdyby koty umiały chichotać pogardliwie, na pewno by chichotał.

— Teraz mam już pełny worek, który muszę zanieść do sklepu pana Świdry! — oznajmił Walter. Odwrócił się i podskakując wyszedł z sali. Nie zadał sobie trudu, by sprawdzić, czy Agnes idzie za nim. — Dostajemy pensa za każdego, a to nie do pogardzenia! Krasnoludy uważają, że szczur to dobre jedzenie, co tylko dowodzi, jaki dziwny byłby świat, gdybyśmy rodzili się jednakowi!

Śmiesznie krótka wydała się droga do stóp jakichś innych schodów, z wyglądu często używanych.

— Widziałeś kiedyś Upiora, Walterze? — spytała Agnes, gdy chłopak postawił nogę na pierwszym stopniu.

Nie obejrzał się.

— Czy to źle kłamać?

— Hm... Tak, myślę, że tak. A więc... kiedy ostatnio widziałeś Upiora?

— Ostatnio widziałem Upiora w wielkiej sali szkoły baletowej!

— Naprawdę? I co zrobił?

Walter wahał się przez chwilę, aż wreszcie wyrzucił z siebie:

— Uciekł!

Tupiąc, ruszył w górę. Bardzo wyraźnie dawał do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca.

Greebo prychnął na Agnes i pobiegł za nim.

Zaledwie jedną kondygnację wyżej schody kończyły się klapą w podłodze za sceną. Zgubiła się ledwie o jedno czy dwoje drzwi od prawdziwego świata.

Nikt nie zwrócił uwagi na to, że wychodzi z piwnic. Ale w końcu w ogóle nikt nie zwracał na nią uwagi. Wszyscy przyjmowali, że będzie na miejscu, jeśli okaże się potrzebna.

Walter Plinge odszedł już, dość pospiesznie.

Agnes wahała się. Pewnie nawet by nie zauważyli, że jej nie ma — aż do chwili, kiedy Christine otworzyłaby usta i...

Nie chciał o tym mówić, ale przecież zawsze odpowiadał pytany. Miała wrażenie, że Walter Plinge nie był zdolny do kłamstwa. Kłamać jest niedobrze.

Nigdy wcześniej nie widziała szkoły baletowej, która znajdowała się niezbyt daleko za sceną, ale stanowiła osobny świat. Tancerki wybiegały stąd codziennie jak stadko bardzo chudych świergoczących owiec pod opieką starszych dam wyglądających, jakby na śniadanie jadały marynowane cytryny. Dopiero kiedy zadała kilka nieśmiałych pytań maszynistom, uświadomiła sobie, że dziewczęta wstąpiły do baletu, ponieważ same tego chciały...

Zobaczyła garderobę tancerek, gdzie trzydzieści dziewcząt myło się i przebierało na przestrzeni mniejszej niż gabinet Kubła. Garderoba miała taki sam związek z baletem, jak kompost z różami.

Agnes rozejrzała się. Wciąż nikt nie zwracał na nią uwagi.

Ruszyła do sali ćwiczeń baletu. Znajdowała się kilka kroków dalej, za brudnym korytarzykiem o ścianach zawieszonych tablicami ogłoszeń i pachnącym zastarzałym brudem. Kilka dziewcząt przebiegło obok. Nigdy nie spotykało się ich pojedynczo; zawsze były w grupie, jak jętki.

Otworzyła drzwi i weszła do sali.

Odbicia odbić odbić...

Lustra pokrywały wszystkie ściany.

Kilka dziewcząt ćwiczyło przy drążkach wzdłuż ścian. Obejrzały się na nią.

Lustra...

Na zewnątrz, w korytarzu, oparła się o ścianę i złapała oddech. Nigdy nie lubiła luster. Zawsze jej się zdawało, że się z niej śmieją. Ale czy nie mówili, że to cecha czarownicy: niechęć do stawania między dwoma lustrami? Podobno wysysają duszę albo coś w tym rodzaju. Czarownica nigdy nie stanie między lustrami, chyba że coś ją zmusi...

Ale oczywiście Agnes stanowczo nie była czarownicą. Dlatego odetchnęła głęboko i wróciła do sali.

Szeregi jej wizerunków rozbiegły się we wszystkie strony.

Zdołała zrobić kilka kroków, po czym odwróciła się i na ślepo wymacała drzwi, obserwowana przez zdziwione tancerki.

Brak snu, tłumaczyła sobie. Ogólne napięcie nerwowe. Zresztą nie musi przecież tam wchodzić, skoro już wie, kim jest Upiór.

To takie oczywiste... Upiór nie potrzebuje tajemnych, nieistniejących grot. Może przecież chować się tam, gdzie wszyscy go widzą.

Pan Kubel zastukał do drzwi gabinetu Salzelli.

— Wejść! — odpowiedział stłumiony głos.

W środku nie było nikogo, ale w przeciwległej ścianie Kubel zauważył jeszcze jedno drzwi. Zapukał znowu, po czym szarpnął za klamkę.

— Jestem w wannie — poinformował Salzella.

— To przepraszam.

— Nie, jestem całkiem ubrany, jeśli o to panu chodzi. Czy stoi tam cebrzyk z lodem?

— To pan go zamówił? — upewnił się Kubel z wyraźnym zakłopotaniem.

— Tak!

— Tylko że ja, no... Zabrałem go do swojego biura, żeby wsadzić do niego nogi.

— Nogi?

— Tak. Tego... Wybrałem się na szybką przebieżkę po mieście, sam nie wiem czemu, nagle naszła mnie ochota...

— I co?

— Buty stanęły mi w ogniu przy drugim okrążeniu.

Rozległo się chłupotanie, jakieś burczenie *sotto voce*, po czym drzwi się otworzyły, odsłaniając Salzellę w fioletowym szlafroku.

— Czy señor Basilica jest bezpiecznie uwiązany? — zapytał, kapiąc wodą na podłogę.

— Przegląda nuty z Herr Trubelmacherem.

— I... nic mu nie dolega?

— Posłał do kuchni po jakąś przekąskę.

Dyrektor muzyczny pokręcił tylko głową.

— Niesamowite.

— A tłumacza schowali do kredensu. Jakoś nie potrafili go wyprostować.

Kubel usiadł ostrożnie. Na nogach miał kraciaste kapcie.

— I... — zachęcił go Salzella.

— I co?

— Gdzie poszła ta straszna kobieta?

— Pani Ogg ją oprowadza. No ale co mogłem zrobić? Proszę pamiętać, chodzi o dwa tysiące dolarów!

— Staram się zapomnieć — odparł Salzella. — Obiecuję nigdy więcej nie mówić o tym obiedzie, jeśli i pan o nim nie wspomni.

— Jakim obiedzie? — zapytał z niewinną miną Kubel.

— Brawo.

— Ale trzeba przyznać, że wywołuje niezwykle wrażenie, prawda?

— Nie wiem, o czym pan mówi.

— Znaczący, nietrudno zrozumieć, w jaki sposób zarobiła te pieniądze...

— Wielkie nieba, człowieku, przecież ona ma twarz jak topór!

— Mówią, że królowa Ezeriel z Klatchu miała zęza, ale nie przeszkodziło jej to w posiadaniu czternastu małżonków, a to tylko wynik oficjalny. Poza tym trochę już jest zaawansowana w latach...

— Wydawało mi się, że nie żyje od dwustu lat!

— Mówię o lady Esmeraldzie.

— Ja też.

— Niech pan przynajmniej spróbuje być dla niej uprzejmy podczas dzisiejszego *soirée* przed spektaklem.

— Spróbuję.

— Te dwa tysiące to może być tylko początek, mam nadzieję. Za każdym razem, kiedy otwieram szufladę, znajduję nowe rachunki. Wydaje się, że już wszystkim jesteśmy winni jakieś pieniądze.

— Opera jest kosztowna...

— Mnie pan to mówi? Kiedy tylko zaczynam przeglądać księgi rachunkowe, zdarza się coś przerażającego. Myśli pan, że mam szansę na przynajmniej kilka godzin bez jakichś strasznych wypadków?

— W operze?

Głos był trochę stłumiony przez częściowo rozebrany mechanizm organów.

— Dobrze. Daj środkowe C.

Włochaty palec wcisnął klawisz. Stuknęło, a gdzieś wewnątrz mechanizmu coś brzęknęło — uoing!

— Do licha, spadła! Zaczekaj... Jeszcze raz...

Nuta zabrzmiała słodko i czysto.

— Dobra — odezwał się głos człowieka ukrytego w odsłoniętych wnętrznościach organów. — Czekaj, dokręć kołek...

Agnes podeszła bliżej. Przygarbiona postać siedząca przy klawiaturze odwróciła się i powitała ją przyjaznym uśmiechem, o wiele szerszym od przeciętnego. Właściciel uśmiechu porośnięty był rudą sierścią i chociaż zdradzał pewne niedostatki w dziedzinie nóg, najwyraźniej stał pierwszy w kolejce, kiedy otworzono stoisko z rękami. Skorzystał też chyba ze specjalnej promocyjnej oferty warg.

— André!... — zawołała słabym głosem Agnes.

Organista wysunął się z mechanizmu. Trzymał w ręku drewnianą płytę ze skomplikowanym systemem sprężyn.

— O, witaj — powiedział.

— E... kto to jest? — spytała Agnes, cofając się przed organistą.

— Kto? Och, to bibliotekarz. Nie wydaje mi się, żeby miał jakieś imię. Jest bibliotekarzem na Niewidocznym Uniwersytecie, ale co ważniejsze, jest też ich organistą. A okazało się, że nasze organy to Johnson*, tak jak ich. Dał nam kilka części zamiennych...

— Uuk!

— Przepraszam... Pożyczył nam kilka części zamiennych.

— Gra na organach?

— Tak, w sposób zadziwiająco chwytny.

Agnes uspokoila się. Stwór chyba nie zamierzał jej atakować.

* Bergholt Grimwald („Bezdenne Głupi”) Johnson był sławnym, a może raczej niesławnym wynalazcą z Ankh-Morpork. Znany z tego, że nigdy nie pozwalał, by jego liczbowy analfabetyzm, brak jakichkolwiek umiejętności i absolutna niezdolność zrozumienia istoty problemu stanęły mu na drodze rozwoju jako pierwszego Człowieka Kontrrenesansu. Wkrótce po zbudowaniu słynnej Zwalonej Wieży w Quirmie przeniósł swe zainteresowania do świata muzyki, w szczególności na wielkie organy i orkiestry mechaniczne. Przykłady jego prac wciąż pojawiają się na wyprzedazach, aukcjach, a całkiem często na wyypiskach.

— Aha — powiedziała. — No tak... To chyba całkiem naturalne. Pamiętam, czasami do naszej wsi przychodzili katarzyniarze i miewali takie milutkie małpisz...

Zabrział głośny akord. Orangutan uniósł drugą rękę i dobrotliwie pogroził Agnes palcem.

— Nie lubi, kiedy się go nazywa małpiszonem — wyjaśnił André. — Za to chyba ciebie polubił.

— Skąd wiesz?

— Zwykle nie traci czasu na ostrzeżenia.

Cofnęła się jeszcze o krok i chwyciła młodego człowieka za ramię.

— Możemy porozmawiać?

— Zostało tylko parę godzin, a naprawdę chciałbym naprawić...

— To ważne!

Wyszedł z nią za kulisę. Za nimi bibliotekarz uderzył kilka klawiszy na wpół zreperowanej klawiatury, po czym skrył się pod nią.

— Wiem, kim jest Upiór — szepnęła Agnes.

André przyjrzał się jej uważnie. A potem wciągnął głębiej w cień.

— Upiór nie jest kimś — powiedział cicho. — Nie bądź głuptasem. To po prostu Upiór.

— Chodzi mi o to, że jest kimś innym, kiedy zdejmie maskę.

— Kim?

— Czy powinnam zawiadomić pana Kubła i pana Salzellę?

— Kim? Zawiadomić ich o kim?

— To Walter Plinge.

Znowu zaczął się jej przyglądać.

— Jeśli będziesz się śmiał — uprzedziła Agnes — to... to cię kopnę.

— Przecież Walter nie jest nawet...

— Ja też w to nie wierzyłam, ale powiedział, że widział Upiora w szkole baletowej, a tam są lustra na wszystkich ścianach, a on byłby całkiem wysoki, gdyby się porządnie wyprostował, i w dodatku chodzi często po piwnicach...

— Daj spokój...

— Wczoraj w nocy zdawało mi się, że słyszę, jak śpiewa na scenie, kiedy już wszyscy poszli.

— Widziałaś go?

— Było ciemno.

— No tak... — zaczął lekceważąco André.

— Ale potem słyszałam, tego jestem już pewna, jak mówi do kota. Normalnie mówi. Jak całkiem normalny człowiek. Musisz przyznać, że... że jest dziwny. Czy nie wydaje ci się taką właśnie osobą, która nosiłaby maskę, żeby ukryć, kim jest naprawdę? — Spuściła głowę. — Widzę, że nie chcesz słuchać...

— Nie! Nie, tylko sądzę... no...

— Pomyślałam, że lepiej się poczuję, jeśli komus powiem.

André uśmiechnął się w mroku.

— Jednak nikomu innemu raczej bym o tym nie wspominał.

Agnes przyglądała się własnym stopom.

— Przypuszczam, że moja teoria wydaje ci się naciągana...

André położył dłoń na jej ramieniu. Perdita wyczuła, że Agnes się skuliła.

— I czujesz się lepiej? — zapytał.

— Ja... sama nie wiem. Znaczy... no wiesz... Znaczy... nie wyobrażam sobie, żeby on kogoś skrzywdził... Strasznie mi głupio...

— Wszyscy są zdenerwowani. Nie przejmuj się.

— Tylko... nie chciałabym, żebyś mnie uznał za głuptasa...

— Jeśli chcesz, będę miał oko na Waltera — obiecał. — Ale teraz lepiej wróć do pracy — dodał. Rzucił jej kolejny uśmiech, jasny i szybki jak letnia błyskawica.

— Dzień...

Ale on szedł już w stronę organów.

Ten sklep zaopatrywał dżentelmenów.

— To nie dla mnie — wyjaśniła niania Ogg. — To dla przyjaciela. Ma sześć stóp wzrostu, bardzo szeroki w ramionach.

— Nogawka po wewnętrznej?

— O tak.

Rozejrzała się. Właściwie czemu ma się ograniczać? W końcu to jej pieniądze.

— I jeszcze czarny płaszcz, długie czarne rajtuzy, buty z takimi błyszczącymi klamrami, jeden z tych wysokich kapeluszy, płaszcz podbity czerwonym jedwabiem, muszkę i jakąś wytworną laskę z taką elegancką srebrną gałką... i jeszcze... czarną opaskę na oko.

— Opaskę?

— Tak. Może z cekinami albo czymś takim, bo to do opery.

Krawiec przyglądał się niani podejrzliwie.

— To bardzo nietypowe — oświadczył. — Dlaczego ten dżentelmen sam nie przyjdzie?

— Nie jest jeszcze dżentelmenem.

— Ależ madame, musimy znać jego rozmiary.

Niania Ogg rozejrzała się uważnie.

— Wie pan co? — zaproponowała. — Sprzedacie mi coś, co wygląda mniej więcej jak trzeba, a my go już tak poprawimy, żeby pasował. Przepraszam...

Skromnie odeszła na stronę...

...twing, twang, twong...

...i wróciła, wygładzając spódnice. W ręku trzymała skórzany worek.

— Ile się należy? — spytała.

Krawiec spojrział na worek obojętnie.

— Obawiam się, że nie zdołamy zrealizować tego zamówienia wcześniej niż na przyszłą środę.

Niania westchnęła. Coraz lepiej poznawała jedną z najbardziej fundamentalnych zasad fizyki. Czas to pieniądz. A zatem pieniądze to czas.

— Właściwie miałam nadzieję, że potrwa to nieco krócej — rzekła, potrząsając znacząco workiem.

Krawiec spojrział na nią znad czubka nosa.

— Jesteśmy rzemieślnikami wysokiej klasy, madame. Myśli pani, że ile to powinno zająć?

— Co pan powie na dziesięć minut?

Dwanaście minut później wyszła ze sklepu z dużym pakunkiem pod pachą, pudłem z kapeluszem pod drugą i z hebanową laską w zębach.

Babcia czekała na zewnątrz.

— Masz wszystko?

— Aaak.

— Wezmę opaskę na oko, dobrze?

— Musimy mieć trzecią czarownicę — uznała niania, przekładając pakunki. — Ta młoda Agnes ma porządne, mocne ręce.

— Sama wiesz, że jeśli wyciągniemy ją stąd za kark, nigdy nie przestanie się skarżyć. Będzie czarownicą, kiedy zechce nią być.

Przed gmachem Opery skierowały się do wejścia dla aktorów.

— Dobry wieczór, Les! — zawołała wesoło niania zaraz za progiem. — Przestało swędzieć, co?

— Cudowną maść mi pani dała, pani Ogg — zapewnił odźwierny; jego wąż wygiął się w kształt, który mógł sugerować uśmiech.

— Pani Les zdrowa? Jak tam noga jej siostry?

— Coraz lepiej, pani Ogg. Miło, że pani pyta.

— To tylko Esme Weatherwax, która mi czasem pomaga — wyjaśniła niania.

Odźwierny skinął głową. Było jasne, że wszyscy przyjaciele niani Ogg są też jego przyjaciółmi.

— Żaden kłopot, pani Ogg.

Kiedy szły siecią zakurzonych korytarzy, babcia pomyślała — nie pierwszy raz zresztą — że niania dysponuje swoją całkiem osobistą magią.

Niania nie tyle wchodziła do różnych miejsc, ile raczej się wkręcała; podświadomie zapewne zmieniała swój naturalny talent do lubienia ludzi w naukę okultystyczną. Babcia Weatherwax nie miała wątpliwości, że przyjaciółka zna już imiona, historie rodowe, dni urodzin i ulubione tematy dyskusji połowy zatrudnionych tu osób. I pewnie zna też te kluczowe punkty zaczepienia, które skłaniają ludzi, by się przed nią otworzyli. Może to być rozmowa o dzieciach, o maści na bolące stopy albo jedna z tych naprawdę nieprzyzwoitych nianinych historyjek. Wszędzie ją przyjmowano, a po dwudziestu czterech godzinach ludzie uważali, że znają ją całe życie. I mówili jej o różnych sprawach z własnej i nieprzymuszonej woli! Niania dobrze żyła z ludźmi. Potrafiłaby nawet posąg skłonić, by wyplakał się jej na ramieniu i opowiedział, co naprawdę myśli o gołębiach.

To był talent. Babcia nigdy nie miała dość cierpliwości, by go u siebie rozwijać. Od czasu do czasu tylko zastanawiała się, czy byłby to dobry pomysł.

— Kurtyna w górę za półtorej godziny — stwierdziła niania. — Obiecałam pomóc Giselle...

— Kto to jest Giselle?

— Robi charakteryzację.

— Przecież nie masz pojęcia, jak się robi charakteryzację!

— Pomalowałam naszą wygodkę, prawda? A w każdy Duchociastny Wtorek maluję buzie na jajkach. Dla dzieciaków.

— Masz jeszcze coś załatwić? — zapytała sarkastycznie babcia. — Podnieść kurtynę? Zastąpić jakąś baletnicę, która źle się poczuła?

— Powiedziałam, że pomogę przy drinkach na sułare — odparła niania, pozwalając, by ironia spłynęła po niej jak woda z rozpalonej blachy. — Wiesz, sporo ludzi się wyniosło z powodu Upiora. To już za pół godziny w wielkim foyer. Myślę, że powinnaś tam być, bo przecież jesteś patronką.

— Co to jest sułar? — zdziwiła się babcia.

— Coś w rodzaju takiego eleganckiego przyjęcia przed operą.

— A co mam tam robić?

— Pić sherry i prowadzić uprzejme rozmowy — wyjaśniła niania. — No, w każdym razie rozmowy. Widziałam, jakie szykują jedzenie na tego sułara. Mają nawet takie małe kostki sera na patyczkach wbitych w grapefruita, a trudno o coś bardziej wytwornego.

— Gytho Ogg, nie przygotowałaś chyba żadnych... specjalnych potraw?

— Nie, Esme — zapewniła potulnie niania.

— Bo wiesz, siedzi w tobie psotny chochlik...

— Nie miałam czasu, żeby się tym zajmować.

Babcia skinęła głową.

— W takim razie lepiej poszukajmy Greeba — rzekła.

— Jesteś pewna, że to dobry pomysł, Esme?

— Może się okazać, że mamy dziś sporo do zrobienia. Przyda nam się dodatkowa para rąk.

— Łap.

— W tej chwili tak.

To był Walter. Agnes wiedziała o tym. I nie była to wiedza płynąca z umysłu, ale niemalże coś, czym oddychała. Czuła to tak, jak drzewo wyczuwa słońce.

Wszystko się zgadzało. Mógł się dostać wszędzie i nikt nie zwracał na niego uwagi. Ponieważ zawsze tu był, stał się w pewnym sensie niewidzialny. A gdyby człowiek urodził się Walterem Plinge, czyby nie marzył, by zostać kimś tak olśniewającym i pełnym fantazji jak Upiór?

Jeśli człowiek urodził się kimś takim jak Agnes Nitt, czy nie marzyłby, aby zostać kimś tak mrocznym i tajemniczym jak Perdita X. Dream?

Ta zdradziecka myśl pojawiła się, zanim Agnes zdążyła ją powstrzymać. Dodała więc szybko: Ale ja nigdy nikogo nie zabiłam.

Ponieważ właśnie w to wszyscy wierzyli: jeśli jest Upiorem, zabija ludzi.

Wszystko jedno... Wygląda dziwnie i mówi tak, jakby słowa próbowały uciec...

Ktoś dotknął jej ramienia. Agnes odwróciła się gwałtownie.

— To tylko ja!! — uspokoiła ją Christine.

— ...Och!

— Nie sądzisz, że to cudowna suknia?!

— Co?

— No, ta suknia, głuptasie!!

Agnes obejrzała ją od stóp do głów.

— A tak. Bardzo ładna — powiedziała. Brak zainteresowania spływał z jej słów niczym nocna ulewa z chodnika.

— Chyba nie zrobiła na tobie wrażenia!! Doprawdy, Perdito, nie ma powodów do zazdrości!!

— Nie jestem zazdrosna. Zastanawiałam się...

Widziała Upiora tylko przez chwilę, ale na pewno nie poruszał się jak Walter. Walter chodził tak, jakby całe jego ciało było wleczone do przodu za głowę. Ale jej pewność nabrała już twardości marmuru.

— W każdym razie nie wyglądasz na zachwyconą, muszę stwierdzić!!

— Zastanawiam się, czy Walter Plinge jest Upiorem — oświadczyła Agnes i natychmiast sama siebie przeklęła, a przynajmniej zachorobowała. Wystarczająco zawstydzila ją reakcja André.

Christine szeroko otworzyła oczy.

— Przecież to błazen!!

— Dziwacznie chodzi i dziwacznie mówi — zgodziła się Agnes. — Ale gdyby się wyprostował...

Christine parsknęła śmiechem. Agnes poczuła, że ogarniają gniew.

— I praktycznie rzecz biorąc, sam mi o tym powiedział!

— A ty mu uwierzyłaś, co?! — Christine cmoknęła z politowaniem, co Agnes uznała za obraźliwe. — Doprawdy, wy, dziewczęta, wierzycie w najdziwniejsze rzeczy!!

— Co to znaczy: my, dziewczęta?

— No, wiesz przecież!! Tancerki wciąż opowiadają, że wszędzie widzą Upiora!!

— Bogowie! Uważasz mnie za jakąś łatwowierną idiotkę? Zastanów się, zanim odpowiesz!

— No... nie, oczywiście!! Ale...

— Ha!

Agnes odeszła za kulisy, bardziej dbając o efekt niż o kierunek. Gwar sceny ucichł jej za plecami, a po chwili trafiła do magazynu dekoracji. Ta droga nie prowadziła donikąd, najwyżej do podwójnej bramy otwierającej się na świat zewnętrzny. Pełno tu było fragmentów zamków, balkoników i romantycznych cel więziennych, ustawionych byle jak pod ścianami.

Christine biegła za nią.

— Naprawdę nie chciałam... Ale przecież nie Walter... To po prostu bardzo dziwny człowiek do wszystkiego!!

— Wykonuje wszelkie prace! Nikt nigdy nie wie, gdzie akurat jest. Wszyscy zakładają tylko, że kręci się gdzieś w pobliżu.

— No dobrze, ale nie musisz się tak denerwować...

Za nimi rozległ się najcichszy szelest.

Odwróciły się.

Upiór się skłonił.

— Gdzie jest grzeczny kotek? Niania ma dla grzecznego kotka miskę rybiech jajeczek!
— wołała niania, usiłując zajrzeć pod wielki kuchenny kredens.

— Rybie jajeczka? — spytała podejrzliwie babcia.

— Pożyczyłam z tych talerzy, co je przygotowywali na sułara.

— Pożyczyłaś?

— Właśnie. Chodź, Greebo, chodź do swojej niani...

— Pożyczyłaś? To znaczy, że kiedy kot już z nimi skończy, zamierzasz je oddać?

— To tylko takie powiedzenie, Esme — wyjaśniła niania z urazą. — To nie to samo co kradzież, jeśli człowiek nie zamierza kraść. Chodź tu, kotku, mam pyszne rybie jajeczka...

Greebo wcisnął się głębiej.

Christine westchnęła cicho i upadła zemdlona. Zdołała jednak, co złośliwie zauważyła Agnes, upaść w taki sposób, by nie uderzyć za mocno o podłogę i by leżąc, jak najlepiej demonstrować suknię. Agnes zaczynała wolno pojmować, że Christine jest całkiem sprytna w pewnych specjalistycznych dziedzinach.

Spojrzała na maskę.

— Nie mam ci za złe — powiedziała, ale głos nawet dla niej brzmiał chrapliwie. — Wiem, czemu to robisz. Naprawdę.

Żadna zmiana nie mogła się ujawnić na obliczu barwy kości słoniowej, ale oczy mru-gnęły.

Agnes nerwowo przełknęła ślinę. Perdutowa część umysłu chciała poddać się od razu, gdyż to byłoby bardziej interesujące, Agnes jednak nie zamierzała ustępować.

— Chcesz być kimś innym, ale musisz być tym, kim jesteś — powiedziała. — Wiem, jakie to uczucie. Ty i tak masz szczęście. Wystarczy ci tylko założyć maskę. Ale dlaczego koniecznie musisz zabijać ludzi? No dlaczego? Pan Pounder nie mógł ci przecież zaszkodzić! Ale... wchodził w różne zakamarki, prawda? I w końcu... w końcu coś znalazł?

Upiór lekko skinął głową. Wyciągnął przed siebie hebanową laskę, chwycił za oba końce i pociągnął. Wysunęła się długa, wąska klinga.

— Wiem, kim jesteś! — zawołała Agnes, gdy zrobił krok do przodu. — Mogłabym ci chyba pomóc! Może to nie była twoja wina! — Cofała się. — Przecież ja ci nic nie zrobiłam! Nie musisz się mnie bać!

Cofała się coraz szybciej. Upiór postępował za nią. Oczy w ciemnych otworach maski migotały jak niewielkie klejnoty.

— Jestem twoim przyjacielem, nie rozumiesz? Proszę cię, Walterze! Walterze!

Z daleka odpowiedział jej dźwięk, który wydawał się głośny jak grom, a w tych okolicznościach był równie mało prawdopodobny jak kociołek z czekolady.

Był to brzęk uchwytu wiadra.

— Co się stało, panienko Perdito Nitt?

Upiór zawahał się.

Zabrzmiały kroki. Nieregularne kroki.

Upiór opuścił klingę, otworzył furtkę w udającym zamkowy mur elemencie dekoracji, skłonił się ironicznie i zniknął.

Walter wyłonił się zza rogu.

Nie przypominał błędnego rycerza. Przede wszystkim miał na sobie strój wieczorowy, najwyraźniej uszyty na kogoś o całkiem innej sylwetce. Na jego głowie wciąż tkwił берет. Walter miał też fartuch, a dźwigał wiadro i szczotkę na kiju. Ale żaden bohater-ski wybawca z lancą nie przegalopował dumnie po zwodzonym moście. Waltera praktycznie otaczał złoty blask.

— Co się stało panience Christine?

— Ona, tego... no... zemdląca — odparła Agnes. — Prawdopodobnie... tak, być może z podniecenia. Dzisiejszym spektaklem. Operą. Tak. Chyba. Z podniecenia. Wieczornym występem.

Walter przyjrzał się jej niespokojnie.

— Tak — przyznał cierpliwie. I dodał: — Wiem, gdzie jest skrzynka z lekami, mam ją przynieść?

Christine jęknęła i zatrzepotała rzęsami.

— Gdzie ja jestem?

Perdita zgrzytnęła zębami Agnes. „Gdzie ja jestem?”. Człowiek nie mówi takich rzeczy, kiedy odzyskuje przytomność po omdleniu. Mówi takie rzeczy, bo słyszał, że tak powinien się zachowywać, odzyskując przytomność.

— Zemdląłeś — wyjaśniła jej Agnes. Spojrzała badawczo na Waltera. — Skąd się tu wziąłeś, Walterze?

— Muszę wyszorować wygodkę maszynistów, panno Nitt. Ciągłe są z nią kłopoty, pracuję tam już od miesięcy!

— Ale masz na sobie strój wieczorowy!

— Tak, bo potem będę kelnerem. Brakuje ludzi i nie ma kto podawać, jak będą pili drinki i jedli kiełbaski na patyczkach przed operą.

Nikt nie mógłby się poruszać tak prędko. Owszem, Walter i Upiór nie znaleźli się w tym magazynie równocześnie, ale przecież słyszała jego głos. Nikomu nie wystarczyłoby czasu, by schować się za stosami dekoracji i po paru sekundach wyjść po przeciwnej stronie pomieszczenia. Chyba że byłby jakimś magiem. Z opowieści dziewcząt wynikało co prawda, że często widywały Upiora w dwóch miejscach równocześnie... Może były tu inne ukryte przejścia, podobne do tych zapomnianych schodów. Może...

A zatem Walter Plinge nie jest Upiorem. Nie warto szukać jakiegoś ekscytującego wytłumaczenia, by udowodnić fałszywe twierdzenie.

Powiedziała o tym Christine. Cóż, Christine spoglądała właśnie na nią nieco zdziwiona, gdy Walter pomagał jej wstać. Powiedziała też André, ale on chyba nie uwierzył, więc nic się nie stało.

To znaczy, że Upiorem jest...

...ktoś inny.

A taka była pewna.

— Spodoba ci się, mamo. Na pewno.

— To nie dla takich jak my, Henry. Nie wiem, czemu pan Morecombe nie dał ci biletów na występ Nellie Stamp w Muzyk Holu. To jest porządna muzyka. Piosenki, które można zrozumieć.

— Piosenki o tym, jak młoda alchemiczka bada gazy i ciecze, nie są zbyt kulturalne, mamó.

Dwie osoby przeciskały się między przechodniami, zmierzając w stronę Opery. Tak brzmiała ich rozmowa.

— Ale są śmieszne. I nie trzeba pożyczać ubrań. Moim zdaniem to durnota, że trzeba się specjalnie ubierać tylko po to, by posłuchać muzyki.

— To pogłębia doznania — wyjaśnił młody Henry, który gdzieś o tym czytał.

— Ale niby skąd muzyka wie? — nie ustępowała jego matka. — Za to taka Nellie Stamp...

— Chodźmy, mamó.

Przewidywał, że czeka go jeden z... takich wieczorów.

Henry Lawsy bardzo się starał. I biorąc pod uwagę, z jakiego miejsca zaczynał, nie wychodziło mu to źle. Był sekretarzem w firmie Morecombe, Slant i Honeyplace, nieco staroświeckiej spółce prawniczej. Jedną z przyczyn jej nie całkiem nowoczesnego podejścia do świata mógł być fakt, że panowie Morecombe i Honeyplace byli wampirami, a pan Slant — zombi. Wszyscy trzej partnerzy byli więc formalnie martwi, choć nie przeszkadzało im to żywo zajmować się codzienną pracą, wykonywaną zresztą — w przypadku pana Morecombe'a i Honeyplace'a — raczej nocą.

Z punktu widzenia Henry'ego, trafił dobrze. Godziny urzędowania okazały się wygodne, praca niezbyt uciążliwa. Jedyne, co go niepokoiło, to możliwości awansu. Trudno liczyć, że śmierć któregoś z przełożonych stworzy jakąś okazję, skoro wszyscy i tak nie żyją. Uznał więc, że jedyną szansą sukcesu jest Doskonalenie Umysłu, co starał się czynić przy każdej okazji. Aby najdokładniej opisać umysł Henry'ego Lawsy, wystarczy stwierdzić, że gdyby dać mu książkę „Jak udoskonalić swój umysł w pięć minut”, czytałby ją ze stoperem w ręku. W drodze przez życie często hamowało go przytłaczające poczucie własnej ignorancji — choroba dotykająca zbyt niewiele osób.

Pan Morecombe podarował mu dwa bilety do Opery, w nagrodę za rozwiązanie wyjątkowo problematycznej sprawy cywilnej. Henry zaprosił swoją matkę, gdyż stanowiła sto procent znanych mu kobiet.

Ludzie zwykle ostrożnie ściskali rękę Henry'ego, w obawie że może odpaść.

Kupił książkę o operze i przeczytał ją uważnie. Słyszał bowiem, że nie wypada iść na przedstawienie, nie wiedząc, o czym opowiada, a szansa dowiedzenia się tego już na miejscu, podczas oglądania, jest raczej nikła. Teraz ciężar tomiku w kieszeni dodawał mu pewności siebie. Wszystko, czego było mu trzeba, by wieczór był udany, to mniej krępująca rodzicielka.

— Kupimy jakieś orzeszki, zanim wejdziemy? — spytała.

— Mamó, w operze nie sprzedają orzeszków.

— Nie ma orzeszków? To co niby człowiek ma robić, gdyby piosenki mu się nie spodobały?

Podejrzliwe oczy Greeba błyszcząły w ciemności.

— Szturchnij go kijem od miotły — zaproponowała babcia.

— Nie — zaprotestowała niania. — Z kimś takim jak Greebo potrzeba odrobiny łagodności.

Babcia przymknęła oczy i machnęła ręką.

Spod kredensu dobiegł głośny pisk i odgłos gorączkowego drapania. Potem, ryjąc pazurami podłogę, wyjechał tyłem Greebo. Walczył przez cały czas.

— Chociaż sporo okrucieństwa też może rozwiązać problem — przyznała niania.

— Nigdy specjalnie nie lubiłaś kotów, co, Esme?

Greebo pewnie syknąłby na babcię, tyle że nawet w jego kocim mózgu było dość inteligencji, by zrozumieć, że nie jest to najlepsze posunięcie.

— Daj mu te rybki jajeczka — poradziła babcia. — Równie dobrze może je zjeść teraz, jak później.

Greebo obejrzał miskę. A zatem wszystko w porządku: chciały dać mu jeść.

Babcia skinęła na nianię. Wyciągnęły ręce, otwierając dłonie.

Greebo zdążył pożreć połowę kawioru, gdy poczuł, że To się zaczyna.

— Mrrauuu... — zajęczał, a jego głos nabierał głębi. Pierś się rozrastała. Rósł coraz wyżej, gdy wydłużały się pod nim nogi. — ...Mmmiiiiiaaa...

— Frak ma w piersi czterdzieści cztery cale — przypomniała niania.

Babcia kiwnęła głową.

— ...aauuuu...

Twarz się spłaszczyła, wąsy zgęstniały, nos Greeba zyskał niezależne życie...

— ...uuuss... szlag!

— Widać, że ostatnio coraz szybciej się orientuje — stwierdziła z dumą niania.

— Włóż zaraz coś na siebie, mój chłopcze — zaproponowała babcia, która zamknęła oczy.

Zresztą nie robiło to wielkiej różnicy, co musiała potem przyznać. Całkowicie ubrany Greebo wciąż potrafił jakoś zakomunikować otoczeniu swoją nagość pod spodem. Zawadiacki wąs, długie bokobrody i zwichrzone czarne włosy, w połączeniu z dobrze rozwiniętym umięśnieniem, wywoływały wrażenie przystojnego bukaniera albo romantycznego poety, który zrezygnował z opium i przerzucił się na czerwone mięso. Blizna przecinała mu twarz, a opaska przesłaniała oko. Kiedy się uśmiechał, emanował czystą, podniecająco niebezpieczną lubieżnością. Potrafiłby nawet przez sen okazywać dumne lekceważenie. Prawdę mówiąc, Greebo mógłby molestować seksualnie, nawet siedząc spokojnie w sąsiednim pokoju.

Oczywiście nie dotyczyło to czarownic. Dla babci kot był kotem, niezależnie od swojego wyglądu. A niania Ogg zawsze myślała o nim jako o Panu Puszku.

Poprawiła mu muszkę, odstąpiła i przyjrzała się krytycznie.

— Co o tym myślisz?

— Wygląda jak skrytobójca, ale może być — uznała babcia.

— Jak możesz tak o nim mówić!

Greebo na próbę pomachał rękami i spróbował chwycić laskę. Palce potrzebowały nieco wprawy, ale kocie odruchy pomagały w nauce.

Niania żartobliwie pomachała mu palcem przed nosem. Bez przekonania machnęła na nią rozczapierzoną dłonią.

— A teraz zostaniesz z babcią i będziesz robił to, co ci każe, jak grzeczny chłopak — powiedziała.

— Ta-ak, nia-niu — zgodził się niechętnie Greebo. Udało mu się prawidłowo złapać laskę.

— I żadnych bójek.

— Nie-e, nia-niu.

— I żebyś nie zostawiał kawałków ludzi na wycieraczce.

— Nie-e, nia-niu.

— Żeby potem nie było kłopotu, jak z tymi rabusiami w zeszłym miesiącu.

— Nie-e, nia-niu.

Był przynębiony. Ludzie nie umieją się bawić. Nawet najbardziej podstawowe czynności wiążą się z niewiarygodnymi komplikacjami.

— I nie zmieniaj się w kota, dopóki ci nie powiemy.

— Ta-ak, nia-niu.

— Rozegraj to jak należy, a śledź cię nie minie.

— Ta-ak, nia-niu.

— Jak go nazwiemy? — spytała babcia. — Nie może przecież być Greebem, zresztą zawsze uważałam, że to głupie imię dla kota.

— Wiesz, wygląda arystokratycznie... — zaczęła niania.

— Wygląda jak bezmózgi, przystojny łajdak — poprawiła ją babcia.

— Arystokratycznie — upierała się niania.

— Na jedno wychodzi.

— W każdym razie nie możemy go nazywać Greebo.

— Coś wymyślimy.

Ponury Salzella stał oparty o marmurową balustradę szerokich schodów w foyer i smętnie zaglądał do wnętrza swojego drinka.

Zawsze mu się wydawało, że jedną z podstawowych wad całego operowego interesu jest publiczność. Była całkiem nieodpowiednia. Jedyńi widzowie gorsi od tych, którzy całkiem nie znali się na muzyce i których wyobrażenie o rozsądnie wyrażonej opinii brzmiało „Podobał mi się ten kawałek przy końcu, kiedy jej głos zaczął tak się trząść”, to ci, którym się wydawało, że się znają...

— Może drinka, panie Salzella? Mamy dużo, wie pan.

Walter Plinge zbliżył się w swym czarnym fraku, w którym wyglądał jak dobrej klasy strach na wróble.

— Plinge, pytaj tylko: „Czy pan się czegoś napije?”. I zdejmij ten śmieszny берет.

— Mama mi go zrobiła!

— Jestem tego pewien, ale...

Zbliżył się Kubel.

— Mówiłem chyba, żeby trzymał pan señora Basilicę z dala od kanapek — syknął.

— Przykro mi, ale nie znalazłem dostatecznie grubego łańcucha — odparł Salzella, skinieniem dłoni odsyłając Waltera. — A właściwie czy nie powinien teraz obcować ze swą muzą w garderobie? Kurtyna idzie w górę za dwadzieścia minut.

— Powiedział, że lepiej śpiewa z pełnym żołądkiem.

— W takim razie czekają nas dziś niezwykle doznania artystyczne.

Kubel odwrócił się i rozejrzał.

— Wszystko idzie dobrze — powiedział.

— Raczej tak.

— Wie pan, że straż tu jest? W tajemnicy. Wmieszali się w tłum.

— Aha. Niech zgadnę...

Salzella przyjrzał się widzom. Dostrzegł bardzo niskiego mężczyznę we fraku uszytym na większego mężczyznę. Jeszcze łatwiej dało się to poznać po operowej pelerynie wlokącej się za nim po podłodze. Nadawała mu wygląd superbohatera, który zbyt wiele czasu spędził w pobliżu kryptonitu. Na głowie miał zdeformowany futrzany cylinder i usiłował dyskretnie palić papierosa.

— Chodzi o tego małego człowieczka z napisem „Strażnik w przebraniu” błyskającym nad głową?

— Gdzie? Nie zauważyłem nic takiego!

Salzella westchnął.

— To kapral Nobby Nobbs — wyjaśnił ze znużeniem. — Jedyna znana osoba, która potrzebuje dowodu tożsamości, by wykazać, do jakiego należy gatunku. Widziałem, że wmieszal się w trzy duże sherry.

— Ale nie jest jedyny — bronił się Kubel. — Potraktowali sprawę poważnie.

— Rzeczywiście — zgodził się Salzella. — Jeśli na przykład spojrzymy w tamtą stronę, zobaczymy sierżanta Detrytusa, który jest trollem i włożył coś, co w danych okolicznościach należy uznać za całkiem dobrze dopasowany garnitur. Uważam więc, że trochę szkoda, iż zapomniał zdjąć hełm. Tych osobników, jak pan rozumie, straż wydelegowała ze względu na ich umiejętność wmieszania się w tłum.

— Na pewno się przydadzą, gdyby Upiór znowu uderzył — upierał się przygnębiony Kubel.

— Upiór musi tylko... — Salzella urwał nagle. Zamrugął. — Wielcy bogowie...
— szepnął. — Kogo ona znalazła?

Kubeł obejrzał się.

— To lady Esmeralda... och!

Greebo szedł obok niej tym swobodnym krokiem, na widok którego kobiety wpadają w zadumę, a mężczyznom bieleją knykcie. Gwar rozmów przycichł na chwilę, po czym rozległ się znowu, nieco wyższy.

— Jestem pod wrażeniem — oświadczył Salzella.

— Z pewnością nie wygląda na dżentelmena — stwierdził Kubeł. — Proszę spojrzeć na kolor tego oka.

Wykrzywił usta w czymś, co — miał nadzieję — było uśmiechem. Skłonił się.

— Lady Esmeraldo! — zawołał. — Jak miło znów panią widzieć! Czy zechce nas pani przedstawić swojemu... gościowi?

— To lord Gribeau — zaprezentowała towarzysza babcia. — A to pan Kubeł, właściciel, i pan Salzella, który, jak się zdaje, kieruje tą instytucją.

— Cha, cha — rzekł Salzella.

Gribeau warknął, odsłaniając siekacze dłuższe niż wszystkie, jakie Kubeł w życiu oglądał poza ogrodem zoologicznym. Nigdy też nie widział takiego zielonożółtego oka. Coś było nie w porządku ze źrenicą...

— Aha, ha — powiedział. — Mogę coś dla pana zamówić?

— Napije się mleka — oznajmiła stanowczo babcia.

— Pewnie musi dbać o kondycję — mruknął Salzella.

Babcia odwróciła się błyskawicznie. Jej mina mogłaby wytrawiać stal.

— Ktoś ma ochotę na drinka? — odezwała się niania Ogg. Pojawiła się znikąd, trzymając tacę, i sprawnie wkroczyła pomiędzy nich niczym bardzo nieliczne siły pokojowe. — Mamy tu pełny wybór...

— Łącznie ze szklanką mleka, jak widzę — zauważył Kubeł.

Salzella spoglądał to na jedną, to na drugą czarownicę.

— Była pani bardzo przewidująca — stwierdził.

— Nigdy nic nie wiadomo — odparła niania.

Gribeau ujął szklankę oburącz i zaczął chleptać mleko językiem. Po chwili spojrzął na Salzellę.

— Na co patrrrrysz? Nie widziałrres, jak się pije mrrrrleko?

— Nigdy tak... Nigdy w ten sposób.

Niania mrugnęła do babci, odwróciła się i zaczęła odchodzić.

Babcia chwyciła ją za ramię.

— Pamiętaj — szepnęła. — Kiedy wejdziemy do łoży, miej oko na panią Plinge. Pani Plinge coś wie. Nie jestem pewna, co się stanie, ale się stanie.

— Dobrze — zgodziła się niania. I odeszła żwawo. — No pewnie — mruzczała pod nosem. — Zrób to, zrób tamto...

— Drinki tutaj, jeśli można.

Niania spojrzała w dół.

— Coś podobnego — powiedziała. — Kim ty jesteś?

Postać w futrzanym cylindrze mrugnęła do niej porozumiewawczo.

— Jestem hrabia de Nobbs — wyjaśniła. — A ten tutaj — dodała — to hrabia de Tritus.

Niania popatrzyła na trolla.

— Jeszcze jeden hrabia? Co to się wyrabia? Chyba nie na wabia? Co mogę podać panom oficerom?

— Oficerowie? My? — zdziwił się de Nobbs. — Skąd pomysł, że jesteśmy ze straży?

— On ma na głowie hełm — wyjaśniła niania. — Ma też swoją odznakę przypiętą do fraka.

— Mówiłem ci, żebyś ją zostawił! — syknął Nobby. Z zakłopotanym uśmiechem zwrócił się do niani. — Wojskowy styl — zapewnił. — Odznaka to modny element. W rzeczywistości jesteśmy dobrze sytuowanymi dżentelmenami i nie mamy nic wspólnego ze Strażą Miejską.

— A zatem, dżentelmeni, czy napijecie się wina?

— Dziękuję, nie na służbie — rzekł troll.

— No tak, bardzo panu dziękuję, hrabio de Tritus — rzucił z goryczą Nobby. — Rzeczywiście, całkiem tajna misja. Może od razu pomachasz pałką, żeby wszyscy mogli zobaczyć?

— Jak myślisz, że to pomoże...

— Schowaj ją!

Brwi hrabiego de Tritusa zetknęły się w umysłowym wysiłku.

— Czyli to była ta... ironia, co? Wobec starszego stopniem?

— Nie możesz być starszy stopniem, bo nie jesteśmy strażnikami. Przecież komendant Vimes trzy razy tłumaczył...

Niania Ogg oddaliła się taktownie. Przykro było patrzeć, jak niszczą swoją legendę.

Ten świat był dla niej obcy. Przyzwyczała się do takiego, w którym mężczyźni noszą kolorowe ubrania, a kobiety chodzą w czerni. Dzięki temu o wiele łatwiej zdecydować rankiem, co na siebie włożyć. Ale w gmachu Opery zasady odzieżowe uległy odwróceniu. Kobiety ubierały się tu jak oszronione pawie, a mężczyźni przypominali pingwiny.

Czyli... jest tu straż. Niania była w zasadzie osobą praworządną, jeśli nie widziała akurat powodu do łamania prawa. Dlatego też miała do jego przedstawicieli ten szczególnie stosunek, który można opisać jako permanentną i głęboką nieufność.

Na przykład ich podejście do kradzieży. Niani pogład na kradzież był poglądem czarownicy, o wiele bardziej skomplikowanym niż reprezentowany przez prawo oraz — trzeba to szczerze przyznać — przez ludzi będących właścicielami czegoś, co warto ukraść. Wszyscy oni wymachiwali ciężkim toporem prawa w okolicznościach wymagających delikatnego skalpela zdrowego rozsądku.

Nie, uznała niania. Policjanci ze swoimi ciężkimi buciorami nie są tu pożądani w taką noc jak dzisiejsza. Warto chyba umieścić pinezkę pod dudnięcymi stopami Sprawiedliwości.

Skryła się za pozłacaną statuą i sięgnęła w zakamarki sukni; przechodzący widzowie obejrżeli się zdumieni dziwnym brzdękaniem gumek. Niania była pewna, że gdzieś ją ma — zapakowała jedną na wszelki wypadek.

Zadźwięczała nieduża butelka. No tak.

Po chwili niania wynurzyła się, niosąc na tacy dwa małe kieliszki. Skierowała się do strażników.

— Napój owocowy dla panów oficerów? — zaproponowała. — Och, głuptas ze mnie, co ja gadam, wcale nie oficerów. Napój owocowy domowej roboty?

Detrytus powąchał podejrzliwie, natychmiast oczyszczając sobie zatoki.

— Co w tym jest? — zapytał.

— Jabłka — odparła zgodnie z prawdą niania. — No... Głównie jabłka.

Obok jej dłoni kilka rozlanych kropli przeżarło metal tacy, spadło na dywan i zaczęło dymić.

Widownia brzęczała gwarem wielbicieli opery, zajmujących swoje miejsca, i pani Lawsy szukającej butów.

— Naprawdę nie powinnaś ich zdejmować, mamó.

— Strasznie cisnęły.

— Przyniosłaś robótkę na drutach?

— Musiałam ją chyba zostawić w damskiej.

— Oj, mamó...

Henry Lawsy zaznaczył miejsce w książce zakładką, po czym wzniosł swe wilgotne oczy ku niebu. I zamrugał. Wprost nad nim — bardzo daleko nad nim — migotał krąg światła.

Matka podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem.

— Co to takiego?

— Myślę, że to żyrandol, mamó.

— Duży, nie ma co. Co go tam trzyma u góry?

— Jestem pewien, że mają tam specjalne liny i inne takie, mamó.

— Na moje oko wygląda trochę groźnie.

— Jestem przekonany, mamó, że jest całkiem bezpieczny.
— A niby skąd się znasz na żyrandolach?
— Ludzie z pewnością nie przychodziliby do Opery, mamó, gdyby istniało ryzyko, że żyrandol spadnie im na głowę — odparł Henry, próbując wrócić do książki.

„Il Truccatore, Mistrz Przebrań”. Il Truccatore (ten.), tajemniczy arystokrata, wywołuje skandal w mieście, uwodząc wysoko urodzone damy, przebrany za ich mężów. Jednakże Laura (sop.), od niedawna narzeczona Capriccia (bar.), nie ulega jego komplementom...

Henry włożył zakładkę, wyjął z kieszeni mniejszą książeczkę i starannie sprawdził słowo „komplement”. Wchodził w świat, którego nie znał; skrępowanie czyhało na każdym kroku, więc nie miał zamiaru potknąć się na jakimś wyrazie. Henry żył w ciągłym lęku, że „później go przepytają”.

...i z pomocą swego sługi Wingiego (ten.) wymyśla fortel...

Słownik znowu się przydał.

... następuje kulminacja...

I znowu.

...w słynnej scenie balu maskowego w pałacu Księcia. Jednak Il Truccatore nie przewidział, że jego dawny adwersarz, hrabia de...

— Adwersarz... — westchnął Henry i sięgnął do kieszeni.

— Kurtyna za pięć minut...

Salzella urządził przegląd swoich sił. Składały się ze stolarzy, malarzy i innych pracowników, którzy wieczorem nie byli niezbędnie potrzebni. Na końcu szeregu stało na baczność jakieś pięćdziesiąt procent Waltera Plinge.

— Wszyscy znacie swoje pozycje — mówił Salzella. — Jeśli coś zobaczycie, cokolwiek, macie mnie natychmiast zawiadomić. Zrozumieliście?

— Panie Salzella!

— Słucham, Walterze.

— Nie możemy przerwać opery!

Salzella pokręcił głową.

— Jestem pewien, że publiczność zrozumie...

— Przedstawienie musi trwać, panie Salzella!

— Walterze, masz robić, co ci każe!

Ktoś inny podniósł rękę.

— Ale on ma rację...

Salzella westchnął ciężko.

— Po prostu złapcie Upiora. Jeśli uda się tego dokonać bez krzyku, tym lepiej. Oczywiście, że nie chcę przerywać opery.

Zauważył, że się uspokoili.

Głęboki dźwięk przetoczył się po scenie.

— Co to było, u licha?

Salzella przeszedł za kulisy, gdzie zobaczył wyraźnie zdenerwowanego André.

— Co się dzieje?

— Naprawiliśmy je, panie Salzella! Tylko że... no, on nie chce oddać stołka...

Bibliotekarz skinął głową dyrektorowi muzycznemu. Salzella znał orangutana, a wśród faktów, które go dotyczyły, był i ten, że jeśli bibliotekarz chciał gdzieś usiąść, to tam właśnie siedział. Trzeba jednak przyznać, że był organistą wysokiej klasy. Jego popołudniowe recitale w Wielkim Holu Niewidocznego Uniwersytetu zyskały wielką popularność. Przede wszystkim dlatego, że organy uniwersyteckie dysponowały każdym dźwiękiem, jaki potrafił wymyślić przewrotny geniusz Bezdennie Głupiego Johnsona. Nikt by nie uwierzył — dopóki para małpich rąk nie zajęła się tym projektem — że romantyczne „Preludium w G” Doinova można zaaranżować na Piszczącej Poduszkę i Ścisłane Króliki.

— Do zagrania jest uwertura — tłumaczył André. — I scena balu...

— Przynajmniej zawiąż mu muszkę — polecił Salzella.

— Nikt go nie zobaczy, panie Salzella, a on nie ma zbyt dużo szyi...

— Obowiązują tu pewne standardy, André! — przypomniał surowo dyrektor muzyczny.

— Tak jest, panie Salzella.

— Ponieważ, jak się zdaje, na dzisiejszy wieczór zostałeś pozbawiony zatrudnienia, pomożesz nam w chwytaniu Upiora.

— Oczywiście, proszę pana.

— Przynies dla niego muszkę, a potem chodź ze mną.

Trochę później bibliotekarz, pozostawiony sam sobie, otworzył swój egzemplarz nut i starannie ułożył go na stojaku.

Sięgnął pod siedzenie i wydobyl dużą, brązową papierową torbę fistaszków. Nie całkiem rozumiał, dlaczego André — skoro sam go namówił, żeby dziś wieczorem zagrał na organach — tłumaczył potem temu drugiemu, że to on, bibliotekarz, nie chce ustąpić. A przecież miał na dziś w planie trochę ciekawego katalogowania i, szczerze mó-

więc, już się na nie szykował. A zamiast tego utknął tu do późnej nocy. Chociaż funt fi-
staszków w łupinach to przyzwoita zapłata nawet dla wymagającej małpy.

Umysł ludzki jest głęboką i odwieczną tajemnicą. Cieszył się, że już takiego nie ma.

Obejrzał muszkę. Tak jak przewidywał André, sprawiała poważne kłopoty komuś,
kto stał za drzwiami, kiedy rozdawano szyje.

Babcia Weatherwax stanęła przed lożą ósmą i rozejrzała się. Nie zauważyła pani Plin-
ge. Otworzyła więc drzwi czymś, co było chyba najdroższym kluczem na świecie.

— Tylko się zachowuj — ostrzegła.

— Ta-ak, bab-ciu — miauknął Greebo.

— Żadnego chodzenia do wygodki po kątach.

— Nie-e, bab-ciu.

Babcia spojrzała podejrzliwie na swego towarzysza. Nawet w muszce, nawet z wywo-
skowanymi wąsami wciąż był kotem. A kotom nie można ufać w niczym, poza tym, że
zjawią się na posiłek.

Wewnątrz loża była obita cennym czerwonym aksamitem ze złotymi ozdobami.
Przypominała cichy prywatny pokój.

Po obu stronach miała grube filary podtrzymujące część ciężaru balkonu. Babcia
wyrzała i oceniła sporą odległość do parteru. Oczywiście, ktoś mógłby przejść tu z są-
siednich łóż, ale widziałyby go wtedy cała publiczność i taki wyczyn z pewnością wy-
wołałby komentarze. Zajrzała pod fotele. Stanęła na siedzeniu i obmacała sufit w złote
gwiazdki. Dokładnie zbadała dywan.

Uśmiechnęła się do tego, co zobaczyła. Była skłonna się założyć, że wie, jak Upiór się
tu dostaje. Teraz zyskała pewność.

Greebo splunął na dłoń i bezskutecznie usiłował przygłodzić włosy.

— Siedź spokojnie i jedz te swoje rybie jajeczka.

— Ta-ak, bab-ciu.

— I oglądaj operę, wyjdzie ci to na dobre.

— Ta-ak, bab-ciu.

— Dobry wieczór, pani Plinge! — zawołała wesoło niania. — Czy to nie ekscytu-
jące? Gwar widowni, atmosfera wyczekiwania, chłopcy z orkiestry próbujący pocho-
wać gdzieś butelki i przypomnieć sobie, jak się gra... Całe napięcie i dramat operowego
świata czeka, by się rozwinąć...

— Witam panią, pani Ogg — odpowiedziała pani Plinge. Polerowała kieliszki
w swym małym barku.

— Trzeba przyznać, że tłoczno dzisiaj — stwierdziła niania. Zerknęła z ukosa na starą kobietę*. — Sprzedali wszystkie miejsca, jak słyszałam.

Nie uzyskała oczekiwanej reakcji. Mówiła więc dalej.

— Pomóc pani w sprzątaniu ósmej łóż?

— Och, wyczyściłam ją w zeszłym tygodniu — zapewniła pani Plinge. Podniosła kieliszek do światła.

— Tak, ale słyszałam, że ta dama jest bardzo wymagająca. Wybredna, ot co.

— Jaka dama?

— Pan Kubeł sprzedał ósmą łóż, wie pani...

Usłyszała delikatny brzęk szkła. Aha!

Pani Plinge stanęła w drzwiach swojej komórki.

— Przecież nie wolno tego robić!

— To jego Opera — odparła niania, pilnie obserwując panią Plinge. — Pewnie uważa, że jemu wolno.

— To łoża Upiora!

Widzowie zaczęli pojawiać się w korytarzu.

— Nie sądzę, żeby mu to przeszkadzało. W końcu to tylko jeden wieczór. Przedstawienie musi trwać, prawda? Dobrze się pani czuje, pani Plinge?

— Chyba lepiej pójdę i... — zaczęła kobieta.

— Nie, lepiej niech pani usiądzie i odpocznie. — Niania pchnęła ją łagodnie, lecz z nieodpartą siłą.

— Muszę iść i...

— I co, pani Plinge?

Kobieta zbladła. Babcia Weatherwax bywała surowa, ale surowość zawsze leżała u niej jak na wystawie; człowiek liczył się z tym, że może na nią trafić w menu. Surowość niani Ogg przypominała jednak ugryzienie przez dużego, przyjaznego psa. Była tym gorsza, że nieoczekiwana.

— Mam wrażenie, że chce pani iść i z kimś porozmawiać. Zgadłam, pani Plinge? — mówiła niania. — Może z kimś, kto byłby nieco zaszokowany, gdyby nagle odkrył, że łoża jest zajęta? Myślę, że potrafiłabym nadać temu komuś imię, pani Plinge. Zatem...

Ręka starszej kobiety uniosła się nagle, ściskając butelkę szampana; potem opadła, próbując posłać S/S „Gytha Ogg” na morza nieświadomości. Butelka odbiła się...

Pani Plinge przeskoczyła obok i odbiegła; jej wypolerowane buciki stuknęły rytmicznie.

* Centralną zasadą niani Ogg był fakt, że nigdy siebie samej nie uważała za starą. Oczywiście skwapliwie wykorzystywała wszelkie przywileje, które gwarantowało postrzeganie jej w ten sposób przez innych.

Niania Ogg chwyciła futrynę i zachwiała się lekko; za jej oczami wybuchły białe i fioletowe fajerwerki. Ale wśród przodków miała krasnoluda, a to oznaczało czaszkę, której można używać do prac górniczych.

Przez mgłę odczytała etykietę na butelce.

— Rok Urażonego Kozła — wymamrotała. — Dobry rocznik.

Potem jednak zwyciężyła świadomość.

Niania ruszyła galopem za biegnącą kobietą. Na miejscu pani Plinge zrobiłaby dokładnie to samo, tylko o wiele mocniej.

Agnes czekała z innymi na podniesienie kurtyny. Stała w tłumie mniej więcej pięćdziesięciu mieszczan, którzy mieli słuchać pieśni Enrica Basiliki o jego sukcesach jako mistrza przebrań. Jednym z kluczowych założeń fabuły było, by chór, wysłuchawszy streszczenia akcji, nawet śpiewając wraz z tenorem, doznał potem natychmiastowej utraty pamięci. Dzięki temu po zdjęciu masek przeżyje zaskoczenie.

Z jakiejś przyczyny, choć nie powiedziano ani słowa na ten temat, bardzo wiele osób miało na głowach kapelusze z niezwykle szerokimi rondami. Ci, którzy nie mieli, przy każdej okazji zerkali w górę.

Za kurtyną pan Trubelmacher rozpoczął uverturę.

Enrico, który przeżuwał udko kurczęcia, starannie odłożył kość na talerz i skinął głową. Trzymający tacę maszynista odbiegł pospiesznie.

Opera się rozpoczęła.

Pani Plinge dotarła do stóp szerokich schodów i zdyszana oparła się o balustradę.

Przedstawienie się rozpoczęło. Wokół nie było nikogo. Nie słyszała odgłosów pogoni.

Wyprostowała się i spróbowała uspokoić oddech.

— Hej, hej, pani Plinge!

Niania Ogg, wymachując butelką szampana jak maczugą, sunęła już z dużą prędkością, gdy weszła w pierwszy łuk balustrady. Pochyliła się jednak niczym profesjonalistka, utrzymała równowagę, wjeżdżając na prostą, wychyliła się przed kolejnym skrętem...

...który pozostawił przed nią już tylko złoconą statuetkę na samym dole. Taki jest los wszystkich poręczy wartych zjeżdżania, że zawsze na końcu czeka coś paskudnego. Jednak niania Ogg zareagowała perfekcyjnie: pędząc w dół, przerzuciła nogę i odepchnęła się. Podkute buty pozostawiły rysy w marmurze, kiedy z niepełnym piruetem wyhamowała przed uciekinierką.

Pani Plinge została porwana w powietrze i przeniesiona do cienia za posągiem.

— Nie chce pani nawet próbować ucieczki przede mną — szepnęła niania, dłonią mocno zatykając pani Plinge usta. — Woli pani raczej zaczekać tutaj... cichutko. I niech pani nie myśli, że jestem miła. Jestem, ale tylko w porównaniu z Esme, a to obejmuje praktycznie wszystkich...

— Mmf!

Jedną ręką mocno trzymając panią Plinge za ramię, a drugą zasłaniając jej usta, niania wyjrzała zza posągu. W oddali słyszała śpiew.

Nic więcej się nie działo. Po chwili niania zaczęła się niepokoić. Może się przestraszył? Może pani Plinge przekazała mu jakiś sygnał? Może uznał, że świat jest obecnie zbyt niebezpieczny dla Upiorów, choć niania wątpiła, by coś takiego przyszło mu do głowy...

W tym tempie pierwszy akt się skończy, zanim...

Gdzieś otworzyły się drzwi. Chuda postać w wieczorowym stroju i śmiesznym berecie minęła foyer i weszła na schody. Na szczycie skręciła w stronę łóż i zniknęła.

— Widzi pani... — Niania starała się jakoś opanować sztywność rąk. — Chodzi przede wszystkim o to, że Esme jest dość głupia...

— Mmf?

— ...więc uważa, że najbardziej oczywistą drogą wchodzenia i wychodzenia z łoży są dla Upiora drzwi. Uważa, że jeśli nie można znaleźć ukrytego przejścia, to pewnie go nie ma. Tajne przejście, którego nie ma, jest najlepsze z możliwych, bo żaden pętałak go nie odkryje. Wy tutaj wszyscy kombinujecie za bardzo operowo. Tkwicie w tym gmaczu, słuchacie głupich historii, co nie mają żadnego sensu, i to pewnie działa wam jakoś na głowy. Ludzie nie mogą znaleźć kłapy, więc mówią: „Coś takiego, jaka to musi być sprytnie ukryta kłapa”. Za to normalny człowiek, na przykład Esme albo ja, mówi: „Może w takim razie jej tam nie ma”. A najlepszy sposób, żeby Upiór mógł wszędzie chodzić, nie będąc widziany, to taki, żeby wszyscy go widzieli, ale nikt nie zauważał. Ludzie nie zauważają Waltera. Starają się patrzeć w inną stronę.

Ostrożnie rozluźniła uścisk.

— Nie winie pani, pani Plinge, bo dla któregoś ze swoich zrobiłabym to samo. Ale lepiej by było, gdyby pani od początku zaufała Esme. Pomoże pani, jeśli zdoła.

Puściła panią Plinge, lecz na wszelki wypadek wciąż ścisnęła butelkę szampana.

— A jeśli nie zdoła? — szepnęła pani Plinge.

— Myśli pani, że to Walter ich wszystkich mordował?

— To dobry chłopak!

— Jestem pewna, że to znaczy „nie”, prawda?

— Wsadzą go do więzienia!

— Jeśli to on mordował, Esme do tego nie dopuści — zapewniła ją niania.

Coś przejaśniło się w niezbyt bystrym umyśle pani Plinge.

— Co to znaczy, że do tego nie dopuści? — spytała.

— To znaczy — odparła niania — że jeśli ktoś zdaje się na łaskę Esme, lepiej, żeby prawdę na nią zasługiwał.

— Och, pani Ogg!

— A teraz proszę się już o nic nie martwić — pocieszyła ją niania, odrobinę za późno, biorąc pod uwagę okoliczności.

Przyszło jej do głowy, że najbliższa przyszłość może się okazać łatwiejsza dla wszystkich, jeśli pani Plinge zyska nieco zasłużonego odpoczynku. Sięgnęła pod suknię i wyjęła butelkę z mętną pomarańczową cieczą.

— Dam pani łyżeczek czegoś specjalnego na uspokojenie nerwów...

— Co to jest?

— Coś w rodzaju toniku. — Niania odkorkowała kciukiem; w górze na suficie zaczęła się marszczyć farba. — Robi się to z jabłek. No... głównie z jabłek.

Walter Plinge stanął przed drzwiami ósmej łoży i rozejrzał się czujnie. Potem zdjął beret i wyjął z niego maskę. Beret schował do kieszeni.

Wyprostował się. Wyglądało to tak, jakby Walter Plinge w masce był o kilka cali wyższy.

Sięgnął do kieszeni po klucz i otworzył drzwi. Postać, która weszła do łoży, nie poruszała się jak Walter Plinge. Poruszała się tak, jakby w pełni panowała nad każdym nerwem i każdym atletycznym mięśniem.

W łoży rozbrzmiewała muzyka i głosy operowe. Ściany wybito aksamitem, z przodu wisały kotary. Fotele były wysokie i miękkie.

Upiór wybrał jeden z nich i usiadł.

Ktoś pochylił się do niego z sąsiedniego fotela.

— Nie mmmrozesz jeśść mrrroich rrrylich jajeczek! — powiedział.

Upiór poderwał się z miejsca. Szczęknął zamek w drzwiach.

Babcia wyszła zza kotary.

— No, no. Znowu się spotykamy.

Cofnął się do samej balustrady.

— Chyba nie powinieneś skakać — zauważyła babcia. — Na dół jest kawał drogi.

— Skoncentrowała na masce swoje najlepsze spojrzenie. — A teraz, panie Upiorze...

Stanął na balustradzie, zasalutował ekstrawagancko i skoczył.

Babcia zamrugała zdziwiona. Do tej pory Spojrzenie zawsze działało.

— Za ciemno — mruknęła. — Greebo!

Miska kawioru wypadła z niewprawnych palców, co sprawiło, że niektórzy widzowie na parterze doświadczyli nadprzyrodzonego zjawiska.

— Ta-ak, bab-ciu.

— Łap go! Nie pożałuję ci śledzia!

Greebo prychnął z zadowoleniem. To już lepiej. Opera zaczęła tracić dla niego urok, kiedy zrozumiał, że nikt nie obleje śpiewających wiadrzem zimnej wody.

Za to na pościgach znał się dobrze. I lubił się bawić z przyjaciółmi.

Agnes kątem oka dostrzegła poruszenie. Ktoś wyskoczył z łoży i wspinał się na balkon. Potem ruszył za nim ktoś inny, chwytając się poślaczanych cherubinów.

Śpiewacy urwali w pół taktu. Nie sposób było nie rozpoznać prowadzącej postaci — to był Upiór.

Bibliotekarz zauważył, że orkiestra przestała grać. Po drugiej stronie płachty dekoracji uchli także śpiewacy. Słyszał gwar nerwowych rozmów, jeden czy drugi krzyk...

Zjeżyły mu się włosy na całym ciele. Zmysły, przeznaczone do ochrony jego gatunku w głębi dżungli, szybko dostosowały się do warunków miejskich. Miasto było po prostu bardziej suche i żyło tu więcej drapieżników.

Sięgnął po odrzuconą muszkę i bardzo starannie zawiązał ją sobie na czole, przez co wyglądał jak bardzo wytworny wojownik kamikaze. Odsunął nuty i przez chwilę wpatrywał się w pustkę. Instynktownie pojmował, że pewne sytuacje wymagają akompaniamentu.

Organom brakowało niektórych całkiem podstawowych — jego zdaniem — możliwości, takich jak pedał gromu, stodwudziestoośmiostopowa piszczałka trzęsienia ziemi, oraz pełnego manualu odgłosów zwierzęcych. Był jednak przekonany, że coś interesującego da się uzyskać z rejestrów basowych.

Wyciągnął ręce i rozprostował palce. Trwało to dłuższą chwilę.

Potem zaczął grać.

Upiór tańczył na krawędzi balkonu, rozrzucając kapelusze i teatralne lornetki. Publiczność obserwowała to w zdumieniu; po chwili rozległy się oklaski. Nie całkiem rozumie, jak to wszystko pasuje do akcji przedstawienia... ale w końcu to przecież opera.

Dotarł do środkowego przejścia, podbiegł kawałek w górę, zawrócił i pędem ruszył w dół. Dobiegł do końca, skoczył, skoczył jeszcze raz, wleciał nad parterem...

...i wylądował na żyrandolu, który zadzwęczał i zakołysał się lekko.

Widzowie wstali, bijąc brawo. Upiór wspinał się między brzęczącymi rzędami kryształów ku głównej linii nośnej.

Kolejna postać wspięła się na balkon i rzuciła w pogoń. Ten człowiek był mocniej zbudowany, jednooki, szeroki w barach i wąski w pasie. Wyglądał groźnie w sposób bardzo interesujący — niczym pirat, który w pełni zrozumiał słowa „Wesoły Roger”. Nie rozpędzał się nawet, ale kiedy dotarł do punktu najbliższego żyrandola, po prostu skoczył w pustkę.

Było jasne, że nie dosięgnie...

A potem nie było jasne, jak tego dokonał.

Obserwujący go przez teatralne lornetki przysięgali później, że wyciągnął rękę, która zdawała się ledwie musnąć żyrandol, a jednak potrafił jakoś obrócić w powietrzu całe ciało. Kilka osób przysięgało nawet, że kiedy wyciągnął rękę, jego paznokcie urosły nagle o kilka cali.

Potężna góra szkła zakołysała się majestatycznie na linie. Kiedy wychyliła się do końca, rozhuśtała ją bardziej, niczym cyrkowiec na trapezie. Zachwycona publiczność wydała z siebie „Ooo!”.

Obrócił się w zwisie. Żyrandol znieruchomiał na moment na samym krańcu łuku, by zaraz popłynąć z powrotem.

Kiedy dzwonił i trzeszczał nad parterem, wiszący pod nim człowiek machnął całym ciałem, wykonał salto w tył i wylądował wśród kryształów. Świece i odłamki posypały się między publiczność.

Potem, wśród braw i krzyków, wspiął się po linie za uciekającym Upiorem.

Henry Lawsy spróbował poruszyć ręką, ale spadający kryształ przybił mu rękaw do poręczy fotela.

Był w rozterce. Zdawało mu się, że coś takiego nie powinno się zdarzyć. Ale pewności nie miał.

Wokół ludzie zaczęli szeptać nerwowo.

— To część libretta?

— Na pewno.

— O tak. Tak. Bez wątplenia — oświadczył autorytatywnie ktoś w tym samym rzędzie. — Tak jest. Słynna scena pościgu. Naturalnie. Tak, w Quirmie też ją wystawili.

— No tak. Rzeczywiście. Słyszałem o tym.

— Uważam, że było świetnie — oceniła pani Lawsy.

— Mamo!

— Najwyższy czas, żeby wydarzyło się coś ciekawego. Powinieneś mnie uprzedzić, włożyłabym okulary.

Niania Ogg biegła po schodach na poddasze.

— Coś się nie udało! — burczała gniewnie, przeskakując po dwa stopnie. — Uważa, że wystarczy jej tylko spojrzeć, a są jak toffi w jej rękach. I kto musi potem robić porządek? No, można zgadywać...

Stare drewniane drzwi u szczytu schodów ustąpiły przed butem niani, wspartym rozpędem niani. Odskoczyły z trzaskiem, odsłaniając rozległe, ciemne pomieszczenie. Pełno w nim było biegających ludzi — nogi migotały w blasku latarni. Wszyscy krzyczeli.

Ktoś rzucił się w jej stronę.

Niania przykucnęła. Obama kciukami przyciskała korek mocno wstrząśniętej butelki szampana, którą trzymała pod pachą.

— To magnum — ostrzegła. — I nie zawaham się go wypić.

Człowiek zatrzymał się.

— Och, pani Ogg...

Niezawodna pamięć szczegółów osobistych podsunęła niani konieczne dane.

— Peter, tak? — upewniła się. — Ten z chorymi stopami?

— Zgadza się, pani Ogg.

— Ten puder, co ci dałam, pomaga?

— Jest o wiele lepiej, pani Ogg.

— A co się tutaj dzieje?

— Pan Salzella złapał Upiora!

— Naprawdę?

Dopiero teraz wzrok niani zdołał dostrzec jakiś porządek w ogólnym chaosie. Zauważyła grupkę ludzi pośrodku pomieszczenia, wokół mocowania żyrandola.

Salzella siedział na deskach. Kołnierzyk miał przekrzywiony, a rękaw oderwany od fraka, ale oczy błyszczały mu tryumfalnie.

Machał czymś. Było białe. Przypominało kawałek czaszki.

— To Plinge! — oznajmił. — Mówię wam, to był Walter Plinge! Czemu tak stoicie? Łapcie go!

— Walter? — powtórzył ktoś z niedowierzaniem.

— Tak! Walter!

Ktoś inny podbiegł, wymachując latarnią.

— Widziałem, jak Upiór ucieka na dach! — zawołał. — I wielki jednooki opryszek pędził za nim jak kocur obłany wrzątkiem!

Coś nie pasuje, pomyślała niania. Coś się tu nie zgadza.

— Na dach! — rozkazał Salzella.

— Czy nie powinniśmy najpierw zdobyć płonących pochodni?

— Płonące pochodnie nie są obowiązkowe!

— Widły i kosy?

— Tylko na wampiry!

— Może chociaż jedną pochodnię?

— Na dach! Ale już!

Kurtyna opadła. Zabrzmiały rzadkie oklaski, ledwie słyszalne wśród rozmów na widowni.

Chórzyści patrzeli na siebie w zdumieniu.

— Co to niby miało znaczyć?

Z góry opadał kurz. Maszyniści biegali po pomostach w kominie. Wśród lin i worków z piaskiem rozbrzmiewały krzyki. Ktoś przebiegł przez scenę, niosąc płonąca pochodnię.

— Hej, co się tam dzieje? — zapytał tenor.

— Mają Upiora! Ucieka na dach! To Walter Plinge!

— Jak to? Walter?

— Nasz Walter Plinge?

— Tak!

Maszynista odbiegł wśród smugi iskier. Pozostawił drożdże niepokoju, by fermentowały w cieście chóru.

— Walter? Niemożliwe.

— No... zawsze był trochę dziwny, prawda?

— Ale ledwie dziś rano powiedział do mnie: „Piękny mamy ranek, panie Sidney”. Ot tak. Zupełnie normalnie. No... jak na Waltera normalnie.

— Prawdę mówiąc, zawsze mnie trochę niepokoiło, jak on rusza oczami. Całkiem jakby się ze sobą nie porozumiewały.

— I zawsze się kręci po budynku.

— Tak, ale przecież jest człowiekiem do wszystkiego...

— Trudno zaprzeczyć!

— To nie Walter — oświadczyła Agnes.

Popatrzyli na nią.

— Powiedział, że jego właśnie ścigają, moja droga.

— Nie wiem, kogo ścigają, ale Walter nie jest Upiorem. To śmieszne, że ktoś mógłby go wziąć za Upiora! — tłumaczyła z zapalem Agnes. — Przecież on by nawet muchy nie skrzywdził! Zresztą widziałam...

— Ale zawsze wydawał mi się trochę... oślizły.

— I podobno często schodzi do piwnic. Po co, pytam? Trzeba otwarcie przyznać: jest szaleńcem.

— Przecież nie zachowuje się jak szaleniec!

— No ale zawsze wygląda, jakby właśnie miał zamiar, musisz przyznać. Pójdę zobaczyć, co się dzieje. Kto idzie ze mną?

Agnes zrezygnowała. To straszne, co właśnie odkryła: są takie chwile, kiedy dowody zostają zdeptane i polowanie trwa.

Kłapa odskoczyła. Upiór wyszedł na dach, spojrzął za siebie i zatrzasnął ją z rozmachem. Z dołu dobiegł krótki skowyt.

Potem Upiór przebiegł wzdłuż rynien do parapetu obsadzonego gargulcami, czarno-srebrnymi w blasku księżycy. Wiatr rozwiewał mu pelerynę, gdy sunął po samej krawędzi dachu, aż zeskoczył w pobliżu następnego wyjścia.

Wtedy nagle gargulec przestał być gargulcem, zmieniając się w ludzką postać, która wyciągnęła rękę i zerwała maskę.

Całkiem jakby ktoś odciął nitki...

— Dobry wieczór, pani Weatherwax — powiedział Walter, opadając na kolana.

— Dobry wieczór — odpowiedziała. — Wstań.

Kawałek dalej ktoś zawarczał, a potem w górę wyleciały odłamki kłapy.

— Miło tutaj, prawda? — mówiła babcia. — Świeże powietrze i gwiazdy. Zastanawiałam się: w górę czy w dół? Ale na dole są tylko szczury.

Szybkim ruchem chwyciła Waltera pod brodę i uniosła mu głowę. Greebo podciągnął się na dach, z mordem w sercu.

— Jak działa twój umysł, Walterze Plinge? Gdyby twój dom stanął w ogniu, co przede wszystkim próbowałbyś zabrać z pożaru?

Greebo zbliżał się, powarkując. Ogólnie rzecz biorąc, lubił dachy; z nimi łączyło się kilka jego najpiękniejszych wspomnień. Przed chwilą jednak oberwał klapą po głowie i teraz szukał czegokolwiek, czemu mógłby wypruć flaki.

Rozpoznał sylwetkę Waltera Plinge jako człowieka, który dawał mu jedzenie. A obok niego o wiele bardziej niepożądany kształt babci Weatherwax, która kiedyś przyłapała go, jak grzebał w jej ogródku, i kopnęła w czułe miejsce.

Walter powiedział coś. Greebo nie zwrócił na to uwagi.

— Dobrze — pochwaliła babcia Weatherwax. — Dobra odpowiedź. Greebo!

Greebo szturchnął Waltera w plecy.

— Chcę mlrrraueeka terrraz. Mrr, mrrr...

Babcia wręczyła kotu maskę. W oddali ludzie tupali po schodach i krzyczeli.

— Włóż to. A ty siedź tu cicho, Walterze. Trudno odróżnić jednego człowieka w masce od drugiego. A kiedy zaczną cię gonić, Greebo... niech wiedzą, że nie jest łatwo. Załatw to należycie, a masz u mnie...

— Taauuk, wiaum — odparł niechętnie Greebo, biorąc maskę.

Jak na jednego śledzia, wieczór zapowiadał się długi i męczący.

Ktoś wysunął głowę przez wyłamaną klapę. Światło błysnęło na masce Greeba... i nawet babcia musiała przyznać, że był z niego świetny Upiór. Przede wszystkim jego pole morfogenetyczne próbowało wrócić do stanu równowagi. Pazury w niczym już nie przypominały paznokci.

Prychnął w stronę ludzi wybiegających właśnie z dołu. Stanął na krawędzi dachu, wygiął dramatycznie grzbiet i zeskoczył.

Jedno piętro niżej wyciągnął rękę, chwycił parapet okna i wylądował na głowie gargulca, który powiedział z wyrzutem:

— O, dzefuje, fazo dzefuje.

Ścigający spoglądali za nim z góry. Któryś zdobył jednak płonące pochodnie, ponieważ konwencja jest czasem zbyt silna, by dała się łatwo odrzucić.

Greebo warknął wyzywająco i znowu zeskokczył, przelatując z parapetu poprzez rynnę na balkon. Co chwilę przystawał w dramatycznej pozie, by jeszcze raz warknąć na ścigających.

— Lepiej go gońmy, kapralu de Nobbs — odezwał się jeden z nich, podążający chwiejnie z tyłu.

— Ale lepiej gońmy go, chciałeś powiedzieć, bardzo ostrożnie idąc po schodach na dół. To coś, co wypilem, nie chce pozostać wypite. Jeszcze trochę biegania, a zrobi się ze mnie budyń.

Inni członkowie grupy pościgowej dochodzili do wniosku, że pogoń po pionowej ścianie budynku nie ma długiej przyszłości. Zawrócili jak jeden tłum; krzycząc i wymachując pochodniami, ruszyli na schody.

Rozstępując się, odsłonił nianię Ogg, z pochodnią w jednej ręce i widłami w drugiej.

— Rabarbar, rabarbar — pomrukiwała, dżgając nimi powietrze.

Babcia podeszła i klepnęła ją w ramię.

— Rabar... A, to ty, Esme. — Niania opuściła narzędzia sprawiedliwej zemsty. — Pilnowałam, żeby wszystko nie wymknęło się spod kontroli. Czy to Greeba przed chwilą widziałam?

— Tak.

— Ajaj, niezłe mu szło. Ale wydawał się trochę zirytowany. Mam nadzieję, że nikomu nic złego się nie przytrafi.

— Gdzie twoja miotła? — spytała babcia.

— W komórce sprzątaczek, za sceną.

— Pożyczę ją, żeby mieć oko na wszystko.

— Zaraz... to przecież mój kot i ja powinnam go pilnować... — zaczęła niania.

Babcia odstała na bok, odsłaniając skulony kształt. Walter siedział, obejmując rękami kolana.

— Ty się zajmiesz Walterem Plinge — powiedziała. — To coś, co wychodzi ci lepiej ode mnie.

— Dobry wieczór, pani Ogg — odezwał się załóżnie Walter.

Niania przyglądała mu się przez chwilę.

— Więc to on jest... To znaczy, że rzeczywiście jest mor...

— A jak myślisz? — przerwała jej babcia.

— Wiesz, kiedy się dobrze zastanowić, to chyba nie jest — uznała niania. — Mogę ci coś powiedzieć na ucho, Esme? Nie powinnam tego mówić przy młodym Walterze.

Czarownice pochylały głowy. Nastąpiła krótka, szeptana konwersacja.

— Wszystko jest proste, kiedy zna się odpowiedź — stwierdziła babcia. — Niedługo wracam.

Odbiegła. Niania słyszała jeszcze jej kroki na schodach.

Wyciągnęła rękę do Waltera.

— Wstawaj, chłopcze. Najlepiej byłoby teraz znaleźć ci jakieś miejsce, gdzie cię nie znajdą, co?

— Znam ukryte miejsce.

— Znasz?

Walter chwiejnym krokiem przeszedł po dachu do jeszcze jednej kłapy. Wskazał ją z dumą.

— To? — zdziwiła się niania. — Na moje oko nie wygląda na bardzo ukrytą.

Walter przyjrzał się zaskoczony. Po chwili jednak uśmiechnął się jak uczonec po rozwiązaniu wyjątkowo trudnego równania.

— Jest ukryte tam, gdzie wszyscy widzą, pani Ogg.

Niania przyjrzała mu się czujnie, ale w oczach Waltera dostrzegła tylko nieco szklistą niewinność.

Podniósł klapę i grzecznie wskazał otwór.

— Niech pani zejdzie drabiną pierwsza, żebyśmy nie widział pani reform!

— Bardzo... jesteś uprzejmy.

Po raz pierwszy ktoś powiedział do niej coś takiego.

Młody człowiek czekał cierpliwie, aż stanie na dole drabiny, po czym z wysiłkiem ruszył za nią.

— To stare schody, prawda? — Niania dźgnęła ciemność pochodnią.

— Tak! Biegną cały czas w dół! Oprócz samego dołu, bo tam biegną w górę.

— Ktoś jeszcze o nich wie?

— Upiór, pani Ogg! — odparł Walter, schodząc coraz niżej.

— No tak... — przyznała wolno niania. — A gdzie teraz jest Upiór, Walterze?

— Uciekł!

Podniosła wyżej pochodnię. Z twarzy Waltera nadal nic nie dało się wyczytać.

— A co Upiór tu robi, Walterze?

— Dogląda Opery!

— To bardzo ładnie z jego strony.

Niania zaczęła schodzić; cienie zatańczyły wokół niej. Usłyszała głos Waltera.

— Wie pani, ona zadała mi niemądre pytanie. Bardzo niemądre, każdy głupi by odpowiedział.

— Tak — odpowiedziała, przyglądając się ścianom. — Pewnie o domy w ogniu.

— Tak. Co bym zabrał, gdyby wybuchł pożar.

— Pewnie okazałeś się grzecznym chłopcem i powiedziałeś, że zabrałbyś mamę — domyśliła się niania.

— Nie! Mama sama by się zabrała!

Niania przesunęła dłonią po murze. Kiedy odcinano te schody, prowadzące tu drzwi zostały zabite gwoździami na głucho. Ktoś bywający tutaj, a mający dobre uszy, mógłby wiele usłyszeć...

— No to co byś zabrał, Walterze? — spytała.

— Ogień!

Niania niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w ścianę. Po chwili jej usta rozciągnęły się w uśmiechu.

— Głupi jesteś, Walterze.

— Głupi jak miotła, pani Ogg! — przyznał radośnie Walter.

Ale nie jesteś szaleńcem, myślała niania. Głupi, ale nie szalony. Tak by powiedziała Esme. A bywają gorsze rzeczy.

Greebo pędził Broad Wayem. Nie czuł się już dobrze. Mięśnie drgały dziwnie, a mrowienie u nasady pleców sugerowało, że ogon chciałby odrosnąć. Uszy natomiast zdradzały wyraźną ochotę, by przemieścić się w górę głowy, co zawsze jest krępujące, kiedy zdarza się w towarzystwie.

W jego przypadku towarzystwo znajdowało się jakieś pięćdziesiąt sążni za nim i najwyraźniej zamierzało przemieścić jego uszy na sporą odległość od ich obecnej pozycji. Nie przejmując się skrępowaniem.

W dodatku odległość malała. Greebo był znany z szybkiego biegu, jednak nie wtedy, kiedy co kilka sekund kolana usiłują odwrócić kierunek zginania.

Zwykle gdy był ścigany, wskakiwał na beczkę deszczówki za chatką niani Ogg i przejeżdżał ścigającemu pazurami po nosie, gdy tylko tamten wynurzył się zza węgła. Ponieważ obecnie wymagałoby to pięćsetmilowego skoku, należało szukać innych możliwości.

Przed jednym z domów czekał powóz. Greebo podbiegł, wskoczył na kozioł, chwycił lejce i rzucił okiem na woźnicę.

— Spadauuuj!

Zęby Greeba błysnęły w blasku księżyca. Woźnica wykazał się zdrowym rozsądkiem i chęcią zachowania także zdrowego ciała. Odskoczył do tyłu i zniknął w ciemności.

Konie stanęły dęba i spróbowały z miejsca przejść do galopu. Zwierzęta trudniej oszukać niż ludzi — wiedziały, że to, co siedzi z tyłu, to po prostu bardzo duży kot. Fakt, że miał ludzkie kształty, wcale ich nie uspokajał.

Powóz potoczył się naprzód. Greebo obejrzał się nad drgającym nerwowo ramieniem i drwiąco pomachał łapą tłumowi ludzi z pochodniami. Efekt tak go zachwyił, że wspiał się na rozkołysany dach i dalej szydził z pogoni.

Wszystkie koty mają skłonność, by z bezpiecznego miejsca prychać wyzywająco na przeciwnika. W tych okolicznościach jednak byłoby lepiej, gdyby kocie skłonności obejmowały też umiejętność kierowania.

Koło uderzyło o krawężnik na Mosiężnym Moście; sunęło dalej ze zgrzytem, krzesząc iskry żelazną obręczą. Wstrząsy strąciły Greeba z dachu w połowie gestu. Wylądował na nogach pośrodku ulicy, a przerażone konie pędziły dalej, ciągnąc huśtający się na boki powóz.

Ścigający zatrzymali się.

— Co on teraz robi?

— Stoi.

— Jest sam, a nas jest wielu. Łatwo go pokonamy.

— Dobry pomysł. Na trzy wszyscy się na niego rzucimy, zgoda? Raz... dwa... trzy.

— Chwila milczenia. — Nie pobiegłeś!

— Ty też nie!

— Owszem, ale ja liczyłem do trzech.

— Pamiętasz, co spotkało pana Poundera?

— Niby tak... Chociaż nigdy go właściwie nie lubiłem.

Greebo warknął. Z jego ciałem działały się dziwne, łaskoczące rzeczy. Odchylił głowę do tyłu i zaryczał.

— Słuchajcie, w najgorszym razie da radę jednemu z nas, może dwóm...

— Aha. I to ma być dobrze, tak?

— Może coś sobie zrobił, kiedy spadł z powozu...

— Brać go!

Tłum go otoczył. Greebo, walcząc z polem morfogenetycznym kołyszącym się wściekle między jednym gatunkiem a drugim, najbliższemu człowiekowi przyłożył pięścią w twarz, a następnemu rozerwał koszulę czymś, co przypominało raczej wielką łapę z pazurami.

— O szllaaauuu...

Pochwyciło go dwadzieścia rąk. I nagle, w zamieszaniu i ciemności, ręce te trzymały już tylko ubranie i pustkę. Mściwe buty trafiały w powietrze. Pałki, z rozmachem wymierzone w warczącą paszczę, świszczwały w mroku, zataczały kręgi i powracały, trafiając swych właścicieli.

— ...uuuuuu!

Niedostrzeżony w tłoku, pocisk szarej sierści z uszami płasko położonymi na głowie wystrzelił spomiędzy poplątanych nóg.

Kopanie i ciosy ustały dopiero wtedy, kiedy stało się jasne, że tłum atakuje już tylko siebie. A ponieważ iloraz inteligencji tłumu równy jest IQ najgłupszego jego przedstawiciela podzielonemu przez liczbę uczestników, nikt już nigdy nie zrozumiał, co wła-

ściwie się stało. Na pewno otoczyli Upiora i z całą pewnością nie mógł uciec. Pozostała po nim tylko maska i podarty strój wieczorowy. Zatem, rozumował tłum, musiał skończyć w rzece. I dobrze mu tak.

Zadowoleni, w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, udali się do najbliższej gospody.

Na ulicy pozostał tylko sierżant hrabia de Tritus i kapral hrabia de Nobbs, którzy dolekli się na most i obejrzelisi strzępy tkaniny.

— Komendant Vimes nie... nie... nie będzie zadowolony — zmartwił się Detrytus.
— Lubi, żeby więźniowie byli żywi.

— Racja. Ale tego i tak by przecież powiesili — zauważył Nobby, usiłując stanąć prosto. — A tutaj załatwili egzekucję... bardziej demokratycznie. Poza tym to spora oszczędność na sznurze, nie mówiąc już o zużyciu zamków i kluczy.

Detrytus poskrobał się po głowie.

— Czy nie powinno być śladów krwi?

Nobby spojrział na niego spode łba.

— Nie mógł uciec — przypomniał. — Więc nie zadawaj takich pytań.

— Tylko że jak się człowieka odpowiednio mocno walnie, to cieknie i plami wszędzie dookoła.

Nobby westchnął. Takich to ludzi przyjmują ostatnio do straży... Muszą we wszystkim szukać tajemnicy. Z dawnymi kumplami i przy dawnej nieoficjalnej polityce niezaangażowania rzuciliby ludziom szczerą „Dobra robota, chłopcy” i wcześniej skończyli pracę. Ale teraz stary Vimes awansował na komendanta i zatrudnił ludzi, którzy bez przerwy zadawali pytania. Udzieliło się to nawet Detrytusowi, który przez inne trolle uważany był za ciemnego jak martwy świetlik.

Detrytus schylił się i podniósł opaskę na oko.

— No to co myślisz? — zapytał z wyższością Nobby. — Zmienił się w nietoperza i odleciał?

— Ha! Tak nie myślę, bo to jest niepijne... niespalne... niespójne ze pół... współczesnymi metodami policyjnymi — odparł Detrytus.

— A ja myślę — rzekł Nobby — że jeśli wykluczy się to, co niemożliwe, to, co pozostanie, choćby było mało prawdopodobne, nie jest warte łożenia po ulicy w zimną noc i kombinowania, kiedy przecież można przez ten czas wlać w siebie solidnego drinka. Chodź. Chcę spróbować nogi tego słonia, co mnie ugryzł.

— To była ironia?

— To była metafora.

Detrytus, nie mogąc ułożyć tego, co technicznie należałoby nazwać myślami, trącił stopą kawałek podartego ubrania.

Coś otarło mu się o nogę. To był kot — wystrzępione uszy, jedno zdrowe oko, pyszczek jak porośnięta sierścią pięść.

— Dobry wieczór, kotku — powiedział troll.

Kot przeciągnął się i wyszczerzył zęby.

— Spadaauuj, glinoouu.

Detrytus zamrugął niepewnie. Nie istnieją trollowe koty, więc on sam nigdy nie widział kota, dopóki nie przybył do Ankh-Morpork i nie odkrył, że są bardzo trudne w jeździe. Nigdy też nie słyszał, żeby mówiły. Z drugiej strony świadom był swojej reputacji najgłupszej osoby w mieście; nie chciał wyrażać zdziwienia gadającym kotem, by się nie okazało, że koty mówią przez cały czas, o czym wiedzą wszyscy oprócz niego.

W rynsztoku, kilka stóp dalej, leżało coś białego. Podniósł to ostrożnie. Wyglądało jak maska, jaką nosił Upiór.

Był to prawdopodobnie Ślad.

— Hej, Nobby! — Detrytus zamachał tym czymś.

— Dziękuję. — Coś nadleciało nagle, wyrwało maskę z trollowej dłoni i odfrunęło w noc.

Kapral Nobbs obejrzał się.

— Tak?

— Eee... Jak duże są ptaki? Normalnie.

— U licha, nie wiem. Niektóre małe, niektóre wielkie. A bo co?

Detrytus posażał palec.

— Nic takiego — odparł. — Jest żem za mądry, żeby się dziwić całkiem normalnym rzeczom.

Coś mlasnęło pod stopą.

— Mokro tutaj, Walterze — zauważyła niania Ogg.

Powietrze było ciężkie i stęchłe. Zdawało się, że wyciska światło z pochodni. Płomień miał ciemną obwódkę.

— Już niedaleko, pani Ogg.

W ciemności zadzwoniły klucze, zgrzytnęły zawiasy.

— Znalazłem to. Tajemna grota Upiora!

— Tajemna grota, tak?

— Musi pani zamknąć oczy! Musi pani zamknąć oczy! — powtarzał z naciskiem Walter.

Niania posłuchała, ale choć trochę jej było wstyd, wciąż mocno ścisnęła pochodnię — na wszelki wypadek.

— A sam Upiór tam jest? — zapytała.

— Nie!

Zagrzechotały zapalki, zaszurały kroki, a potem...

— Może już pani otworzyć!

Niania posłuchała.

Kolory i światła rozmyły się na chwilę, potem wyostrzyły, najpierw w oczach, a po chwili również w mózgu.

— Ojej... — szepnęła. — A niech mnie...

Były tu świece — te duże i płaskie, używane do oświetlania sceny; pływały w płyt-
kich misach. Dawały łagodny blask, który falował na ścianach niczym dusza wody.

Połykiwał na dziobie wielkiego łabędzia. Lśnił w oku rozpadającego się smoka.

Niania Ogg obracała się powoli. Nie była znawczynią opery, ale czarownicy szybko przyswajają informacje... Tam leżał skrzydlaty hełm noszony przez Hildabrunę w „Pierścieniu Nibelungingungów”, tutaj słup malowany w pasy z „Cyrulika pseudopolijskiego”, tam pantomimiczny koń z zabawną klapą z „Magicznego piccolo”, tu znowu...

...tu była cała opera zwalona w stosy. Kiedy już wzrok objął wszystko, zaczynał dostrzegać łuszczącą się farbę, pokruszony gips i ogólną atmosferę powolnego pleśnienia. Zniszczone rekwizyty i wytarte kostiumy zostały tu wyrzucone, bo nikt ich nie chciał trzymać nigdzie indziej.

Ktoś jednak chciał je mieć właśnie tutaj. Kiedy wzrok zarejestrował już rozpad, zauważał niewielkie łaty niedawnych napraw, plamy świeżej farby.

Na niewielkiej powierzchni w środku, której nie zajmowały, stało coś podobnego do biurka. Po chwili niania uświadomiła sobie, że jest tam klawiatura, stołek, a na wierzchu leżą równe stosiki papieru.

Walter obserwował ją z szerokim, dumnym uśmiechem.

— To fisharmonia, prawda? — domyśliła się. — Małe organy?

Podniosła plik kartek. Poruszała wargami, odczytując staranne, ozdobne pismo.

— Opera o kotach? — zdziwiła się. — Nigdy w życiu nie słyszałam o takiej operze.

Pomyślała chwile, po czym dodała w myślach: Ale dlaczego nie? Doskonały pomysł. Żywoty kotów są jak opery, jeśli się dobrze zastanowić.

Przejrzała pozostałe pliki.

— „Burzowa piosenka”? „Oś Side Story”? „Klucznicy”? Co to za jedni? „Siedem krasnoludów dla siedmiu innych krasnoludów”? Co to jest, Walterze?

Usiadła na stołku i wcisnęła kilka spękanych poźółkłych klawiszy poruszających się z wyraźnym zgrzytem. Pod fisharmonią sterczała para dużych pedałów. Trzeba je było naciskać, co pompowało miechy, a wtedy te klawisze pozwalały wydobyć coś, co tak się miało do muzyki organowej, jak „choroba” do przekleństw.

Więc tutaj siadywał Wal... tutaj siadywał Upiór, myślała niania. Pod sceną, wśród niepotrzebnych resztek dawnych spektakli; w dole, pod wielką salą bez okien, gdzie noc po nocy odbijały się echem muzyka, pieśni i szalejące emocje; nigdy nie uciekały, nigdy nie zamierały do końca. Upiór pracował tutaj z umysłem otwartym jak studnia, która wypełnia się operami. Opery wpadają przez uszy, a potem coś innego wydobywa się z umysłu.

Niania kilka razy przycisnęła pedały. Powietrze zasyczało, uchodząc z nieszczęlnych szwów. Zagrała na próbę kilka nut — tony były piskliwe. Jednakże, myślała, czasami to stare kłamstwo jest prawdą i rozmiar naprawdę się nie liczy. Liczy się to, czego człowiek nim dokonuje.

Walter patrzył na nią wyczekująco.

Sięgnęła po następny plik kartek i spojrzała na pierwszą stronę. Ale Walter pochylił się i wyrwał jej rękopis.

— Ten nie jest skończony, pani Ogg.

W Operze wciąż panowało wzburzenie. Połowa widzów wyszła na zewnątrz, druga połowa czekała w środku, na wypadek gdyby miało jeszcze się zdarzyć coś interesującego. Orkiestra zbiła się w ciasną grupę w kanale i planowała żądanie specjalnej premii za Bycie Zdenerwowanym Przez Upiora. Kurtyna była zaciągnięta. Niektórzy członkowie chóru pozostali na scenie, reszta wybiegła, by wziąć udział w pościgu. Atmosfera wydawała się naelektryzowana, jak zwykle, kiedy w normalnym cywilizowanym życiu nagle zdarzy się krótkie spięcie.

Agnes gorączkowo wysłuchiwała jednej plotki za drugą. Upiór został schwytyany i był nim Walter Plinge. Upiór został schwytyany przez Waltera Plinge. Upiór został schwytyany przez kogoś innego. Upiór nie został schwytyany i uciekł. Upiór zginął.

Wszędzie wybuchały spory.

— Wciąż nie mogę uwierzyć, że to Walter. Przecież... na bogów, Walter?!

— Co z przedstawieniem? Nie możemy przerwać! Nigdy nie przerywamy przedstawienia, nawet kiedy ktoś umrze!

— Ale przerywaliśmy, kiedy ktoś umierał...

— Tylko na czas potrzebny, żeby znieść ciało ze sceny.

Agnes weszła za kulisę i nadepnęła na coś.

— Przepraszam — rzuciła odruchowo.

— To tylko moja stopa — odpowiedziała babcia Weatherwax. — Jak tam? Podoba ci się życie w wielkim mieście, Agnes Nitt?

Agnes odwróciła się.

— Och... Dobry wieczór, babciu — wymamrotała. — I tutaj nie jestem Agnes, będę wdzięczna za pamięć — dodała odrobinę pewniej.

— To dobra praca, być głosem kogoś innego?

— Robię to, co chcę robić — odparła Agnes. Wyprostowała się na pełną szerokość. — I nie możesz mi przeszkodzić!

— Ale nie należysz do nich, prawda? — zapytała uprzejmie babcia. — Próbujesz, ale cały czas odkrywasz, że obserwujesz siebie obserwującą ludzi. Mam rację? Nigdy do końca w nic nie wierzysz? Myślisz niewłaściwe myśli?

— Dość!

— Aha. Tak sądziłam.

— Nie mam zamiaru zostać czarownicą, uprzejmie dziękuję.

— Spokojnie. Nie masz się co irytować, bo przecież wiesz, że tak się stanie. Zostaniesz czarownicą, ponieważ czarownicą jesteś, a jeśli teraz odwrócisz się od niego, to nie wiem, co czeka biednego Waltera Plinge.

— On nie zginął?

— Nie.

Agnes zawahała się.

— Wiedziałam, że to on jest Upiorem — powiedziała. — Ale potem zobaczyłam, że nie może nim być.

— Aha... — mruknęła babcia. — Uwierzyłaś w świadectwo własnych oczu, co? W takim miejscu?

— Jeden z maszynistów mówił przed chwilą, że zapędzili go na dach, potem ścigali po ulicach, a w końcu zatłukli na śmierć.

— No cóż — westchnęła babcia. — Nie zajdziesz daleko, jeśli będziesz wierzyła we wszystko, co usłyszysz. Co wiesz?

— Co to znaczy: co wiesz?

— Nie próbuj się mądrzyć, moja panno!

Agnes spojrzała na minę babci i zrozumiała, że lepiej ustąpić.

— Wiem, że to on jest Upiorem — wyznała.

— Słusznie.

— Ale widzę też, że nie może nim być.

— Tak?

— I wiem... Jestem pewna, że nie chciał nikogo skrzywdzić.

— Brawo. Dobra robota. Walter może i nie odróżnia prawa od lewa, ale odróżnia prawo od bezprawia. — Babcia zatarła ręce. — No to jesteśmy w domu i szukamy czystego ręcznika, co?

— Jak to? Niczego nie rozwiązałaś!

— Ależ tak. Wiem, że to nie Walter mordował tych ludzi, więc teraz musimy odkryć, kto to zrobił. Proste.

— Gdzie jest teraz Walter?

— Niania Ogg gdzieś go ukryła.

— Jest sama?

— Przecież mówię, że ma ze sobą Waltera.

— Ale... no, on naprawdę jest trochę dziwny.

— Tylko tam, gdzie to widać.

Agnes westchnęła. Chciała powiedzieć, że to nie jej problem, lecz uświadomiła sobie, że nie warto nawet próbować. Wiedza niczym beczelny intruz tkwiła w jej umyśle. Cokolwiek się stanie, to rzeczywiście jest jej problem.

— No dobrze — ustąpiła. — Pomogę ci, jeśli zdołam, ponieważ tu jestem. Ale potem... koniec! Potem dacie mi spokój! Obiecujesz?

— Naturalnie.

— No to... to dobrze... — Agnes urwała nagle. — O nie! — zawołała. — To było za łatwe. Nie ufam ci.

— Nie ufasz mi? — zdziwiła się babcia. — Chcesz powiedzieć, że mnie nie ufasz?

— Tak. Nie. Znajdziesz sposób, żeby się wykręcić.

— Nigdy się nie wykręcam — oświadczyła babcia. — To niania Ogg uważa, że powinniśmy mieć trzecią czarownicę. Moim zdaniem życie i tak jest trudne, nawet bez jakiejś dziewczyny, która pęta się pod nogami tylko dlatego, że jej zdaniem dobrze wygląda w spiczastym kapeluszu.

Przez chwilę trwała cisza. Potem odezwała się Agnes.

— Ta sztuczka też na mnie nie działa. Ty mówisz, że jestem za głupia na czarownicę, ja mówię, że nie, wcale nie, a ty znowu wygrywasz. Wolę raczej być głosem kogoś innego niż starą wiedźmą bez żadnych przyjaciół, której wszyscy się boją, choć jest tylko trochę sprytniejsza od innych i w ogóle nie uprawia żadnej prawdziwej magii...

Babcia słuchała, przechylając głowę.

— Zgoda. Kiedy to się skończy, pozwolę ci pójść własną drogą. Nie będę cię zatrzymywać. A teraz pokaż mi, jak trafić do gabinetu pana Kubła...

Niania uśmiechnęła się swym uśmiechem pomarszczonego jabłka.

— Oddaj mi to, Walterze. Proszę. Nic się przecież nie stanie, jeśli pozwolisz mi to obejrzeć. Starej niani można.

— Nie wolno oglądać, dopóki nie skończone!

— No wiesz... — rzekła niania, sama siebie nienawidząc za to zrzucenie bomby atomowej. — Na pewno twoja mama nie chciałaby usłyszeć, że byłeś niegrzecznym chłopcem.

Wyraz twarzy Waltera zmieniał się błyskawicznie, gdy próbował poradzić sobie z kilkoma emocjami naraz. Wreszcie, bez słowa, wcisnął jej plik kartek. Ręce drżały mu z napięcia.

— Dobry chłopak — pochwaliła go niania.

Przejrzała kilka początkowych stron, po czym przesunęła je bliżej światła.

— Hmm...

Pedałowała chwilę, a następnie lewą ręką zagrała na fisharmonii kilka nut. Była to większość tych, jakie potrafiła przeczytać. Tworzyły prosty, krótki temat, jaki można wygrać na klawiaturze jednym palcem.

— Czekaj...

Poruszała wargami, czytając opis.

— Walterze — zaczęła. — Czy to nie jest opera o Upiorze, który mieszka w gmachu Opery? — Przewróciła stronę. — Bardzo jest sprytny i elegancki. Widzę, że ma sekretną grotę...

Zagrała kolejny krótki riff.

— Muzyka wpada w ucho...

Czytała dalej, co chwilę powtarzając głośno „no, no” albo „laboga”. Od czasu do czasu rzucała Walterowi pełne podziwu spojrzenie.

— Zastanawiam się, czemu Upiór to napisał, Walterze — odezwała się po chwili.

— Dość spokojny z niego typ, prawda? Wszystko wkłada w muzykę.

Walter wpatrywał się w swoje nogi.

— Będą bardzo duże kłopoty, pani Ogg.

— Ja i babcia na pewno jakoś wszystko uporządkujemy.

— Nieładnie jest mówić kłamstwa.

— Raczej nie — zgodziła się niania, która do tej chwili nigdy się tym nie przejmowała.

— Nie byłoby dobrze, gdyby mama straciła pracę.

— Nie byłoby dobrze, rzeczywiście.

Nianię Ogg ogarnęło niejasne uczucie, że Walter usiłuje jej coś przekazać.

— Hm... A jakie kłamstwa nieładnie by było mówić, Walterze?

Walter wytrzeszczył oczy.

— Kłamstwa... o tym co się widzi, pani Ogg. Nawet jak się to zobaczyło!

Niania uznała, że pora chyba zaprezentować Oggistyczny punkt widzenia.

— Można mówić kłamstwa, jeśli nie myślisz kłamstw — oświadczyła.

— On powiedział, że jak powiem, to mama straci pracę, a mnie zamkną w więzieniu!

— Tak powiedział? A co to za on, ten on?

— Upiór, pani Ogg!

— Wydaje mi się, że babcia powinna ci się dokładnie przyjrzeć, Walterze. Moim zdaniem umysł ci się poplątał jak kłębek wełny, co upadł na podłogę. — Niania w zadumie pedałowowała fisharmonią. — Czy to ten Upiór, który pisał tę muzykę?

— Niedobrze jest mówić kłamstwa o pokoju z workami, pani Ogg.

Aha, pomyślała niania.

— To tutaj na dole, prawda?

— On powiedział, że mam nikomu nie mówić!

— Kto taki?

— Upiór, pani Ogg!

— Przecież ty je... — zaczęła niania, po czym spróbowała innego podejścia. — Ale ja nie jestem nikim — powiedziała. — Zresztą gdybyś poszedł do tego pokoju z workami, a ja szłabym za tobą, właściwie nikomu nie powiesz. Prawda? To nie twoja wina, że idzie za tobą jakaś staruszka.

Twarz Waltera wyrażała udrękę niezdecydowania, ale choć jego myśli bywały splątane, nie mogły dorównać kuszącej obłudzie niani. Stał wobec umysłu, który uznawał za punkt odniesienia prawdę, ale na pewno nie kajdany. Niania Ogg potrafiłaby przeprowadzić swe myśli przez korkociąg w czasie huraganu, i to bez dotykania brzegów.

— Zresztą na pewno nic nie zaszkodzi, jeśli to będę ja — dodała dla porządku. — Prawdopodobnie chciał powiedzieć „oprócz pani Ogg”, ale zapomniał.

Walter bardzo powoli sięgnął po świecę. Bez słowa podszedł do drzwi i zanurzył się w wilgotny mrok piwnic.

Niania Ogg ruszyła za nim. Jej buty mlaskały cicho w błocie.

Droga nie wydawała się długa. Niania miała wrażenie, że nie znajdują się już pod gmachem Opery, ale trudno było to ocenić. Cienie tańczyły wokół; przechodzili przez pomieszczenia jeszcze ciemniejsze i bardziej wilgotne niż te, które opuścili. Walter zatrzymał się przed stosem gnijącego drewna i odciągnął na bok parę zmurszałych desek.

Pod spodem leżało kilka równo ułożonych worków.

Niania kopnęła jeden z nich. Pękł.

W migotliwym blasku świecy widziała tylko iskierki światła, gdy przez rozdarcie wyłała się ciężka kaskada; jednak z niczym nie można pomylić metalicznego brzęku bardzo dużej sumy pieniędzy. Wielkiej sumy pieniędzy. Dość wielkiej, by wyraźnie zasugerować, że należą albo do złodzieja, albo do wydawcy — a w pobliżu nie zauważyła żadnych książek.

— Co to jest, Walterze?

— To pieniądze Upiora, pani Ogg!

W przeciwnym rogu pomieszczenia w podłodze był kwadratowy otwór; kilka cali niżej lśniła powierzchnia wody. Obok stały różnego rodzaju pojemniki: stare puszki, wyszczerbione miski i inne, podobne. Z każdego sterczał patyk, czy może martwy krzak.

— A to, Walterze? Co to takiego?

— Krzewy róż, pani Ogg!

— Tutaj? Przecież nic nie uro...

Niania urwała.

Chlupiąc butami w błocie, podeszła do naczyń. Wypełniało je błoto zeskrobane z podłoża. Martwe łodygi lśniły od wilgoci.

Oczywiście, nic tu nie może urosnąć. Brakuje światła. Wszystko, co rośnie, potrzebuje czegoś, czym może się żywić. Ale... Przynęła świecę bliżej i powąchała... Tak. Zapach był bardzo delikatny, ale wyczuwalny. Róże w ciemności.

— Niech mnie licho, Walterze Plinge — powiedziała. — Jesteś niewyczerpanym źródłem niespodzianek!

Na biurku pana Kubła leżały stosy książek.

— To, co robisz, babciu, jest złe — oznajmiła Agnes.

Babcia uniosła głowę.

— Znaczący, tak złe jak przeżywanie życia innych ludzi za nich? — spytała. — Prawdę mówiąc, może być jeszcze coś gorszego: przeżywanie życia innych ludzi dla siebie. Aż tak złe?

Agnes milczała. Babcia Weatherwax nie mogła przecież wiedzieć.

Babcia tymczasem wróciła do książek.

— Zresztą to tylko wydaje się złe. Pozory mogą mylić — stwierdziła. — Lepiej pilnuj korytarza.

Przerzucała strzępy porwanych kopert i zabazgrane karteczki, które najwyraźniej były operowym odpowiednikiem normalnych rachunków. Panował w nich straszny bałagan. Właściwie nawet więcej niż bałagan. Zbyt wiele bałaganu, by był prawdziwy, ponieważ w prawdziwym bałaganie zdarzają się spójne fragmenty, coś, co można by nazwać przypadkowym porządkiem. Tutaj miała do czynienia z bałaganem całkowicie chaotycznym, co sugerowało, że ktoś świadomie postanowił być bałaganiarzem.

Na przykład księgi obrachunkowe. Wypełniały je rzędy i kolumny drobnych znaków, ale ktoś stwierdził, że nie warto inwestować w poliniowany papier, a pismo miało trochę nierówne. Po lewej stronie kartki znalazło się czterdzieści linijek, ale pozostało tylko trzydzieści sześć, kiedy dotarły do drugiego brzegu. Trudno było to zauważyć, gdyż oczy zaczynały łzawić.

— Co robisz, babciu? — spytała Agnes, odwracając się od korytarza.

— Zdziwiający! — odparła babcia. — Niektóre wydatki zapisane są dwukrotnie. Wydaje się, że mam tu stronę, gdzie ktoś dodał miesiąc, a odjął godzinę!

— Myślałam, że nie lubisz książek.

— Nie lubię — przyznała babcia, przewracając kartkę. — Potrafią patrzeć ci prosto w twarz, a mimo to kłamać. Ile smyków macie w zespole?

— O ile pamiętam, w orkiestrze gra dziewięciu skrzypków — odparła Agnes.

Babcia nie zwróciła chyba uwagi na tę poprawkę.

— To ciekawe — mruknęła, nie odwracając głowy. — Wychodzi na to, że dwunastu pobiera pensję, ale trzech jest na drugiej stronie, więc można nie zauważyć. — Wyprostowała się i z satysfakcją zatarła ręce. — Chyba że ktoś ma naprawdę dobrą pamięć.

Przesunęła kościstym palcem wzdłuż następnej chwiejnej kolumny.

— Co to jest mechanizm zapadkowy?

— Nie wiem!

— Tu stoi: „Naprawa mechanizmu zapadkowego, nowe sprężyny do zębarki obrotowej, przegląd. Sto sześćdziesiąt dolarów i sześćdziesiąt trzy pensy”. Ha!

Polizała palec i przeszła do kolejnej strony.

— Nawet niania lepiej sobie radzi z liczbami — stwierdziła. — Żeby być tak fatalnym w liczeniu, ktoś musi być naprawdę dobry. Nic dziwnego, że Opera nigdy nie zarabia pieniędzy. Równie dobrze można by nosić wodę sitem.

Agnes wskoczyła do pokoju.

— Ktoś idzie!

Babcia zdmuchnęła lampę.

— Wchodź za zasłonę — poleciła.

— A co z tobą?

— Och... postaram się nie rzucić w oczy.

Agnes podbiegła do okna, po czym odwróciła się, by spojrzeć na babcię stojącą przy kominku.

Stara czarownica jakby się rozplywała. Nie zniknęła. Po prostu wtapiała się w otoczenie. Ręka powoli stała się częścią półki nad kominkiem. Fałda sukni była fragmentem cienia. Łokieć zmienił się w szczyt oparcia krzesła tuż za nią. Twarz zlała się z wazonem wyblakłych kwiatów.

Wciąż tam była — jak ta starucha w obrazkowej zagadce, którą czasem drukowali w Almanachu. Można było na nim zobaczyć starą kobietę albo młodą dziewczynę, ale nie obie naraz, gdyż jedna z nich złożona była z cieni drugiej. Babcia Weatherwax stała przy kominku, ale dało się ją zauważyć tylko wtedy, gdy człowiek wiedział, że tam stoi.

Agnes mrugnęła... i teraz widziała już tylko cienie, krzesło i kominek.

Drzwi się otworzyły. Skryła się za kotarę; miała uczucie, że jest widoczna niczym truskawka w gulaszu, że zdradzi ją łomot bijącego serca.

Drzwi zamknęły się ostrożnie — zamek ledwie szcęknął. Kroki zastukały po podłodze. Drewniane skrobnięcie mogło być dźwiękiem odsuwanej fotela.

Trzask i szum to pewnie zapalana zapałka. Brzęk — to unoszony szklany klosz lampy...

Wszelkie odgłosy ucichły.

Agnes skuliła się; wszystkie mięśnie nagle krzyknęły z napięcia. Lampa nie została zapalona — zauważyłaby światło obok kotary.

Ktoś tam nie wydawał żadnego dźwięku.

Ktoś tam nagle stał się podejrzliwy.

Deski podłogi zatrzeszczały baaardzo pooowooli, jakby ktoś przeniósł ciężar ciała z nogi na nogę.

Ogarnęło ją przemożne uczucie, że musi krzyknąć, bo wysiłek zachowania ciszy doprowadzi ją do eksplozji. Klamka okna za plecami, przed chwilą ledwie wyczuwalny punkt ucisku, teraz całkiem poważnie usiłował stać się elementem jej życia. W ustach zaschło jej tak, że gdyby próbowała przełknąć ślinę, szczęka zgrzytnęłaby jak nieoliwione zawiasy.

To nie mógł być nikt, kto miałby prawo tu przebywać. Ludzie, którzy mają prawo znajdować się w jakimś miejscu, poruszają się hałaśliwie.

Klamka okienna szukała coraz bardziej osobistego kontaktu.

Trzeba myśleć o czymś innym...

Zasłona się poruszyła. Ktoś stał po drugiej stronie.

Gdyby gardło nie było tak wyschnięte, mogłaby spróbować krzyknąć.

Czuła czyjąś obecność przez tkaninę. Lada chwila ten ktoś szarpnie zasłonę.

Skoczyła, czy też wykonała ruch tak bliski skoku, jak tylko potrafiła, coś w rodzaju pionowego przesunięcia; szarpnęła zasłonę w bok, zderzyła się ze szczupłym człowiekiem i wylądowała na podłodze w płątaniu kończyn i rozdieranego aksamitu.

Nabrała tchu i przycisnęła do podłogi szarpiący się toból.

— Zacznę krzyczeć — ostrzegła. — A wtedy bębenki wypłyną ci nosem!

Szarpanie ustało.

— Perdita? — zabrzmiał zduszony głos.

Nad nią drążek zasłon opadł z jednego końca i mosiężne pierścienie zaczęły kolejno zsuwać się na podłogę.

Niania wróciła do worków. Każdy z nich wypchany był twardymi, okrągłymi przedmiotami, które brzęczały cicho pod naciskiem badawczego palca.

— To bardzo dużo pieniędzy, Walterze — stwierdziła ostrożnie.

— Tak!

Jeśli chodzi o pieniądze, niania bardzo łatwo traciła rachubę — co nie znaczy, że jej nie interesowały. Po prostu od pewnego poziomu stawały się czymś jak ze snu. Była pewna tylko jednego: od kwoty, jaką tu widziała, każdemu opadłyby majtki.

— Podejrzewam — rzekła — że gdybym spytała, skąd się tu wzięły, powiedziałbyś, że to Upiór. Prawda? Tak samo jak róże?

— Tak, pani Ogg!

Spojrzała na niego zatroskana.

— Nic ci się tutaj nie stanie? — spytała. — Będziesz tu siedział cichutko? Muszę chyba pomówić z kilkoma osobami.

— Gdzie jest mama, pani Ogg?

— Twoja mama śpi spokojnie, Walterze.

To chyba go uspokoilo.

— Zostaniesz w swoim... w tamtej sali?

— Tak!

— Grzeczny chłopak.

Raz jeszcze spojrzała na worki pieniędzy. Pieniądze oznaczały kłopoty.

Agnes usiadła.

André uniósł się na łokciach i ściągnął z twarzy zasłonę.

— Co ty tu robisz, u demona? — zapytał.

— Ja... zaraz, jak to? Co ja tu robię?! To ty się skradałeś!

— A ty się chowałeś za kotarą! — André wstał i zaczął szukać zapalek. — Kiedy następnym razem zdmuchniesz lampę, pamiętaj, że ona ciągle będzie ciepła.

— Byłyśmy tu... w ważnych sprawach.

Rozjarzyła się lampa. André obejrzał się zaskoczony.

— Wy? — zapytał.

Agnes kiwnęła głową i spojrzała na babcię. Czarownica nie poruszyła się; sporego wysiłku wymagało dostrzeżenie jej wśród przypadkowych kształtów i cieni.

André chwycił lampę i postąpił o krok.

Cienie się przesunęły.

— Ktoś tu jest?

Agnes przeszła przez pokój i machnęła ręką w powietrzu. Było oparcie krzesła, był wazon, było... nie, nie było nic więcej.

— Przecież stała tutaj!

— Upiór, co? — mruknął ironicznie André.

Agnes cofnęła się.

Światło lampy trzymanej poniżej twarzy wywiera dziwny efekt. Cienie są nie takie, jak trzeba, zęby wydają się większe... Agnes uświadomiła sobie nagle, że jest w pokoju sam na sam z człowiekiem, którego twarz nagle przybrała wygląd o wiele groźniejszy niż przed chwilą.

— Proponuję — rzekł — żebyś zaraz wróciła na scenę. Dobrze? To najlepsze, co możesz zrobić. I nie mieszaj się do spraw, które cię nie dotyczą. I tak już narozrabiałaś.

Lęk nie opuścił Agnes, ale znalazł sposób, by przemienić się w gniew.

— Nie muszę cię słuchać! Przecież to ty możesz być Upiorem!

— Doprawdy? A mnie ktoś mówił, że to Walter Plinge — odparł André. — Ilu osobom to powiedziałaś? Bo teraz, jak się okazuje, Walter Plinge nie żyje...

— Właśnie że żyje!

Wyrzuciła te słowa, nim zdążyła się powstrzymać. Wypowiedziała je tylko po to, by zetrzeć z jego twarzy wyraz szyderstwa. To się jej udało. Ale wyraz, który pojawił się po nim, wcale nie był lepszy.

Zatrzeszczała podłoga.

Obejrzeni się oboje.

W rogu pokoju stał wieszak, tuż obok biblioteczeki. Wisiało na nim kilka płaszczy i szali. Z pewnością tylko dziwnie padające cienie sprawiały, że o, z takiego kąta, wyglądał jak stara kobieta. Albo...

— Przekłeta podłoga — mruknęła babcia, wypływając na pierwszy plan. Odsunęła się od płaszczy.

Jak później tłumaczyła Agnes, nie chodzi o to, że była niewidzialna. Po prostu stała się fragmentem tła do chwili, gdy znowu nie wystąpiła naprzód; była tam, a jednak jej nie było. Wcale się nie wyróżniała. Pozostawała niewidoczna, jak najlepsi kamerdynerzy.

— Jak pani tu weszła? — zdumiał się André. — Sprawdziłem pokój!

— Zobaczyć znaczy uwierzyć — odpowiedziała chłodno. — Oczywiście, kłopot polega na tym, że również uwierzyć znaczy zobaczyć, a tego mamy ostatnio aż nazbyt wiele. Do rzeczy. Wiem, że nie jesteś Upiorem. Kim więc jesteś, że zakradasz się do miejsc, gdzie nie powinienes wchodzić?

— Mógłbym zapytać panią o to...

— Mnie? Jestem czarownicą i jestem w tym dobra!

— Ona jest, no, z Lancre. Ja też stamtąd pochodzę — wymamrotała Agnes, usiłując dokładnie przyjrzeć się własnym stopom.

— Tak? Ale to nie ta, która napisała książkę? — upewnił się André. — Słyszałem, jak ludzie rozmawiają o...

— Nie! Jestem o wiele gorsza od tamtej, rozumiesz?

— Jest gorsza — przyznała Agnes.

André spojrzał na babcię z miną człowieka, który stara się zważyć swoje szanse. Musiał uznać, że kołyszą się pod sufitem.

— Ja... włóczę się po ciemnych zakamarkach i szukam kłopotów — oświadczył.

— Doprawdy? — rzuciła gniewnie babcia. — Jest pewne brzydkie słowo określające takich ludzi.

— Owszem, jest — zgodził się André. — Policjant.

Niania Ogg wyszła schodami z piwnicy. W zadumie rozcierała podbródek. Muzycy i śpiewacy wciąż kręcili się po scenie, niepewni, co będzie dalej. Upiór miał dość przyzwyczajenia, by pozwolić się ścigać i zabić w czasie przerwy. W teorii oznaczało to, że nie ma powodów, by nie miał nastąpić trzeci akt — gdy tylko Herr Trubelmacher przeczesze pobliskie bary i zapędzi orkiestrę z powrotem.

Tak, myślała niania; musi trwać. To jak cisza przed burzą albo... albo jak kochać się z kimś. Tak, to o wiele bardziej Oggistyczne porównanie. Człowiek wkładał w to

wszystko, czym dysponował, aż wcześniej czy później nadchodził moment, kiedy musiał kontynuować, bo nie mógł sobie nawet wyobrazić, że przestanie. Dyrekcja mogła by odjąć po parę dolarów z ich honorariów, a oni dalej by występowali. I wszyscy o tym wiedzieli. Występowaliby dalej...

Znalazła drabinę i wolno zaczęła się wspinać w przestrzeń komina scenicznego.

Nie miała pewności. A musiała ją mieć.

Na poddaszu było pusto. Niania przeszła ostrożnie pomostem i znalazła się nad widownią. Gwar rozmów docierał tu przez strop pod nią, nieco przytłumiony.

Światło padało z dołu w miejscu, gdzie znikwała w otworze gruba lina żyrandola. Niania przestąpiła klapę w suficie i spojrzała w dół.

Żar niemal przypalił jej włosy. Kilka łokci niżej płonęły setki świec.

— Straszne, gdyby to wszystko spadło — powiedziała cicho. — Cały budynek zająłby się jak stóg siana.

Podążyła wzrokiem wzdłuż sznura, aż do miejsca gdzie był do połowy przecięty. Nigdy by nie zauważyła, gdyby nie spodziewała się czegoś takiego.

Opuściła wzrok, przeszukując ciemną podłogę, aż odkryła coś ukrytego w kurzu.

Za nią cień pośród cieni stanął na nogi, wyprostował się i ruszył biegiem.

— Znam policjantów — oświadczyła babcia Weatherwax. — Mają wielkie hełmy, wielkie stopy i widać ich na milę. Dwóch chodzi teraz za sceną. Każdy pozna, że to policjanci. Ty nie wyglądasz na takiego. — Obracała w palcach jego odznakę. — Wcale mi się nie podoba pomysł tajnych policjantów — stwierdziła. — Po co komu tajni policjanci?

— Ponieważ czasami zdarzają się tajni przestępcy.

Babcia uśmiechnęła się niemal.

— To fakt — przyznała. Przyjrzała się małym literom na odznace. — Tu jest napisane „Chłopaki z Kablowej”.

— Nie ma nas wielu — wyjaśnił André. — Dopiero zaczęliśmy. Komendant Vimes uznał, że skoro niewiele można zrobić w sprawie Gildii Złodziei i Gildii Skrytobójców, powinniśmy szukać innych przestępstw. Przestępstw ukrytych. Do takich potrzebni są strażnicy... o innych umiejętnościach. A ja całkiem niezłe gram na fortepianie...

— A jakież to umiejętności ma tamten troll i krasnolud? — zdziwiła się babcia. — Według mnie potrafią tylko stać i rzucać się w oczy, jak głu... Aha! No tak!

— Właśnie. I nawet nie wymagali specjalnego szkolenia. Komendant Vimes uznał, że to najbardziej rzucający się w oczy policjanci, jakich można sobie wyobrazić. Nawiasem mówiąc, kapral Nobbs ma dokumenty stwierdzające, że należy do gatunku ludzkiego.

— Podrobione?

— Raczej nie.

Babcia Weatherwax przechyliła głowę.

— Gdyby w twoim domu wybuchł pożar, co próbowałbyś wynieść jako pierwsze?

— Ależ babciu... — zaczęła Agnes.

— Hm... a kto go podpalił? — spytał André.

— Rzeczywiście, jesteś policjantem. — Babcia oddała mu odznakę. — Przyszedłeś aresztować biednego Waltera?

— Wiem, że nie zamordował doktora Undershafta. Obserwowałem go. Przez całe popołudnie starał się odetkać wygodkę...

— Miałam dowód, że Walter nie jest Upiorem — dodała Agnes.

— Byłem prawie pewien, że to Salzella — mówił dalej André. — Wiem, że czasami w tajemnicy chodzi do piwnic, i jestem pewien, że kradnie pieniądze. Ale Upiór pojawił się także wtedy, kiedy Salzella był doskonale widoczny. Myślę...

— Myślisz? Myślisz? — przerwała mu babcia. — Ktoś w końcu wziął się tu za myślenie? Jak pan poznaje Upiora, panie policjancie?

— No... nosi maskę...

— Doprawdy? Powtórz to jeszcze raz i słuchaj tego, co mówisz! Na bogów! Rozpoznajesz go po tym, że ma maskę? Poznajesz po tym, że nie wiesz, kim jest? Życie nie jest takie proste! Kto powiedział, że jest tylko jeden Upiór?

Tajemniczy osobnik biegł przez mrok, otoczony powiewającą peleryną. Niania Ogg, wyraźnie widoczna na tle światła, patrzyła w dół.

— Witam, panie Upiorze — powiedziała, nie odwracając głowy. — Wrócił pan po swoją piłę, co?

Przeskoczyła za linę i odwróciła się do cienia.

— Miliony ludzi wiedzą, że tu jestem! Nie skrzywdzisz przecież biednej starowinki, prawda? Ojej, moje biedne serce...

Upadła na plecy, tak ciężko, że aż zakołysała się lina.

Napastnik zawahał się. Po chwili wyjął z kieszeni kawałek cienkiej linki i podszedł ostrożnie. Przyklęknął, owinął końce linki wokół dłoni i schylił się.

Kolano czarownicy kopnęło mocno.

— Czuję się już o wiele lepiej, drogi panie! — powiedziała niania, kiedy Upiór poleciał do tyłu.

Podniosła się i chwyciła piłę.

— Wróciłeś, żeby dokończyć sprawę, co? — Machnęła nią przed sobą. — Ciekawe, jak chciałeś zrzucić winę na Waltera! Cieszyłbyś się, gdyby wszystko tu się spaliło?

Napastnik cofał się przed nianią, dość niezgrabnie stawiając kroki. Nagle odwrócił się, utykając przebiegł po chwiejnym pomoście i zniknął w mroku.

Niania ruszyła za nim. Zauważyła go znowu, jak schodzi po drabinie. Rozejrzała się szybko, chwyciła gruby sznur i skoczyła. W górze słyszała klekot bloczka.

Opadała ze spódnicą wzdymającą się wokół nóg. Była mniej więcej w połowie drogi, kiedy minęła grono sunących szybko w górę worków z piaskiem.

Zjeżdżając, widziała między swymi butami, jak ktoś siłuje się z klapą prowadzącą do piwnic. Wylądowała o kilka stóp od niego, wciąż ściskając sznur.

— Pan Salzella?

Wsunęła dwa palce do ust i gwizdnęła tak, że mogłaby roztopić woskolinę w uszach.

Puściła sznur.

Salzella spojrział na nią, podnosząc klapę. I spostrzegł jakiś kształt opadający spod sklepienia.

Sto osiemdziesiąt funtów worków z piaskiem trafiło w klapę i zatrzasnęło ją na głucho.

— Uwaga! — zawołała wesoło niania.

Kubeł czekał nerwowo za kulisami. Niepotrzebnie nerwowo, oczywiście. Upiór zginął. Nie ma się o co martwić. Ludzie opowiadali, że widzieli, jak ginął, chociaż — Kubeł musiał się z tym pogodzić — nieco mętnie przedstawiali szczegóły.

Nie ma powodów do niepokoju.

Absolutnie.

W żaden sposób.

Nic nie dawało żadnych, nawet najmniejszych powodów do odczuwania niepokoju.

Przesunął palcem pod kołnierzykiem. Właściwie życie hurtownika serów wcale nie było takie złe. Jedyne, czym człowiek się wtedy przejmował, to guzik od spodni biednego starego Rega Plenty w Farmerskim Orzechowym, czy kiedy młody Weevins przemielił sobie kciuk w mieszalniku, i całe szczęście, że akurat robili wtedy jogurt truskawkowy...

Jakiś człowiek stanął mu za plecami. Kubeł chwycił kurtynę dla zachowania równowagi i dopiero wtedy się odwrócił. Z ulgą zobaczył wspaniałą i uspokajającą brzuch Enrica Basiliki. Tenor wspaniale wyglądał w kostiumie wielkiego koguta, z ogromnym dziobem, koralami i grzebieniem.

— Ach, señor — bełkotał Kubeł. — Imponujące, muszę przyznać.

— *Si* — odpowiedział mu stłumiony głos z jakiegoś punktu za dziobem.

Inni członkowie zespołu przebiegali obok, spiesząc na scenę.

— Niech wolno mi będzie przeprosić za to wcześniejsze zamieszanie. Muszę też zapewnić, że nie zdarza się to co wieczór, ahaha...

— *Si?*

— To pewnie dlatego, że cały zespół jest podniesiony na duchu, ahaha...

Dziób skierował się w jego stronę. Kubeł cofnął się.

— *Si!*

— ...tak... Cieszę się, że pan to rozumie...

Ma temperament, myślał.

Tenor wkroczył na scenę. Zaczynała się uwertura aktu trzeciego.

Tacy już oni są, ci prawdziwi artyści. Nerwy napięte jak gumki. Właściwie to całkiem podobne do czekania na ser. Człowiek robi się nerwowy, kiedy nie wie, czy ma już pół tony najlepszego pleśniowego, czy kadź pełną świńskiej karmy. Pewnie mniej więcej to samo się odczuwa, kiedy aria podnosi się do gardła...

— Gdzie poszedł? Gdzie się podział?

— Kto? Och... Pani Ogg...

Stara kobieta machnęła mu piłą przed nosem. W obecnym stanie napięcia psychicznego nie był to uspokajający gest.

Nagle otoczyły go inne osoby, także sprzyjające używaniu wielokrotnych wykrzykników.

— Perdita? Czemu nie jesteś na scenie?! Och, lady Esmeralda, nie zauważyłem pani tutaj, ale oczywiście, jeśli ma pani ochotę zajrzeć za scenę, wystarczy...

— Gdzie Salzella? — przerwał mu André.

Kubeł rozejrzał się niepewnie.

— Był tu parę minut temu... To znaczy — dodał, prostując się z godnością — pan Salzella zapewne gdzieś wypełnia swoje obowiązki, a to więcej, młody człowieku, niż mógłbym...

— Żądam natychmiastowego przerwania przedstawienia! — krzyknął André.

— Ach, przerwania? A na jakiej podstawie, jeśli wolno spytać?

— On chciał przeciąć linę! — zawołała niania.

André wyjął odznakę.

— Na takiej!

Kubeł przyjrzał się z bliska.

— „Członek Gildii Muzyków w Ankh-Morpork, numer 1244”?

André spojrzał gniewnie na niego, potem na odznakę, po czym zaczął nerwowo klepać się po kieszeniach.

— Nie! Do licha, przecież pamiętam, że jeszcze przed chwilą miałem tę drugą! Niech pan posłucha, trzeba opróżnić budynek, musimy go przeszukać, a to znaczy...

— Nie przerywajcie przedstawienia — wtrąciła babcia.

— Nie przerwę przedstawienia — zapewnił Kubeł.

— Bo wydaje mi się, że on chciałby je przerwać. A przedstawienie musi trwać, prawda? Czy nie w to wszyscy wierzą? Mógł się wydostać z budynku?

— Posłałem kaprala Nobbsa do wyjścia dla aktorów, a sierżant Detrytus pilnuje foyer — odparł André. — Jeśli chodzi o stanie w drzwiach, należą do najlepszych.

— Przepraszam bardzo, ale co się właściwie dzieje? — spytał Kubeł.
— Przecież on może być wszędzie! — wtrąciła Agnes. — Tutaj są setki kryjówek.
— Kto? — spytał Kubeł.
— A co z tymi piwnicami, o których wszyscy opowiadają? — zainteresowała się babcia.
— Gdzie?
— Mają tylko jedno wejście — wyjaśnił André. — Nie jest głupi.
— Nie dostanie się do piwnic! — oświadczyła niania Ogg. — Uciek! Pewnie schował się w jakimś zakamarku!
— Nie, zostanie raczej tu, gdzie są ludzie — sprzeciwiła się babcia. — Tak ja bym zrobiła.
— Co? — spytał Kubeł.
— Czy mógł się stąd przedostać na widownię?
— Kto? — spytał Kubeł.
Babcia skinęła kciukiem w stronę sceny.
— Jest gdzieś tam. Czuję to.
— Więc zaczekajmy, aż zejdzie.
— Osiemdziesiąt osób schodzi ze sceny równocześnie — przypomniała Agnes.
— Nie wiecie, co się tam dzieje, kiedy opada kurtyna!
— A przecież nie chcemy przerywać teraz przedstawienia — zauważyła babcia.
— Nie, nie chcemy przerywać przedstawienia — zgodził się Kubeł, wychwytyjąc w morzu niezrozumiałości znajomą treść. — Ani też w jakikolwiek sposób zwracać ludziom pieniędzy. Ale o czym właściwie mówimy? Ktoś wie?
— Przedstawienie musi trwać — mruzczała babcia Weatherwax, wyglądając zza kulis na scenę. — Wszystko powinno się należycie zakończyć. To przecież Opera. Sprawy powinny mieć koniec... operowy.
Niania Ogg podskakiwała z podniecenia.
— Ooo! Wiem, o czym myślisz, Esme! — pisnęła. — O tak! Możemy? Będę potem opowiadała, że to zrobiłyśmy! Możemy? No dalej! Róbmy!

Henry Lawsy wertował swoją książkę o operze. Oczywiście, nie całkiem rozumiał wydarzenia pierwszych dwóch aktów, ale wiedział, że to całkiem normalne, bo tylko wyjątkowo naiwni oczekują jednocześnie sensu i dobrych piosenek. Zresztą wszystko się wyjaśni w ostatnim akcie, kiedy odbywa się bal maskowy w pałacu Księcia. Prawie na pewno się okaże, że kobieta, do której jeden z mężczyzn dość zuchwale się zalecał, jest w istocie jego żoną, ale tak starannie ukrytą za małą maseczką, że jej mąż nie zwrócił uwagi na tę samą suknię i fryzurę. Czyjś służący okaże się córką kogoś innego w przebraniu; ktoś zginie od czegoś, co jednak nie przeszkodzi mu śpiewać o tym przez

dobrze kilka minut; rozwiązanie nastąpi dzięki przypadkowym zbiegom okoliczności, które w prawdziwym życiu byłyby równie prawdopodobne co tekturowy młotek.

Nie wiedział tego na pewno, oczywiście. Zgadywał tylko.

Akt trzeci rozpoczął się tradycyjnie od baletu, tym razem prezentującego chyba tańiec ludowy w wykonaniu dam dworu.

Henry usłyszał wokół siebie stłumione śmiechy.

Powodem były tancerki. Ramię w ramię wbiegły na scenę, ale kiedy człowiek przesuwał wzrokiem wzdłuż ich szeregu, trafiał na pozorną szczelinę.

Szczelina wypełniała się, kiedy spojrzenie opadało o stopę czy dwie niżej, trafiając na niską, grubą balerinę. Miała szeroki uśmiech, bardzo rozciągnięty kostium, długie białe reformy i... buty.

Henry wytrzeszczył oczy. To były ciężkie buty. Z oszałamiającą prędkością przesuwały się do przodu i w tył. Atlasowe pantofelki baletnic migotały, sunąc po podłodze, za to buty błyskały i tupały, jakby właścicielka próbowała stepowaniem utrzymać się na powierzchni wody.

Piruetki też okazały się nietypowe. Inne tancerki wirowały niczym płatki śniegu, ale ta mała gruba kręciła się jak bąk i jak bąk sunęła po scenie, a fragmenty jej anatomii próbowały osiągnąć stabilne orbity.

Widzowie wokół Henry'ego zaczęli szeptać między sobą.

— Tak — usłyszał czyjś głos. — Próbowali tego w Pseudopolis...

Matka szturchnęła go w bok.

— Czy tak to powinno iść? — spytała.

— No... nie wydaje mi się...

— Ale to świetne! Śmieszne jak demony!

Gruba balerina zderzyła się z osłem w wieczorowym stroju, zatoczyła się, chwyciła jego maskę, która zsunęła się...

Herr Trubelmacher, dyrygent, skamieniał ze zgrozy i zdumienia. Orkiestra milkła z wolna, z wyjątkiem gracza na tubie (...Uum-PA! Uum-PA! Uum-PA!...), który już przed laty nauczył się nut na pamięć i nigdy nie zwracał szczególnej uwagi na to, co się wokół dzieje.

Dwie postacie stanęły przed Trubelmacherem. Dłoń pierwszego przybysza wyrwała mu z ręki batutę.

— Przepraszam pana — powiedział André — ale przedstawienie musi trwać. Prawda?

Wręczył batutę drugiemu z nowo przybyłych.

— Trzymaj — rzucił. — I nie pozwól im przerwać.

— Uuk!

Bibliotekarz jedną ręką delikatnie odstawił Herr Trubelmachera na bok, w zadumie liznął pałeczkę, po czym skupił wzrok na tubie... Uum-PA! Uum-PA! Uum-PA!... Gracz na tubie klepnął w ramię puzonistę.

— Hej, Frank, jakiś małpiszon stoi na miejscu Trubla...

— Cichocichocicho...

Orangutan z satysfakcją uniósł ręce.

Muzycy spojrzeli na niego. A potem spojrzeli jeszcze raz. Żaden dyrygent w historii muzyki — nawet ten, który na talerzu usmażył i zjadł wątrobę flecisty za to, że zagrał o jedną fałszywą nutę za dużo; nawet ten, który swoją batutą przebił trzech zarozumiałych skrzypków; nawet ten, który wygłaszał głośno naprawdę kąśliwe i sarkastyczne uwagi — żaden nie był obiektem tak pełnego szacunku skupienia.

Na scenie niania Ogg wykorzystała chwilę ciszy, by zerwać głowę żaby.

— Madame!

— Przepraszam, wzięłam pana za kogoś innego.

Długie ręce opadły. Orkiestra, w jednym potężnym chaotycznym akordzie, zbudziła się do życia.

Baletnice, po chwilowym zamieszaniu — kiedy niania Ogg, korzystając z okazji, zdekapitowała klauna i feniksa — próbowały wrócić do tańca.

Chór w zdumieniu obserwował wydarzenia.

Christine poczuła klepięcie w ramię. Odwróciła się; za nią stała Agnes.

— Perdito, gdzie byłaś!? — syknęła. — Już niemal pora na mój duet z Enrikiem!!

— Musisz pomóc — odpowiedziała szeptem Agnes. A w głębi jej duszy Perdita mruknęła: Enrico, co? Dla pozostałych to señor Basilica...

— Pomóc?! W czym?!

— Trzeba zdjąć wszystkim maski!

Christine przepięknie zmarszczyła czoło.

— Przecież to powinno nastąpić dopiero na końcu opery, prawda?

— No... ale wprowadzili zmiany! — tłumaczyła z naciskiem Agnes.

Odwróciła się do szlachcica w masce zebry i pociągnęła za nią desperacko. Śpiewak pod spodem spojrział zdumiony.

— Przepraszam — szepnęła. — Wzięłam pana za kogoś innego.

— Przecież mieliśmy ich nie zdejmować aż do samego finału!

— Wprowadzili zmiany!

— Tak? Nikt mnie nie uprzedził!

Krótkoszyja żyrafa obok pochyliła się zaintrygowana.

— O co chodzi?

— Wielka scena demaskacji ma nastąpić już teraz!

— Nikt mi nie powiedział!

— Tak, ale czy w ogóle nam o czymś mówią? Jesteśmy tylko chórem. O, popatrz, niby czemu Trubelmacher nosi maskę małpy?

Niania Ogg przesunęła się w szybkim piruecie, wpadła na słońca i szarpnięciem za trąbę pozbawiła go głowy.

— Szukamy Upiora — szepnęła. — Jasne?

— Przecież... przecież Upiór nie żyje...

— Upiory nie dają się zabić tak łatwo — odparła niania.

Szepty zaczęły rozprzestrzeniać się po całej scenie. Nie ma nikogo lepszego niż chór, jeśli idzie o plotki. A ludzie, którzy nie uwierzyliby najwyższemu kapłanowi, gdyby powiedział, że niebo jest niebieskie, a nawet przedstawił na poparcie owej tezy pisemne oświadczenia swojej siwowłosej matki staruszki i trzech westalek, uwierzą praktycznie we wszystko, co zasłaniając dłonią usta, wyszepcze im tajemniczo obcy typ w barze.

Kakadu zakręciła się i zerwała maskę ary.

Kubel szlochał z rozpacz. To, co się działo, było jeszcze gorsze niż ów dzień, kiedy eksplodowała maślanka. Gorsze niż nagła fala upałów, która zmieniła w rewolucję cały skład Lancrańskiego Ekstra Mocnego.

Opera stała się pantomimą...

Publiczność się śmiała...

Chyba jedyną postacią, która wciąż nosiła maskę, był señor Basilica, który obserwował wyczyny chóru z takim wyrazem powściągliwego zdziwienia, na jaki pozwalała jego maska — a jak się okazało, pozwalała na całkiem sporo.

— Nie... — jęczał Kubel. — Tego się nie da naprawić! On już tu nie wróci! Jesteśmy skończeni w kręgach operowych, nikt nie zechce więcej przyjść!

— Wiesej co? — wymamrotał głos za jego plecami.

Kubel odwrócił się.

— Och, señor Basilica — zawołał. — Nie zauważyłem pana. Myślałem tylko... Mam nadzieję, że nie uważa pan tego za typowe...

Basilica spoglądał poprzez niego. Chwiał się lekko na boki. Miał na sobie podartą koszulę.

— Ktoś...

— Słucham?

— Ktoś... walnął mi w głowę — oznajmił tenor. — Chcem wody...

— Ale przecież... ma pan zaraz... zaśpiewać, prawda? — Kubel chwycił oszołomionego tenora za kołnierz i chciał przyciągnąć do siebie, ale w efekcie oderwał się tylko od podłogi, kończąc z butami na poziomie kolan Basiliki. — Proszę powiedzieć... że jest pan teraz... na scenie! Błagam!

Nawet w stanie oszołomienia Enrico Basilica vel Henry Slugg dostrzegł w tym zdaniu zasadniczy dychotomiczny konflikt. Postanowił trzymać się rzeczy pewnych.

— Ktoś walnął mnie w korytarzu... — oświadczył.

— To nie pan tam jest?

Basilica zamrugał niepewnie.

— Nie ja?

— Ma pan za chwilę odśpiewać ten słynny duet!

Kolejna myśl przeszła chwiejnie pod poszkodowaną czaszką tenora.

— Mam? — upewnił się. — I dobrze... Już się czesze... Nie miałem okazji się sły-
szyć...

Westchnął uszczęśliwiony i padł sztywno na plecy.

Kubel oparł się o kolumnę. Nagle jego czoło przeorały głębokie zmarszczki. W naj-
lepszej tradycji spóźnionego kojarzenia popatrzył na nieprzytomnego tenora i policzył
na palcach do jednego. Potem obejrzał się na scenę i policzył na palcach do dwóch.

Czuł, że niepowstrzymanie zbliża się czwarty wykrzyknik.

Sceniczny Enrico Basilica zwrócił maskę w jedną, potem w drugą stronę. Za prawą
kulisą Kubel szeptał coś grupie maszynistów. Za lewą czekał André, tajny pianista, w to-
warzystwie wielkiego trolla.

Wyszedł na środek sceny — gruby śpiewak w czerwonym kostiumie — i rozpoczęło
się preludium słynnego duetu. Publiczność się uspokoiła. Zabawy i gierki wśród chóru
mogą się zdarzyć — może nawet są elementem libretta — ale przecież za to teraz płaci-
li pieniądze. O to wszystkim chodziło.

Agnes patrzyła, jak Christine zbliża się do tenora. Wreszcie spostrzegła, że coś się nie
zgadza. Owszem, był gruby, w stylu poduszki wciśniętej pod koszulę, ale nie poruszał
się jak Basilica. Basilica stąpał lekko, jak często ludzie tędzy, sprawiając wrażenie ledwie
uwiązanego balonika.

Zerknęła na nianię Ogg, która również przyglądała mu się z uwagą. Nigdzie nie do-
strzegła babci Weatherwax, co prawdopodobnie znaczyło, że jest gdzieś całkiem blisko.

Wyczekiwanie publiczności ciążyło wszystkim. Uszy otwierały się jak płatki kwiatów.
Czwarta ściana sceny — wielka, czarna, ssąca ciemność zewnętrzna — była studnią ci-
szy błagającą, by ją wypełnić.

Christine szła ku niemu całkiem beztrosko. Christine weszłaby beztrosko nawet
do paszczy smoka, gdyby był na niej napis mówiący „Absolutnie bezpieczne, słowo”...
A w każdym razie gdyby ten napis wydrukowano dużymi, łatwo czytelnymi literami.

Zdawało się, że nikt nawet nie próbuje nic zrobić.

To rzeczywiście był słynny duet. I bardzo piękny. Agnes wiedziała o tym najlepiej
— śpiewała go całą noc.

Christine ujęła fałszywego Basilicę za rękę. Orkiestra zagrała pierwsze takty. Christi-
ne otworzyła usta...

— Przerwać natychmiast!

Agnes włożyła w ten okrzyk wszystkie siły. Żyrandol brzęknął.

Orkiestra ucichła, wyhamowując w serii zgrzytów i pisków.

Wśród gasnących akordów i konających ech przedstawienie zostało przerwane.

Walter Plinge siedział w półmroku rozjaśnionym blaskiem świec. Ręce splótł na kolanach. Nieczęsto się zdarzało, żeby nie miał nic do roboty, ale kiedy już nie miał nic do roboty, to nic nie robił.

Podobało mu się tu na dole. Wszystko było znajome. Odgłosy opery sączyły się z góry, stłumione wprawdzie, ale to nie szkodzi. Walter Plinge znał każde słowo, każdą nutę, każdy krok każdego tańca. Rzeczywistych przedstawień potrzebował tylko tak, jak zegar swojego mechanizmu wychwytowego — pomagały mu ładnie i równo tykać.

Pani Plinge uczyła go czytać na starych programach. Stąd wiedział, że jest elementem tych przedstawień. Ale wiedziałby nawet bez tego. Kiedy ząbkował, gryzł hełm z rogami. Pierwsze łóżko, jakie pamiętał, to był ten sam batut, którego użyła donna Gigli w słynnym incydencie Skaczącej Gigli.

Walter Plinge żył operą. Oddychał jej ariami, malował jej dekoracje, zapalał jej światła, mył jej podłogi i czyścił jej buty. Opera wypełniała w nim te miejsca, które inaczej pozostałyby puste.

A teraz ktoś przerwał przedstawienie.

Jednak cała energia, wszystkie spiętrzone emocje wzbierające wraz ze spektaklem — krzyki, lęki, nadzieje i pragnienia — płynęły dalej niczym ciało wyrzucone z wraku.

Ten straszliwy pęd uderzył w Waltera Plinge niczym fala przyływu trafiająca brzeg filizanki.

Poderwał go z krzesła i cisnął na stare dekoracje.

Walter osunął się i zwinął w kłębek na podłodze; zatykał mocno uszy, by nie słyszeć naglej, nienaturalnej ciszy.

Jakaś sylwetka wysunęła się z cienia.

Babcia Weatherwax nigdy nie słyszała o psychiatrii, a gdyby nawet słyszała, nie chciałaby mieć z nią nic wspólnego. Są pewne sztuki czarne nawet dla czarownicy. Praktykowała głowologię — praktykowała tak długo, aż osiągnęła w niej mistrzostwo. I chociaż między psychiatrą a głowologiem może istnieć powierzchowne podobieństwo, w praktyce różnią się zasadniczo. Kiedy psychiatra ma do czynienia z pacjentem, który wierzy, że ściąga go wielki i straszny potwór, będzie się starał go przekonać, że potwory nie istnieją. Babcia da komuś takiemu stołek, żeby na nim stanął, i bardzo gruby kij.

— Wstań, Walterze Plinge — powiedziała.

Walter stanął. Wpatrywał się prosto przed siebie.

— Przerwali! Przerwali! Przerwanie przedstawienia sprowadza nieszczęście! — powtarzał chrapliwie.

— Ktoś powinien znowu je zacząć.

— Nie wolno przerywać przedstawienia! To przedstawienie!

— Tak. I ktoś powinien znowu je zacząć, Walterze Plinge.

Zdawało się, że jej nie słyszy. Bezmyślnie przekładał kartki z nutami, przesuwając stopy dawnych programów. Położył dłoń na klawiaturze fisharmonii i zagrał kilka neurotycznych nut.

— Nie można przerywać. Przedstawienie musi trwać...

— Pan Salzella chce przerwać przedstawienie. Prawda, Walterze?

Walter gwałtownie uniósł głowę. Ciągle patrzył w pustkę przed sobą.

— Niczego nie widziałeś, Walterze Plinge! — powiedział głosem tak podobnym do Salzelli, że babcia aż uniosła brew. — A gdybyś próbował opowiadać jakieś kłamstwa, trafisz do więzienia, a ja dopilnuję, żeby twoja matka miała bardzo poważne kłopoty!

Babcia skinęła głową.

— Dowiedział się o Upiorze, tak? — spytała. — Tym Upiorze, który się pojawia, kiedy ma na twarzy maskę... Prawda, Walterze Plinge? I pomyślał, że może to wykorzystać. A kiedy przyjdzie czas na schwytanie Upiora... to proszę, oto jest Upiór do chwytania. A najlepsze, że wszyscy uwierzą. Będą się czuli winni, ale uwierzą. Nawet Walter Plinge nie będzie pewny, bo jego umysł jest całkiem poplątany.

Babcia nabrała tchu.

— Poplątany, ale nie skrzywiony. — Westchnęła. — No cóż, sprawy muszą się teraz wyjaśnić. Nie ma innego wyjścia.

Zdjęła kapelusz i sięgnęła do jego czubka.

— Mogę ci to powiedzieć, Walterze — rzekła — ponieważ nie zrozumiesz i nie będziesz pamiętał. Żyła kiedyś niegodziwa czarownica, którą nazywali Czarną Aliss. Budziła przerażenie i grozę. Nigdy nie było gorszej niż ona, nigdy nie było potężniejszej. Aż do teraz. Bo widzisz, mogłabym napluć jej w oko i ukraść jej zęby. Ponieważ nie odróżniała Dobra od Zła, wszystko pomieszała i to był jej koniec. Bo widzisz, kiedy umiesz odróżnić Dobro od Zła, to nie możesz wybrać Zła. Nie możesz tak zrobić i żyć dalej. Dlatego... gdybym była złą czarownicą, mogłabym sprawić, że mięśnie Salzelli zwrócą się ku jego kościom i połamią je wszystkie... gdybym była złą czarownicą. Mogłabym sięgnąć mu do głowy i zmienić kształt, w jakim sobie siebie wyobraża, a on padłby na to, co kiedyś było kolanami, i błagał, żeby zamienić go w żabę... gdybym była złą czarownicą. Mogłabym zostawić go z umysłem jak jajecznicę, słuchającego kolorów i słyszającego zapachy... gdybym była złą czarownicą. O tak...

Westchnęła znowu, głębiej i bardziej dramatycznie.

— Ale nie mogę uczynić żadnej z tych rzeczy. Nie byłoby to Słuszne.

Zaśmiała się z wyższością. I gdyby niania Ogg ją słyszała, doszłaby pewnie do wniosku, że żaden obłąkany rechot niesławnej pamięci Czarnej Aliss, żaden groźny chichot

oszałego wampyra, który moralność ceni niżej niż ortografię, żadne zrywanie boków najbardziej pomysłowego z oprawców nie jest tak niepokojące, jak ten śmieszek pełen zadowolenia z siebie w wykonaniu babci Weatherwax zamierzającej zrobić to co najlepsze.

Wyjęła z kapelusza cienką jak papier maskę. Przedstawiała zwykłą twarz — gładką, białą, bez ozdób. Miała półokrągłe otwory na oczy. Nie była ani wesoła, ani smutna.

— Zwykła rzecz, prawda? — powiedziała. — Wygląda pięknie, ale w rzeczywistości to całkiem zwyczajna maska, jak każda inna. Magowie mogliby siedzieć nad nią latami i wciąż twierdzić, że nie ma w niej nic magicznego. Co tylko dowodzi, ile wiedzą, Walterze Plinge.

Rzuciła mu ją. Chwycił zachłannie i założył na twarz.

Potem się płynnie wyprostował. Poruszał się teraz jak tancerz.

— Nie wiem, kim jesteś, kiedy tkwisz za maską — rzekła. — Ale „upiór” to inna nazwa dla ducha, a „duch” to określenie duszy. Ruszaj, Walterze Plinge.

Zamaskowana postać nawet nie drgnęła.

— To znaczy... Ruszaj, Upiorze. Przedstawienie musi trwać.

Maska skinęła jej i Upiór ruszył biegiem.

Babcia klasnęła w ręce, jakby ogłaszała koniec świata.

— Dobrze! Pora na dobry uczynek! — oznajmiła, zwracając się do wszechświata jako całości.

Wszyscy na nią patrzyli.

To był ten moment, ten drobny punkt pomiędzy przeszłością a przyszłością, kiedy sekunda może trwać i trwać...

Agnes poczuła, że rumieniec znowu rusza. Kierował się ku jej twarzy niby zemsta boga wulkanów. Wiedziała, że kiedy tam dotrze, wszystko się skończy.

Przeprosisz, zadrwiła Perdita.

— Cisz! — zawołała Agnes.

Ruszyła naprzód, zanim echo zdążyło powrócić z dalszej części widowni. Szarpnęła za czerwoną maskę.

Cały chór krzyknął, jakby na dany znak. W końcu byli w operze. Przedstawienie się skończyło, ale opera trwała...

— Salzella!

Chwycił Agnes, zaciskając jej dłońią usta. Drugą ręką sięgnął do pasa i wy dobył miecz.

To nie był rekwizyt sceniczny. Ostrze świsnęło, kiedy odwrócił się do chóru.

— Och jej, och jej, och jej — powiedział. — Jakże operowo się zachowałem. Teraz, obawiam się, muszę wziąć tę nieszczęsną dziewczynę jako zakładniczkę. To właściwe postępowanie, nieprawdaż?

Rozejrzał się z tryumfem. Publiczność obserwowwała go w zafascynowanym milczeniu.

— Czy nikt nie powie „Nie ujdzie ci to bezkarnie”? — zapytał.

— Nie ujdzie ci to bezkarnie — odezwał się André zza kulisy.

— Budynek jest otoczony, nie wątpię? — upewnił się wesoło Salzella.

— Owszem, budynek jest otoczony.

Christine krzyknęła i zemdląła.

Salzella uśmiechnął się radośnie.

— Oto ktoś, kto myśli operowo — stwierdził. — Ale widzisz, mam zamiar ujść bezkarnie, ponieważ ja nie myślę operowo. Ja oraz ta młoda dama zejdziemy za chwilę do piwnic, gdzie możliwe, że zostawię ją całą i zdrową. Bardzo wątpię, żebyś zdołał otoczyć podziemia. Nawet ja nie wiem, dokąd prowadzą korytarze, a uważam, że zdobyłem sporą wiedzę...

Przerwał. Agnes próbowała się wyrwać, ale mocniej ścisnął ją za szyję.

— Teraz — rzekł — ktoś powinien zapytać: „Ale dlaczego, Salzella?”. Czy naprawdę sam muszę wszystkiego pilnować?

Kubek uświadomił sobie, że ma otwarte usta.

— Ja właśnie chciałem zapytać! — zawołał.

— Aha, dobrze. Cóż, w takim razie powinienem powiedzieć coś w rodzaju: Bo chciałem. Bo widzicie, dosyć lubię pieniądze. Ale jest też coś więcej... — Nabrał tchu. — Naprawdę nie cierpię opery. Nie chciałbym, żebyście się niepotrzebnie unosili, lecz opera, niestety, jest absolutnie okropna. I miałem jej dosyć. Więc póki mam scenę dla siebie, pozwólcie sobie wyjaśnić, jakaż to nędzna, zapatrzona w siebie, totalnie nierealistyczna i bezwartościowa forma sztuki, jakie to marnotrawstwo pięknej muzyki, jakie...

Coś zafurczało z boku sceny. Zatrzepotały spódnice chórzystek. Wzniósł się kurz.

André odwrócił się... To zaczęła pracować maszyna do wiatru. Korba obracała się sama.

Salzella obejrzał się, by sprawdzić, na co wszyscy patrzą.

Upiór zeskoczył lekko na scenę. Jego operowa peleryna wzdymała się... operowo.

Skłonił się i wydobył miecz.

— Przecież jesteś mar... — zaczął Salzella. — Ach tak! Upiór Upiora! Całkowicie niewiarygodne i obrażające zdrowy rozsądek, zgodnie z najlepszymi tradycjami opery! Doprawdy, to więcej, niż się spodziewałem!

Odepchnął Agnes i radośnie pokiwał głową.

— Oto co opera robi z człowiekiem — stwierdził. — Wyżera mózg, jak widać, choć sądzę, że od początku nie miał go zbyt wiele. Opera doprowadza do obłądu! Obłądu, słyszycie, obłądu!! Ehm... ludzie zachowują się irracjonalnie. Myślicie, że nie obserwowałem was przez lata? To prawdziwa wylęgarnia szaleństwa!! Słyszycie? Szaleństwa!!

On i Upiór zaczęli krążyć wokół siebie.

— Nie wiecie, zapewniam, jakie to życie, być jedynym normalnym człowiekiem w domu wariatów!! Wierzycie we wszystko!! Wolicie uwierzyć, że Upiór może przebywać w dwóch miejscach równocześnie, niż w to, że to po prostu dwóch ludzi!! Nawet Pounder myślał, że może mnie szantażować!! Stale pchał się w miejsca, gdzie nie powinien wchodzić!! Oczywiście, musiałem go zabić, dla jego własnego dobra! Nawet szcurołapy tutaj wariują!! A Undershaft... dlaczego nie mógł jak zwykle zapomnieć swoich okularów? Co?

Pchnął mieczem. Upiór sparował.

— A teraz będę walczył z waszym Upiorem — rzekł, atakując gradem ciosów. — Zauważcie pewnie, że Upiór nie zna się na szermierce... bo opanował tylko walki sceniczne... gdzie cała zabawa polega na tym, by uderzyć w klingę przeciwnika z odpowiednio głośnym szczękiem... a potem skonać dramatycznie tylko dlatego, że tamten ostrożnie wsunął ci ostrze pod pachę...

Upiór odstępował przed natarciem, aż potknął się o nieprzytomną Christine. Upadł na wznak.

— Widzicie!! — zawołał Salzella. — Takie są skutki wiary w operę!!!

Schylił się szybko i zerwał maskę z twarzy Waltera Plinge.

— Doprawdy, Walterze!!! Jesteś bardzo niegrzeczny!!!!

— Przepraszam, panie Salzella!

— Spójrz, jak wszyscy patrzą!!!!

— Przepraszam!

Maska rozpadła się w palcach Salzelli. Pogniecione strzępy, wirując, opadły na podłogę.

Salzella szarpnięciem postawił Waltera na nogi.

— Widzicie wszyscy? To jest wasza maskotka!!! To jest wasz Upiór!!! Bez maski staje się zwykłym idiotą, który nawet butów zasnurować nie potrafi!!! Ahahaha!!!! Ehm... To wszystko twoja wina, Walterze Plinge...

— Tak, panie Salzella!

— Nie.

Salzella rozejrzał się.

— Nikt by nie uwierzył Walterowi Plinge. Nawet Walter Plinge nie jest pewien rzeczy, które Walter Plinge widzi. Nawet jego matka obawiała się, że mógł mordować. Ludzie skłonni są podejrzać Waltera Plinge o wszystko.

Głosowi z dołu towarzyszyło jednostajne stukanie.

Obok Salzelli otworzyła się kłapa w podłodze.

Z otworu powoli wynurzył się spiczasty kapelusz, a po nim reszta babci Weatherwax z rękami skrzyżowanymi na piersi. Przestała stukać nogą o deski, gdy fragment podłogi opadł na miejsce.

— No, no... — powiedział Salzella. — Lady Esmeralda, co?
— Przestałam już być lady, panie Salzella.
Zerknął na jej kapelusz.
— I teraz jest pani czarownicą?
— W samej rzeczy.
— Złą czarownicą, jak sądzę?
— Gorzej.
— Ale to — rzekł Salzella — jest miecz. Wszyscy wiedzą, że czarownice nie potrafią z czarować żelaza ani stali. Z drogi!!!
Klinga świsnęła.
Babcia wyciągnęła rękę. Zamigotała stal przesłonięta ciałem i...
...babcia trzymała miecz za ostrze.
— Wie pan co, panie Salzella? — odezwała się spokojnie. — Wszystko zakończyć powinien Walter Plinge. To jego pan skrzywdził, poza tymi, których pan zamordował, oczywiście. Nie musiał pan. Ale nosił pan maskę, prawda? W maskach ukryta jest pewna magia. Zasłaniają twarz, ale odkrywają inną. Tę, która ujawnia się tylko w ciemności. Założę się, że w masce mógł pan robić wszystko, na co przyszła panu ochota...
Salzella zamrugnął zdziwiony. Pociągnął za miecz, mocno szarpnął ostrą klingą trzymaną w nieosłoniętej dłoni...
Kilku członków chóru jęknęło głośno. Babcia uśmiechnęła się tylko. Kostki jej pobieły, kiedy ścisnęła mocniej.
Obejrzała się na Waltera Plinge.
— Załóż maskę, Walterze.
Wszyscy spojrzeli na pognieciony karton na podłodze.
— Już jej nie mam, pani Weatherwax!
Babcia zobaczyła, na co patrzy.
— Och, jej, co za nieszczęście — westchnęła. — Coś trzeba będzie na to poradzić.
Spójrz na mnie, Walterze.
Spełnił polecenie. Babcia przymknęła oczy.
— Ufasz Perdicie... prawda, Walterze?
— Tak, pani Weatherwax!
— To dobrze, Walterze Plinge, ponieważ ona ma dla ciebie nową maskę. Jest taka jak poprzednia, ale zakłada się ją pod skórę, nie trzeba zdejmować. I nikt oprócz ciebie nie musi wiedzieć, że jąnosisz. Masz ją, Perdito?
— Ale ja... — zaczęła Agnes.
— Masz ją?
— Eee... Tak. Tu jest. Tak. Trzymam w ręku. — Niepewnie machnęła pustą dłonią.
— Trzymasz ją odwrotnie, dziewczyno!

— Oj, przepraszam.

— Już dobrze? Podaj mu.

— Już. Tak.

Agnes zbliżyła się do Waltera.

— Odbierz maskę, Walterze — poleciła babcia, wciąż ściskając miecz.

— Tak, pani Weatherwax.

Wyciągnął rękę do Agnes. A kiedy ją cofał, była pewna, że przez krótką chwilę czuła delikatny nacisk na czubki palców.

— No? Załóż.

Walter wahał się.

— Wierzysz, że trzymasz maskę. Prawda, Walterze? — zapytała babcia. — Perdita jest rozsądna i umie poznać niewidzialną maskę. Zna się na tym.

Wolno pokiwał głową i podniósł dłonie do twarzy.

Agnes miała wrażenie, że nagle się wyostrzył. Z pewnością nie zaszło nic, co można by zmierzyć dowolnym instrumentem — jak nie można zważyć idei ani sprzedawać szczęścia na łokcie. Ale Walter wyprostował się i uśmiechnął lekko.

— Dobrze — pochwaliła go babcia. Popatrzyła groźnie na Salzellę. — Uważam, że powinniście walczyć jeszcze raz. Ale nikt nie powie, że nie jestem sprawiedliwa. Spodziewam się, że ma pan przy sobie maskę Upiora? Pani Ogg widziała, jak pan nią wymachuje. Nie jest taka tępa, na jaką wygląda...

— Dziękuję ci uprzejmie — obruszyła się gruba balerina.

— ...i zastanowiła się, skąd ludzie mają pewność, że widzieli Upiora? Bo go rozpoznają po masce. Czyli muszą istnieć dwie maski.

Pod jej spojrzeniem, tłumacząc sobie, że przecież może odmówić, jeśli tylko zechce, Salzella sięgnął do kieszeni i wyjął własną maskę.

— Proszę ją włożyć. — Babcia puściła ostrze. — Wtedy ten, którym pan jest, będzie mógł walczyć z tym, którym jest on.

W dole, w kanale, perkusista patrzył bezradnie, jak jego pałeczki wznoszą się i wybijają werbel.

— Ty to robisz, Gytho? — spytała babcia Weatherwax.

— Myślałam, że ty.

— W takim razie to opera. Przedstawienie musi trwać.

Walter Plinge podniósł miecz. Zamaskowany Salzella spojrział na niego, potem na babcie... i zaatakował.

Szczęknęły klingi.

Agnes uświadomiła sobie, że oba Upiory toczą sceniczny pojedynek. Miecze dzwoniły i szczękały, walczący tańczyli tam i z powrotem po scenie. Walter nie próbował trafić Salzelli. Każde pchnięcie było odparowane. Każda okazja kontrataku — gdy dyrektor muzyczny zaczął odczuwać zmęczenie — zignorowana.

— To nie jest walka! — krzyknął Salzella i cofnął się. — To...

Walter pchnął.

Salzella zatoczył się na nianię Ogg. Utykając, odszedł na bok. Potem zatoczył się do przodu, opadł na kolano, wstał chwiejnie i, zataczając się ciągle, dotarł na środek sceny.

— Cokolwiek mnie czeka — wydyszał — nie będzie gorsze od kolejnego sezonu w operze!!!! Nieważne, gdzie trafię, byle nie było tam grubych mężczyzn udających szczupłych chłopców!!!! I żadnych długich i głośnych pieśni, którymi wszyscy się zachwycają tylko dlatego, że nie mają pojęcia, o czym jest mowa!!!! Ach... aargh...

Osunął się na podłogę.

— Przecież Walter go... — zaczęła Agnes.

— Cicho bądź! — szepnęła niania samym kącikiem ust.

— Ale on nie... — spróbował Kubeł.

— A jest też druga rzecz, której nienawidzę w operze — powiedział Salzella, wstając. Zachwiał się i poleciał na bok, w stronę kulisy. — To fabuły. Nie mają sensu!! Ale nikt tego głośno nie powie!!! A gra aktorska? Nie istnieje!! Wszyscy stoją dookoła i gapią się na osobę, która śpiewa. Na bogów, to prawdziwa ulga, że się od tego uwolniłem... ach... argh...

Upadł na podłogę.

— To już koniec? — spytała niania.

— Nie przypuszczam — mruknęła babcia Weatherwax.

— A co do ludzi, którzy przychodzą do opery — powiedział Salzella, wstając znowu z wysiłkiem i zataczając się w bok — myślę, że może ich nienawidzę jeszcze bardziej!!! To tacy ignoranci!!! Rzadko który wie cokolwiek o muzyce!!! Gadają o melodiach!!! Cały dzień starają się być ludźmi rozsądnymi, a potem wchodzą tutaj i odwieszają inteligencję na gwóźdź przy drzwiach...

— Dlaczego pan nie odszedł? — spytała Agnes. — Jeśli ukradł pan tyle pieniędzy, czemu pan gdzieś nie wyjechał, skoro tak bardzo pan tego nienawidzi?

Salzella patrzył na nią, kołysząc się w przód i w tył. Raz czy dwa otworzył i zamknął usta, jakby bezgłośnie próbował powtórzyć obce słowa.

— Odejść? — wykrztusił w końcu. — Odejść? Opuścić operę? Argh, argh, argh...

Znów runął na podłogę.

André szturchnął ciało.

— Czy już umarł?

— Jak mógł umrzeć? — zirytowała się Agnes. — Wielcy bogowie, czy nikt nie widzi, że...

— A wiecie, co mnie naprawdę dobija? — spytał Salzella, unosząc się na kolana. — To, że w operze każdy potrzebuje tyle!!!!!!... czasu!!!!!!... żeby!!!!!!... argh... argh... argh...

Upadł.

Zespół czekał jeszcze. Publiczność grupowo wstrzymała oddech.

Niania Ogg trąciła Salzellę butem.

— Tak, to chyba wszystko — stwierdziła. — Wygląda na to, że po raz ostatni wyszedł przed kurtynę.

— Przecież Walter go nie trafił! — zawołała Agnes. — Czemu nikt mnie nie słucha? Patrzcie, ten miecz go nie przebił! On go tylko trzyma pod pachą!

— Tak — zgodziła się niania. — Naprawdę szkoda, że tego nie zauważył. — Podrapała się po ramieniu. — Wiecie, te kostiumy baletowe strasznie łaskoczą...

— Ale on nie żyje!

— Pewnie za bardzo się zdenerwował. — Niania usiłowała odpiąć pasek.

— Zdenerwował?

— Rozgorączkował. Znasz artystów... Zresztą sama do nich należysz, oczywiście.

— Naprawdę nie żyje? — upewnił się Kubeł.

— Na to wygląda — potwierdziła babcia. — Głowę dam, że to jedna z najlepszych śmierci w historii opery.

— To straszne! — Kubeł chwycił byłego Salzellę za kołnierz i postawił na nogi. — Gdzie są moje pieniądze? No dalej, gadaj, co zrobiłeś z moimi pieniędzmi!!! Nie słyszę!!!! On nic nie mówi!!!

— Bo jest martwy — wyjaśniła babcia. — Zmarli nie są zbyt rozmowni. Z zasady.

— Ale pani jest czarownicą!!! Może pani zrobić jakąś sztuczkę z kartami i kieliszkami!!!

— No, właściwie... moglibyśmy zagrać w pokera — uznała niania. — Dobry pomysł.

— Pieniądze są w piwnicy — poinformowała babcia. — Walter panu pokaże.

Walter Plinge stuknął obcasami.

— Oczywiście — zapewnił. — Z przyjemnością.

Kubeł wytrzeszczył oczy. Był to głos Waltera Plinge i wydobywał się z ust na twarzy Waltera Plinge, ale i twarz, i głos były inne. Subtelnie różniły się od dawnych. Głos stracił odcień niepewności i lęku. Z twarzy zniknęło skrzywienie...

— Coś podobnego... — mruknął Kubeł i puścił kołnierz Salzelli. Ciało uderzyło głucho o deski.

— A że będzie panu potrzebny nowy dyrektor muzyczny — dodała babcia — łatwo może pan trafić gorzej niż z tym tutaj Walterem.

— Walterem?

— Wie wszystko o operze. I o gmachu Opery.

— Powinien pan zobaczyć, jaką pisze muzykę... — wtrąciła niania.

— Walter? Dyrektorem muzycznym? — powtarzał Kubeł.

— ...można naprawdę sobie nucić...

— Tak. Będzie pan zaskoczony.

— ...jest taka, gdzie dużo marynarzy tańczy i śpiewa, że nie ma kobiet...

— Chodzi o Waltera? Dobrze rozumiem?

— ...i w teatrze jedna dziewczyna występuje za inną...

— Tak, to Walter — zapewniła babcia. — Ta sama osoba.

— ...i jeszcze takie, naprawdę świetne, jak koty skaczą dookoła i śpiewają, bardzo zabawne — paplała niania. — Naprawdę nie mam pojęcia, skąd ma takie pomysły...

Kubeł podrapał się po brodzie. I tak już kręciło mu się w głowie.

— Jest też godny zaufania — mówiła babcia. — I uczciwy. Jak wspomniałam, doskonale zna gmach Opery. A także... wie, gdzie jest wszystko...

Dla Kubła tyle wystarczyło.

— Chcesz zostać dyrektorem muzycznym, Walterze?

— Dziękuję, panie Kubeł — odparł Walter Plinge. — Bardzo bym chciał. Ale co z czyszczeniem wygódek?

— Słucham?

— Nie będę musiał przestać ich czyścić? Bo w końcu zaczęły działać jak należy.

— Tak? No cóż... naprawdę? — Kubeł na chwilę zrobił zeza. — No świetnie. Możesz śpiewać, kiedy się tym zajmujesz — dodał łaskawie. — I nawet nie zmniejszę ci pensji! Ja... dam ci podwyżkę! Sześć... Nie, siedem błyszczących dolarów!

Walter potarł dłonią policzek.

— Panie Kubeł...

— Tak, Walterze?

— Wydaje mi się, że pan Salzella dostawał czterdzieści błyszczących dolarów.

Kubeł zwrócił się do babci.

— Czy to jakiś potwór?

— Niech pan tylko posłucha, jaką pisze muzykę — mówiła niania. — Świetne piosenki, nawet nie po zagranicznemu. Niech pan tylko popatrzy... Przepraszam...

Odwróciła się plecami do widowni...

...twing, twang, twong...

i z powrotem, tym razem trzymając plik papieru nutowego.

— Potrafię rozpoznać dobrą muzykę — zapewniła, wręczając plik Kubłowi i w podnieceniu wskazując palcem fragmenty. — Wszędzie są kleksy i te zawinięte kawałki, widać pan?

— Ty napisałeś tę muzykę? — zwrócił się Kubeł do Waltera. — Muzykę, która z nieznanых przyczyn jest dziwnie ciepła?

— Istotnie, panie Kubeł.

— W godzinach pracy?

— Jest tu taka śliczna piosenka — opowiadała niania. — „Nie czekaj mnie w Genoi”. Bardzo smutna. Co mi przypomina, że powinnam iść sprawdzić, czy pani Plinge już

wróciła do się... to znaczy, czy się obudziła. Może trochę przesadziłam z jabłkownikiem. — Odeszła, poprawiając elementy kostiumu. Po drodze szturchnęła zafascynowaną baletnicę. — Od tych tańców to się człowiek nie spoci, nie uważasz?

— Przepraszam, ale jest coś, w co ciągle nie mogę uwierzyć — rzekł André. Podniósł miecz Salzelli i sprawdził ostrze. — Au... — syknął.

— Ostre, co? — spytała Agnes.

— Tak. — André ssał kciuk. — A ona złapała je w rękę!

— Jest czarownicą — przypomniała Agnes.

— Ale to stal! Przecież nikt nie może zaczarować stali. Wszyscy o tym wiedzą!

— Nie dziwiłabym się tak na twoim miejscu — powiedziała kwaśnym tonem Agnes.

— To pewnie zwykła sztuczka.

André zwrócił się do babci.

— Pani dłoń nie jest nawet skaleczona! Jak... pani...

Jej spojrzenie trzymało go przez moment niczym w szafirowym, imadle. Kiedy się odwrócił, minę miał lekko zdziwioną — jak człowiek, który nie może sobie przypomnieć, gdzie coś położył.

— Mam nadzieję, że nie zranił Christine — wymamrotał. — Dlaczego nikt się nią nie zajmuje?

— Pewnie dlatego że ona zawsze pamięta, by krzyknąć i zemdleć, zanim cokolwiek się stanie — odpowiedziała Perdita ustami Agnes.

André ruszył w poprzek sceny. Agnes wlokła się za nim. Kilka tancerek klęczało przy Christine.

— Byłoby straszne, gdyby coś się jej stało — powiedział André.

— O tak...

— Wszyscy twierdzą, że świetnie się zapowiada...

Walter stanął obok niego.

— Tak. Trzeba ją gdzieś przenieść — rzucił. Mówił wyraźnie i precyzyjnie.

Agnes poczuła, że z jej świata odrywa się dno.

— Ale przecież... wiesz, że to ja śpiewałam.

— No tak... tak, oczywiście — przyznał zakłopotany André. — Ale... to jest opera... no wiesz...

Walter ujął ją za rękę.

— Mnie uczyłeś, nie ją! — oświadczyła zrozpaczona.

— W takim razie byłeś bardzo dobra — przyznał. — Podejrzewam, że ona nie będzie taka nawet w przybliżeniu, mimo wielu miesięcy moich nauk. Ale, Perdito, słyszałaś kiedyś określenie „potencjał gwiazdy”?

— Czy to jest to samo co „talent”? — rzuciła gniewnie Agnes.

— Coś rzadszego.

Popatrzyła na Waltera. Twarz, choć panował nad nią, miał całkiem miłą w blasku świateł przed sceną. Wyrwała mu dłoń.

— Bardziej cię lubiłam, kiedy byłeś Walterem Plinge! — powiedziała.

Odwrociła się i poczuła na sobie wzrok babci Weatherwax. Była pewna, że to drwiący wzrok.

— Ehm... Lepiej przenieśmy Christine do gabinetu pana Kubła — zaproponował André.

Te słowa jak gdyby złamały czar.

— Rzeczywiście!!! — zawołał Kubeł. — Nie możemy też zostawić pana Salzelli, żeby grał trupa na scenie. Wy dwaj, wynieście go za kulisy. Reszta... cóż, i tak się już prawie kończyło... no... Tak jest. Opera skończona.

— Walterze!

Wróciła niania Ogg, podtrzymująca panią Plinge. Matka Waltera przyglądała mu się podejrzliwie.

— Byłeś niegrzecznym chłopcem? — spytała.

Kubeł podszedł i poklepał ją po ręce.

— Chyba lepiej, żeby pani też zajrzała do mojego gabinetu — zaproponował.

Plik nut przekazał André, który otworzył je całkiem losowo. Z początku rzucił tylko okiem, ale nuty wyraźnie go zainteresowały.

— Chwileczkę... to dobre — stwierdził.

— Naprawdę?

André zajrzał na następną stronę.

— Na bogów!

— Co? Co? — dopytywał się Kubeł.

— Jeszcze nigdy... Znaczy, nawet ja widzę... tum-ti TUM tum-tum... Tak... Panie Kubeł, wie pan, że to nie jest opera? Owszem, ma muzykę i... tak, śpiewy i tańce, ale to nie opera. Wcale nie opera. To jest bardzo dalekie od opery.

— Jak dalekie? Chcesz powiedzieć... — Kubeł umilkł, przez chwilę rozkoszując się samą myślą. — Chcesz powiedzieć, że jest możliwe, by wkładać tam muzykę, a wyciągać pieniądze?

André zanucił kilka taktów.

— To bardzo możliwe, panie Kubeł.

Właściciel Opery się rozpromienił. Objął ramieniem André, a drugim Waltera.

— Doskonale!!!! — oświadczył. — Z tej okazji zapraszam was na wiel... na średnich rozmiarów drinka.

Jeden po drugim, czasem grupkami, śpiewacy i tancerze opuścili scenę. Pozostały tylko czarownice i Agnes.

— To już wszystko? — spytała Agnes.

— Niezupełnie — odparła babcia.

Ktoś wszedł chwiejnie na scenę. Jakaś miłosierna dłoń obandażowała głowę Enrica Basiliki, a inna, zapewne również miłosierna, podała mu talerz spaghetti. Wciąż wydawał się trochę oszołomiony po wstrząsie. Zamrugał, widząc czarownicę; przemówił jak człowiek, który stracił z oczu niedawne wydarzenia, więc trzyma się mocno tego, co wie na pewno.

— Ktoś dał mie ghetti — powiedział.

— To miło — przyznała niania Ogg.

— Ha! Ghetti jest dobre dla takich, co lubią, ale nie dla mie. Tak!

Odwrocił się i spojrzął zamglonym wzrokiem w ciemność widowni.

— Wiecie, co teraz zrobię? Wiecie co? Powiem „Żegnaj” Enrico Basilice! O tak. Zjadł już swoją ostatnią mackę! — Nabierał wigoru. — Zaraz stąd wyjdę i zamówię osiem kufli prawdziwego turbota. Tak jest! I pewnie jeszcze kiełbaskę w bułce. Potem udam się do Muzyk Halu i posłucham, jak Nellie Stamp śpiewa „Co nam z małżym, kiedy igły ci brak”. A jeżeli kiedyś jeszcze tu wystąpię, to pod własnym, dumnym imieniem Henry’ego Slugga, słyszycie...?

Na widowni zabrzmiał głośny pisk.

— Henry Slugg?! —

— No... tak.

— Tak sobie myślałam, że to ty! Zapuściłeś brodę i wcisnąłeś do spodni stóg siana, ale od razu mi się wydawało, że pod tą maską to mój Henry, jak nic!

Henry Slugg osłonił oczy od światła sceny.

— Angelina!

— Nie, nie... — westchnęła Agnes. — Takie rzeczy się nie zdarzają.

— W teatrze zdarzają się co chwila — zapewniła ją niania.

— To prawda — zgodziła się babcia. — Prawdziwe szczęście, że on nie ma dawno zaginionego brata bliźniaka.

Na widowni ktoś przeciskał się między rzędami, ciągnąc za sobą kogoś innego.

— Mamo! — zabrzmiał głos w mroku. — Co ty robisz?

— Po prostu chodź ze mną, młody Henry!

— Mamo, nie możemy wejść na scenę!

Henry Slugg jak dyskiem cisnął talerzem w kulisy, zbiegł, po czym z pomocą dwóch skrzypków podciągnął się na brzeg kanału orkiestry.

Spotkali się przy pierwszym rzędzie siedzeń. Agnes słyszała ich głosy.

— Chciałem wrócić. Wiesz przecież!

— Chciałam zaczekać, ale te czy inne przypadki... zwłaszcza te. Podejdz tu, młody Henry...

— Mamo, co się dzieje?

— Synu... pamiętasz, zawsze ci mówiłam, że twoim ojcem był pan Lawsy, zongler węgorzy?

— Tak, oczywiście...

— Proszę, chodźcie oboje do mojej garderoby! Widzę, że mamy wiele do opowiadania.

— O tak. Bardzo wiele.

Odeszli. Publiczność klaskała — potrafiła docenić operę, nawet kiedy nikt nie śpiewał.

— No dobrze — powiedziała Agnes. — Czy teraz to już koniec?

— Prawie — zgodziła się babcia.

— Czy zrobiliście coś z głowami ich wszystkich?

— Nie, ale miałam ochotę palnąć kilka.

— Nikt nawet nie powiedział „dziękuję” ani nic...

— Często się zdarza — stwierdziła babcia.

— Myśleli już tylko o następnym spektaklu — wyjaśniła niania. — Przedstawienie musi trwać — dodała.

— Ale... ale to jakiś obłąd...

— To opera. Zauważyłam, że nawet pan Kubeł się zaraził. Ten młody André chyba został ocalony od kariery policjanta, jeśli mogę to ocenić.

— A co ze mną?

— Och, ci, co tworzą zakończenia, sami ich nie zaznają — odparła babcia, strzepując niewidoczny pyłek z ramienia. — Myślę, że pora nam wracać, Gytho. — Odwróciła się plecami do Agnes. — Jutro rano ruszamy.

Niania przeszła na brzeg sceny. Osłaniając oczy od światła, spojrzała w czarną paszczę sali.

— Wiesz co? Publiczność jeszcze nie poszła. Ciągłe tam siedzą.

Babcia podeszła do niej.

— Nie rozumiem dlaczego — zdziwiła się. — Przecież powiedział, że opera skończona.

Odwróciły się obie i popatrzyły na Agnes, która stała w samym centrum i dąsała się na nikogo.

— Trochę jesteś zła? — spytała niania. — Nie ma się czemu dziwić.

— Tak!

— Masz uczucie, że wszystko stało się dla innych, a nie dla ciebie?

— Tak!

— Ale — wtrąciła babcia — spójrz na to z innej strony. Na co może liczyć Christine? Zostanie tylko śpiewaczką. Utknie w swoim małym świecie. Jasne, może okaże się dobra i zyska odrobinę sławy, ale pewnego dnia głos ją zawiedzie i to będzie koniec jej życia.

Ty masz wybór. Możesz albo zostać na scenie, jako zwykła artystka wyśpiewująca swoje wersy... Albo możesz żyć poza sceną, wiedzieć, jaki jest scenariusz, gdzie wiszą dekoracje, gdzie są klapy... Czy to nie lepsze?

— Nie!

Co naprawdę złościło u niani Ogg i babci Weatherwax, jak potem uznała Agnes, to że czasami działały w tandemie, nie zamieniając wcześniej nawet słowa. Oczywiście, miały też inne irytujące cechy: wtrącania się nigdy nie uważały za wtrącanie, jeśli one to robiły; automatycznie zakładały, że cudze sprawy są ich sprawami; szły przez życie zawsze w linii prostej; a kiedy zastawały gdzieś dowolną sytuację, natychmiast zaczynały ją zmieniać. W porównaniu z tym wszystkim zgodne działanie bez wcześniejszych ustaleń było jedynie drobnym powodem do irytacji, ale zdarzyło się właśnie teraz i blisko.

Podeszły do niej obie i każda położyła jej dłoń na ramieniu.

— Rozgniewana? — spytała babcia.

— Tak!

— Na twoim miejscu wyrzuciłabym to z siebie — poradziła niania.

Agnes zamknęła oczy, zacisnęła dłonie w pięści, otworzyła usta i wrzasnęła.

Zaczęła nisko. Gipsowy pył posypał się z sufitu. Kryształki na żyrandolu wibrowały, dźwięcząc delikatnie.

Krzyk wznosił się, szybko mijając tę tajemniczą wysokość czternastu cykli na sekundę, kiedy to ludzki umysł zaczyna odczuwać wyraźny niepokój w kwestii wszechświata i miejsca w nim dla własnych jelit. Niewielkie przedmioty w całym gmachu Opery drżały, spadały z półek i rozbijały się na podłodze.

Głos wznosił się jeszcze, zadźwięczał jak dzwon, potem wznosił się znowu. W kanale orkiestry struny skrzypiec strzelały jedna po drugiej.

Jeszcze wyżej, i zadygotały kryształy żyrandola. W barze salwą wypaliły korki szampana. Kostki lodu w wiaderku zadzwoniły i rozpadły się. Stojące rzędem kieliszki dołączyły do chóru, zmętniały na brzegach i eksplodowały niczym grządka samobójczych kwiatów.

Wibracje i echa wywoływały dziwne skutki. W garderobie numer trzy rozpuściła się szminka. Pękły lustra, milionami rozbitych odbić wypełniając salę baletu.

Wznosił się kurz, spadały owady. W kamieniach murów gmachu Opery maleńkie cząsteczki kwarcu zatańczyły przez moment...

Potem zapadła cisza, zakłócana tylko z rzadka stukiem czy brzękiem.

Niania uśmiechnęła się szeroko.

— No — rzekła. — Teraz opera się skończyła.

Salzella otworzył oczy.

Scena była pusta i ciemna, a równocześnie zalana światłem. Inaczej mówiąc, potężny bezcieniowy blask padał z jakiegoś niewidocznego źródła, jednak oprócz samego Salzelli nie miał czego oświetlać.

W oddali zabrzmiały kroki. Idący nie spieszył się, ale gdy w końcu wstąpił w to płynne światło wokół Salzelli, jakby stanął w płomieniach.

Nosił się na czerwono: czerwony kostium z koronką, czerwone buty z rubinowymi klamrami, kapelusz z szerokim rondem, także czerwony i ozdobiony wielkim czerwonym piórem. Podpierał się nawet długą czerwoną laską strojną w czerwone wstążki. Ale jak na kogoś, kto zadał sobie tyle trudu w doborze kostiumu, okazał wyjątkową niedbałość w kwestii maski. Był to prymitywny wizerunek czaszki, jaki można kupić w przyteatralnym sklepiku — Salzella zauważył nawet sznurek.

— Gdzie wszyscy poszli? — zapytał. Przykre wspomnienia z niedawnych chwil zaczynały wynurzać się z głębin umysłu. Chwilowo nie potrafił sobie przypomnieć wszystkiego, ale nie wyglądało to dobrze.

Przybysz milczał.

— Gdzie jest orkiestra? Co się stało z publicznością?

Wysoki osobnik w czerwieni ledwie dostrzegalnie wzruszył ramionami.

Salzella zaczął zauważać inne szczegóły. To, co uznał za scenę, chrzęściło pod nogami jak żwir. Sufit znajdował się bardzo daleko w górze, może tak daleko, jak to tylko możliwe; pokrywały go zimne, ostre świetlne punkty.

— Zadałem ci pytanie!

WŁAŚCIWIE NAWET TRZY PYTANIA.

Słowa zabrzmiały po wewnętrznej stronie uszu Salzelli, bez najlżejszej sugestii, że musiały pokonać drogę zwykłego dźwięku.

— Nie odpowiedziałeś!

PEWNE KWESTIE MUSISZ SAM ROZSTRZYGNĄĆ. A WIERZ MI, TO WŁAŚNIE JEDNA Z NICH.

— Kim jesteś? Na pewno nie należysz do zespołu! Zdejmij tę maskę!

JAK SOBIE ŻYCZYSZ. LUBIĘ SIĘ WCZUWAĆ W ROLĘ.

Przybysz zdjął maskę.

— A teraz zdejmij tę drugą! — zażądał Salzella. Lodowate palce lęku sięgnęły mu do serca.

Śmierć dotknął zamaskowanego przycisku na kiju. Wskoczyło ostrze tak cienkie, że aż przezroczyste. Krawędź migotała błękitem, gdy rozcinało molekuly powietrza na pojedyncze atomy.

NO CÓŻ, powiedział, wznosząc kosę. PRYZNAM, ŻE TU MNIE MASZ.

W piwnicach było ciemno, ale niania Ogg wędrowała samotnie przez tajemnicze jaskinie pod Lancre, a także nocą przez las w towarzystwie babci Weatherwax. W nikim z Oggów ciemność nie mogła budzić lęku.

Zapaliła zapalkę.

— Greebo?

Przez długie godziny ludzie chodzili tędy tam i z powrotem i ciemność nie była już tajemnicza. Ludzie musieli choćby wynieść stąd wszystkie pieniądze. Aż do końca opery było w tych piwnicach coś niezwykłego. Teraz stały się tylko... no... wilgotnymi pomieszczeniami pod ziemią. Coś, co tu żyło, przeniosło się gdzie indziej.

Pod stopą zagrzechotał kawałek glinianego naczynia.

Sapnęła i przyklęknęła na jedno kolano. Ziemię pokrywało rozchlapane błoto i szczątki doniczek. Tu i tam, wyrwane i połamane, leżały martwe gałązki.

Tylko dureń mógłby pod ziemią wtykać kawałki drewna w błoto i liczyć, że coś wyrośnie.

Podniosła jedną gałązkę i powąchała ostrożnie. Pachniała błotem. I niczym więcej.

Chciałaby wiedzieć, jak to zrobił. Zawodowe zainteresowanie, oczywiście, nic więcej. Rozumiała też, że nigdy się nie dowie. Walter był teraz człowiekiem zapracowanym, działającym w pełnym świetle. A żeby coś się zaczęło, coś innego musi się skończyć.

— Wszyscy nosimy maski, takie albo inne — oświadczyła, zwracając się do wilgotnego powietrza. — Nie ma sensu teraz wszystkiego wywracać...

Dylizans odjeżdżał dopiero o siódmej rano. Według standardów Lancre, było to prawie południe. Czarownice zjawiły się wcześniej.

— Miałam nadzieję, że kupię jakieś pamiątki — powiedziała niania, tupiąc głośno, by się rozgrzać: — Dla dzieciaków.

— Nie ma czasu — odparła babcia Weatherwax.

— To zresztą bez znaczenia, bo i tak nie mam już pieniędzy na kupowanie — mówiła dalej niania.

— Nie moja wina, że wszystko przehulałaś.

— Nie przypominam sobie ani jednej okazji do hulania.

— Pieniądze są użyteczne tylko dzięki temu, co można z nimi osiągnąć.

— Wiesz, na początek chętnie bym osiągnęła nowe buty.

Niania poskakała chwilę, gwizdząc wokół zęba.

— To miło, że pani Palm pozwoliła nam mieszkać u siebie za darmo — powiedziała.

— Tak.

— Oczywiście, pomagałam jej. Grałam na fortepianie i opowiadałam żarty.

— Dodatkowa korzyść. — Babcia kiwnęła głową.

— I jeszcze wszystkie te przekąski, które szykowałam. Ze Specjalnym Dipem Bankietowym.

— Rzeczywiście. — Babcia demonstrowała twarz pokerzysty. — Dziś rano pani Palm mówiła, że myśli o przejściu na emeryturę w przyszłym roku.

Niania raz jeszcze rozejrzała się po ulicy.

— Młoda Agnes zjawi się pewnie lada chwila — rzekła.

— Naprawdę nie mam pojęcia — odparła z godnością babcia.

— W końcu co ją tu czeka?

Babcia pociągnęła nosem.

— To już tylko od niej zależy.

— Wszystkim bardzo zaimponowało, kiedy złapałaś ten miecz gołą ręką...

Babcia westchnęła.

— Jasne. Tego się po nich można spodziewać. Nie potrafią rozsądnie myśleć i tyle. Ludzie tu są leniwi. Nie przyjdzie im nawet do głowy, że może miałam w ręku kawałek metalu albo co. W ogóle nie podejrzewają, że to sztuczka. Nie pomyślą, że zawsze jest jakieś rozsądne wytłumaczenie i trzeba je tylko znaleźć. Uważają pewnie, że zastosowałam magię.

— Niby racja, ale... Nie miałaś niczego w ręku, prawda?

— Nie o to chodzi. Mogłam mieć. — Babcia rozejrzała się na wszystkie strony.
— Poza tym nie da się zaczarować żelaza.

— Szczera prawda. Żelaza się nie da. Chociaż... ktoś taki jak Czarna Aliss potrafiłby zmienić swoją skórę, żeby była mocniejsza niż stal. Ale to pewnie tylko legenda.

— Potrafiła, zgadza się. Ale nie można tak sobie grzebać w zależnościach przyczyn i skutków. To właśnie pchnęło ją w obłąd tuż przed końcem. Uważała, że potrafi się postawić poza takimi sprawami jak przyczyna i skutek. No więc to niemożliwe. Kiedy łapiesz miecz za ostrze, to odnosisz ranę. Gdyby ludzie o tym zapominali, świat stałby się strasznym miejscem.

— Ale ty nie byłaś ranna...

— Nie moja wina. Nie miałam czasu.

Niania chuchnęła w dłoń.

— Jedno się udało — powiedziała. — Żyrandol nie spadł. Martwiłam się o to, jak tylko go zobaczyłam. Za dramatycznie wyglądał, żeby miało mu to wyjść na dobre. Pierwsza rzecz, jaką bym strąciła, gdybym była wariatką.

— Tak.

— Nie mogłam znaleźć Greeba. Od wczorajszego wieczoru...

— Dobrze.

— Ale zawsze w końcu wraca.

— Niestety.

Zastukały podkowy i dylizans wyjechał z za zakrętu.

Zatrzymał się.

Woźnica szarpnął lejce, zawrócił ostro i zniknął znowu.

— Esme... — odezwała się po chwili niania.

— Tak?

— Jakiś człowiek i dwa konie wyglądają z za rogu. — Podniosła głos. — Chodźcie! Wiem, że tam jesteście! Już siódma, dylizans powinien odjeżdżać! Masz bilety, Esme?

— Ja?

— Aha — mruknęła smętnie niania. — Czyli nie mamy osiemdziesięciu dolarów na bilety?

— A co masz wciśnięte za gumkę? — spytała babcia.

Powóz zbliżał się ostrożnie.

— Obawiam się, że nic, co byłoby legalnym środkiem płatniczym dla celów podróży.

— W takim razie... nie, nie stać nas na bilety.

Niania westchnęła.

— Co tam, wykorzystam swój urok.

— Czeką nas długa droga piechotą — stwierdziła babcia.

Dylizans podjechał. Niania z niewinnym uśmiechem podeszła do woźnicy.

— Dzień dobry, mój panie!

Obrzucił ją trochę lęklwym, ale przede wszystkim podejrzliwym wzrokiem.

— A jest dobry?

— Żywimy pragnienie podróży do Lancre, niestety jednak sytuacja nasza jest dość kłopotliwa w regionie bieliźnianym.

— A jest?

— Ale jesteśmy czarownicami i możemy chyba zapłacić za podróż, na przykład leżąc wszelkie krępujące dolegliwości, jakie mogłyby ci dokuczać.

Woźnica zmarszczył brwi.

— Nie zabiorę was za darmo, staruchy. I nie mam żadnych krępujących dolegliwości.

Zbliżyła się babcia.

— A ile chciałbyś mieć? — zapytała.

Deszcz szumiał na równinach. Nie była to przerażająca, ramtopowa burza z piorunami, ale leniwy, natrętny deszcz z nisko zawieszonych chmur, podobny raczej do utuczonej mgły. Towarzyszył im przez cały dzień.

Czarownice miały powóz tylko dla siebie. Kilka osób otwierało drzwiczki, kiedy czekały na odjazd, ale z jakiejś przyczyny wszyscy chętni uznawali nagle, że ich plany podróży na ten dzień nie obejmują jazdy dylizansem.

— Nieźle mamy tempo — stwierdziła niania. Odsunęła zasłonę i wyjrzała przez okienko.

— Pewnie woźnica się spieszy.

— Tak, chyba tak.

— Zamknij okno. Robi się wilgotno.

— Słusznie.

Niania chwyciła pasek zasłony, ale nagle wysunęła głowę na deszcz.

— Stać! Stać! Woźnica, zatrzymać powóz!

Dylichans zahamował w strugach błota.

Niania otworzyła drzwiczki.

— No wiesz! Próbowalesz dojść piechotą do domu? W taką pogodę? Mogłeś się na śmierć przeziębic!

Deszcz i mgła wpadały do wnętrza. Po chwili przemoczony kształt wczołgał się do powozu i zniknął pod siedzeniem, pozostawiając za sobą małe kałuże.

— Próbował być niezależny — stwierdziła niania. — Zuch.

Dylichans ruszył dalej. Babcia wyglądała na nieskończone ciemniejące pola i nieustającą mżawkę. Zauważyła jeszcze jedną postać brnącą powoli błotnistą drogą, która w końcu doprowadzi ją do Lancre. Przejeżdżając obok, powóz ochlapał ją rzadką mazią.

— To prawda. Być niezależnym to piękny cel — stwierdziła, zaciągając zasłony.

Drzewa stały już nagie, gdy babcia Weatherwax powróciła do swojej chatki. Wiatr nawiał pod drzwi drobne gałązki i nasiona. Sadza sypała się z komina. Chatka, zawsze jakby trochę organiczna, zbliżyła się nieco do swych korzeni w glinie.

Były sprawy, którymi babcia musiała się zająć, więc się zajęła. Trzeba było wymieść liście i ułożyć pod okapem zapas drewna. Umocowany za ulami rękaw wskazujący wiatr był podarty przez jesienne wichury i wymagał cerowania. Trzeba zdobyć siano dla kóz, zebrać jabłka i ułożyć je na stryszku. Ścianom przydałoby się bielenie.

Jednak było coś, co musiała załatwić przede wszystkim. W efekcie dalsze prace okazały się trudniejsze, ale nie ma na to rady. Nie można zaczarować żelaza. I nie można chwycić miecza tak, by nie zranił. Gdyby to podważyć, zachwiałyby się porządek świata.

Babcia zaparzyła sobie herbaty, po czym znowu zagotowała wodę. Z pudełka na komodzie wyjęła garść ziół, wrzuciła je do misy i zalała wrzątkiem. Obok misy przygotowała czysty bandaż. Nawlokła bardzo ostrą igłę i położyła ją przy bandażu. Z małego słoiczka nabrała palcem trochę zielonej maści i rozsmarowała ją na kwadracie płótna.

To już chyba wszystko.

Usiadła i oparła rękę o blat, dłonią do góry.

— Dobrze — powiedziała, nie zwracając się do nikogo konkretnego. — Teraz mam już czas.

Trzeba było przesunąć wygodkę, a tę pracę babcia wołała wykonywać sama. Z wykopania głębokiej dziury czerpała jakąś wyjątkową satysfakcję. To takie... nieskomplikowane. Wobec dziury w ziemi człowiek dokładnie wie, na czym stoi. Ziemia nie miewa dziwaczych pomysłów, nie wierzy, że ludzie są przyzwoici tylko dlatego, że mają silny uścisk ręki i patrzą prosto w oczy. Ziemia leży tylko i czeka, aż ktoś ją przerzuci. A kiedy już człowiek skończy, może sobie siedzieć i rozkoszować się miłą, spokojną świadomością, że miną długie miesiące, zanim będzie musiał zrobić to ponownie.

Stała właśnie na dnie otworu, kiedy padł na nią cień.

— Dzień dobry, Perdito — powiedziała, nie patrząc w górę.

Podniosła kolejną łopatę ziemi na wysokość głowy i przerzuciła przez krawędź.

— Wróciłaś odwiedzić rodziców, co?

Wbiła łopatę w glinę na dnie, skrzywiła się i przycisnęła ją stopą.

— Myślałam, że świetnie sobie radzisz w Operze — mówiła dalej. — Oczywiście, nie jestem w tych sprawach ekspertem. Ale miło popatrzeć na młodych ludzi, którym udaje się znaleźć szczęście w wielkim mieście.

Teraz spojrzała w górę z szerokim, przyjaznym uśmiechem.

— Widzę też, że zrzuciłaś trochę wagi. — Słowa wręcz ociekały niewinnością jak karmelem.

— Trochę... ćwiczyłam — wyjaśniła Agnes.

— Ćwiczenia to świetny pomysł, naturalnie. — Babcia wróciła do kopania. — Choć mówią, że nie należy przesadzać. Kiedy wracasz?

— Ja... jeszcze nie zdecydowałam.

— No wiesz, nie zawsze opłaca się wszystko z góry planować. Człowiek nie powinien się za bardzo wiązać, zawsze to powtarzam. Mieszkasz u mamy?

— Tak.

— Bo wiesz, chatka Magrat ciągle stoi pusta. Zrobiłabyś nam wszystkim przysługę, gdybyś ją trochę przewietrzyła. Wiesz... dopóki tu jesteś.

Agnes milczała. Żadna odpowiedź nie przychodziła jej do głowy.

— To zabawne... — Babcia okopywała jakiś szczególnie kłopotliwy korzeń. — Nie każdemu bym się przyznała, ale właśnie wczoraj myślałam, jak to byłam kiedyś młoda i nazywałam siebie Endemonidią...

— Naprawdę? Kiedy?

Babcia otarła czoło zabandażowaną dłonią, pozostawiając glinianoczerwoną smugę.

— Och, przez jakieś trzy, cztery godziny — odparła. — Niektóre imiona się nie trzymają. Nigdy nie wybieraj sobie imienia, z którym nie możesz szorować podłogi.

Wyrzuciła z otworu łopatę.

— Pomóż mi wyjść, dobrze?

Agnes podała jej rękę. Babcia otrzepała z fartucha ziemię i liście, po czym spróbowała tupaniem pozbyć się gliny z butów.

— Pora na herbatkę, co? — powiedziała. — Naprawdę dobrze wyglądasz. To świeże powietrze. W Operze było duszno; od razu tak pomyślałam.

Agnes na próżno usiłowała dostrzec w oczach babci Weatherwax cokolwiek prócz szczerości i dobrej woli.

— Tak, też mi się tak wydawało — przyznała. — Eee... zraniłaś się w rękę?

— Zagoi się. Jak prawie wszystkie rany.

Babcia zarzuciła łopatę na ramię i ruszyła do chatki. W połowie drogi obejrzała się jeszcze.

— Tak tylko pytam — uprzedziła. — Po sąsiedzku. Z ciekawości. Nie byłabym chyba człowiekiem, gdybym nie spytała...

Agnes westchnęła ciężko.

— Tak?

— ...dużo masz teraz zajęć wieczorami?

Agnes zachowała w sobie dość buntu, by jej odpowiedź zabrzmiała ironicznie.

— A co? Proponujesz, że mnie czegoś nauczysz?

— Nauczę? Nie — odparła babcia. — Nie mam dość cierpliwości. Ale może pozwolę ci czegoś się dowiedzieć.

— Rychłóż się zejdziem znów?

— Jakie znów? Przecież jeszcze się nie zeszliśmy po raz pierwszy.

— Ależ tak. Osobiście cię znam od co najmniej...

— Ale się nie zeszliśmy. We trzy. No wiesz... oficjalnie.

— No dobrze. Rychłóż się zejdziem?

— Przecież już tu jesteśmy.

— No dobrze. Rychłóż...

— Może daj już spokój i zajmij się prawoślazem. Agnes, podaj niani prawoślaz.

— Tak, babciu.

— Tylko nie przypalcie mojego.

Babcia odetchnęła. Noc była jasna, choć chmury wzbierające od Osi obiecywały wkrótce śnieg. Kilka iskier wystrzeliło ku gwiazdom.

Rozejrzała się z satysfakcją.

— Czy nie jest miło?